

TAJEMNICE HISTORII

AMBER

ŹLI PAPIEŹE



Russell Chamberlin

Spis treści

I. Złote miasto

Rzym, rok 900 11

Pan Rzymu 16

Donacja Konstantyna 19

II. Ród Teofilakta

Marozja

Senatorka Rzymu (926–932)

Potęga Teofilaktów 29

„Papieżycy Joanna” 34

Oktawian

Papież Jan XII (955–963)

Papież-król 39

Nadejście cesarza 43

Teofilakt

Papież Benedykt IX (1032–1046)

Rządy maga 55

Sprzedane papiestwo 59

III. Pan Europy **Benedetto Gaetani**

Papież Bonifacy VIII (1294–1303)

- Wielka odmowa 67
- Zjednoczenie 74
- Waleczny grzesznik 89
- Wyzwanie i riposta 96

IV. Wędrowny papież **Bartolomeo Prignano**

Papież Urban VI (1378–1389)

- Awinion, wrzesień 1376 roku 105
- Schizma: Rzym, rok 1378 112
- Długi Marsz 119

V. Hiszpański byk **Rodrigo Borgia**

Papież Aleksander VI (1492–1503)

- Kardynał Rodrigo Borgia 131
- Rodzina Borgiaów 139
- Inwazja 1494 roku 145
- Mord na księciu Gandii 150
- Cesare Borgia 153

VI. Złoty Wiek **Giovanni de Medici**

Papież Leon X (1513–1521)

- Rozkwit renesansu 167
- Triumf Medyceuszy 180
- Spisek kardynałów 184
- Luter 188

VII. Ostatnie dni Italii

Giulio de Medici

Papież Klemens VII (1523–1534)

Giulio de Medici 199

Nadciągająca burza 206

Upadek Rzymu 214

Źródła 225

Bibliografia 227

Przypisy 231

Indeks 234

Mija ponad tysiąc lat, odkąd te ziemie i miasta zostały oddane kapłanom, i od tego czasu toczono z ich powodu najkrwawsze wojny, a mimo to kapłani nie panują nad nimi w pokoju ani też nie będą do tego zdolni w przyszłości. W oczach Boga i świata byłoby zaprawdę lepiej, gdyby owi pasterze zrzekli się całkowicie dominium temporale, od czasów Sylwestra rezultatami sprawowania przez nich świeckiej władzy są bowiem niezliczone wojny oraz zniszczenie ludów i miast. Jak to możliwe, że nigdy nie pojawił się dobry papież, który uleczyłby zło, i dla czego o tę przemijającą własność toczono tyle wojen? Zaprawdę, nie możemy służyć jednocześnie Bogu i mamonie, nie możemy stać jedną nogą w niebie, a drugą na ziemi.

Giovanni de Mussi *Kronika Piacenzy*, ok. 1350

I

Złote miasto

Rzym, rok 900

Wpewien czas po potopie ludzie znów zaludnili ziemię. Zaslepiła ich jednak pycha tak wielka, że ich bezbożność została ukarana pomieszczeniem języków na wieży Babel. I znów ulegli rozproszeniu. Noe przybył do Italii i wraz ze swymi synami, Jazonem, Jafetem i Chamem, zbudował miasta na siedmiu wzgórzach nad Tybrem. Jazon, który mieszkał na Palatynie, z pomocą Nimroda i Saturna wznosił na Kapitolinie Saturnię. Inni królowie o imionach okrytych chwałą, między nimi Italus i Eneas, poszli ich śladem i założyli na uświęconym obszarze kolejne miasta. Siedemnastego kwietnia, 433 lata po upadku Troi, Romulus otoczył owe miasta wspólnym murem, czyniąc z nich jedno i nadając mu swoje imię. „I wszyscy możni Ziemi, wraz z żonami i dziećmi, przybyli, aby zamieszkać w nowym mieście – Rzymie”¹.

W X wieku Rzymianie tak właśnie wyobrażali sobie początki swego miasta, łącząc w jednej opowieści ułamki tradycji chrześcijańskich i pogańskich. W ich wyobrażeniach Wergiliusz i autor Księgi Rodzaju cieszą się jednakowym autorytetem, toteż Eneas stoi w jednym rzędzie z Noem, a Saturn spotyka się z Nimrodem. W ten sposób w literaturze nastąpiło połączenie elementów, które z biegiem historii zmieniały oblicze Rzymu. Zachował on swój status Wiecznego Miasta, choć jego przeszłość przyjęła nowy kształt. Przestronne kościoły, które dominowały teraz nad panoramą Rzymu, zostały wzniesione z kamienia uzyskanego z czcigodnych świątyń, a te ze wspaniałych budowli starożytnego miasta, które przetrwały, obrócono bądź to w twierdze wojujących bez ustanku możnowładców, bądź to w obskurne siedziby biedoty.

Mieszkańcy Europy, spoglądający z zachwytem na starożytne i niezniszczalne miasto, snuli legendy, w których stawało się ono miejscem mitycznym. Być może boleli nad tragicznym upadkiem jego wielkości i sztychli z dekadencji i brutalności Rzymian, lecz wciąż pamiętali, że miasto to było symbolem potęgi i dlatego historię politycznej wielkości Rzymu przenosili w sferę baśni. Anglik William z Malmesbury opowiadał, jak to pewien Lukaniusz, „obywatel tego miasta, bogaty i posiadający rangę senatora”, pijany, w żartach włożył pierścień

ślubny na palec posągu Wenus, by w nocy obudzić się w objęciach bogini. „Weź mnie – skoroś mnie dziś poślubił”. Lukianusz zostaje ocalony przez chrześcijańskiego księdza – lecz nawet on posługuje się w tym celu pogańską magią. W podziemnej jaskini złote wizerunki zmarłych siedzą nieruchomo przy zastawionym na wieki stole, póki intruz, o zgrozo, nie przywróci im życia, kradnąc ozdobę spomiędzy półmisków. Rzeczywistość zmienia się w bajkę, a bajka wydaje się rzeczywistością. William trzeźwo opisuje odkrycie ciała olbrzyma Pallasa, którego opiewał Wergiliusz, ciała wciąż nietkniętego rozkładem, tak, że widać „cięcie, które Turnus zrobił w jego piersi, mierzące cztery i pół stopy”².

Jednak Rzym, mimo wszystkich związanych z nim pogańskich legend, był przede wszystkim Świętym Miastem chrześcijaństwa. Tłoczący się na jego ulicach pielgrzymi być może spojrzeliby w podziwie na ciało Pallasa, ale zaraz odwróciliby się od niego, wzruszając ramionami i czyniąc znak krzyża – gdyż herosi dawnego miasta stali się w nowym Rzymie demonami – a potem udaliby się na poszukiwanie „prawdziwie” świętych relikwii. Rzymianie zarabiali krocie, sprzedając łatwowiernym przybyszom z Północy fragmenty ciał wątpliwego pochodzenia. Uświęcał je chyba tylko sam fakt, że zakupiono je w Rzymie. A kiedy relikwie zostały kupione, świątynie odwiedzone, a miedziane lub złote wota złożone na grobie Piotra, pielgrzymi – jak to zwykli czynić w każdej epoce – ruszali zwiedzać miasto cudów. Specjalnie dla nich powstał przewodnik *Opisanie Złotego Miasta*, fantastyczny miszmasz legend i przekręconych faktów, skompilowany przez skrybów na podstawie tradycji ustnych wielu pokoleń. Zaczawszy od założenia miasta przez Noego i jego synów, wiódł on pielgrzymów aż do czasów teraźniejszych, po drodze pokazując im wielkie pomniki przeszłości i wyjaśniając, mętnie i niezgodnie z prawdą, szczegóły działania złożonej, pełnej wewnętrznych powiązań maszynierii cesarskiej, papieskiej i cywilnej władzy Rzymu. Przewodnik dostarczył również potomnym jednego z niewielu opisów miasta takiego, jakim było w tych ciemnych wiekach.

Rzym nie zmienił się wiele od czasów, gdy w III wieku za sprawą cesarza Aureliana osiągnął swoją ostateczną formę, zamknięty pierścieniem potężnych murów. Stanowiły one ostatnią linię obrony. Choć inne budowle popadały w ruinę, zadbano o to, by mury stały niewzruszone przez kolejne pokolenia i kolejne stulecia, otaczając miasto, które bez nich stałoby się rozlanym, bezkształtnym chaosem domów i ulic. W pierwszej dekadzie ery chrześcijańskiej, za pełnego splendoru panowania dynastii Augustów, Rzym przeżył istny zalew nowego budownictwa. Rozkwitało ono zwłaszcza za Nerona, kiedy lśniące budynki pochłaniały całe ulice i kwartały. Po upadku cesarstwa Rzym bardzo ucierpiał w wyniku licznych najazdów, ale to nikt inny, lecz sami Rzymianie rozebrali na części klasyczne miasto. Uczynili to z najbardziej przyziemnego z powodów – po spaleniu marmuru powstaje wapno, którego można użyć do produkcji zaprawy.

Tysiące wapienników karmiono bezcennymi fragmentami dawnej chwały. Wielkie bloki trawertynu, które stanowiły rdzeń murów, łamano, aby uzyskać

budulec na obory i szopy. Te z kolumn, które uniknęły wapiennika i nie zostały wykorzystane podczas budowy, leżały tam, gdzie padły, chronione coraz grubszą warstwą śmieci. Rzym augustiański zbudowano jednak w tak kolosalnej skali, że – choć był rozgrabiany przez stulecia – jego centrum przetrwało w rozpoznawalnej formie. Współcześni Oktawiana Augusta czy Nerona wciąż z łatwością mogliby poruszać się po mieście z X wieku i rozpoznać wiele ze znanych sobie miejsc, choć z pewnością stan ulic wzbudziłby w nich obrzydzenie. Wiele z nich było zablokowanych przez ruiny zawalonych budynków, a w letnim upale nad miastem unosił się obrzydliwy smród. W Rzymie, cieszącym się niegdyś szmerem i pluskiem niezliczonych fontann, teraz stale brakowało wody, ponieważ wielkie akwedukty popadły w ruinę.

Mimo to w kręgu murów aureliańskich plan Rzymu pozostał w zasadzie niezmieniony. Dopiero na drugim brzegu Tybru, na zboczach Wzgórza Watykańskiego, nowa epoka odcisnęła najbardziej widoczne piętno: powstało tam – odrębne w rzeczywistości – miasto, które w nadchodzących wiekach miało przejąć władzę nad Rzymem.

Aż do 850 roku Watykan znajdował się poza murami Rzymu. Nawet Aurelian nie uznał za konieczne objąć tego pustkowiec ochronnym pierścieniem murów. Okoliczne równiny pokrywały cuchnące mokradła, które latem były wylęgarnią roznoszących malarię komarów. Niegościnne zbocza Watykanu – w krainie, w której ludzie w naturalny sposób grawitowali ku wierzchołkom wzgórz – przez wiele stuleci pozostawały rzadko zaludnione. Jednak liczba mieszkańców Rzymu wzrosła tak bardzo, że nawet ten ponury teren nabral wartości. Na jego części powstał cmentarz, na innej Neron założył rozległe ogrody. To właśnie tam, w słynnym Cyrku, apostoł Piotr został – zgodnie z tradycją chrześcijańską – ukrzyżowany w 64 roku n.e., podczas nocy szalonego okrucieństwa, kiedy to żywe ciała chrześcijan obrócono w płonące symbole prześladowań przez Nerona.

Ta sama tradycja głosi, że ciało św. Piotra, uniesione przez uczniów, spoczęło w płytkim grobie pomiędzy grobowcami, wzniesionymi w pobliżu Cyrku. Od 160 roku n.e. w miejscu tym stała skromna kapliczka, w początkach IV wieku zastąpiona pierwszą Bazyliką św. Piotra. Bazylika, ufundowana – jak mówi legenda – przez samego cesarza Konstantyna, przetrwała ponad 1000 lat; zmiotła ją dopiero wzbierająca fala renesansu.

Czwartowieczni architekci musieli stawić czoło niemałemu wyzwaniu. Do bazyliki, która miała stanąć na zboczu, biegła droga. Po obu jej stronach wznosiły się grobowce. Podczas prowadzonych w pośpiechu prac budowlanych robotnicy, zamiast żmudnie je burzyć – były to masywne budowle, podobne w kształcie do chat – po prostu otworzyli je od góry i wypełnili gruzem, po czym na uzyskanym tą metodą fundamencie wybudowali kościół. Zabezpieczone w ten sposób grobowce przetrwały nietknięte przez wiele stuleci, aby – gdy w połowie XX wieku rozpoczęto poszukiwania grobu św. Piotra – dostarczyć archeologom bezcennych znalezisk.

Budowniczo wie bazyliki rozpoczęli kanibalistyczną praktykę, która dla Rzymu miała się okazać o wiele bardziej rujnująca niż najazdy barbarzyńców. Pobliżki Cyrk wydawał się oczywistym źródłem materiału budowlanego, ale podczas wznoszenia Bazyliki św. Piotra złupiono znacznie piękniejsze obiekty. Nowy kościół, niezgrabny ceglany budynek, poskładano pośpiesznie z tego, co akurat było pod ręką. Wielkie kolumny, które dominowały nad mrocznym wnętrzem, przywieziono z licznych świątyń. Nie tylko nie utrzymano ich w jednym stylu – architekci nie zadbali nawet o to, by dopasować bazy do kapiteli. Mimo to, chociaż nowa budowla musiała się konserwatywnym Rzymianom wydawać niespójna i niegodna tego miasta, była symbolem nowego stylu życia. Konserwatyści starali się utrzymać dawną religię, lecz jej dynamikę przejęła nowa wiara, a za dynamiką – bogactwa, które niegdyś zdobyły świątynie bogów.

W VII wieku wielkie centralne drzwi bazyliki obłożono ważącymi 300 kilogramów płytami litego srebra. Podobnie ozdobiona została kapliczka na grobie św. Piotra. Najświętsze miejsce chrześcijaństwa leżało obecnie znacznie poniżej fundamentów bazyliki. Architekci zapewnili jednak – ograniczony co prawda – dostęp w postaci szybu, który prowadził od ołtarza do samego grobu. Wierni mogli modlić się z głową pochyloną nad szybem lub zanurzać w nim przedmioty zawieszane na linie – gdy dotknęły grobu, przydawało im to odrobiny jego świętości. Grobowiec był w naturalny sposób punktem, w którym gromadzono rosnące bogactwa Kościoła: nie minął wiek, gdy srebrne płyty zerwano i zastąpiono złotymi. Na miejscu srebrnych posągów stanęły złote rzeźby, a szlachetne kamienie rozświetlały blaskiem to, co kiedyś było skromną kamienną kapliczką.

Święty Hieronim na próżno protestował przeciw obracaniu domu Boga w skarbiec: „Marmurowe ściany lśnią, dach błyszczący od złota, ołtarze skrzę się klejnotami – ale prawdziwych sług Boga nie otacza ziemski splendor. Niech nikt nie mówi, że świątynia Salomona była bogata w złoto. Skoro Pan wybrał ubóstwo, powinniśmy myśleć o Krzyżu i znać bogactwa za pozbawione wartości”³. W tej kwestii głos Hieronima nie został usłyszany. Cesarze zabiegali o łaski boże, zezwalając na rujnowanie kolejnych świątyń w celu zdobycia ozdób dla Bazyliki św. Piotra i nie zważając na to, że koszty tego wszystkiego ponosi Rzym. Papież, do rąk których trafiała coraz większa część dochodów miasta, kierował je do bazyliki. W początkach IX wieku w brzydkiej budowli znajdował się olbrzymi skarb w samych tylko złotych sztabach – pokusa nie do odparcia dla rabusiów, których nie powstrzymywała myśl o świętokradztwie.

Bazylika pozostawała bez ochrony przez 500 lat od założenia. Wrogowie Rzymu byli przeważnie chrześcijanami, a choć pomiędzy odłamami chrześcijaństwa dochodziło czasem do ostrych sporów, wszyscy wierni czcili owych kilka metrów kwadratowych ziemi na Wzgórzu Watykańskim – grób, nad którym wznosiła się bazylika. Z biegiem czasu pojawiło się jednak zagrożenie ze strony ludzi, którzy nie tylko byli wolni od skrupułów właściwych chrześcijanom, ale

wręcz przepelnieni nienawiścią do chrześcijaństwa i jego dzieł. Po upadku krótkotrwałego cesarstwa karolińskiego Sycylię zajęli Arabowie, którzy następnie rozszerzyli swą władzę na południową Italię, by w 846 roku przypuścić atak na Rzym.

Mieszkańcy starego miasta, bezpieczni za murami Aureliana, patrzyli bezsilnie na grabież watykańskich przedmieść. Najeźdźcy zabrali skarby zgromadzone w Bazylice św. Piotra – zdarli srebrne i złote płyty z podłóg i ścian, zrzucili na jeden stos złote posągi, wyrwali klejnoty zdobiące ołtarze. Arabowie, którzy w pełni rozumieli znaczenie tego kościoła, w przypiływie fanatyzmu otworzyli grób św. Piotra i rozrzucili jego zawartość. Odparci po zażartej walce, zdołali jednak załadować na okręty, zacumowane na Tybrze, większość łupów i uciec.

Panujący wówczas papież Leon IV wziął sobie do serca tę lekcję. Rozkazał otoczyć murem całe Wzgórze Watykańskie. Prace nad tym ogromnym przedsięwzięciem rozpoczęły się dwa lata po pamiętnym ataku. Wciąż jeszcze trwały, gdy do Rzymu dotarła wieść, że Arabowie przygotowują kolejny, jeszcze większy najazd. Cała Italia – dając krótkotrwały pokaz jedności – połączyła siły, by ich odeprzeć. Flota arabska została zniszczona u ujścia Tybru, zanim żołnierze zdążyli wsiąść na pokłady okrętów.

Zupełnie jakby powróciły wielkie dni Rzymu, mieszkańcy miasta znowu zatrudniali niewolników do prac budowlanych. Setkom arabskich jeńców nakazano wznosić fortyfikacje *Urbs Leoniana* – Miasta Leonowego – jak nazwano obszar otoczony nowymi murami. Cesarz wspomagał dzieło, ofiarowując duże sumy na jego budowę; świat chrześcijański obłożono podatkiem. W 852 roku mury zostały wzniesione: wysokie na ponad 13 metrów, bieły od brzegu rzeki do szczytu Wzgórza Watykańskiego, by zatoczyć łuk i zakończyć się nad Tybrem w jego dolnym biegu.

Kluczem do Miasta Leonowego było mauzoleum Hadriana. Wzniesione pierwotnie jako grobowiec na watykańskim brzegu rzeki, ze względu na swoje rozmiary i solidność zostało zamienione w twierdzę. W X wieku zapomniano już o jego początkach. Ówczesny kronikarz opisywał je po prostu jako „zamek niezwyklej potęgi i niezwyklego wykonania, który stoi u wejścia do Rzymu. Naprzeciw jego bram brzegi Tybru spina wspaniały most, po którym musi przejść każdy, kto wchodzi do miasta lub je opuszcza – o ile zezwolą mu strażnicy zamku”⁴.

Wraz z pamięcią o przeszłości mauzoleum zaginęła także jego nazwa. Teraz Rzymianie znali je jako zamek Sant’ Angelo, gdyż legenda głosiła, że kiedyś na zwieńczeniu jego murów ukazał się archanioł Michał. Budowla – w praktyce lity blok kamienny, w którym wycięto przejścia i pomieszczenia – była niezwykle wytrzymała. Spiralny, pochyły korytarz wiódł do centralnej sali, która swego czasu mieściła sarkofag Hadriana. Powyżej i wokół niej znajdowały się pomieszczenia, które zajmowała stała załoga twierdzy. Niewiele pozostało z dawnego piękna tej budowli. Antyczne greckie posągi, które zdobiły kiedyś

jej szczyt, rozbito i użyto jako pociski, zniszczono wiszące ogrody. Niezliczone szramy, pamiątki po zjadłych atakach, zryły marmurowe okładziny. Zasiadł na przez nowych właścicieli, brzydka, lecz wciąż istniejąca, budowla ta była wymownym symbolem samego Rzymu.

W VI wieku wokół Bazyliki św. Piotra – serca przyszłego olbrzymiego Pałacu Watykańskiego – zaczęły wyrastać budynki administracyjne. Jednak przez ponad połowę zapisanych w źródłach dziejów Kościoła rzymskiego, od początku IV wieku do końca XIV wieku, rezydencją papieży był nie Watykan, lecz Pałac Laterański, wznoszący się po drugiej stronie Tybru. Pałac wziął nazwę od nazwiska swoich właścicieli, rodziny Lateranów. Przez przypadek zapisali się oni na kartach historii, tylko dlatego, że przez pewien czas posiadali jedną z najwspanialszych prywatnych budowli w Rzymie.

Pałac ten znalazł się w rękach cesarza Konstantyna, który nawróciwszy się, podarował go biskupom Rzymu jako rezydencję. W pobliżu wzniesiono bazylikę. Była mniejsza niż ta na Watykanie, ale zasłynąć miała jako Matka Kościołów. Jej inna nazwa, Złota Bazylika, świadczyła o zgromadzonych we wnętrzu skarbach, zarówno duchowych, jak i ziemskich. Jak powszechnie sądzono, kryła ona Arkę Przymierza, tablice dziesięciorga przykazań oraz najsłynniejsze relikwie Rzymu: głowy apostołów Piotra i Pawła.

Pałac Laterański pełnił czcigodną, choć ograniczoną funkcję rezydencji biskupów przez około 400 lat. Potem, pod koniec VIII wieku, osłabiona więź, jaka łączyła cesarza rzymskiego z Rzymem, uległa przerwaniu. Tym samym papieństwo weszło na drogę, która wiodła ku świeckiemu panowaniu na ziemi, a Lateran stał się centrum władzy nad Rzymem.

Pan Rzymu

W 328 roku Konstantyn Wielki przeniósł stolicę Cesarstwa Rzymskiego do nowo założonego Konstantynopola, w sposób nieunikniony przesuwając środek ciężkości rzymskiego świata. Stopniowo na tronie cesarskim zaczęli zasiadać wyłącznie Grecy. Greka zastąpiła łacinę jako język urzędowy, a w kulturze Wschodu, zwanej bizantyjską od dawnej nazwy Konstantynopola, zachodziły drobne, ale znaczące przemiany. Związek pomiędzy Wschodem a Zachodem stawał się coraz słabszy.

Mimo to cesarz rościł pretensje do panowania nad całą Europą i aby go nie stracić, ustanowił w Rawennie przedstawiciela. Choć północna Europa wymykała się władcy z rąk, nie zaprzestał w brutalny sposób ograbiać Italii z wszelkich dostępnych dóbr. Barbarzyńskie najazdy fala za falą zalewały półwysep, tworząc kolejne niewielkie państwa, lecz bizantyjskie wojska nie reagowały.

Ich zadaniem było czuwanie nad zbieraniem podatków – i z tego obowiązku wywiązywały się zadowolająco.

Zwykli mieszkańcy tej krainy, już nie Rzymianie, lecz jeszcze nie Włosi, godzili się z tą sytuacją. Nie czyniło im różnicy, czy płacą podatki odległemu cesarzowi, czy aktualnemu władcy. Wielcy cierpieli pod jarzmem. Biskup Rzymu żył się, że może zostać wezwany do Konstantynopola jak każdy inny urzędnik. Nowych ksiąząt drażniło, że muszą szukać prawnego potwierdzenia swej godności u żyjącego gdzieś daleko Greka. Bez wsparcia poddanych nie mogli jednak nic przedsięwziąć – a ludzie nie widzieli powodu, by się narażać; zbuntowaliby się tylko wtedy, gdyby dotknęła ich jakaś rażąca niesprawiedliwość.

Iskrą, która wywołała wybuch, stała się kwestia religijna, jako że religia – przy całkowitym braku poczucia narodowości – była tym, co jednoczyło mieszkańców tej krainy.

Chrześcijański cesarz, rezydujący w Konstantynopolu, odziedziczył podwójną funkcję kapłana i władcy, którą posiadali pogańscy cesarze rzymscy. Z chwilą przeniesienia siedziby cesarstwa na Wschód biskup Rzymu w naturalny sposób uzyskał większą swobodę niż jego odpowiednik, patriarcha Konstantynopola, jednak w oczach cesarza obaj byli mu podlegli zarówno w sferze duchowej, jak i doczesnej. Wśród nieskończonych intryg i gwałtownych rewolucji pałacowych, w których ścierały się religia i polityka, Konstantynopol wyrósł na teologiczne centrum chrześcijaństwa.

Mimo to aż do 726 roku między cesarzem a papieżem nie doszło do większego konfliktu w kwestiach czysto religijnych. Cesarz Leon III, urodzony w górzystej Izaurii, wychowany na żołnierza, był człowiekiem, który do skomplikowanych dysput religijnych podchodził w sposób prosty i bezpośredni. Okazało się to katastrofalne. Jego chrześcijańscy poddani wychwalali pod niebiosa edykt, nakazujący przymusowo chrzcić Żydów. Jednak wydając pierwszy z edyktów ikonoklastycznych (zwalczających kult obrazów religijnych), podpisał wyrok na swoje panowanie na Zachodzie. Po raz pierwszy mieszkańcy Italii poczuli się dotknięci osobiście i wszyscy bez wyjątku.

Pierwsi chrześcijanie atakowali kult obrazów jako dzieło diabła. Triumf chrześcijaństwa oznaczał masowe niszczenie wszelkiego rodzaju świętych wizerunków. Te jednak w ciągu kolejnych stuleci niepostrzeżenie powróciły – pod nowymi nazwami, lecz, jeśli przyjrzeć się im krytycznym okiem, w identycznej roli. To chrześcijanie ze Wschodu jako pierwsi zauważyli, że niepostrzeżenie przywraca się wiele elementów pogaństwa, które zniszczyli ich przodkowie, przelewając krew męczenników. Ich wiara w moc obrazów była poddana dodatkowemu naciskowi, który nie dotyczył ich braci na Zachodzie.

W ciągu dekady niewierni muzułmanie podbili jedno za drugim chrześcijańskie miasta, z których każde znajdowało się pod opieką jakiegoś świętego wizerunku. Na próżno mnisi w zwyczajowy sposób starali się obronić wartość tej nadnaturalnej opieki, twierdząc, że to nie z braku świętej mocy w obrazie, lecz

ze względu na brak wiary w ludziach wizerunki okazały się bezużyteczne. Religijne dysputy przekształciły się – co było nieuniknione – w spory polityczne, grożące wybuchem buntu i zawsze żywym widmem wojny domowej. Leon III prostym posunięciem rozwiązał problem – a przynajmniej wydawało mu się, że to uczynił; stanął po stronie ikonoklastów. W 726 roku wydał edykt, w którym zarządził zniszczenie wszystkich religijnych wizerunków, zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie.

W Rzymie Grzegorz II, sprawujący swoją funkcję 11. rok, był pierwszym urodzonym w Rzymie papieżem po długim szeregu greckich kreatur, jakie zasiadały na tronie piotrowym. Fakt ten miał wyrzucić ogromny wpływ na dzieje Italii. Przypadek uczynił mało wyrafinowanego Leona III rzecznikiem tej części chrześcijaństwa, która odrzucała święte wizerunki, przypadek też sprawił, że równie niewyrafinowany Grzegorz II przemówił pełnym pasji głosem w imieniu wszystkich tych, którzy czcili obrazy.

Dwa listy, które Grzegorz II wysłał do Leona III, sprzeciwiając się edyktowi i ponaglając cesarza do powrotu na dobrą drogę, stanowiły ciekawą mieszaninę legend uważanych za prawdę, faktów, fikcji i osobistych poglądów, mocno przyprawioną pogardą dla władcy i jego niepiśmiennych doradców. Papież twierdził, że nonsensem jest uważać, iż chrześcijanie przywrócili starożytną idolatrię. Nie czczą wizerunków. Otaczają je jedynie szacunkiem, gdyż mają wartość pamiątkową. W starożytności wizerunki były albo przedstawieniami demonów, albo produktami wyobraźni, lecz podobieństwa wizerunków chrześcijańskich do ich pierwowzorów nie można podważyć. „Pobożni gromadzili się wokół Chrystusa za jego życia; patrząc na niego, uczynili jego podobiznę. Sporządzali także wizerunki Jakuba, brata Pańskiego, Szczepana i wszystkich męczenników. Następnie rozesłali je po całym świecie, aby stały się nie obiektem kultu, ale przedmiotem czci”.

Grzegorz II wciąż powracał do argumentu, że jego zwolennicy nie czcili obrazów, lecz tylko okazywali im szacunek. Jednak kiedy zagrożono atakiem na wielki posąg św. Piotra w Rzymie, wdał się w interesujące i niejednoznaczne rozważania. Nie obawiał się gniewu cesarza. „Wystarczy, że udam się 15 kilometrów w głąb Kampanii i możesz szukać wiatru w polu. Ale co się tyczy posągu samego św. Piotra, czczonego przez wszystkie królestwa Zachodu jako bóg na ziemi, [na jego znieważenie] cały Zachód odpowie straszliwą zemstą”⁵. Niezależnie od tego, czy papież chciał dać do zrozumienia, że to posąg jest czczony jako bóg na ziemi, czy też chodziło mu o św. Piotra, taka wypowiedź nie mogła pomóc w odparciu oskarżenia, że Europa popada w idolatrię.

Mieszkańców Italii nie obchodziły teologiczne subtelnosci. Biskup Rzymu wypowiedział się w ich imieniu jasno i ostatecznie, i wspierali go nawet kosztem własnej krwi. W obronie bogów ogniska domowego – małych, tak dobrze znanych przedmiotów, które zmieniały bezosobową teologię w coś lokalnego i osobistego – zerwali więź, jaka łączyła ich ze Wschodem.

Cesarskiemu edyktowi towarzyszyło działanie. Wojska, nieobecne, gdy należało bronić prowincji, okazały się na miejscu, gdy trzeba było wprowadzić w życie teologiczne nakazy. W okolicy Rawenny doszło do krwawych i gwałtownych starć. Bizantyjczycy wycofali się na północ i straszliwa masakra się powtórzyła. Rozlano tyle krwi, że jeszcze sześć lat później mieszkańcy doliny Padu powstrzymywali się od jedzenia ryb z rzeki w obawie, że niechęć mogą dopuścić się kanibalizmu.

Kiedy ucichł zgiełk bitewny, Italia nominalnie wciąż znajdowała się pod panowaniem cesarza. Grzegorz II nie pragnął uzurpować władzy doczesnej, lecz wytyczył drogę, którą nie omieszkali pójść inni. Zaledwie dziewięć miesięcy po jego śmierci, w 731 roku, doszło do faktycznego rozłamu ze Wschodem, kiedy synod w Rzymie nałożył ekskomunikę na wszystkich, którzy ośmieliliby się atakować wizerunki świętych. Co prawda cesarz nie został w nim wymieniony z imienia, a ponadto istniały pewne wątpliwości co do tego, kto kogo ekskomunikuje, jednak znaczenie tego aktu było oczywiste. Italia odrzuciła cesarza wraz z jego teologami. Powstała pustkę w sposób nieunikniony powinien wypełnić biskup Rzymu.

Donacja Konstantyna

Mniej więcej pokolenie po tym, jak papieństwo wzięło rozwód z cesarstwem, pewien urzędnik papieski, imieniem Christoforus, sporządził fałszywy dokument, który w prosty sposób wyjął władzę świecką z rąk cesarza i przekazał ją w ręce papieża.

Christoforus wykorzystał w swoim przedsięwzięciu legendę o św. Sylwestrze, nieskazitelnym, choć przeciętnym biskupie Rzymu, który sprawował tę funkcję za Konstantyna. Zgodnie z legendą cesarz, zawzięcie prześladowający chrześcijan, zachorował na trąd, z którego nie mogli go wyleczyć doktorzy ani magowie. Ukazawszy się przed nim, święci Piotr i Paweł powiedzieli, że jedynie Sylwester może przywrócić mu zdrowie. Starzec, sprowadzony do Pałacu Laterańskiego, ówczesnej rezydencji Konstantyna, oznajmił władcy, że tylko przyjęcie chrztu uwolni go od choroby.

Konstantyn zgodził się na to. W chwili gdy przyjmował chrzest, trąd zniknął. Wdzięczny cesarz nakazał, by w całym państwie zaczęto czcić Chrystusa, i przeznaczył dziesięcinę na budowę kościołów. Pałac Laterański przeszedł na własność Sylwestra i jego następców. Konstantyn rozpoczął budowę Bazyliki św. Piotra na Wzgórzu Watykańskim, własnoręcznie wykopując i przenosząc pierwszych 12 koszyków ziemi.

Legenda, choć była czczą fantazją, jeśli chodzi o motywację przypisywaną Konstantynowi, nie odbiegała znacząco od znanych faktów, takich jak dar

w postaci Pałacu Laterańskiego, budowa bazyliki i przyznanie chrześcijaństwu statusu najwyższej religii. Christoforus wykorzystał znane fakty, umiejętnie wysnuwając rewolucyjne teorie z tego, co z pewnością powszechnie wiadomo. Popełnił jednak błędy, które kilka wieków później wzbudziły wątpliwości uczonych. W dokumencie Konstantyn nazywa się pogromcą Hunów, choć dopiero 50 lat potem nazywani Hunami Madziarowie mieli najechać Europę. Biskup Rzymu nazywany jest papieżem prawie 200 lat przed tym, jak tytuł ten zarezerwowano dla jego stanowiska. Wreszcie urzędnicy ze Wschodu występują jako „satrapowie cesarstwa”. A jednak Christoforus dość zręcznie splótł wątki swej opowieści, zanim popełnił właściwe fałszerstwo.

Po pierwsze, usunął ze starej opowieści kilka zdań. Legenda głosiła, że cesarz zachował kontrolę nad całym aparatem władzy państwowej. To stwierdzenie zniknęło: teraz dokument zakładał, że wszyscy sędziowie i biskupi podlegają biskupowi Rzymu. Następnie Christoforus śmiało przeszedł do fabrykowania faktów. Papieżowi i jego następcom Konstantyn miał ofiarować diadem lub koronę, a także „purpurowy płaszcz, szkarłatną tunikę i wszystkie cesarskie szaty. Nadajemy mu także cesarskie berło wraz ze wszystkimi chorągwiami, flagami i podobnymi ozdobami”.

Christoforus, kleryk niespokojny o skromne przywileje i honory swego stanowiska, kazał Konstantynowi przyznać klerowi godności przypominające te, jakimi cieszył się stan senatorski: mieli „jeździć na białych koniach z okryciem w kolorze najczystszej bieli, nosząc białe buty, jak senatorzy”.

Wszystko to jednak było zaledwie ozdobnikiem w tekście, którego najważniejsze założenie brzmiało, że papież nie tylko nie jest niezależny od cesarza, ale wręcz sprawuje nad nim władzę. Z tekstu Christoforusa wynika, że Sylwester, któremu zaoferowano cesarską koronę, odmówił jej przyjęcia jako nieodpowiedniej dla duchownego, przyjmując jedynie prostą białą czapkę frygijską, skromną poprzedniczkę wspaniałej potrójnej tiary. Znaczenie tego rzekomego zdarzenia było oczywiste: papież odrzucił koronę cesarską, a Konstantyn posiadał ją jedynie za jego przyzwoleniem.

Na koniec Christoforus zadbał, by nie pozostały żadne niejasności, i zręcznie przekręcił prawdziwe powody, dla których Konstantyn zdecydował przenieść stolicę na Wschód. „Pragnąc uszanować godność korony pontyfikalnej, oddajemy i przekazujemy swoje pałace, Miasto Rzym i wszystkie prowincje, miejsca i miasta Italii oraz tereny Zachodu najbardziej błogosławionemu z pontyfików i powszechnemu papieżowi Sylwestrowi”. Konstantyn miał udać się do Nowego Rzymu, gdyż nie przystało, by cesarz na ziemi dzielił siedzibę z następcą Piotra⁶.

Fałszowanie dokumentów nie były rzadkością w tych wiekach. W istocie jest możliwe, że Christoforus nie chciał popełnić oszustwa, lecz *Donację Konstantyna* skompilował jako ćwiczenie w alternatywnej historii. Jego dzieło prawdopodobnie pokrywałoby się kurzem w kącie jakiejś kancelarii, gdyby nie doszło

do zdarzenia, które uczyniło z dokumentu potężną polityczną broń. Christoforus miał pożałować tego, co uczynił.

Upadkowi władzy Bizancjum w Italii towarzyszył wzrost znaczenia Longobardów, ostatnich i najpotężniejszych z fali barbarzyńskich najeźdźców. Zakładali oni swe księstwa i „królestwa” w całej Italii, tworząc fundamenty nowego społeczeństwa. W miarę jak Bizantyjczycy opuszczali miasta, Longobardowie zajmowali ich miejsce. Wreszcie zagrozili samemu Rzymowi. Choć będąc dobrymi chrześcijanami, szanowali papieża jako głowę Kościoła, nie mieli zamiaru uznać go za władcę świeckiego. Izolowany, zagrożony przez odległych Bizantyjczyków i otoczony przez Longobardów, papież Stefan szukał obrońcy. Znalazł go za Alpami, gdy Pepin Mały, zwany też Krótkim, król Franków, zaoferował mu pomoc.

Zimą 755 roku Stefan wyruszył w długą i niebezpieczną podróż na dwór frankijski. O jego desperacji świadczył fakt, że nie tylko – będąc już starcem – zdecydował się wybrać tam osobiście, ale ponadto poważił się przeprawić przez Alpy w środku zimy. Został przyjęty z szacunkiem, nie jak ktoś, kto przychodzi po prośbie, nie jako papież, lecz jako okradziony dziedzic Konstantyna. Papiescy specjaliści od propagandy dobrze wywiązali się ze swego zadania. *Donacja Konstantyna*, przeniesiona ze świata fikcji do rzeczywistości, zaczęła wydawać owoce.

Negocjując z Pepinem, Stefan prosił o ochronę, ale także o ziemię. Tereny zagarnięte przez Longobardów, nie miały zostać zwrócone ani Bizantyjczykom – ich prawnym posiadaczom – ani republice Rzymu, która je stworzyła. Miano je „zwrócić” samemu św. Piotrowi, ponieważ cztery wieki wcześniej Konstantyn przekazał je reprezentantowi apostoła, Sylwestrowi. To zaskakujące żądanie Pepin przyjął bez oporu – być może z przyczyn politycznych, być może jako człowiek prawdziwie pobożny, pragnący bronić księcia apostołów i frankijskim mieczem zmasać świętokradztwo.

Pepin dotrzymał obietnicy. Wystarczyły mu dwie kampanie, żeby pohamować zapędy Longobardów i narzucić im traktat, który prawnie przekazywał papieżowi tereny wymienione w *Donacji*. Nie tylko niedouczeni Frankowie uznali *Donację* za obowiązujący dokument, sami chytry Bizantyjczycy – biegli w prawnych intrygach i mający wiele do stracenia – padli ofiarą oszustwa. Przedstawiciel cesarza, daleki od tego, by ostro protestować przeciw despotycznym poczynaniom Franków, poprosił ich, aby oddali rzeczony tereny Bizantyjczykom, którzy rządzili nimi przez tak długi czas. Pepin odmówił. To dla św. Piotra pokonał Longobardów, a skoro św. Piotr nie mógł osobiście odebrać cennego daru, król przekazuje go na ręce biskupa Rzymu. Stefan otrzymał wielkie, żelazne klucze do bram około 20 miast, między innymi Ankony, Bolonii, Ferrary, Iesi i Gubbio, stając się w ten sposób właścicielem sporego obszaru ziemi wzdłuż wybrzeża Adriatyku, na którym miało później powstać Państwo Kościelne. Dokument, opisujący ten podarunek, został umieszczony w niszy w ścianie

szybu, wiodącego do grobu św. Piotra, w największej bliskości fizycznych szczątków apostoła.

Nie minęło 10 lat od dnia, w którym Pepin tak hojnie obdarował papieża, a Rzym znał już wszystkie konsekwencje nowego splendoru papiestwa. Powstanie państwa papieskiego, czyli tak zwanego patrymonium św. Piotra, uczyniło papieża panem feudalnym, sprawował on więc również nadzór nad kwestiami finansowymi. Wielkie rody Rzymu i okolic zaczęły patrzeć na tron św. Piotra jak na kuszący łup. To zaś stwarzało nowe, wewnętrzne zagrożenie, bardzo różniące się od niebezpieczeństw, które niesli ze sobą Bizantyjczycy i Longobardowie. Kiedy papież posiadał jedynie władzę duchową i był całkowicie podległy cesarzowi, niektórzy wahali się, czy objąć rządy w stolicy piotrowej. Teraz jednak, odkąd biskup Rzymu trzymał w rękach nie tylko klucze do bram nieba, ale także klucze do licznych miast, jego stanowisko stało się znacznie bardziej atrakcyjne.

Do pierwszych krwawych zamieszek doszło w 767 roku, kiedy, po śmierci ówczesnego papieża, jeden z lokalnych władców – chcąc skorzystać z okazji – pośpieszył do Rzymu, by zaproponować jako następcę własnego brata. Z faktem, iż brat ten należy do stanu świeckiego, poradzono sobie bez trudu. Został wyświęcony na kłeryka, subdiakona, diakona i księdza, a następnie konsekrowany jako biskup i papież – wszystko jednego dnia. Natychmiast powstały stronnictwa jego przeciwników i pojawiło się dwóch kolejnych papieży. Pierwszego z rywali, po wyłupieniu mu oczu, pozostawiono, by umarł. Drugi został zamordowany. Dopiero gdy trzeci zwrócił się o pomoc do znienawidzonych Longobardów, zapanował jaki taki porządek. Falszeryz Christoforus – jakże stosownie – zginął w jednej z ulicznych bójek, pierwszych zwiastunów przemocy, jaką miało przynieść X stulecie.

Swym czynem Pepin nie tylko sprawił, że oprócz władzy duchowej papież obdarzony został także władzą doczesną. Ustanowił też precedens, zgodnie z którym cesarz niemiecki miał być naturalnym obrońcą papiestwa. Pięćdziesiąt lat później syn Pepina, Karol Wielki, pośpieszył do Rzymu, wezwany przez papieża Leona III, by stłumił rebelię. W podzięcie w dzień Bożego Narodzenia roku 800 Leon III ukoronował go na cesarza Zachodu. Pod względem prawnym akt ten był dość wątpliwy – ludźmi mógł włączyć tylko jeden cesarz, a ten rządził już przecież w Konstantynopolu. Jednak mimo protestów ze strony legalistów powstanie odrębnego cesarstwa w Europie stanowiło naturalny krok w procesie rozłamu między Zachodem a Wschodem.

Karol Wielki łączył sprzeczności typowe dla swojej epoki. Niepiśmienny, gromadził wokół siebie uczonych. Pozbawiony intelektu, wprowadził system prawny, który stał się spoiwem niejednorodnej masy ludów, zamieszkujących jego państwo. Głęboko, a nawet naiwnie pobożny, ograniczał działalność ludzi Kościoła. Jego relacje z papieskim protegowanym były dość szczególne. Formalnie uznał darowiznę swego ojca, wydając dokument oparty na *Donacji Konstancyntyna*,

poprzez który – teoretycznie – papieństwo zgłaszało pretensje do „wszystkich ziem Italii i Zachodu”. W praktyce nie było wątpliwości co do tego, kto jest doczesnym panem Europy.

Mimo to, wprowadzając w życie zadziwiającą koncepcję cesarza i papieża jako dwóch równoległych zastępców Chrystusa, jednego dzierzącego w świętym cesarstwie berło władzy duchowej, drugiego – miecz władzy świeckiej, Karol Wielki przestrzegał doczesnych praw papieża do terenów ofiarowanych św. Piotrowi. Nawet pragnąc wywieźć pewne mozaiki z Rawenny w celu upiększenia swojej stolicy, Akwizgranu, poprosił papieża o formalną zgodę. Fakt, że Karol Wielki nie uległ czarowi Rzymu, ułatwiał codzienną administrację państwa. Rzym ofiarował mu wielki tytuł, a on starał się wpływać na Wieczne Miasto – choć z odległości. Siedzibą cesarza był Akwizgran.

Jednak nową koncepcję cesarstwa mógł utrzymać tylko ktoś o charyzmie Karola – a nawet i on cierpiał na pewną ograniczającą go przypadłość. Doskonały żołnierz, jako władca pozostawał pod szkodliwym wpływem plemiennych zasad swych germańskich przodków. Swoje imperium uważał za osobistą własność, która miała przejść w ręce jego rodziny. Po śmierci Karola całe państwo odziedziczył jego syn Ludwik. Trzydzieści lat później, w 843 roku, cesarstwo zostało podzielone między trzech wnuków Karola Wielkiego.

Od tej chwili cesarstwo Karolingów było cesarstwem już tylko z imienia. Dzielono je na części, a te części na jeszcze mniejsze cząstki lub arbitralnie łączono ziemie, tak że czasami Lotaryngia i Italia stawały się jednym, Lombardia bywała odrywana od Italii, a Prowansja od Francji. Wciąż pojawiali się nowi, pomniejsi królowie, margrabiowie i książęta. Krótkie rządy królów Italii, Lombardii czy Prowansji opierały się na jednej podstawie – że są oni (prawymi lub nie) potomkami wielkiego władcy. Każdy z nich uważał, że ma prawo do korony cesarskiej. Dążąc do jej zdobycia, pogrążyli Italię w zamęcie. Karol Wielki dodał bowiem jeszcze jeden precedens do ustanowionego przez jego ojca: święty symbol, koronę cesarza, mógł nakładać jedynie najwyższy kapłan chrześcijaństwa. Tę okoliczność papieństwo wykorzystywało jako nieocenioną broń.

U schyłku IX wieku walki kandydatów do tronu św. Piotra i ich zwolenników doprowadziły Rzym na skraj społecznego chaosu. W marcu 886 roku odbył się straszliwy *synod horrenda* (trupi synod), sąd nad zwłokami – wydarzenie, które wyznaczało szczytowy moment anarchii i świadczyło o tym, że klucze św. Piotra może zdobyć każdy, kto ośmieli się po nie sięgnąć. Zwycięskie stronnictwo, któremu przewodził aktualny (lecz nie na długo) papież, Stefan VII, wytoczyło proces jego rywalowi, nieżyjącemu już papieżowi Formozusowi. Sąd nie był cczą formalnością. Ciało Formozusa wywleczono z grobu, w którym spoczywało od ośmiu miesięcy, odziano w szaty pontyfikalne i posadzono na tronie, który papież zajmował za życia.

Trupowi przydzielono adwokata, który roztropnie zachował milczenie, podczas gdy papież Stefan szalał i obrzucał Formozusa obelgami. Pretekstem dla procesu było złamanie przez Formozusa prawa kanonicznego – przyjął biskupstwo Rzymu, będąc równocześnie biskupem innej diecezji. Jednak niewielu obecnych w sali przejęłoby się tym zarzutem. W rzeczywistości zbrodnia Formozusa polegała na tym, że należał do wrogiego stronnictwa i ukoronował jednego z licznych nieprawych potomków Karola Wielkiego, uprzednio włożywszy tę samą cesarską koronę na głowę kandydata popieranego przez stronnictwo papieża Stefana.

Nawet i ta zbrodnia była iluzją. Kto dbał o to, że marionetkowy cesarz nosi pozbawioną znaczenia koronę? Ciało Formozusa zostało zbezczeszczone podczas magicznego obrzędu po to, aby tak samo upadło i straciło siły jego stronnictwo. Z pewnością wielu zebranych w sali synodu myślało podobnie jak świadek, który opisał tę scenę. Przypuśćmy, że trup – do czego szydlerczo wzywał go Stefan – odpowiedziałby na zarzuty: „Czy cały ten odrażający tłum nie uciekłby z krzykiem przerażenia? Kto wtedy osądziłby Formozusa?”⁷.

Jednak Bóg nie interweniował. Synod posłusznie potępił zmarłego i jego czyny, ale Stefan nie dopełnił jeszcze swej zemsty. Ciało zostało obdarte z szat, po czym odcięto mu trzy palce prawej ręki, którymi udziela się błogosławieństwa. Następnie zwłoki powleczono przez pałac i ciśnięto wrzeszczącej tłuszczy, która poniosła je do Tybru i wrzuciła do rzeki. Później grupka rybaków wyловиła trupa i sprawiła mu przyzwoity pochówek.

Natychmiast po trupim synodzie trzęsienie ziemi zniszczyło starożytną Bazylikę Laterańską. Był to aż nazbyt wymowny omen. W późniejszych czasach opowiadano legendy o tym, że podobizny św. Piotra pozdrowiały martwego Formozusa podczas jego powrotnej drogi na miejsce wiecznego spoczynku. Nie trzeba było jednak nadnaturalnych znaków, by przekonać mieszkańców miasta, że stronnicy papieża Stefana posunęli się za daleko. Wczesną jesienią tego samego roku Stefan został schwytany i uduszony. Mimo utraty przywódcy jego zwolennicy nie przestali działać i niebawem wybrali na papieża pewnego kardynała imieniem Sergiusz. Jednocześnie rywalizujące stronnictwo ukoronowało swojego kandydata.

Wówczas Sergiusz oraz większość jego zwolenników zostali wygnani z miasta. Nie zakończyło to jednak walki o tron św. Piotra. W ciągu następnych 12 miesięcy czterech kolejnych papieży wdarło się na okrwawiony tron, na którym utrzymywali się kilka tygodni lub tylko dni, zanim strącono ich prosto do grobu.

W okresie niewiele ponad sześciu lat panowało siedmiu papieży i jeden antypapież. Wreszcie, na przelomie stuleci, fala przemocy na krótko opadła. Wcześniej, po siedmioletnim wygnaniu, powrócił kardynał Sergiusz, wspierany obecnie przez wojska feudała, który dostrzegł w tym okazję, by sięgnąć po władzę w Rzymie. Panujący papież – tak jak i jego poprzednicy – został zamordowany, w mieście zapanowała krwawa rzeź, po czym z masakry wyłonił się kardynał

Sergiusz – już jako papież tego imienia – jedyny, który przeżył rywali, najwyższy kapłan.

Dla całego tego okresu dziejów Rzymu źródła historyczne są bardziej niż skromne, a czasem w ogóle nie można ich odnaleźć. Kronika niedouczonego mnicha z pobliskiego klasztoru na Monte Soracte, krótkie, nieregularne zapiski w oficjalnej *Księdze papieży*, kilka epitafiów, parę wrogich komentarzy spod pióra nieprzyjaciół – to wszystko, czym dysponujemy. W X wieku wielkie miasto, które ongiś przemawiało w imieniu milionów, było nieme. Miasto, które rozświetlało swym blaskiem cały świat zachodni, pogrzyżyło się w niemal całkowitych mrokach. Próbując poznać jego dzieje, jesteśmy jak ktoś, kto usiłuje znaleźć drogę w ciemności, niosąc świeczkę, której płomień to się wzmagają, to prawie ginie.

W tym słabym świetle postać Sergiusza ledwie majaczy. Złośliwy, nieczysty, dziki – oto epitety, jakimi zwykło się go określać. Oglądając go w migoczącej poświacie z perspektywy sześciu stuleci, kardynał Baronius, pierwszy z wielkich historyków papieżstwa, mógł stwierdzić jedynie, że ten potwór został wypuszczony przeciwko Kościołowi tylko po to, by dowieść nadnaturalnej wytrzymałości jego fundamentów. Żadna inna budowla nie ostałaby się tak gwałtownym i krwawym wewnętrznym wstrząsam. Sergiusz na pewno brał aktywny udział w trupim synodzie, zaś jednym z jego pierwszych posunięć jako papieża były wystawienie Stefanowi VII nagrobka z bardzo przychylnym epitafium i unieważnienie wyroku, który przywracał dobre imię Formozusowi. W efekcie osoba Sergiusza stała się obiektem gwałtownych sporów i kontrowersji, podczas których na zmianę wychwalano go i potępiano. Z tego chaosu sprzecznych twierdzeń wyłonił się jeden pewnik – to podczas siedmioletniego pontyfikatu tego papieża rozpoczął się proces, który miał przekształcić papieżstwo w apanaż dla dzieci *senatrix* Marozji; a jedno z tych dzieci spłodził sam Sergiusz.

II

Ród Teofilakta

Marozja

Senatorka Rzymu (926–932)

Oktawian

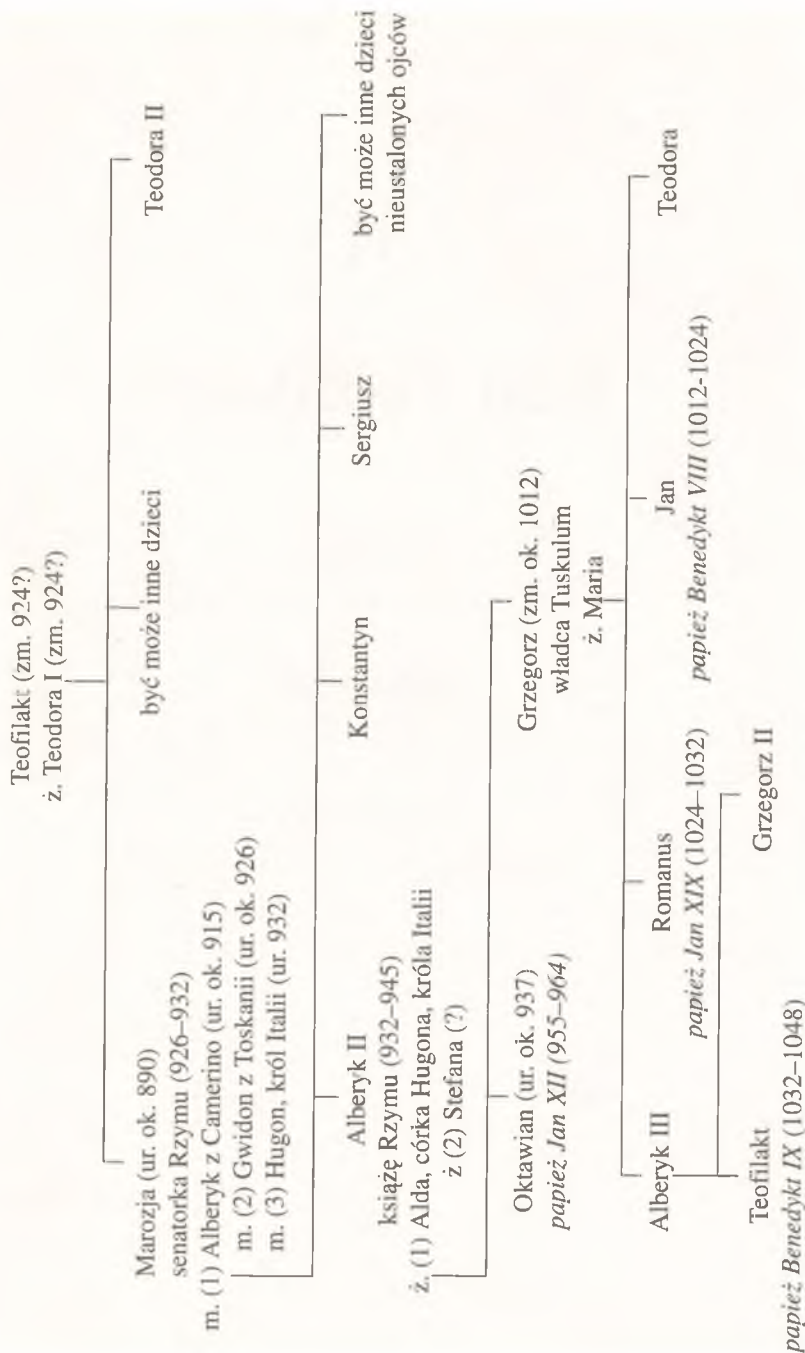
Papież Jan XII (955–963)

Teofilakt

Papież Benedykt IX (1032–1046)

RÓD TEOFILAKTÓW

Prawdopodobna genealogia gałęzi wywodzącej się z Tuskulum



Potęga Teofilaktów

Mniej więcej 600 lat po tym, jak papieże sięgnęli po władzę świecką, nieznanymi geniusz propagandy dał początek przedziwnej i mającej długi żywot legendzie o kobiecie, która zasiadła na tronie św. Piotra i panowała jako papież pod imieniem Jana.

Opowieść o papieżu Joannie po raz pierwszy pojawiła się w formie pisanej w XIII wieku, kiedy pretensje papieżstwa do władzy świeckiej sięgnęły szczytu. Sfabrykowana jako atak na papieża, żywiła się – jak to bywa z legendami – własną popularnością i wreszcie przeszła do kultury ludowej. Opowiadana wciąż na nowo na różne sposoby, stan literackiej doskonałości osiągnęła, kiedy spisali ją uczeni pornografowie renesansu. Jej sercem jest historia o niejkiej Heloizie, pięknej i wykształconej dziewczynie z Anglii, która rozpoczęła karierę, wstępując do klasztoru w męskim przebraniu, a następnie przybyła do Rzymu, gdzie została wybrana na papieża. Jej sekret wydał się dopiero wtedy, gdy podczas uroczystej procesji powiła dziecko. Niedługo potem zmarła ze wstydu i żalu.

Opowieść ta została skonstruowana z dbałością o szczegóły, która zasłużyła by na pochwałę autora *Donacji Konstantyna*. Podawano, że pontyfikat Joanny trwał dokładnie dwa lata, miesiąc i cztery dni, a miał miejsce między 855 a 858 rokiem. Starożytny posąg matki z dzieckiem, który od wieków stał przy drodze procesji, uznano za podobiznę zbłąkanej Joanny i niemowlęcia, które urodzwszy się, zdradziło jej płeć. Fakt, że procesje nie przechodziły już tą ulicą, posłużył za dowód winy i hańby papieżstwa – chociaż nikt nie szukał podobnych wyjaśnień, kiedy inne ulice wyłączano z trasy procesji z udziałem papieża. Tradycją było, że tuż po koronacji papież zajmował miejsce na swego rodzaju marmurowym siedzisku – teoretycznie umożliwiającym sprawdzenie budowy jego ciała – co także wykorzystano do potwierdzenia prawdziwości legendy. Po okresie reformacji wierzyli w nią zarówno katolicy, jak i protestanci. Nikt nie podważał przyczyn, dla których około roku 1600 popiersie, podpisane *Johannes VIII, femina ex Anglia* (Jan VIII, kobieta z Anglii), znajdowało się w szeregu wizerunków papieża w katedrze sieneńskiej.

Edward Gibbon, obrońca papieżstwa (choć czasem robił to z ociąganiem), położył kres legendzie. Snując rozważania nad walkami stronnictw papieskich w Rzymie w X wieku, dał najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie pochodzenia mitu.

Wpływy dwóch sióstr prostytutek, Marozji i Teodory, opierały się na ich bogactwie i urodzie oraz na ich intrygach politycznych i miłosnych. Najbardziej wytrwałych ze swych kochanków wynagradzały papieską mitrą. Rządy tych kobiet mogły w ciemniejszych wiekach stać się podstawą opowieści o papieżycy. Nieślubny syn, wnuk i prawnuk Marozji – rzadki przypadek w genealogii – zostali osadzeni na tronie piotrowym¹.

Gibbon pomylił się dwukrotnie. W owym czasie żyły dwie Teodory, a ta, którą Gibbon miał na myśli, nie była siostrą Marozji, lecz jej matką. Z pewnością też nie można ich nazwać prostytutkami w powszechnym rozumieniu tego słowa, były bowiem córką i żoną ni mniej, ni więcej, lecz Teofilakta, senatora Rzymu, stojącego na czele świeckiej władzy w mieście. Marozja zdobyła dla siebie tytuł *senatrix* – senatorki. Jako niekwestionowana pani Rzymu rządziła pomiędzy 926 a 932 rokiem, stając się pierwowzorem znacznie mniej barwnej papieżycy Joanny.

Przodkowie Marozji pochodzili z Tuskulum, etruskiego miasta, leżącego na wzgórzu nieopodal Rzymu. Przez wieki to niewielkie, piękne miasteczko żyło ze swym potężnym sąsiadem w swoistej symbiozie. Ambitni tuskulańcy, przebywszy dzielące ich od Rzymu 10 kilometrów, próbowali zdobyć w Wiecznym Mieście chwałę i fortunę, po czym wracali do rodzinnego gniazda. O ile przeżyli swoją rzymską wyprawę.

We wczesnych latach 90. IX stulecia ojciec Marozji, Teofilakt, śladem wielu poprzedników wybrał się w podróż do Rzymu i osiadł w tym mieście. Będący oficjalną głową rodziny Teofilakt jest postacią tajemniczą. W kilku źródłach zachowały się jedynie jego imię i urząd. Piastował godności księcia i senatora, był także jednym z sędziów mianowanych przez cesarza. Ówczesna potęga i przyszła niesława rodu Teofilakta nie wynikały jedynie z jego władzy sądowniczej. Przyczyniły się do nich umiejętności i cechy, którymi natura obdarzyła jego żonę i córkę. Tak przynajmniej utrzymują wrodzy Teofilaktowi kronikarze. Nie ulega jednak wątpliwości, że musiał mieć sporo odwagi i niemałe umiejętności, aby przeżyć w Rzymie i w pewnym stopniu kontrolować to miasto przemocy i morderstw.

W okresie gwałtownych walk, jakie nastąpiły po trupim synodzie, Teofilakt popierał stronnictwo Sergiusza podczas jego wygnania. Udało mu się utrzymać przy życiu, aby powitać powracającego papieża. Był to więc niemały i „podwójny” sukces. Jak doszło do tego, że ten najwyraźniej kompetentny człowiek ustąpił pola żonie i córce, kroniki nie wyjaśniają. Zdaje się, że fakty miały mówić same za siebie, bo też „rządy Teodory” były faktem. Od roku 900 w skąpych oficjalnych źródłach to jej imię, a nie Teofilakta, pojawia się najczęściej.

Kobiety z rodziny Teofilakta pojawiają się nagle na mrocznym tle jako trójwymiarowe postaci, skąpane w tym samym bładym blasku, który oświetla postać Sergiusza. Jednak w odróżnieniu od tego ostatniego miały one własnego kronikarza – zjadłego wroga, który zniszczył dobre imię, jakim mogłyby się cieszyć, choć jednocześnie zapewnił im nieśmiertelną sławę. Liutprand, biskup Kremony, był z pochodzenia Longobardem, a zatem zjadłym przeciwnikiem wszystkiego, co rzymskie. Marozja i jej matka opisane są w jego historii pełnymi jadami słowami, które ustaliły ich reputację w mających nadejść wiekach. Kardynał Baronius, w XVI wieku starający się stworzyć pierwsze dzieje papieństwa, mógł tylko iść w ślad za Liutprandem. Pod wpływem jego relacji ukuł dla okresu, w którym papieństwo zdominowały dwie kobiety, żywotne określenie „pornokracja”.

„Pewna bezwstydną ulicznica imieniem Teodora była swego czasu jedynym władcą Rzymu i – choć wstydem jest nawet o tym wspominać – rządziła jak mężczyzna. Jej dwie córki, Marozja i Teodora, nie tylko jej dorównały, ale i przewyższyły matkę w ćwiczeniach, które kocha Wenus”². Podobnie jak później Gibbon, Liutprand oczernił młodszą Teodorę, która, jak się wydaje, przez całe życie nie przekroczyła granic wyznaczonych przez dobre obyczaje. Inne źródła, choć skąpe, dostarczają aż nazbyt dobrego uzasadnienia dla ataków Liutpranda na jej matkę i siostrę. *Księga papieży* zawiera jedynie krótką, neutralną w tonie wzmiankę dotyczącą wczesnego okresu życia Marozji. Tuż po osiągnięciu dojrzałości, dziewczyna urodziła chłopca – syna papieża Sergiusza – który w swoim czasie miał wstąpić na tron piotrowy.

Liutprand prawdopodobnie nie zaprzął sobie głowy analizą źródeł potęgi Teodory, wydawały mu się one bowiem oczywiste. Prawdziwym panem Rzymu był papież Sergiusz, a Teodora zawdzięczała swoje wpływy faktowi, że jej córka została jego kochanką. Już tylko dla utrzymania swej pozycji Sergiusz powinien dbać o sojusz z rodziną, która przyczyniła się do jego powodzenia. Jednak w Rzymie sojusze nie utrzymywały się długo i zależały od pomniejszych zmian nastrojów i interesów. Znacznie trwalszym spoiwem między Teofilaktami a Sergiuszem było młode ciało Marozji. Wówczas dziewczyna dopiero zaczynała roztaczać swe wdzięki. Później niezaprzeczalna uroda stała się jej najsilniejszą bronią.

Niezależnie od tego, w jaki sposób Teodora korzystała ze swojej pozycji, w momencie śmierci Sergiusza w 911 roku sięgnęła po władzę. Rzym być może spodziewał się, że konklawe poprzedzą nowe krwawe starcia. Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Kolejno wybrano dwóch protegowanych Teodory, czemu nie towarzyszyło większe zamieszanie. Zarówno jeden, jak i drugi papież panowali każdy niewiele ponad rok, po czym zmarli. Dopiero wtedy Teodora poważła się na najzuchwalszy i najbardziej cyniczny czyn w swojej karierze. Uczyniła swego kochanka, biskupa Rawenny, biskupem Rzymu.

Już samo zamierzenie stało w sprzeczności z owym prawem, o którego złamanie oskarżono Formozusa podczas jego „procesu”. Przeprowadzając swój

plan, Teodora dowiodła, jak ogromną władzę ma nad Rzymem i papieżstwem. Także i tym razem świadkiem wydarzeń, które doprowadziły do przejęcia tiary przez ród Teofilaktów, jest Liutprand z Kremony. W jego nasączonej jadem opowieści roi się od przeinaczeń i rzucających się w oczy błędów, ale tylko ona w spójny sposób wypełnia luki, jakie pozostawili inni kronikarze.

Według Liutpranda Teodora zakochała się w Janie, ambitnym młodym kleryku z Rawenny, który często przyjeżdżał do Rzymu w sprawach urzędowych. Pod skrzydłami Teodory młodzieniec wspinał się na kolejne szczeble kariery. Kiedy został biskupem, nie mógł już regularnie odwiedzać Rzymu. „Wtedy to Teodora, jak nierządnicą, która obawia się stracić okazję do pokładania się ze swym ukochanym, zmusiła go do porzucenia swego biskupstwa i zagarnięcia – cóż za potworna zbrodnia! – papieżstwa Rzymu”³. W 914 roku biskup Rawenny Jan został papieżem Janem X.

Niedługo potem Teodora zaaranżowała pierwsze małżeństwo Marozji. Dziewczyna wciąż jeszcze nie przekroczyła 20. roku życia, a po śmierci Sergiusza można ją było wydać za mąż i w ten sposób przypieczętować sojusz rodu Teofilakta z kolejnym potężnym człowiekiem. Wybór padł na szukającego szczęścia żołnierza, Alberyka, który stawiał w Rzymie pierwsze kroki. Nosił germańskie imię, choć do miasta przybył z italskim tytułem księcia Camerino. Godność tę zdobył, bez wątpienia nie stroniąc od przemocy. Dowodziło to przynajmniej jego umiejętności jako żołnierza. Tytuł oznaczał ziemię, a tę można było w owych czasach wywalczyć jedynie mieczem.

Alberyk prawdopodobnie przybył do Rzymu na zaproszenie Teofilakta. Zawodowy żołnierz, rozkazujący bandzie weteranów, mógł łatwo zachwiać delikatną równowagą pomiędzy stronnictwami i przechylić szalę zwycięstwa na czyjąś stronę. Szybko więc stał się niezbędny swojemu gospodarzowi. W nagrodę otrzymał za żonę Marozję i wprowadził się do prywatnych apartamentów rodziny w pałacu na Awentynie. W swoim czasie przyszedł na świat kolejny syn Marozji, po ojcu ochrzczony imieniem Alberyk.

Trzej mężczyźni, których los połączył w tym krytycznym dla Rzymu momencie, należeli do wybitniejszych osobowości i każdy w swojej dziedzinie okazał się niezwykle kompetentny. Jan X, choć w Rzymie pojawił się jako protegowany Teodory, prędko dał się poznać jako utalentowany polityk. Stał się także oddanym sojusznikiem Teofilakta – Rzymianie z pewnością uważali za zabawną przyjaźń pomiędzy kochankiem a prawowitym mężem. Teofilakt, choć pozostający w cieniu żony, nadal był ważną postacią w mieście. Wszyscy pamiętali przecież, że sam cesarz mianował go sędzią. Alberyk udowodnił zaś, że potrafi bez niczyjej pomocy wspiąć się na sam szczyt rzymskiej hierarchii władzy.

Choć wszyscy trzej działali niemal na tym samym polu, zamiast rywalizować, utworzyli rodzaj triumwiratu i uzupełniali nawzajem swoje braki. Nie próbowali przy tym wchodzić w swoje kompetencje. Ten przypadkowy układ, jak wszystkie

eksperymenty, nie miał długiego żywota, ale dopóki trwał, dopóty funkcjonował sprawnie. Rzym desperacko potrzebował ludzi pokroju Jana X, Teofilakta i Alberyka, ponieważ u jego granic po raz kolejny stali Arabowie.

Miasto przez prawie wiek całą swoją energię kierowało do wewnątrz, lekceważąc przemiany w otaczającym je świecie. Rzym nie tylko zrezygnował z odpowiedzialności za ów świat – teraz nie potrafił nawet obronić swoich najbliższych ziem. Na północy Italii zniechęceni Longobardowie trzymali w szachu napierających koczowników, lecz na południu nie było nikogo, kto mógłby zatrzymać Arabów. Parli do przodu tak skutecznie, że w 924 roku od Rzymu dzieliło ich nie więcej niż 20 kilometrów. To, co nienormalne, stało się normą. Nikogo nie dziwił widok Arabów w sercu Italii, a kupcy bez słowa płacili myto plemionom z Afryki.

Osiągnięcie chwilowej równowagi między stronnictwami pozwoliło skierować wyzwoloną energię militarną Rzymu przeciwko wrogom zewnętrznym. Cała Italia, zjednoczona w obliczu zagrożenia ze strony Arabów, znów – i już po raz ostatni – spoglądała w kierunku niepokonanego miasta nad Tybrem, które bez trudu weszło w swoją dawną rolę przywódcy. Nawet Bizantyjczycy zapomnieli o swoich niekończących się pretensjach i dołączyli do braci chrześcijan w walce z muzułmanami. Zasnęła mrokiem, okrywająca Rzym, uniosła się na krótko. Poeci i kronikarze, poruszeni tym zdarzeniem, opisywali ostatnią triumfalną kampanię rzymskiej armii. Dzięki światłu, jakie rzucili na poczynania triumwiratu, potomni mogą oglądać tę scenę. Papież, członek wysokiego rodu i żołnierz – trzech ludzi, w których połączyło się wszystko, co pozostało z wielkości Rzymu – poprowadził olbrzymią armię przeciw Arabom i doszczętnie rozbili ich wojska, usuwając zagrożenie, jakie od dwóch generacji wisiało nad Italią. Zwycięscy wodzowie w triumfie powrócili do miasta.

Chwała szybko przeminęła i Rzym ponownie pogrążył się w mrokach dziejów. Nieco światła na jego historię rzucają późniejsze zapisy, ale nie znajdziemy w nich Alberyka, Teofilakta ani Teodory. Całkowity brak źródeł pozwala snuć niezliczone wersje końca Alberyka i pierwszego pokolenia rodu Teofilakta. Jedną z wielu niejasnych plotek podjęli późniejsi kronikarze. Zdaje się, że Alberyk wspinał się zbyt wysoko i został strącony na samo dno. Człowiek, który zamierzał przejąć całą władzę w Rzymie, wygnany z miasta, skończył tak, jak zaczynał: jako rycerz-rabuś w twierdzy na wzgórzu, oblegany i wreszcie zabity przez tych, którzy kiedyś nazywali go bohaterem i zbawcą.

Historia ta wydaje się prawdopodobna. Człowiek, który wywalczył sobie pozycję mieczem, mógł ulec pokusie i, korzystając z wszechobecnej anarchii, sięgnąć po władzę – zwłaszcza że był mężem takiej kobiety, jak Marozja. Nie wiemy, co stało się z jej rodzicami. Być może podzielili los Alberyka, może ponieśli klęskę z ręki tego ostatniego lub straciła ich pnąca się w górę córka. Niezależnie, jak do tego doszło, w roku 926 Marozja mogła wkroczyć na scenę.

„Papieżyca Joanna”

Kluczem do zrozumienia wydarzeń, jakie wstrząsały Rzymem w X wieku, jest osobowość Marozji. Będąc osobą świecką, kontrolowała najwyższy urząd kapłański w Europie. Będąc kobietą, wyrosła ponad społeczeństwo mężczyzn, wykorzystując do swoich celów skomplikowaną grę interesów w mieście.

Nie była postacią jedyną w swoim rodzaju. Już jej matka pokazała, jak wysoko może sięgnąć kobieta. W Italii i nawet poza Alpami pojawiały się kobiety, które zdobywały i utrzymywały władzę, posługując się wyłącznie swoją seksualnością. Choć zobowiązani do celibatu kronikarze z pewnością wyolbrzymiali tę tendencję, była ona jednak bardzo realnym nurtem w zdominowanym – zdawałoby się – przez mężczyzn świecie. W społeczeństwie, które powtarne zamążpójście oceniało jako swego rodzaju cudzołóstwo, niektórym kobietom udało się wychodzić za mąż dwa, trzy, a nawet cztery razy, przy czym śmierć kolejnych małżonków czyniła je coraz bogatszymi. Nigdy później kobiety nie cieszyły się taką władzą. Miał to zmienić dopiero renesans.

Marozja nie była kobietą wyjątkową, ale bez wątpienia najbardziej niezwykłą. Ponieważ nie posiadała oficjalnego statusu, nie doczekała się nawet suchych pochwał oficjalnych apologetów, którzy mogliby skorygować trochę obraz, jaki przekazali nam uprzedzeni kronikarze. Benedykt, mnich z Monte Soracte, przyglądający się zdarzeniom w Rzymie przez wiele lat, mógłby podjąć próbę oceny tej niezwykłej kobiety, która zdaje się istnieć w próżni. Zadowolili się zwięzłym stwierdzeniem, że podobnie jak matka, była senatorką – panią miasta. Dał nam jednak pewne wyobrażenie o swojej opinii na temat Marozji, zamieszczając w kronice krótką uwagę: „Władza w Rzymie podlegała kobiecie, tak jak czytamy u proroka: »Zniewieściali zapanują nad Jerozolimą«⁷⁴. Nie powiedział jednak nic więcej. Fakt, że kobieta włada świętym miastem, musiał mu się wydawać, jako mnichowi, wystarczającym świętokradztwem. Nie wnikał więc w szczegóły i nie zastanawiał się nad tym, czy wykorzystywała swą władzę w dobrych, czy w złych celach.

Łatwo zrozumieć, dlaczego nie opisał, w jaki sposób zdobyła świecką władzę nad Rzymem. Nici władzy były splątane w sposób niewyobrażalny, a Marozja korzystała z zamieszania i chaosu. Ostatecznie jednak swą potęgę zawdzięczała lojalności, jaką obdarzył ją lud, oraz umiejętności podsycania ambicji obywateli. Nie dysponowała ogromnym bogactwem, jakiego wcześniejsi panowie Rzymu używali, by zapewnić sobie posłuszeństwo karmionego przyjemnościami tłumu. Jediną siłą militarną były niekwapiąca się do działania milicja lub prywatne armie; te pochłaniały jednak fortunę. Dwóch synów Marozji nie wyrosło jeszcze z dzieciństwa. Jej siostra, choć jak wszyscy Teofilaktowie lojalna względem członków rodziny, wybrała żywot typowej patrycjuszki i poświęciła się

sprawom domowym oraz nieszkodliwym praktykom religijnym. Marozja sprawowała władze nie tylko bezprawnie, ale także całkiem sama.

Oprócz relacji Liutpranda z Kremony, mamy o niej jedynie ogólne informacje. Zmysłowa, potrafiła używać swej urody z chłodnym wyrachowaniem, jako broni politycznej. Była zuchwała, zepsuta i mściwa – lecz również niezwykle skuteczna w działaniu i niezwykle inteligentna. Liutprand podaje nam kilka szczegółów, ale inne lekceważy. To oczywiste, że odmalowuje Marozję w najczarniejszych barwach – była Rzymianką i jednocześnie babką papieża, który sprawił niezliczone problemy ukochanemu panu kronikarza, cesarzowi Ottonowi III. Rzeczywiście, jej potomkowie, zasiadający na tronie piotrowym, przez wiele lat rzucali wyzwanie cesarstwu.

Od początku źle do niej nastawiony Liutprand postanowił uderzyć Marozję w najczulszy punkt każdej kobiety, zajmującej wysokie stanowisko – w jej cześć. Zarzut ten był może, jak byśmy to dziś powiedzieli, chwytem poniżej pasa, lecz atak się udał. Skupiając się na moralności Marozji, Liutprand odsunął w cień inne sfery jej życia i dokonania, zarówno dobre, jak i złe. W warunkach powszechnej demoralizacji, jaka panowała w społeczeństwie rzymskim, obyczaje Marozji nie wyróżniały się niczym szczególnym. Wyjątkowa była jej umiejętność urabiania ludzi, tak aby spełniali jej wolę – ale tę kwestię Liutprand zignorował, podpowiadając jedynie, że Marozja realizowała swoje cele wyłącznie poprzez łóżko.

Rodzice Marozji zadbali o sojusz rodziny z papieżem. Ich córka śmiało posunęła się dalej, zamierzając połączyć papieżstwo i rodzinę w jedno. Wydawało się, że nie dba zupełnie o duchowy wymiar tronu piotrowego, uważając godność papieską za jeszcze jeden honor przynależny rzymskiemu rodowi, a przede wszystkim za okazję do napełnienia skarbcza Teofilaktów papieskimi dochodami. Miała już kandydata, który powinien objąć papieski tron – starszego syna, urodzonego ze związku z papieżem Sergiuszem, obecnie kilkunastolatka. Drugiemu synowi, Alberykowi, przeznaczała mniej ważną rolę. Jego późniejsze postępowanie dowiodło, że czuł się zepchnięty na drugi plan i upokorzony, choć był przecież prawowitym synem niegdysiejszego bohatera Rzymu. Marozja chciała użyć Jana jako głównego atutu w grze – być może dlatego, że koronacja papieskiego syna na kolejnego papieża mogła zapoczątkować regułę dziedziczenia.

Niezależnie od tego, którego z synów otwarcie faworyzowała Marozja, panujący papież Jan znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Ten pełen wigoru i śmiały człowiek z chwilą, gdy zabrakło protekcji Teodory, był osamotniony w mieście kontrolowanym przez wroga. Marozja nienawidziła kochanka swej matki. Jej wstręt mógł wyływać z mrocznego seksualnego podłoża, z którego wyrastały motywacje posępnych, gwałtownych członków jej rodziny. A może uważała niepokornego papieża za przeszkodę dla własnych ambicji. Tak czy inaczej, postanowiła go zniszczyć.

Widok rzymskiej tygrysy, zabiegającej o pozycję i bezpieczeństwo swoich dwojga dzieci, musiał napawać niepokojem człowieka, który osobiście doświadczył potęgę rzymskiej matrony. Papież Jan zaczął szukać sojusznika poza murami miasta. Szybko znalazł się ktoś odpowiedni: Hugon z Prowansji, który chciał się, że w jego żyłach płynie krew Karola Wielkiego (a raczej jego bastardów). Hugon zgodził się pomóc papieżowi, jeżeli ten namaści go na króla Italii. Jan udał się do Rawenny, aby omówić szczegóły porozumienia.

Działał jednak zbyt wolno. Przeciągające się negocjacje wciąż jeszcze trwały, gdy Marozja zaproponowała swoją rękę Gwidonowi, przyrodniemu bratu Hugona, feudalnemu panu Toskanii, i została przyjęta. Gwidon wnosił do tego małżeństwa wiano w postaci swoich żołnierzy. Z pomocą nowego małżonka Marozja ostatecznie zdobyła kontrolę nad miastem, zajmując zamek Sant' Angelo – klucz do Rzymu. Zabezpieczona pod względem zarówno politycznym, jak i militarnym, spokojnie oczekiwała na powrót papieża.

Jan wrócił do Rzymu, gdzie bronionemu przez oddaną, lecz kurczącą się grupkę ochroniarzy, udało mu się przeżyć dwa kolejne lata. Latem 928 roku przeciwnicy pokonali ich podczas ulicznych zamieszek. Jan został schwytyany i wtrącony do lochów Sant' Angelo. W rok później zmarł z braku powietrza lub głodu – pierwszy papież stworzony przez kobietę, a zniszczony przez jej córkę.

Trzy lata później Marozja zrealizowała pierwszą za swych wielkich ambicji: syn jej i Sergiusza zasiadł na tronie piotrowym. Dwóch marionetkowych figurantów grzało dla niego miejsce, póki nie osiągnął wieku, w którym koronacja nie wzbudziłaby oburzenia tolerancyjnych skądinąd Rzymian. Mimo to, zostając najwyższym kapłanem, miał niewiele ponad 20 lat. Niedługo potem Marozja pozbyła się męża. Po tym, jak dzięki jego pomocy pokonała przeszkody oporu, stał się niepotrzebny – jak samiec modliszki po spełnieniu swojego zadania.

Marozja spoglądała ponad murami Rzymu w kierunku tego samego Hugona z Prowansji, którego nieszczęsny papież Jan namaścił na króla Italii. Z takim mężczyzną u boku mogłaby sięgnąć po najwyższą władzę, czyli po koronę cesarską. Ręce jej syna miały wszak moc obracania królów w cesarzy. Na wezwanie Marozji Hugon pośpieszył do Rzymu.

Liutprand, który był kiedyś giermkim na dworze Hugona, znał go dobrze i raczej lubił. Teraz, wzburzony, porównał Hugona do wołu, który na żądanie kobiety sam kładzie się na stole ofiarnym, i założył, że u podstaw jego decyzji leżą najniższe motywacje. Hugon rzeczywiście należał do największych rozpustników swej epoki, a jego królewski dwór przypominał burdel, na który nawet mieszkańcy Italii patrzyli z mieszaniną podziwu i zgrozy. Urodziwa Marozja na pewno stanowiła dla mężczyzny jego pokroju ogromną pokusę, ale jeszcze bardziej kusila go perspektywa posagu, jaki mogła mu wnieść. Hugon był już co prawda żonaty, ale ten problem został szybko rozwiązany. Kolejną przeszkodę stanowił fakt, że poprzednim mężem Marozji był przyrodni brat Hugona, więc planowany związek, technicznie rzecz biorąc, kwalifikował się jako

kazirodczy. Hugon bez wahania oczernił pamięć swojej matki i ogłosił swego przyrodniego brata bękartem. Kiedy inny z braci gwałtownie zaprotestował, Hugon kazał wyłupić mu oczy i zamknąć go w więzieniu.

Wiosną 932 roku Hugon przybył do Rzymu, by poślubić jego panią. Nad uroczystościami weselnymi unosiła się mroczna i ponura atmosfera. Za plecami pana młodego stały duchy żony, która – jakże wygodnie – umarła, znielawionej matki, oślepionego i wtrąconego do lochu brata. Ręce oczekującej go oblubienicy były najprawdopodobniej splamione krwią przyrodniego brata Hugona, a z pewnością znalazła się na nich krew papieża. A mimo to ślubu udzielał im syn Marozji, najwyższy sędzia moralności w Europie, który nie widział w związku niczego niewłaściwego.

Ślub odbył się nie w kościele, lecz w zamku Sant'Angelo. Z chwilą jego zawarcia legalną władzę króla Italii wzmocniła budząca kontrowersje, lecz bardzo realna osoba pani Rzymu. Wydawało się, że razem mogą mieć wszystko, że nic już nie stoi między nimi a cesarską purpurą. Wystarczyło, by uległy dwudziestojednoletni papież przeprowadził odpowiednią ceremonię, a Hugon i Marozja staliby się cesarzem i cesarżową Zachodu. Spośród wszystkich ludzi to właśnie Marozja potrafiła nadać jakieś znaczenie temu pustemu tytułowi. Jednak w chwili, gdy tylko krok dzielił ich od pełnego triumfu, z cienia wyłoniła się postać, która wytrąciła im z rąk puchar zwycięstwa.

Alberyk, syn pierwszego męża Marozji i brat przyrodni obecnego papieża, liczący prawdopodobnie około 18 lat, przez całe życie był rozmyślnie odsuwany przez matkę na drugi plan. Być może odziedziczył po ojcu zbyt wiele energii, by stać się posłusznym papieżem, a ponadto w jego żyłach nie płynęła, jak u Jana, papieska krew.

Drugie małżeństwo Marozji sprawiło, że pozycja prawowitego dziedzica bohatera Rzymu stała się jeszcze niższa. Później, chociaż Gwidon zniknął ze sceny, jego miejsce zajął bezlitosny Hugon. Nie chodziło tu tylko o urażoną dumę. Alberyk wiedział, że znalazł się w wielkim i bardziej niż realnym niebezpieczeństwie. Rzym był za mały dla niego i Hugona. Nowy ojczym, arogancki i zadufany, nie ukrywał, że ma zamiar oślepić młodego rywala – stosując uniwersalną metodę unieszkodliwiania wrogów – a Marozja nie zgłaszała najmniejszych zastrzeżeń. Potrzebny był tylko pretekst, by pozbyć się młodego patrycjusza w sposób, który nie wzburzyłby jego nikczemnych towarzyszy.

Pretekst znalazł się szybciej, niż Hugon mógł się spodziewać, lecz to nie on z niego skorzystał. Podczas jednej z wielu obficie zakrapianych alkoholem uczt w Sant'Angelo Alberyk „na żądanie matki lał wodę na ręce swego ojczyma, Hugona, by ten mógł je obmyć”. Prawdopodobnie Marozja chciała upokorzyć syna, żeby podkreślić jego podrzędną pozycję. Młodzieniec rozlał wodę, za co Hugon uderzył go w twarz.

Alberyk wybiegł z zamku, wzywając krzykiem Rzymian, by powstali i bronili swego honoru i swego życia.

Majestat Rzymu upadł tak nisko, że teraz słucha rozkazów ladacznicy. Czy może być coś okropniejszego niż miasto Rzym obrócone w ruinę za sprawą nieczystości jednej kobiety i to, że nasi niewolnicy mają teraz być naszymi panami? Skoro niedawno przybył do naszego domu jako gość, a już uderzył mnie, swego pasierba, jak sądzicie, co uczyni, jeśli rozgości się w mieście?⁵

Rzymianie odpowiedzieli na wezwanie. Przez niemal sześć lat Marozja trzymała w ryzach najbardziej krwiożerczą tłuszcę w dziejach, która za sprawą jej uroku zmieniała się w apatyczną masę niewolników. Czymkolwiek był ten czar, prysnął w mgnieniu oka, gdy Hugon zbyt szybko zapragnął skosztować owoców tyranii. Wzburzony tłum z rykiem ruszył na zamek Sant'Angelo.

Armia Hugona stała za murami miasta, ponieważ panna młoda uważała za nierozsądne wprowadzać oddziały obcych żołnierzy między swych zmiennych poddanych. Zamku strzegła jedynie milicja obywateli. Jednak sama twierdza była nie do zdobycia. Gdyby Hugon chciał się bronić, jego armia mogłaby wejść do miasta i wyprowadzić z zamku jego, jego żonę i papieża, który wciąż mógł ukoronować małżonków na cesarzy.

Ale Hugon nawet nie próbował stawiać oporu. Kiedy dotarła do niego wieść o rewolcie Rzymian, myślał tylko o tym, żeby ratować skórę, zostawiając zamek, żonę i nadzieje na wspaniałą przyszłość. Zszedł po linie w miejscu, w którym zamek stykał się z murami miasta, uciekł do obozu swoich wojsk i natychmiast nakazał wymarsz. W tej sytuacji garnizon milicji nie widział powodu, żeby bronić Sant'Angelo przed współobywatelami. Tłum wdarł się do środka, pojmał Marozję i przekazał ją w ręce Alberyka.

W tamtej chwili Marozja zniknęła z kart historii, jakby nigdy jej nie było. Alberyk postąpił w jedyny możliwy sposób. Marozja była jego matką, ale także żoną najbardziej zajadłego z jego wrogów, zdolną zamordować syna, by odzyskać chwałę, której ją pozbawiono. Alberyk wzdragał się jednak przed matkobójstwem, czego dowiódł swym postępowaniem. Marozja została wtrącona do najgłębszego lochu w tym samym zamku, który widział przelotny moment jej królewskiej glorii. Zamurowano ją tam – kobietę wciąż młodą i piękną, która umarła za życia, aby jej syn nie musiał plamić rąk straszliwą zbrodnią. Kiedy miotła się z wściekłością w swym grobie, na słonecznych ulicach ponad jej głową odbywała się bezkrwawa rewolucja, która dała jej synowi władzę, jakiej Rzym nie był świadkiem od wielu stuleci.

Alberyk rządził Rzymem jako ksiączę przez 20 lat, oczyszczając go z dekadencji i zepsucia, którymi brzydziła się cała Europa. O jego talentach świadczy sam fakt, że, choć zaledwie kilkunastoletni, ujął władzę pewną i silną ręką. Jeszcze więcej o osobowości młodzieńca mówi to, że za jego panowania Rzymianie – otoczeni niesławą najbardziej sprzedajnych i najmniej zdyscyplinowanych ludzi w Europie – oparli się zarówno atakom, jak i próbom przekupstwa ze strony Hugona z Prowansji, który powrócił, aby dokonać na swym pasierbie spóźnionej zemsty.

Rządy Alberyka przywróciły poczucie wartości dzikiej, niejednorodnej grupie ludzi, którzy wciąż nosili uświęcone miano Rzymian. Tak więc skorzystał na nich Rzym, ale jeszcze większe korzyści odniosło papieństwo, ponieważ pierwszym posunięciem Alberyka było pozbawienie przyrodniego brata władzy świeckiej. Alberyk mianował się księciem Rzymu, oddzielając w ten sposób władzę duchową od świeckiej po 200 latach ich katastrofalnego połączenia. Urząd papieski ponownie stał się nieatrakcyjny dla chciwców, a ci przestali o niego walczyć. Nastąpiła nagła i diametralna zmiana, jeśli chodzi o charakter panujących papieży. Póki panował Alberyk, póty stan ten się utrzymywał.

Nawet najbardziej zgorzkniali dostojnicy kościelni i najgorętsi krytycy Alberyka musieli przyznać, że podczas dwóch dekad, kiedy nie krępowała ich władza świecka, najwyżsi duchowni zachodniego chrześcijaństwa zyskali godność, której urząd papieski nie posiadał ani przedtem, ani potem. Za panowania Alberyka papieże cieszyli się całkowitą swobodą realizowania swych kapłańskich i papieskich funkcji. Wydawali kolejne edykty dla działających w odległych krainach biskupów, którzy zwracali się do swego najwyższego zwierzchnika z prośbą o duchową opiekę i wskazówki. Rozległa i złożona maszyneria Kościoła rzymskiego znów obracała się wokół dawnego centrum, nie dostrzegając bynajmniej, że biskup Rzymu nie był już panem Rzymu. W ciągu następnych 900 lat papieństwo już nigdy nie miało zaznać smaku wolności od ciężaru świeckich obowiązków. Ten krótki okres wytchnienia należałoby może uznać za największe osiągnięcie Alberyka. Jak na ironię, to sam Alberyk położył kres epoce pokoju, ponownie łącząc władzę świecką i duchową z myślą o swym zdeprawowanym synu Oktawianie.

Papież-król

Oktawian, syn księcia Rzymu, przyszedł na świat około roku 937, rok po ślubie Alberyka. Matka Oktawiana była narzędziem w zabiegach o pokój pomiędzy Alberykiem a Hugonem z Prowansji. Ten ostatni, jej ojciec, być może zamierzał użyć dziewczyny niczym rozplodowej klaczy, by w ten sposób otworzyć sobie wreszcie bramy Rzymu. Jednak niebawem uznał za rozsądne całkowicie wycofać się z Italii, ponieważ jego tyrania i rozpusta podkopały skromną władzę, którą cieszył się jako król. W ostatniej z łupieżczych wypraw zebrał fortunę, po czym udał się do Prowansji, gdzie żył wygodnie do końca swoich dni. Wybrany po nim nowy „król” Italii ignorował zarówno Rzym, jak i jego księcia. Alberyk, pogodziwszy się z faktem, że pojął za żonę córkę „emerytowanego” bandyty, oddał się całkowicie dziełu odnowy Rzymu.

Imię, jakie wybrał Alberyk dla swego pierwszego potomka z prawego łoża, dowodziło jego dumy z przeszłości Rzymu i wiary w jego przyszłość. Sami

Rzymianie zapomnieli o swoim dziedzictwie lub gardzili nim, za godny naśladowania wzór uznając grecki dwór w Konstantynopolu. Nawet dziadkowie Alberyka, Teofilakt i Teodora, nosili greckie imiona, choć byli Rzymianami. Dla Alberyka imię „Oktawian” miało podwójne znaczenie – nosili je pierwszy i najwybitniejszy rzymski cesarz, Oktawian August oraz etruski książę Tuskulum, który poprowadził swych ludzi do ostatniej bitwy z Rzymianami ponad 1000 lat wcześniej. Być może Alberyk pragnął tylko w symboliczny sposób nawiązać do miasta, z którego wywodzili się przodkowie jego matki, lecz potomkowie jego rodziny nie omieszkali głosić, że w ich żyłach płynie krew wielkiego Etruska, przekształcając tym samym mroczne początki rodziny w imponującą genealogię.

O dzieciństwie młodego Oktawiana nie wiemy prawie nic. Ojciec prawdopodobnie wychowywał go na żołnierza, a nie na kapłana, gdyż syn mógł pochwalić się później pewnymi wojskowymi umiejętnościami. Niewiele za to wchłonął wiedzy książkowej. Kiedy jako młody papież przewodził radom uczonych mężów, szydzono z jego całkowitej niezajomości łaciny. Nie wydawało się to martwić Oktawiana ani nie było dla niego przeszkodą. Ród Teofilakta wydawał raczej polityków i żołnierzy, nie uczonych. Ponadto, w obliczu oplakanego stanu edukacji w Rzymie, tylko niezwykle młodzienciek mógłby zdobyć wiedzę na poziomie, który wszędzie uważano za normę dla ludzi jego klasy. Jeśli o to chodzi, Oktawian z pewnością nie był niezwykłym młodzieńcem.

Niezależnie od tego, czego uczył się chłopiec, jego edukacja zakończyła się niemal zaraz po tym, jak się zaczęła. Oktawian nie mógł mieć więcej niż 16 lat, gdy jesienią 954 roku zmarł jego ojciec. Czterdziestoletniego Alberyka powaliła śmiertelna gorączka, która czaiła się na bagnach Kampanii. Choroba dopadła go w samym środku przygotowań do wojny. Jednak to nie wyprawa wojenna była powodem, dla którego pospiesznie wezwał przedstawicieli rzymskich rodów do Bazyliki św. Piotra.

Zdaje się, że Alberyk wiedział, iż odchodzi w momencie, gdy jego plany, dotyczące przyszłości jego samego, Rzymu i jego syna, znajdują się wciąż w fazie rozwoju. Czując na plecach oddech śmierci, kazał się zanieść do najświętszego z miejsc, ołtarza nad grobem św. Piotra, i tam wezwał zebranych, by na kości apostoła przysięgli, że po jego zgonie wybiorą Oktawiana na księcia, a po śmierci najwyższego pontyfika obiorą go także papieżem. Kochający Alberyka nobilowie złożyli przysięgę, kładąc tym samym kres wszystkiemu, co stworzył.

Mimo śmiałej wizji i olbrzymiej wyobraźni Alberyk był dzieckiem swej epoki, niezdolnym oceniać wydarzenia inaczej niż tylko z punktu widzenia lojalności wobec rodziny. Oczyszczył dom Teofilaktów i uczynił go wielkim, a jeśliby nie zadbał o to, by taki stan rzeczy przetrwał możliwie długo, według standardów moralnych swojego czasu zostałby uznany za złego syna.

Możliwe, że gdyby śmierć nie zabrała go tak wcześnie, wychowałby Oktawiana na swoje podobieństwo, ucząc go, jak kontrolować delikatną równowagę

sił, która sprawiała, że urzędy księcia i papieża, choć odrębne, współistniały w harmonii. Niestety, zabrakło mu na to czasu. W ostatnich godzinach życia mąż stanu ustąpił w nim miejsca członkowi wielkiego rodu, świadomemu jednego – przyszłość rodziny, znajdującą się teraz w rękach niedoświadczonego młodzika, trzeba podbudować władzę i bogactwem papieżstwa.

Alberyk zmarł, a jego syn zasiadł na tronie książęcym. Rok później zmarł także papież, a Rzymianie, posłuszni ostatniemu poleceniu Alberyka, wybrali 16-letniego Oktawiana na jego następcę wcześniej. I tak obie godności znów sprawował jeden człowiek. Rozwiązanie nie należało do najlepszych i wcześniej czy później musiały pojawić się tego konsekwencje.

Podczas ceremonii koronacji młody Oktawian, zapoczątkowując nową tradycję*, przyjął imię Jan XII. Ten fakt stanowił odbicie podwójnej roli, jaką odgrywał w życiu Rzymu: sprawował książęcą władzę jako Oktawian, zaś imię Jan nosił, zasiadając na tronie papieskim.

Młody człowiek posiadał cechy, które – gdyby dane im było rozwijać się pod kierunkiem ojca – mogłyby uczynić go godnym następcą starego księcia. Cechowały go zuchwalstwo, umiejętność wyplatywania się z trudnych sytuacji i niebagatelna odwaga. Oktawian z chęcią poszedłby w ślady swego wielkiego ojca, o ile tylko nie wymagałoby to od niego większych wysiłków. Nie miał ani chęci, ani zamiaru spędzić życia na wyczerpującej pracy u podstaw, odpowiedniej tylko dla pomniejszych urzędników. Impulsywnemu młodemu człowiekowi brakowało umiejętności utrzymania stałej i wszechstronnej kontroli nad ludźmi i ich działaniami, a tego wymagały oba stanowiska, jakie zajmował. W pierwszych miesiącach rządów poprowadził przygotowaną w pośpiechu i źle zorganizowaną wyprawę wojenną przeciwko jednemu z możnowładców Państwa Kościelnego, który zbuntował się na wieść o śmierci Alberyka. Ten bunt był jakby złowieszczą zapowiedzią przyszłości. Wyprawa zakończyła się fiaskiem. Zdecydowany opór przeciwnika sprawił, że armia papieska umknęła w poszukiwaniu schronienia. Nieślawny odwrót poprowadził młody Ojciec Święty. Z pewnością nie został on stworzony do wojennych trudów. Wróciwszy do Rzymu, zaczął wieść życie, którego tryb zaskoczył nawet Rzymian – a tych doprawdy trudno było zadziwić.

Wraz z powrotem władzy doczesnej w ręce papieża tiara ponownie spadła pomiędzy tłuszcę. Stronnictwa, uśpione przez 20 lat, wzrosły w siłę, a morderstwa, podpalenia i gwałty znów stały się codziennością na ulicach Rzymu. Jan popierał grę stronnictw równie gorąco, jak zwalczał ją jego ojciec. Młody awanturnik z wielkiego rodu robił wszystko, żeby przewyższyć najbardziej zuchwałych ze swoich kompanów – i udawało mu się to. Był synem bohaterskiego

* W rzeczywistości zwyczaj regularnego przybierania nowych imion po koronacji papieskiej datuje się od XI w., kiedy zapoczątkował go Sergiusz IV (1009–1012). Wcześniej, poza nielicznymi przypadkami, papieże pozostawali przy imionach, które otrzymali na chrzcie (przyp. tłum.).

Alberyka, ale jednocześnie wnukiem Marozji i Hugona z Prowansji, dwójga największych rozpustników, jakich w owych latach oglądała Italia. Ich złowrogi dziedzictwo szybko przeważało nad osobowością Oktawiana – i tak już poddaną niszczącemu wpływowi absolutnej władzy – i wymazało z niej wszelkie ślady szlachetności.

Miasto, które jego ojciec ukochał i otoczył opieką, Jan widział jako skarbiec, czekający na splądrowanie. Jego samego chroniły miecze stronników, którzy uważali, że jest bez skazy – tak długo, jak długo zapewniał im władzę. W Rzymie brakowało klasy średniej, która w późniejszych wiekach utrzymała w mniejszych miastach Italii, ograniczoną co prawda, ale jednak demokrację. Nie było tu kupców, którzy dzięki zgromadzonym bogactwom mogliby się stać rodzajem bufora pomiędzy wielkimi rodami a ludem. Przeważająca część dochodów Rzymu trafiała do skarbcza św. Piotra, a głównymi „przemysłami” miasta były produkcja kapłanów i wyzyskiwanie pielgrzymów. Posepna, niema, nieprzewidywalna masa umiała niszczyć, lecz nie tworzyć – chyba że poprowadziłby ją jeden z rzadkich już geniuszy. Władzę nad miastem sprawowały wielkie rody, chroniące się w niezdoitych zamkach, których broniły prywatne armie. Jan był zdolny sięgać do dochodów Państwa Kościelnego, aby utrzymać własne uzbrojone oddziały. Choć okazały się one bezużyteczne w walce z zewnętrznym wrogiem, wystarczały, by siać terror wśród Rzymian.

Jeśli chodzi o jego relację z Kościołem, coś jakby popychało Jana w stronę rozmyślnych świętokradztw, które znacznie wykraczały poza doraźne zażywanie zmysłowych rozkoszy. Zupełnie jak gdyby jakaś mroczna siła natury tego młodego człowieka kazała mu sprawdzać, jak daleko sięga jego władza. Stanowisko, jakie zajmował, czyniło jeszcze straszliwszymi zbrodnie tego chrześcijańskiego Kaliguli. W późniejszych czasach oskarżano go o to, że zmienił Lateran w burdel, że we wnętrzu Bazyliki św. Piotra, wraz ze swymi ludźmi gwałcił pielgrzymujące kobiety, że ofiary ubogich zagarniał jak rozbójnik łupy.

Jan uwielbiał hazard, a podczas gry wzywał imiona zdetronizowanych dawnych bogów, których współcześni uważali już powszechnie za demony. Trawił go niezaspokojony głód seksualny, co Rzymianom wydawało się zaledwie pomniejszym przewinieniem. Gorsze było to, że przypadkowe towarzyszkę swego łoża wynagradzał nie zwyczajowymi podarkami ze złota, lecz nadaniami ziemi. Jednej z jego kochanek udało się zostać feudałem, gdyż „kochał ją tak ślepo, że uczynił ją gubernatorem miast – a nawet dał jej złote krzyże i kielichy, należące do samego św. Piotra”⁶.

Cudzołóstwo było jedną sprawą, a rozdawanie ziemi inną, ponieważ uderzało w prawa klasy, od której poparcia zależał los Jana. Mimo takiego postępowania – nierozważnego i aroganckiego, a zarazem tak charakterystycznego dla tego nieposkromionego młodzieńca – przez pewien czas Jan pozostawał nietykany. Opozycja, rozbita na małe grupki, nie miała lidera, choćby tak marnego jak on sam. Tak czy inaczej, Jan był centrum, wokół którego krążył cały Rzym.

Jan spełniał swoje pragnienia i zachcianki przez długie trzy lata, aż wreszcie spoza Rzymu przybył wróg – nowy władca Italii, który zjednoczył przeciwników Jana. Ów nowy władca był, o ile to możliwe, jeszcze gorszy od poprzedniego. Berengar, książę jednego ze starych państw Lombardii, doszedł do potęgi zwykłą w tych czasach drogą morderstw i zdrad, a panowanie swe utrzymał dzięki oddziałom bandytów, którzy wspierali go tak długo, jak długo mogli czerpać z tego korzyści dla siebie. Rządy Berengara, rozpoczęte morderstwem, trwały wśród przemocy i aktów bezgranicznej zachłanności, jakich nie widziała Italia nawet za Hugona z Prowansji. O żonie Berengara Liutprand powiedział zjadliwie, że jedynie jej własna córka pozbawiła ją tytułu najgorszej kobiety w dziejach. Jej skąpstwo było nienasycone – damy dworu nauczyły się nie pojawiać przed nią przystrojone w klejnoty, jeśli bowiem jakaś ozdoba wzbudziła jej zawiść, natychmiast jej żądała.

Przez jakiś czas po koronacji Berengar plądrował północną Italię, po czym, w sposób nieunikniony, skierował się na południe. Podobnie jak wszystkich, pociągał go Rzym. Wojsko, które wiódł, przypomniało raczej hordę zbójców niż armię króla. Jednak żołnierze Berengara byli twardymi wojownikami, spragnionymi łupów, jakie spodziewali się zdobyć w mieście. Opiływającemu w rozkosze życiu Jana zagroził nagły kres. Za sobą Jan miał obywateli znajdujących się o krok od buntu, przed sobą bezwzględno, doświadczonoego w walce wroga. Książęcy płaszcz opadł, odsłaniając przerażonego młodzika, który myślał tylko o tym, jak ocalić życie (i, o ile to możliwe, jego przyjemności). Teraz był księciem tylko z imienia; pozostał jednak nadal papieżem, najwyższym zwierzchnikiem Kościoła, który mógł odwołać się do najgłębszych i najszlachetniejszych uczuć swoich dzieci. W roku 960 Jan wezwał na pomoc cesarza niemieckiego, Ottona I.

Nadejście cesarza

Ponad 150 lat minęło od dnia, w którym papież Leon III koronował Karola Wielkiego na władcę cesarstwa zachodniego. W ciągu półtora wieku korona cesarska stała się pozbawionym faktycznego znaczenia pretekstem walki stronnictw, pustym tytułem, po który mogli sięgnąć nawet Marozja i Hugon. Wciąż jednak żywa była pamięć o owym dniu Bożego Narodzenia, w którym wojujące ludy Europy zostały zjednoczone pod berłem jednego pana. Choć jedność ta nie przetrwała śmierci Karola Wielkiego, istniała w ludzkiej świadomości jako symbol utraconego Złotego Wieku. Pozostała także pamięć o tym, że biskup Rzymu może mianować najwyższego pana Europy, który przywróci prawa, a wraz z nimi pokój.

Kiedy władca naprawdę wielkiego formatu, Otton z dynastii Sasów, sięgnął po władzę nad ziemiami niemieckimi, zdawało się, że wstępuje na scenę, która od ponad 100 lat czekała na odtwórcę głównej roli. Zastawszy Niemcy podzielone na pięć królestw, zamieszkanym przez ludy odmiennego pochodzenia, Otton spoił je w jedno państwo i stanął na jego czele.

Nie mógł powoływać się na pokrewieństwo z Karolem Wielkim, ponieważ był z pochodzenia Sasem. Jednak obdarzony potężną wolą Otton, podobnie jak jego wielki poprzednik, potrafił przełamać argumenty prawników. Aby wprowadzić w życie swój zamiar odnowienia imperium Karolingów, powtórzył ceremonię koronacji Karola Wielkiego. W pięknym kościele na planie koła, który Karol kazał wznieść w Akwizgranie, Otton otrzymał koronę niemiecką, a także wspaniałą miecz króla Franków, jego berło oraz bezcenną Świętą Włócznię – tę samą, którą przebito bok Chrystusa podczas Ukrzyżowania. Monarszy dwór Ottona, wzorowany na dworze Karola Wielkiego, choć może nie zgromadził wokół siebie tylu świątłych umysłów, coraz bardziej wyrastał ponad swój czas w miarę, jak do potężnego młodego króla przybywali rozmaici goście z całej Europy. Między nimi był biskup Kremony, Liutprand, który w swych pełnych życia opowieściach – jedynym pewnym przewodniku po tym mrocznym stuleciu – przekazał nam obraz Ottona jako wzoru wszelkich cnót.

Jednak to nie imperialne i intelektualne pretensje sprawiły, że wielkość Ottona uznawali nie tylko mieszkańcy niemieckich lasów. Przed nim było przecież wielu pretendentów do korony cesarskiej, a naukowe rozważania lepiej pozostawić duchownym. Największe dokonanie Ottona polegało na odparciu koczowników z Wielkiego Stepu, groźby, która wisiała nad Europą już od ponad pokolenia.

Koczownicy w wielotysięcznych hordach przybyli ze Wschodu, zmiatając z powierzchni ziemi wszystko, co stało im na drodze. Niewielkiego wzrostu, o głęboko osadzonych oczach i częściowo ogolonych głowach, nie byli podobni do żadnego ludu, który znała Europa. Przypominali naszej wstrętne gnomy z bajek dla niegrzecznych dzieci. Żywili się surowym mięsem, co dało początek przekonaniu, że pożerają ciała zabitych wrogów. Niezwykle wytrzymali, doskonali jeźdźcy, przerażali nawet tych, którzy doświadczyli żądzy krwi wikingów i wyrafinowanego okrucieństwa Bizantyjczyków i Arabów.

Nowa fala wędrowców uderzyła najpierw w ziemię niemieckie. W walce z nimi Niemcy zdobyli swego największego bohatera i narodową tożsamość. Ojciec Ottona zorganizował obronę wschodnich granic i podczas olbrzymiej bitwy zatrzymał najeźdźców. Zaskoczeni, nie atakowali przez jedno pokolenie, lecz później – niedługo po przejęciu władzy przez Ottona – pojawili się znowu, hordą tak olbrzymią, że, jak się chętni, ich konie miały wypić do dna europejskie rzeki i kopytami stratować miasta.

Dziesiątego sierpnia 955 roku Otton spotkał się z koczowniczymi Madziarami pod Augsburgiem nad rzeką Lech. Po stronie niemieckiej padły dziesiątki tysięcy wojów, ale straty wroga były nieprzeliczalne. Niebezpieczeństwo zostało

zażegnane, najeźdźcy wycofali się na wschód. Zachodnia Europa dowiodła, że potrafi bronić swojej odrodzonej kultury i cywilizacji.

Dodawszy do talentów męża stanu prestiż zwycięzcy spod Augsburga, Otton stał się najwyższym władcą Europy. Jego władza sięgała Anglii i Hiszpanii. Nawet Duńczycy uznali go symbolicznie za swego najwyższego zwierzchnika. Mimo to Ottona wciąż prześladowało wspomnienie o owej ceremonii w dzień Bożego Narodzenia 800 roku – myśl, która, na nieszczęście dla ich ludu, nawiedzała tyłu Niemców. Otton nosił płaszcz Karola Wielkiego, rządził większą częścią imperium Karola, po bitwie pod Augsburgiem jego wojska obwołały go spontanicznie cesarzem – jednak nie został ukoronowany przez następcę kapłana, który namaścił Karola Wielkiego. Póki nie przyjął namaszczenia świętym olejem, póty był jedynie pretendentem, barbarzyńskim królem, który przypadkiem, dzięki potędze militarnej, zdołał zapanować na Europą. Tak w każdym razie sądził Otton, a wraz z nim większość Europejczyków.

Dlatego też, gdy Jan XII wezwał go do Rzymu, by bronił tronu piotrowego i otrzymał w nagrodę koronę cesarstwa, Otton nie tracił czasu i wyruszył natychmiast. Berengar – rabuś i awanturnik, ale nie tchórz – wyszedł mu naprzeciw. Wynik bitwy był łatwy do przewidzenia, gdyż zwycięzcy spod Augsburga znacznie przewyższali umiejętnościami i doświadczeniem bandę włoskich rabusiów. Odebrawszy od Berengara przysięgę, że zmieni swoje postępowanie, Otton – nierozsądnie, jak uważali doradcy – puścił go wolno i pośpieszył do Rzymu, do którego dotarł w pierwszych tygodniach roku 961.

Wiek wcześniej koronacja niemieckiego pretendenta do cesarskiej korony doprowadziła do makabrycznego procesu Formozusa i długotrwałej eskalacji przemocy. Teraz Rzymianie mieli ponownie stać się świadkami gloryfikacji barbarzyńcy, tym razem za sprawą syna człowieka, który przywrócił im poczucie własnej wartości.

Mimo iż Otton uważał się za kulturalnego władcę, a swój dwór określiliby tym samym przymiotnikiem, jego wojska wydawały się Rzymianom zaledwie odrobinę lepsze z wyglądu od dzikich koczowników, których pokonały. Niemieccy olbrzymi z puszcz Północy, barbarzyńcy o „straszliwej powierzchowności”, brodac i zaniedbani, niczym wilki, które ich władca z trudem utrzymywał na wodzy, wzbudzali pogardę mieszkańców Rzymu. Odwdzięczali się taką samą wzdardą dla rzymskiego wydelikacenia. Rzymianie dawno już zapomnieli, jak walczy się na polu bitwy, lecz od pokoleń kultywowali tradycję walk ulicznych, w których tłum, znający każdy zaułek, mógłby zmusić do ucieczki całą armię. Jednak, chociaż doszło do drobnych incydentów, mieszkańcy miasta nie wystąpili otwarcie przeciw Niemcom. Główne siły Ottona pozostały – jak nakazywały zwyczaj i przezorność – poza murami, które działały jak bufor.

O poranku 2 lutego Otton uroczyście wkroczył do Rzymu w otoczeniu licznego oddziału przybocznych. Ponury, niechętny tłum nie przeszkodził im dojść do marmurowych schodów, które wiodły do wielkiego, otwartego dziedzińca przed

Bazyliką św. Piotra. W tym miejscu orszak się zatrzymał. Otton wziął na bok swego miecznika, Ansfrieda, i kazał mu zachować najwyższą czujność, nawet w świętym obszarze wokół bazyliki. „Kiedy uklękne dziś na grobie Apostoła, stój za mną z mieczem. Aż za dobrze wiem, czego doświadczyli moi przodkowie od tych wiarołomnych Rzymian”⁷.

Ansfried towarzyszył swemu panu, gdy ten wchodził po schodach, na których szczyście oczekiwał wspaniale odziany Jan. Procesja, teraz powiększona o księży, przeszła przez dziedziniec i wkroczyła do mrocznej, przestronnej bazyliki. Nie zdarzył się żaden incydent, którego obawiał się Otton. Władca, ukląkszy nad zasypianym gruzem szybem, który prowadził do odartej z cennych ozdób kapliczki na grobie św. Piotra, otrzymał koronę, której ciężar miał zmiażdżyć królewską koronę niemiecką. Drugiego lutego 961 roku ponownie narodziło się Święte Cesarstwo Rzymskie, łączące Italię i Niemcy w niedobranym małżeństwie, któremu dane było przetrwać 900 lat.

Jan XII, młody rozpustnik wysokiego rodu, który zapoczątkował ten proces wraz z jego wszystkimi nieprzewidywalnymi konsekwencjami, wykorzystał tylko precedens. Inni papieże koronowali innych pretendentów tą lub inną koroną z przyczyn niewiele więcej wartych. Przysięga, jaką złożył Otton podczas koronacji, musiała brzmieć dla Jana niezwykle obiecująco.

Wywyższę Kościół i ciebie, jego strażnika, w miarę moich sił. Nigdy nie doznasz szkody na ciele czy na życiu bez mojej zgody lub wiedzy. Nigdy nie będę sądzić ani czynić praw w twojej jurysdykcji. Każdą własność św. Piotra, jeśli dostanie się w moje ręce, przywrócę tobie. Komukolwiek przekaze królestwo Włoch, przysięgnie on być twoim pomocnikiem w dziele obrony Państwa Kościelnego⁸.

Z pozoru transakcja ta była dla Jana niezwykle korzystna. W rewanżu za coś, co uważał za pusty honor, piękny, lecz pozbawiony znaczenia tytuł, otrzymał militarną protekcję najpotężniejszego władcy w Europie. Przynoszące dochody miasta, które odebrał mu Berengar, miały zostać zwrócone Janowi, by według swoich pragnień korzystał z profitów, jakie przynoszą. Pozostawał też jedynym panem Rzymu. Wydawało się, że Otton jest kolejnym z prostych, naiwnych Niemców, którymi przodkowie Jana potrafili z łatwością manipulować.

Jednak w myśleniu Jana krył się zasadniczy błąd. Ów Otton, który klęczał u jego stóp w Bazylice św. Piotra, był pod wieloma względami, nieskomplikowanym wodzem plemiennym, na jakiego wyglądał. Ale okazał się też bardzo utalentowanym politykiem. Dzięki swym wojskom zapanował nad olbrzymim obszarem, ale do utrzymania władzy posługiwał się w równym stopniu dyplomacją, i siłą militarną.

Stopniowo zgromadził wokół siebie największych prawników i polityków Europy, ludzi, którzy potrafili przewidzieć najbardziej odległe skutki każdego czynu i którzy doskonale znali mocne i słabe strony popleczników Jana.

Dwór Jana natomiast składał się z po części z młodych awanturników, takich jak on sam, po części zaś z pochlebców, którzy gotowi byli go opuścić w razie

najmniejszego niepowodzenia. Obojętny na wszystko, co nie służyło natychmiastowemu zaspokojeniu jego pragnień, pozbawiony kompetentnych doradców, Jan postępował z arogancją zrodzoną z najwyższej ignorancji. Z początku dawało mu to przewagę nad Ottonem. Ostrożny Niemiec, torujący sobie drogę przez meandry międzynarodowej polityki, wielokrotnie wyrażał zaskoczenie nagłymi i bezsensownymi poczynaniami młodego Rzymianina. Nawet gdy przekonał się, że mimo wszystko nie maskują one jakiegoś chytrego rzymskiego spisku, wciąż jeszcze wahał się przed podjęciem zdecydowanych działań, co bez trudu czynił w każdej innej dziedzinie. Zdawało się, że spodziewa się spisku, ukrytego pod pozorem innego spisku.

Wobec Jana Otton zachowywał się jak dobrotliwy wujek. Cesarz przekroczył 50. rok życia, osiągając wiek patriarchalny w społeczeństwie, w którym choroby lub gwałtowna śmierć zabierały większość ludzi przed czterdziestką. Jan miał zaledwie nieco ponad dwadzieścia lat. W sytuacjach oficjalnych byli cesarzem i papieżem. Prywatnie, świadomość własnej potęgi i różnica wieku powodowały, że Otton traktował Jana jak gołowąsa, którym faktycznie nie przestał jeszcze być. Cesarz okazywał – może nieco niezręcznie – szczerą chęć pokierowania i opiekowania się zapalczywym młodym patrycjuszem, który – tak się złożyło – był też najwyższym kapłanem. Tuż po ceremonii koronacji cesarz wziął Jana na stronę i wygłosił kazanie na temat jego przeszłych występków, przynaglając młodzieńca, by zmienił swoje postępowanie. Jan gorliwie okazał skruchę; wydawało się, że do Rzymu powracają czasy świętych.

Zaledwie po dwóch tygodniach Otton opuścił miasto. Rzym, posępny i stojący na skraju rebelii, nie był dla niego atrakcyjnym miejscem. Ponadto Otton musiał rozprawić się ostatecznie z Berengarem, który – zgodnie z przewidywaniami – złamał przysięgę i wraz ze swym synem Adalbertem powrócił do dawnego trybu życia, jakby nigdy nie spotkał na swej drodze Ottona. Kiedy tylko ten wyjechał z Rzymu, Jan ofiarował cesarską koronę... właśnie Berengarowi, temu samemu, którego groźby skłoniły go wcześniej do wezwania na pomoc Ottona.

Zawikłanych motywów postępowania Jana XII prawdopodobnie nie uda nam się nigdy odtworzyć. Szalony gest mógł wynikać z najbardziej trywialnej chęci zrewanżowania się Ottonowi za jego szorstkie pouczenia. Być może Jan chciał pokazać, że może uczynić króla cesarzem, a potem odebrać mu tytuł, jeśli będzie miał taką fantazję. Może przewidział – choć nie zwykł patrzeć w przyszłość – że stronnictwo, które popierało go jako syna Alberyka, z pewnością porzuci go jako protegowanego Ottona. Niezależnie od przyczyny, Jan z rozmysłem spowodował własny koniec.

Berengar zawiódł go, ponieważ sam musiał walczyć o życie. Na swobodzie pozostał jednak jeszcze syn Berengara, Adalbert, który sprzymierzył się z Arabami w Prowansji. Jan, upierając się przy swym szaleństwie, napisał do niego z propozycją oddania mu korony, jeśli tylko Adalbert przybędzie uwolnić Rzym

z jarzma cnoty, jakie nałożył mu Niemiec. Mogło to oznaczać ponowne wprowadzenie Arabów do Italii, ale ta cena wydawała się młodemu papieżowi do przyjęcia. Adalbert oczywiście wahał się skrzyżować miecze z potężnym cesarzem. W tym czasie Jan zaczął negocjacje z Madziarami na północy i Bizantyjczykami na wschodzie.

W całym dziwnym żywocie Jana te ostatnie posunięcia najlepiej obrazują charakterystyczny dla niego brak równowagi. Nie zyskałby niczego – oprócz, być może, chaosu, w którym najlepiej prosperowali ludzie jego pokroju. Arabowie i Madziarzy mogli przynieść Italii tylko zniszczenie i śmierć. Cesarz bizantyjski pragnął jednego – odzyskać utraconą prowincję. Gdyby do tego doszło, biskup Rzymu, pozbawiony swych honorów, stałby się znów podrzędnym urzędnikiem na cesarskim dworze.

Jan osobiście doświadczył od Berengara i jego syna tyranii i wiarołomstwa. Mimo swojej ignorancji musiał wiedzieć, że żaden z nich nie dorówna Ottonowi, a zwracając się do nich, naraża się na wielkie niebezpieczeństwo ze strony cesarza. Jakkolwiek wyrozumiały i dobrotliwy Otton musiał ostro zareagować na próbę wzniecenia rebelii.

Z początku Otton był dezorientowany. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej ocalał młodzieńca przed Berengarem i zagwarantował mu nie tylko ochronę, ale także suwerenną władzę. A teraz – coś takiego. W owej chwili Otto nie mógł uczynić wiele. Znajdował się o kilka dni drogi od Rzymu, oblegając twierdzę, w której ukrył się broniący się zaciekłe nieprzyjaciel. Dlatego Otton posłał do Rzymu nie armię, lecz emisariusza, który miał wybadać sytuację.

Wysłannik wrócił po kilku dniach z opowieścią o poczynaniach Jana, która brzmiała jak fantastyczna bajka. Na ulicach miasta znów zapanowała przemoc. Stronnicy Jana mieczem zdobywali mu pozycję, podczas gdy ich przywódca powrócił do swej dawnej rozpusty. Napływ pielgrzymów całkowicie ustał. Rzymianie, u których sakiewka zawsze była czulszym punktem niż sumienie, mówili coraz głośniejsze, że czas obalić księcia i wezwać cesarza.

Nie podjęli jednak żadnych konkretnych działań. Otton, nie chcąc ich obrazić, pozbawiając władzy ich księcia – a być może nie chcąc też uwierzyć, że jego pouczenia zostały zignorowane – wciąż żywił nadzieję, że Jana da się zmienić.

To tylko chłopiec, który wkrótce się poprawi, jeśli porządni ludzie dostarczą mu dobrego przykładu. Najpierw trzeba odeprzeć Berengara – później niech będzie mi wolno skierować kilka słów napomnienia do jego mości Papieża. Poczucie wstydu doprowadzi w nim do zmiany na lepsze. Zmuszony do wejścia na dobrą drogę, będzie się – być może – wstydił powrócić do swych dawnych zwyczajów⁹.

Nadzieja, że syn rodu Teofilaktów zmieni się pod wpływem wstydu, mówi nam wiele o zasadach, honorze i braku wyobraźni samego Ottona, ale nie najlepiej świadczy o jego znajomości psychiki Rzymian. Usłyszawszy, jak zareagował cesarz, Jan z pewnością poczuł, że może sobie pozwolić na wszystko. Oto

prowadził negocjacje ze straszliwymi Madziarami, wyciągnął rękę do zbuntowanego cesarskiego wasala, nawiązał kontakt z rywalem cesarza w Konstantynopolu, a Otton, zamiast pomścić obrazę majestatu, poprzestał na kolejnej porcji niekonkretnych napomnień. Nie dostrzegając przepaści, jaka się przed nim otworzyła, Jan wciąż szedł swoją drogą – chociaż był gotów uroczyście obiecać poprawę, jeśli Otton tego właśnie chciał.

Emisariusze, których rozważnie wysłał do Ottona, rozpoczęli swoją misję od gładkich przeprosin. To prawda, że papież pofolgował sobie w grzeszkach młodości, lecz już się zmienił i odtąd zacznie żyć tak, by zadowolić cesarza. Po tych słowach przeszli do ataku. Uderzając prosto w honor Ottona, oskarżyli go o to, że nie zwrócił św. Piotrowi ziem, które obiecał dla niego odzyskać, a także o to, że udzielił schronienia dwóm wysokim urzędnikom, którzy okazali się nielojalni wobec papieża.

Otton zachował spokój. Pierwszy punkt oskarżenia odparł za pomocą logicznego argumentu, że trudno mu oddać wspomniane ziemie w ręce św. Piotra, póki nie odbierze ich Berengarowi. Co do zdradzieckich urzędników stwierdził: „ani ich nie widzieliśmy, ani nie zapraszaliśmy – jak rozumiemy, wzięto ich do niewoli w Kapui”. Byli z nimi dwaj inni mężczyźni, osobiści przyjaciele Jana, których wysłano, aby podburzyli Madziarów przeciwko Niemcom. „Nie uwierzylibyśmy nikomu, kto by nam powiedział, że jego mość Papież postąpił w ten sposób. Jednak ten list, zapieczętowany jego pieczęcią i noszący jego podpis, każe nam myśleć, że to prawda”¹⁰. Zanim jednak podjął zdecydowane działanie, Otton pragnął uzyskać ostateczny, niewątpliwy dowód zdrady Jana. W tym celu posłał do Rzymu kolejnego emisariusza – najrozumniejszego ze swoich włoskich doradców, Liutpranda, biskupa Kremony.

Cała treść *Historia Ottoniw* (Dziejów Ottona), jednego z trzech głównych dzieł Liutpranda, dotyczy zdarzeń, które zapoczątkowała ta misja. Z pozostałych ksiąg autorstwa biskupa potomni czerpali większość wiedzy o żywotach Jana, jego ojca Alberyka i jego babki Marozji. Sam historyczny zarys – wypełniony informacjami od pomniejszych dziejopisów – mniej więcej oddaje rzeczywisty przebieg wydarzeń. Jednak szczegóły opowieści zabarwia nienawiść, którą Liutprand żywił wobec całego rodu Marozji.

Dzieła tego utalentowanego autora wykwitają na jałowym polu włoskiej historiografii X wieku niczym zachwycające świeżością oazy. Ich atrakcyjność jest pułapką, w którą wpadają nieostrożni wędrowcy. Pokolenia późniejszych pisarzy wychwalały pełne życia, barwne dzieła, ubolewając nad ich obscenicznością. Sama obsceniczność, pachnąca raczej tawerną niż dworem, wydaje się dość niegroźna. To rozmyślne przeinaczenia podważają wartość Liutpranda – skądinąd nieporównywalną – jako przewodnika po zakłamanym labiryncie X stulecia. Biskup, przerywający tok opowieści, by wyjaśnić, za które informacje ręczy swoim imieniem, a które dotarły do niego z ust innych, sprawia wrażenie najuczciwszego z dziejopisarzy. Jednak nie sposób nie zwątpić w jego obiektywizm,

kiedy maluje któregoś z wrogów tak czarnymi barwami, że nie można ustalić prawdy bez odwołania się do innych źródeł. Podziw dla Ottona jest najpiękniejszą cechą charakteru Liutpranda. Kreując swojego bohatera, uznał on jednak niestety za konieczne przesadnie opisać deprawację italskich nieprzyjaciół cesarza. W rzeczywistości postać Ottona nie potrzebowała specjalnie przygotowanego tła, by zabłysnąć.

Gdy hojny Otton przyjął Liutpranda – uczonego uchodźcę bez grosza przy duszy – na swój dwór, znalazł w nim niezwykle kompetentnego i nieocenionego doradcę. Biskup znał osobiście większość ważnych osobistości w Italii i w Konstantynopolu i potrafił pokierować swego pana przez niebezpieczne mierzwiły włoskiej polityki, sprowadzającej się do walki frakcji i stronnictw.

Kiedy Otton pojawił się w Italii, Liutprand miał 40 lat. Urodzony w Pawii, jak sam powiada, ze względu na piękny głos został śpiewakiem-giermkim na dworze Hugona z Prowansji, gdzie bez wątplenia wyrobił sobie zdanie o kobiecej cnocie. Po opuszczeniu przez Hugona Włoch, Liutprand przeszedł na służbę Berengara, w którego imieniu odbył pierwszą ze swych podróży do Konstantynopola. Berengar sprytnie go oszukał. Przetrzęsając swój bagaż w poszukiwaniu zwyczajowych kosztownych podarków dla cesarza bizantyjskiego, Liutprand znalazł tylko kąpiący od pochlebstw list. Musiał więc sięgnąć do własnej świecącej pustki kieszeni. Rozwścieczony tym podłym fortelem, przy pierwszej okazji porzucił Berengara, dołączając do długiego szeregu uchodźców z Italii, którym Otton udzielił schronienia na swym dworze w Saksonii. Później Liutprand z największą satysfakcją patrzył, jak Otton, jego bohater, rozprawia się z Berengarem.

Biskup towarzyszył cesarzowi podczas wyprawy do Włoch, analizując niekończące się problemy, które wymagały uwagi i zaangażowania władcy. Było zrozumiałe, dlaczego Otton wybrał właśnie jego na ostatniego posła do Rzymu, który miał nawrócić Jana na drogę rozsądku.

Przybywszy do miasta, Liutprand przekonał się, że Jan nie zamierza bynajmniej dotrzymać obietnic poprawy. To nie było niczym dziwnym. Zaskoczyło go natomiast, że papież zdecydował się udawać, iż sądzi, że Otton złamał dane słowo i nie zwróci mu Państwa Kościelnego. Stanowiło to oczywiście pretekst, aby zerwać układ z Ottonem, i to pretekst najbardziej prymitywny – cała Italia wiedziała, że cesarz wciąż walczy o te ziemie z Berengarem. Tak czy inaczej, Liutprand postąpił zgodnie z zaleceniami Ottona, choć być może sceptycznie oceniał ich wartość. Jeśli Jan nadal wątpi w słowo cesarza, powiedział, on, Liutprand, ma moc wybrać obrońcę honoru Ottona lub złożyć przysięgę, że zwrócenie Państwa Kościelnego nie jest jeszcze możliwe. Jan odrzucił obie propozycje i ze wzgardą odprawił biskupa.

Liutprand opuścił Rzym, nim jednak dotarł do obozu cesarza, Otton dowiedział się, że Adalbert przełamał wreszcie swe obawy i wkroczył do miasta, aby otrzymać od Jana koronę cesarską. Nawet Otton nie mógł zignorować obecności bezprawnego pretendenta w samym Rzymie.

Pałące słońce włoskiego lipca unieruchomiło pochodzących z północy żołnierzy cesarza. Aż do końca sierpnia armia pozostawała we względnym chłdzie Wzgórz Umbryjskich. Kiedy jesień przyniosła niższe temperatury, Otton wyruszył w kierunku Rzymu.

Była to szybka i łatwa kampania. Co prawda Jan wciąż otaczał się bandytami, którzy jak ognia bali się przywrócenia porządku, lecz większość mieszkańców Rzymu zwróciła się przeciwko niemu. Jan i Adalbert zostali zamknięci w Mieście Leonowym. Młody papież próbował jeszcze rzucić wyzwanie cesarzowi i przywdział zbroję, by bez przekonania poprowadzić atak, ale nerwy zawiodły go, kiedy doniesiono, że Otton zbliża się do miasta. Pośpiesznie obrabowawszy skarbiec Bazyliki św. Piotra ze wszystkiego, co można było unieść, wraz z Adalbertem uciekli do Tivoli. Otton wkroczył do opuszczonego przez papieża miasta. Trzy dni później zwołał synod, który miał rozważyć sytuację.

Ponieważ synod obradował pod przewodnictwem Ottona, i cesarz, i Liutprand wiedzieli, że musi się on odbyć w pełnej zgodzie z prawem. Istotnie, apologetyci papieża oskarżali późnej Ottona, że bezprawnie pozbawił Jana funkcji. Zamordowanie jednego papieża przez drugiego, przypadki usuwania papieży przez rady o podejrzanym składzie, świętokradztwa na wielką skalę – to wszystko wydawało się niczym wobec zuchwalstwa, którym było usunięcie kapłana przez laika.

Aby uniknąć zarzutów o stronniczość, Liutprand, otwierając obrady w imieniu cesarza, ostrzegł członków synodu, że nie wolno im opierać się na pogłoskach, a każde oskarżenie musi być szczegółowe i udowodnione. Liutprand był nie tylko głównym doradcą cesarza, ale także jego jedynym stronnikiem w Rzymie. Opisując proces, porzucił swój zwykły naturalny, zwięzły styl. Każdego z uczestników synodu wymienił z imienia i rangi. Arcybiskupi, biskupi, kardynałowie, nawet samotny przedstawiciel ludu, „Piotr, zwany Imperiola” – każdy wygłasza swoją mowę. Wszyscy, którzy bezpośrednio wpłynęli na werdykt, mogli zarzucić Liutprandowi, że nie przekazał dokładnego przebiegu zdarzeń podczas synodu. Nikt tego nie zrobił.

Otton rozpoczął przemowę słowami żalu, że Jan nie uznał za stosowne stanąć się, aby wziąć udział w synodzie. Ktoś inny mógłby rzucić tę uwagę wyłącznie w formie ironii, ale Otton naprawdę tak myślał. Cesarzowi, cieszącemu się wszystkimi rycerskimi cnotami, brakowało poczucia humoru. Następnie przedstawił w zarysie kształt procesu – bo też był to bez wątpienia proces. Poszczególni uczestnicy mieli, jeden po drugim, przedstawiać swoje zarzuty, po czym synod powinien zastanowić się nad kolejnym krokiem.

Wtedy kardynał Piotr wstał i zaświadczył, że widział, jak papież celebrował mszę, sam nie przyjmując komunii. Jan, biskup Narni, i Jan, kardynał-diakon, oznajmili, że widzieli, jak papież wyświęcał diakona w stajni. (...) Benedykt, kardynał-diakon, oraz towarzyszący mu diakoni i kapłani powiedzieli, że wiedzą, iż papież otrzymywał pieniądze za wyświęcanie biskupów. (...) Jeśli chodzi o świętokradztwo,

powiedzieli, nie ma potrzeby przeprowadzać śledztwa, ponieważ najważniejsze jest to, co się widzi, a nie pogłoski. Co do cudzołóstwa papieża, nic nie widzieli na własne oczy, ale wiedzieli na pewno, że spółkował z wdową po Rainierze, ze Stefaną, konkubiną swego ojca, z wdową Anną i z własną siostrzenicą. Nie kryjąc się, jeździł na polowania, oślepił swego duchowego ojca Benedykta, spowodował śmierć kardynała-subdiakona Jana, kastrując go, (...) pił wino z miłości do diabła (...)¹¹.

Gdy wymieniono już wszystkie występki, Otton ponownie podkreślił, że spodziewa się, iż świadkowie będą w stanie udowodnić swoje zarzuty. Oskarżyciele potwierdzili swoje słowa przysięgą i synod zaczął zastanawiać się nad następnymi poczynaniami. Ustalono, że należy wezwać Jana, aby sam się bronił.

Ottonowi pozostawiono sformułowanie wezwania, które Liutprand ujął w swej kwiecistej łacinie. W pełnym godności liście cesarz wyrażał zaskoczenie nieobecnością Jana. Papież został oskarżony o czyny, które „okryłyby wstydem nawet aktora”, było więc koniecznością, by powrócił do Rzymu i oczyścił się z zarzutów. Otton uprzedził obawy papieża przed wkroczeniem między nieprzyjaciół, dając mu cesarskie słowo, że „nie rozważa się żadnych działań sprzecznych z prawem kanonicznym”.

Jan z pewnością nie poczuł się spokojniejszy na wieść, że będzie sądzony według prawa kanonicznego. Nie głosił publicznie herezji – ale, z tym jednym wyjątkiem, trudno byłoby znaleźć kanon, którego nie złamał. Jego odpowiedź była wzorem zwięzłości (choć nie poprawności gramatycznej) i zawierała kolejną obelgę, ponieważ Jan celowo zignorował obecność cesarza w Rzymie. List, zaadresowany prosto – „Do wszystkich biskupów” – brzmiał: „Słyszemy, że chcecie obwołać nowego papieża. Jeśli to zrobicie, ekskomunikuję was w imię wszechmogącego Boga i będziecie mieli władzę nikogo wyświęcić ani celebrować mszę”^{12*}.

Kolejny emisariusz został wysłany w krótką podróż między Rzymem a Tivoli z odpowiedzią synodu 22 listopada. List wykpiwał znajomość gramatyki Jana, „bardziej przystojącą chłopcu niż biskupowi – zawsze bowiem sądziliśmy, że takie zdanie powinno mieć inną formę”. Za tę pedanterię odpowiedzialny był prawdopodobnie Liutprand, ale groźba, która po niej następowała, z pewnością pochodziła od Ottona. Jeśli Jan nie stawi się osobiście w Rzymie, to on – a nie biskupi – zostanie ekskomunikowany.

W chwili przybycia posła, Jana nie było w Tivoli. Późniejszy kronikarz przypuszcza, że uciekł ze strachu i, podczas gdy emisariusz na niego oczekiwał, papież krył się jak zwierzę w okolicznych lasach. Każdy rozsądny człowiek miałby powód, żeby się bać. Sojusznik Jana, Adalbert, opuścił go, kiedy tylko zrozumiał, jak silna jest opozycja przeciw niemu, a wyżsi duchowni całej Europy jednogłośnie poparli cesarza.

* W rzeczywistości błąd Jana polegał na użyciu podwójnego zaprzeczenia, które w łacinie daje zdanie twierdzące, i ten błąd wytknięto mu w odpowiedzi na list (przyp. tłum.).

Jednak Jan z pewnością nie był rozsądny, a sposób, w jaki Liutprand wyjaśnia jego nieobecność, znacznie bardziej pasuje do osobowości młodzieńca. Cisnąwszy swój piorun, papież ze wzdargą zlekceważył całą sprawę i wyruszył na polowanie. Czuł się netykalny. Groźby Niemca nie mogły wyrzeć żadnego wrażenia na najwyższym kapłanie i księciu Rzymu. Ktoś kiedyś z pewnością przybędzie na pomoc. Tymczasem należało cieszyć się rozkoszami, w jakie obfitowało Tivoli.

Otton więcej nie prosił ani nie groził. Jego łagodność zaczynała już odbierać mu prestiż w oczach Rzymian, którzy jak zwykle brali cierpliwość za słabość. Pierwszego grudnia synod formalnie pozbawił Jana papieskiej tiary, zaś cesarz mianował nowego papieża – Leona VIII.

Nowy papież urodził się w Rzymie, lecz, jako że został wyniesiony przez cesarza, jego rządy stanowiły afront dla wszystkich mieszkańców tego miasta. Nie istniał żaden uzasadniony powód, dla którego wybór powszechnego papieża powinien zależeć wyłącznie od Rzymian. Fakt, że to oni decydowali, kto będzie biskupem Rzymu, odbierał to prawo wszystkim innym wspólnotom chrześcijańskim. W efekcie, gdy Otton, niepomny na zdanie rzymskiego motłochu i wysokich rodów, mianował papieża, działał na korzyść owych pozbawionych możliwości decydowania chrześcijan.

Tak przynajmniej – z pewną dozą słuszności – argumentowali cesarscy prawnicy, lecz Rzymianie widzieli jedynie, że ich ksiązę, wybrany przez nich samych, został obalony przez cudzoziemca-barbarzyńcę. Janowi brakowało charyzmy jego ojca i gdyby wybór jego następcy zostawiono Rzymianom, szybko zapomnieliby o poprzedniku. Jednak usuwając papieża, Otton odebrał także władzę księciu, a broniąc praw do jednego tytułu, Rzymianie byli zmuszeni bronić także drugiego.

W miesiąc po wyborze Leona w Rzymie wybuchł bunt. Pierwszą z krwawych rebelii przeciwko panowaniu cesarza stłumiono dość łatwo. Obywatele nie tworzyli wszak spójnej grupy, a armia cesarska wciąż obozowała pod murami. Otton mógł sobie pozwolić na to, żeby potraktować buntowników łagodnie.

Nie mógł jednak zostać w Rzymie na zawsze i nie mógł też zostawić w mieście garnizonu. Jego armia składała się z wasali, którzy służyli swemu panu w konkretnej kampanii, nie dłużej niż zostało ustalone. Szeregi kurczyły się więc podczas przedłużającej się wyprawy i wystarczyło ich zaledwie, by zadać *coup de grâce* Berengarowi i Adalbertowi. Kiedy cesarz opuścił Rzym, w mieście pozostał jedynie symboliczny oddział, który miał strzec bezpieczeństwa Leona.

Z chwilą gdy odszedł cesarz, natychmiast powrócił Jan. Synod zwołany przez niego w lutym 964 roku składał się z przerażonych kapłanów, których większość cztery miesiące wcześniej głosowała za usunięciem Jana z urzędu. Jego żądza zemsty była nienasycona, ale okoliczności zmusiły go do powściągnięcia pragnień. W listopadowym synodzie wzięło udział ponad stu duchownych. Na ten, który zwołał Jan, przybyło mniej niż trzydziestu – jawny dowód, że jego władza słabła. Rzymianie podnieśli bunt w obronie pozbawionego tronu księcia,

ale biskupi Europy, których był zwierzchnikiem, nie chcieli jego powrotu na tron papieski.

Podczas ośmioletniego panowania Jan nie tyle zhańbił swój urząd, ile pozbawił go znaczenia poza murami Rzymu. Nawet w samym Rzymie powstanie i rozrost stronnictwa cesarskiego dowodziły coraz większego niezadowolenia z systemu, w którym najwyższy urząd duchowny był zarezerwowany dla przedstawicieli kilku wielkich rodów. Poza Rzymem autorytet miasta jako serca Kościoła został skompromitowany niemal nieodwracalnie przez groteskową rozpustę rzymskich papieży, której Jan stanowił najbardziej jaskrawy przykład. „Gdzie jest napisane, że niezliczona rzesza kapłanów Boga, rozproszonych po całej Ziemi i błyszczących wiedzą oraz cnotami, powinna być poddana potworom pozbawionym wiedzy boskiej czy ludzkiej, będących hańbą dla świata?”¹³ – pytali później biskupi francuscy podczas synodu, który zagroził odłączeniem Kościoła galijskiego od rzymskiego. Prostaczkowie mogli nauczyć się widzieć różnice między człowiekiem a urzędem i, olśnieni splendorem, przyjmować dary ducha ze zbrukanych rąk. Potężni europejscy biskupi, nie tracąc z oka bogatego łupu, którego nie wypuszczali z rąk Rzymianie, stali niezmiennie po stronie cesarza.

Ci, którzy żyli z daleka od Rzymu, mogli sobie pozwolić, by rzucić wyzwanie Janowi, jednak ci z biskupów, których mogłaby dosięgnąć zemsta Jana, woleli pójść na kompromis. Motywacje tych niewielu, którzy wzięli udział w synodzie, wydają się wątpliwe. Dwóch z nich miało później zostać papieżami za aprobatą cesarza, co dowodziło, że Rzymianie potrafili wykorzystać każdą sytuację. W synodzie uczestniczyli przede wszystkim Rzymianie, świadomi, że gra idzie o ich przywileje i że ten pokrzykujący papież wykazał się niezwykle instynktem przeżycia. Być może zatriumfuje znowu, a wtedy – jeśli go teraz nie poprą – pozostanie im tylko wygnanie. Zapewne będą musieli dołączyć do proszalnej gromady, która ciągnęła za cesarzem.

Nie byli jednak całkowicie bezradni. Ich obecność uprawomocniła poczynania Jana. To on sądził, lecz podjęte działania miały status działań grupy: duchownych zgromadzonych na synodzie. Jan ograniczył swój gniew do tych, którzy okazali się dość głupi, by wysunąć przeciw niemu konkretne zarzuty. Jednemu kazał wyrwać język, obciąć nos i wylupić oczy; drugiego wychłostał; trzeciemu odrąbano rękę. Przywróciwszy terrorem lojalność, anulował postanowienia poprzedniego synodu. Leon VIII, który uciekł, gdy tylko Jan powrócił, został ekskomunikowany. W Rzymie znów rozgorzały walki stronnictw, jakby Otton nigdy nie istniał.

Cesarz, choć wiedział o wszystkim, nic nie mógł zrobić. Pokonał Berengara, lecz kampania przeciw jego synowi Adalbertowi zbliżała się do kluczowego momentu. Porzucić ją w tej chwili oznaczało utracić wszystkie osiągnięcia poprzedniego roku. Leon VIII podążał za cesarzem jak żywa obelga dla jego ambicji, póki Otton nie zyskał przewagi nad Adalbertem i nie ruszył rozprawić się z Janem i Rzymem.

Jednak to nie władca Świętego Cesarstwa Rzymskiego miał uwolnić chrześcijaństwo od ciężaru. Armia cesarska wciąż była jeszcze w drodze do Rzymu, gdy z miasta dotarła do niej wieść, że Jan nie żyje. Zmarł w gwałtownych okolicznościach, choć nie w walce ani nie na skutek politycznych porachunków. Zbawicielem chrześcijaństwa okazał się rozwścieczony mąż, który zastał Ojca Świętego ze swą żoną i pobił go tak mocno, że po trzech dniach Jan umarł. Taką przynajmniej wersję głosiła rzymska plotka, którą podjął Liutprand, by uczynić z niej opowieść z morałem – obrażony mąż stał się w niej samym diabłem, który przyszedł zabrać do piekła najwierniejszego ze swych sług.

Nikt nie płakał po Janie, młodym człowieku, który załamał się pod łączonym ciężarem korony i tiary. Jego śmierć nie przyniosła pokoju ani Rzymowi, ani Kościołowi, ani nawet cesarzowi. Rzymska hydra, uśpiona od początku stulecia – najpierw za sprawą uroków Teodory i Marozji, potem zduszona przez Alberyka – a uwolniona przez Jana, szalała znowu, niszcząc wrogów, przyjaciół i samą siebie.

Korona papieska symbolizowała suwerenność Rzymu. Aby sięgnąć po ten symbol, cesarz i Rzym byli gotowi zrobić wszystko. Otton przybył z Niemiec i wywarł na stronnikach Jana straszliwą zemstę, ale papieństwo podniosło głowę. Zgniółł je ponownie i ponownie powstało. Gdy wielki cesarz zmarł, jego syn, Otton II, nadal zużywał niemieckie siły i bogactwa, próbując oczyścić papieństwo i zdobyć rzymską koronę. Po jego śmierci zadanie to odziedziczył Otton III.

Zbliżało się millennium – rok tysięczny, w którym jak powszechnie wierzono, Chrystus miał przyjść sądzić wiernych. W Rzymie na krótki czas zapanował spokój. Wydawało się, że młody Otton III jest bliski powtórzenia cudu Karola Wielkiego i spojenia papieństwa i cesarstwa w niezniszczalną całość, której obydwie składowe będą się wzajemnie wspierać. Jednak nawet wtedy, gdy idealistyczny Otton i jego niewiele mniej idealistyczny papież Sylwester urzeczywistniali swoje wielkie dzieło, potomkowie Marozji, jako panowie na Tuskulum, przygotowywali własne – znacznie trwalsze – wcielenie potęgi papieństwa.

Rządy maga

Układ władzy w Rzymie i jego okolicach – na obszarze sięgającym aż po Adriatyk – uległ całkowitej zmianie. Patrymonium św. Piotra było teraz tylko pustym – a faktycznie świętokradczym – tytułem, gdyż kolejni papieże oddawali ziemie ze strachu lub z chęci zysku, przez co patrymonium stało się mozaiką drobnych władz. Na każdym ze wzgórz wznosił się umocniony

zamek, siedziba jednego z nowych możnowładców, którzy kpili sobie z władzy centralnej, od czasu do czasu ruszając, by plądrować potężne niegdyś miasto, spotęgować zamieszanie towarzyszące „wyborom” papieża, po czym wrócić z łupem.

Tuskulum stało się siedzibą jednego z takich awanturników. Samo miasto powstało w starożytności, choć niewiele zachowało się w nim miejsc, które przypominałyby o heroicznej przeszłości, kiedy mieszkańcy Tuskulum przewodzili etruskiej opozycji wobec rosnącej potęgi miasta nad Tybrem. Rzym wchłoniął Tuskulum i uczynił je miastem przyjemności. Jednak nawet pamiątki z okresu, w którym Tuskulum było miejscem wytchnienia dla bogaczy, szybko znikaly. Ruiny olbrzymiej willi Cycerona wykorzystywano jako źródło gotowych bloków kamienia. Ogrody, w których kiedyś hodowano kwiaty, zostały dawno zdeptane. Kozy pilnowane przez na wpół dzikich pasterzy wałęsały się po okolicy, w której niegdyś Lukullus wydawał fantastyczne uczyty.

W wieku żelaza, który powrócił do Italii, ludzie ponownie zasiedlili Tuskulum, przyciągani nie pięknem, które uczyniło je sławnym, lecz jego strategicznym położeniem. Teatr, wille, świątynie dostarczały kamienia na budowę fortyfikacji, a z żywej, łatwej do obrony ziemi nawet najbardziej prymitywne metody gospodarowania pozwalały uzyskać bogate plony. Bezpieczne za nowymi murami, wzniesionymi ze starożytnych kamieni, Tuskulum budziło się z długiego snu, aby pod wodzą potomków Marozji ponownie rozpocząć podboje.

W chaosie drugiej połowy X stulecia ród Teofilaktów zachował tożsamość i wiele ze swej potęgi. Rządy kobiet przeszły do historii. Na czele rodu w ostatnich latach mrocznego wieku stał Grzegorz z Tuskulum, syn lub wnuk wielkiego Alberyka. Grzegorz nosił swój tytuł zgodnie z prawem, ponieważ otrzymał go od jedyne go człowieka, który mógł go nadać, cesarza Ottona III, wnuka Ottona I. Biegły w zdradach, które w Rzymie nazywano polityką, Grzegorz opuścił swych rzymskich sprzymierzeńców i stał się wiernym sługą wzrastającego w potęgę cesarza. Dostawszy to, czego pragnął, porzucił z kolei cesarza na rzecz stada rzymskich wilków. Jako niezależny pan na Tuskulum, czekał na okazję, aby ponownie zdobyć tron św. Piotra dla swego rodu.

Nie było rzeczą trudną zwieść młodego Ottona, osiemnastoletniego marzyciela, który snuł fantastyczne plany odnowienia chwały starożytnego Rzymu. Poważniejszą przeszkodę dla zamiarów Tuskulańczyka stanowił uczony i papież w jednej osobie, Sylwester II, którego Otton osadził na tronie piotrowym w ostatnim roku ubiegłego tysiąclecia. Sylwester był mentorem młodego cesarza, lecz bynajmniej nie jego narzędziem. Z upodobań uczony, jako młodzieniec przypadkiem znalazł się w sercu jednej z najbardziej zacieklej politycznych walk w Europie. Doświadczenie to mogło zdławić jedną ze stron jego osobowości, czyniąc z niego męża stanu bez ambicji naukowych lub każąc mu się wycofać do zacisza biblioteki. Zdarzyło się jednak inaczej. Przeżycia spoily dwa nurty osobowości, przekształcając przyszłego papieża w postać wielkiego

formatu. Sylwester wzbudzał podziw nawet wśród Rzymian, przekonanych, że jest czarownikiem i że utrzymuje bliską znajomość z diabłem.

Największą słabością Sylwestra była wiara w misję Ottona. Gdyby nie dowody tego, które nieświadomie pozostawił nam w swoich listach, można by go podejrzewać o najgłębszy cynizm. Tak doświadczony mąż stanu nie mógł traktować planów chłopca z powagą, Otton marzył bowiem – ni mniej, ni więcej – tylko o odtworzeniu cesarskiego ośrodka władzy w Rzymie, nie pomijając ani jednego pałacu i ani jednego giermka. Listy Sylwestra dowodzą jednak, że cechowała go pewna chłopięcość, pociągająca, choć nieco niebezpieczna skłonność do impulsywnego zachwywania się nowymi ideami. Być może plany Ottona stanowiły ekstremum, ale szły w dobrym kierunku. Ponadto papież pochodził z Francji i nie miał wiele doświadczenia w kontaktach z chwiejnymi Rzymianami, których wsparcie było przecież pierwszym warunkiem stworzenia nowego Imperium Rzymskiego. Podobnie jak Otton, Sylwester widział w Rzymianach jedynie skłonnych do przemocy awanturników, nie rozumiejąc ich wrodzonej dumy, która sprawiała, że woleli chaos od porządku narzuconego przez obcych.

Roma caput mundi, pierwsze słowa dekretu Ottona, stanowiły klucz do wszystkich jego planów. Rzym był stolicą świata. Na jego starożytnych fundamentach miał zostać wzniesiony – nie symbolicznie, lecz w rzeczywistości – nowy dwór cesarski. Na Awentynie zbudowano wspaniały pałac, a wokół osoby młodego cesarza powstał skomplikowany dworski ceremoniał. Otton odszedł w tym miejscu od swego wzoru, naśladowując nie surowe zwyczaje rzymskie, lecz dwór bizantyjski, który olśniewał splendorem od 700 lat. Jego niemieccy towarzysze z niechęcią i oporami uczyli się greki, a jeśli przekraczało to ich możliwości, starali się przynajmniej zapisać swoje niemieckie imiona obcymi, greckimi literami. Kanciastych, pozbawionych wdzięku niemieckich dworzan z ich wartościami – prawdziwymi, choć raczej prostymi – zastąpili eunuchowie, obecni na każdym ze wschodnich dworów. Otton stworzył dziwną, mieszaną kulturę składającą się z niedokładnie zapamiętanych rytuałów i mitów rzymskiej starożytności, tradycji bizantyjskich i nowych zwyczajów w egzotycznych szatach – w sumie kombinacja, która nie mogła przeżyć swego twórcy.

Rzymscy arystokraci potrafili skorzystać na powstawaniu nowych stanowisk. Byli też gotowi przyjąć nową formę cesarstwa. Grzegorz z Tuskulum, najwyraźniej wciąż będący przyjacielem i sprzymierzeńcem cesarza, otrzymał wspaniały tytuł prefekta floty. Flota co prawda jeszcze nie istniała, ale to nie martwiło Grzegorza. Prefekt posiadał władzę na obszarze ujścia Tybru, którą mógł posłużyć się dla powiększenia zamożności Tuskulum. Jeśli jednak Otton sądził, że człowieka takiego jak Grzegorz można zobowiązać urokiem odnowionych starożytnych tytułów, szybko stracił złudzenia. Niewielka zmiana w układzie sił w mieście wystarczyła, by Grzegorz przeszedł na stronę Rzymian i wraz z nimi przypuścił atak na swego niedawnego dobroczyńcę. Przez trzy dni i noce cesarz świata, młodzik, który na starożytną modłę nazywał siebie *Italicus* i *Saxonicus*”,

był oblegany w swym wspaniałym pałacu na Awentynie. Stamtąd zwrócił się do napastników pełnymi tragizmu, poruszającymi słowami: „Czy to wy jesteście Rzymianie, dla których porzuciłem mój kraj i moją rodzinę? Czy to dla was rozlewałem krew moich Sasów i Niemców, a nawet własną?”¹⁴ Przemowa dotknęła jakiegoś czułego punktu w duszach Rzymian i na krótko zapanowała zgoda. Jednak Grzegorz z Tuskulum, wyczuwając, że władza cesarza zachwiała się nieodwracalnie, poprowadził przeciw niemu kolejny atak. Sojusznicy, których szeregi stale topniały, radzili Ottonowi i Sylwestrowi, by opuścili miasto, póki jeszcze mogą. Zatem 16 lutego 1001 roku cesarz i jego papież razem wyknęli się z Rzymu.

Kolejnych 11 miesięcy, które dzieliły Ottona od śmierci, było jakby tragiczną odwrotnością tego, co zdarzyło się wcześniej. Nie miał już wojska, ponieważ miłość do Włoch kosztowała go utratę lojalności Niemców. Wraz z Sylwestrem blakając się po Italii, Otton to planował triumfalne przywrócenie swego wymarzonego porządku, to rozważał pomysł usunięcia się ze świata do pustelni. Ani pokonany, ani zwycięski, ni to odrzucony, ni to przyjęty – spędził ostatnie chwile życia w mroku, jakby nad jego wielką ideą zapadała noc. Z miejsca, w którym zmarł 23 stycznia 1002 roku, mógł dojrzeć miasto, które go zignorowało. Nie miał nawet 22 lat.

Po śmierci Ottona Sylwester powrócił do Rzymu. Stracił wszelką nadzieję i nie miał się już czego obawiać. Rzymianie nie chcieli ryzykować – był starcem, ale nie stracił siły umysłu; ci, którzy nie zawahaliby się zamordować papieża, woleli nie zadzierać z czarnoksiężnikiem. Sylwester przeżył swego świętego i szalonego ucznia zaledwie o 16 miesięcy. Umarł w maju 1003 roku. Epitafium, napisane przez człowieka, który przetrwał następstwa jego śmierci, to świadectwo żalu, jaki w obliczu zakończenia wspaniałego snu poczuli wszyscy myślący ludzie: „Świat, który stał na skraju triumfu, utracił swój pokój, ugiął się pod ciężarem rozpacz, a chwielej się Kościół zapomniał o wytchnieniu”¹⁵.

Autor tych słów oddał prawdę w sposób niespotykany w przypadku pośmiertnych epitafiów. Nadszedł kres spokoju, jaki panował w Rzymie za pontyfikatu Sylwestra, gdyż najcenniejsza zdobycz znów stała się dostępna. Wytracony z równowagi Kościół wpadł w otwarte ramiona Grzegorza z Tuskulum. Po śmierci Sylwestra walczące frakcje doprowadziły do wyboru dwóch papieży, o których niewiele wiadomo. Kiedy Grzegorz wzrósł wreszcie w siłę, nikt nie mógł wyrwać mu papieżstwa z rąk. Wspierany mieczami swoich towarzyszy z Tuskulum, opływający w bogactwa, doprowadził do wybrania jednego ze swych trzech synów. Gdy ten zmarł, tiara przeszła natychmiast na jego brata. Kiedy także drugi syn zmarł, godność papieska, pohańbiona, choć wciąż lukratywna, spadła jeszcze niżej, sięgnęła dna. Jesienią 1032 roku na papieża został „wybrany” czteremastoletni wnuk Grzegorza z Tuskulum, Teofilakt, który miał panować jako Benedykt IX.

Sprzedane papieństwo

Rzymianie znaleźli pewien szczególny sposób, aby ograniczyć zuchwałę frymarczenie, jakie towarzyszy wyborom papieża”, zauważył francuski mnich Raoul Glaber. „Dokonawszy wyboru papieża, który im odpowiada, odbierają mu jego własne imię i nadają imię jakiegoś wielkiego poprzednika, tak aby jego żądzę zasług przytłoczyła chwała jego tytułu”¹⁶.

Przybierając imię Jan XII, Oktawian, syn Alberyka, ustanowił wygodny precedens. Pobożny lub patrzący z daleka obserwator widział jedynie procesję wielkich imion, które bardzo skutecznie maskowały niedostatki noszących je ludzi. Pod szlachetnym imieniem Benedykt krył się młodzik, który nie tyle zhańbił swój urząd, ile ośmieszył go i uczynił absurdem. Oktawian-Jan zachowywał się jak książę Rzymu ze wszystkimi jego zaletami i wadami. Nie brakowało mu przynajmniej odwagi, by stawić czoło rzymskiej tłuszczy i niemieckiemu cesarzowi. Teofilakt-Benedykt do okrucieństwa dodał tchórzostwo, wprowadzając do tragedii element farsy.

Rzymskie annały z tego okresu wciąż przedstawiają się bardziej niż skromnie, a Benedykt nie miał nawet wrogo nastawionego biografę, jakim był Liutprand dla Jana XII. W Rzymie znów zapanował chaos. Młody papież doczekał się wzmianek jedynie w chwilach, gdy walczył o życie i zachowanie swego stanowiska. Pierwszy atak nadszedł zaledwie sześć miesięcy po wyborach, kiedy topniejące stronnictwo opozycji zawiązało spisek, by strącić Benedykta z tronu piotrowego. Było bardzo trudne, gdyż papieża, zamkniętego w Pałacu Laterańskim, który bardziej przypominał teraz twierdzę, strzegły miecze Tuskułańczyków. Ale nawet taki papież jak Benedykt musiał zachowywać pozory i odprawiać mszę w świętej – oraz nieumocnionej – Bazylice św. Piotra. Tam właśnie miał zostać zamordowany.

Wybrawszy święteczny dzień, spiskowcy, nierozpoznani wśród tłumów, weszli do bazyliki. Miecze natychmiast by ich zdradziły, wzięli więc ze sobą tylko zwój sznura. Zamierzali zrobić zamieszanie, aby stojący najbliżej mógł schwytać i udusić Ojca Świętego, po czym uciec, zanim straż zdąży zareagować.

Jednak „około szóstej godziny dnia doszło do zaćmienia słońca, które trwało aż do godziny ósmej. Wszystkie twarze były białe jak śmierć, a całe otoczenie przybrało kolory żółci i szafranu”¹⁷. Zjawisko wystąpiło w samą porę, by uratować Benedykta. Gdy nieziemskie światło wypełniło bazylikę, zabójcy stracili zimną krew i wyczucie czasu. Nagłe zamieszanie ostrzegło papieża o niebezpieczeństwie. Benedykt uciekł, zatrzymując się dopiero daleko za murami Rzymu. Była to pierwsza z jego licznych ucieczek.

W spisku, któremu zapobiegło zaćmienie słońca, brało udział stosunkowo niewielu Rzymian, ponieważ był on jedynie próbą zamordowania przywódcy jednego ze stronnictw przez członków innej frakcji. Jednak trzy lata później

wybuchła prawdziwa rewolta. W związku z wyjątkowo młodym wiekiem Benedykta, będącego jedynie biernym narzędziem w rękach rodziny, prawomocność „wyboru” stała się kpiną. Jednocześnie młodość papieża chroniła jego urząd przed pohańbieniem rozkoszami cielesnymi. Dojrawszy, Benedykt dowiódł jednak, że jest nieodrodnym synem rodu Teofilaktów.

Późniejsze legendy opowiadają, że sprzymierzył się z diabłem. W pałacu Benedykta znaleziono podobno księgi o czarnej magii, a wieśniacy przysięgali, że widzieli, jak młody papież w nocy rozmawia z demonami. Podobne legendy krążące na temat Sylwestra wzięły się z ignorancji prostaczków, oglądających chemika i astronoma przy pracy. Plotki dotyczące Benedykta miały prawdopodobnie źródło w zazdrości. Piekielnych mocy używał papież w jednym celu – dla zdobywania kobiet; a przynajmniej tak zdawało się Rzymianom. Zapomnieli o dzielących ich różnicach, aby pozbyć się szalonego młodzieńca.

Benedykt ponownie uciekł z miasta. Tym razem jednak, zamiast błąkać się w oczekiwaniu, aż niepokoje opadną, papież miał cel, który chciał zrealizować. W Niemczech pojawił się kolejny wielki władca, Konrad II, który jak jego poprzednicy pragnąc korony cesarskiej, ruszył na południe, do Rzymu. Zatrzymał go opór, na który natknął się w Lombardii, gdzie na czele wojsk stanął arcybiskup Mediolanu. Podczas gdy Konrad gotował się, by zgnieść przeciwnika, Benedykt pośpieszył w stronę jego obozu wraz z garstką popleczników.

Niewiele jest obrazów bardziej absurdalnych i niedorzecznych niż widok owego osiemnastoletniego papieża, który w drodze na północ uroczyste przewodził zebraniom dojrzałych, uczonych mężów, nadawał przywileje i wygłaszał sądy. Ci, którzy zabiegali o łaski Benedykta i znosili jego dziecinną arogancję, nie zapominali ani na chwilę, kto za nim stoi. Wszyscy wiedzieli, że działaniem rozległej i czcigodnej maszyny Kościoła rzymskiego zawiaduje – nawet jeśli czasem zdarzają się problemy – wysoko urodzony rozbójnik ze Wzgórz Albańskich.

Nawet w tych warunkach urząd papieski znajdował się w centrum zachodniego świata. Kilka lat wcześniej Kanut II, twardy jak kamień, lecz pobożny władca Anglii, który przybył do Rzymu za pontyfikatu wuja Benedykta, napisał do swoich poddanych pełen uniesienia list. W słowach ekstazy podsumował w nim cześć, jaką czuli mieszkańcy Europy wobec miasta-matki.

Byłem ostatnio w Rzymie, aby modlić się o wybaczenie grzechów, o bezpieczeństwo moich ziem i ludzi, którymi władam; oddawałem cześć i uwielbienie zgodnie z moimi pragnieniami. Byłem tym pilniejszy, że dowiedziałem się od mądrych ludzi, iż św. Piotr otrzymał od Boga moc łączenia i rozdzielania, i że to on dzierży klucze do królestwa niebieskiego.

Panujący biskup Rzymu i św. Piotr byli jednym, a oczy wiernych nie dostrzeżały występujących czasem między tymi osobami sprzeczności. Żaden świecki monarcha, jakkolwiek byłby potężny i pełen zalet, nie mógł doczekać się głębokiego szacunku, jakim otaczano następcę św. Piotra i dziedzica starożytnej

stolicy świata – nawet jeśli ten na szacunek nie zasługiwał. „Zgromadzili się tam możni”, opowiadał dalej Kanut. „Rozmawiałem z samym cesarzem i z najwyższym papieżem, i z możnymi, którzy tam byli, o oczekiwaniach mojego ludu, zarówno Anglików, jak i Duńczyków”¹⁸. Choć stary i niedołączy, Rzym nadal pozostawał głównym miejscem spotkań mieszkańców Europy. Mimo swych oczywistych wad Benedykt IX był jedynym żywym następcą św. Piotra.

Konrad II także o tym wiedział, toteż pokłonił się przed papieżem, szydząc jednocześnie z młodzika. Niemieckie nadzieje stworzenia nowego Miasta Boga, w którym świętego papieża strzec będzie czcigodny cesarz, były uśpione, lecz czas ich przebudzenia jeszcze nie nadszedł. Panowie na Tuskulum stawali po stronie cesarza, jeśli tak im było wygodniej, a Konrad patrzył przez palce na grzeszki papieża tak długo, jak długo mógł liczyć na wsparcie Tuskulańczyków. W rewanżu za obietnicę natychmiastowej pomocy Benedykt ekskomunikował arcybiskupa Mediolanu, po czym powrócił do Rzymu w eskorcie Niemców.

Przez kolejne dwa lata mógł cieszyć się swym panowaniem w stosunkowym spokoju. W tym czasie zdawało się, że na tronie piotrowym zasiada znowu Jan XII – gwałty i morderstwa powróciły na ulice miasta, a to, co zostało z bogactw papieżstwa, było trwonione na usługi prostytutek, wystawne uczyty i utrzymanie prywatnych armii. Niemcy opuścili Rzym, stronnictwa starły się zaciekle, a Benedykt uciekł – tym razem tylko do Tuskulum, gdzie przyczaił się pod opiekuńczymi skrzydłami wuja. Podczas jego nieobecności po godność papieską sięgnął kolejny hierarcha-możnowładca – Jan, biskup Wzgórz Sabińskich, który miał czelność przyjąć wspianiale imię Sylwester. Panował przez trzy niespokojne miesiące, by uciec do swoich ziomków ze Wzgórz Sabińskich, gdy do Rzymu na czele bandy Tuskulańczyków powrócił Benedykt.

Na obronę swego przedziwnego trybu życia Benedykt mógłby powiedzieć, że to nie on zdecydował, że chce być papieżem – wybór narzuciła mu rodzina. Z pewnością zapłacił olbrzymią cenę za swoje niewymyślne przyjemności. Gdy się nimi cieszył, jego życie wciąż wisiało na włosku. W okresie tuskulańskiego wygnania postanowił, że pozbędzie się zaszczytu, który mógł kosztować go życie. W Rzymie uważano powszechnie, że zmuszono go do tej decyzji – chciał się ożenić, ale ojciec dziewczyny, choć przywykł już do pokazów deprawacji papieża, udaremnił ten zamiar. Benedykt może dostać jego córkę, powiedział, ale dopiero wtedy, gdy zrzeknie się swego urzędu.

Benedykt był gotów to zrobić, choć nie chciał się pogodzić z utratą dochodów przynależnych jego stanowisku. Ci z jego poprzedników, których strącono z tronu piotrowego, zazwyczaj zanim uciekli z Rzymu, rabowali Bazylikę św. Piotra. Jednak skarbiec bazyliki od dawna już świecił pustkami. Jeśli Benedykt chciał zdobyć pieniądze, musiał sprzedać przyszłe dochody papieżstwa – czyli sam urząd papieski. Znalazł nabywcę w osobie swego ojca chrzestnego, Giovanniego Gratiano, kapłana czcigodnego kościoła pod wezwaniem św. Jana przy Porta Latina. Cena, jaką ustalili, wynosiła 750 kilogramów złota.

Na Benedykta przypuszczali zjadliwe ataki zarówno przyjaciele, jak i wrogowie papieżstwa. Umowa z Gratianem lepiej niż najzjadlejsze oskarżenia pokazywała, jak bardzo upodlił on godność następców św. Piotra. Gratiano był wykształconym, dobrym chrześcijaninem i uczciwym człowiekiem. Niektórzy przypisywali mu prostotę i naiwność graniczące ze zidioceniem. Pieniądze, owe 750 kilogramów złota, pochodziły z jego własnej kieszeni; w istocie zgromadził je w zbożnym celu wyremontowania najbardziej zaniedbanych spośród rzymskich kościołów. Gratiano powążył się na najwyższe świętokradztwo i ostatecznie upokorzył papieżstwo w przekonaniu, że chroni szacowny urząd przed gorszym losem.

Tak przynajmniej wierzyli co rozsądniejsi z jego współczesnych. Gratiano nie działał sam i nie brakowało mu kompetentnych doradców. Jego dwaj najwierniejsi sojusznicy, mnich Hildebrand i pustelnik Piotr Damian, mieli później odegrać główne role w polityce europejskiej. Obaj należeli do rosnącego grona zwolenników reformacji dotkniętego korupcją Kościoła, choć każdy szedł do swego celu inną drogą. Hildebrand wybrał tradycyjną drogę zakonnika, by na koniec, jako papież, podjąć się ogromnego zadania zreformowania stanu duchownego nie tylko Rzymu, ale także całej Europy. Damian wyrażał swój protest i krytykę tak, jak czyniono to w dawniejszych czasach – został pustelnikiem, który ze swej nietykalnej celi chłostał i piętnował słowem zdeprawowany kler.

Wsparcie ze strony Hildebranda, w owym czasie młodego i mało znanego, miało niewielką wartość. Jednak Piotr Damian zdobył już w całej Europie sławę świętego męża, obdarzonego ostrym językiem. Odważnie poparł czyn Gratiana, choć w liście z gratulacjami w celu wyrażenia aprobaty dla niespotykanego aktu symonii użył osobliwego argumentu: „Niech Szymon, fałszerz pieniędzy, nie bije więcej na dworze swoich oszukańczych monet. Chciwość tych, którzy pragną biskupstwa [Rzymu], musi zostać poskromiona, a stoły zmieniających pieniądze przewrócone”¹⁹.

Giovanni Gratiano rozpoczął swój pontyfikat w maju 1045 roku, przybierając imię Grzegorz VI. Benedykt, który obiecał pozostawić go, by mógł się cieszyć swym urzędem, udał się na Wzgórza Albańskie. Jego aktualny status budził wątpliwości. Papież mógłby być może abdykować, ale czy może sprzedać tron papieski? Czy ta niewyobrażalna zbrodnia symonii zniosła jego autorytet w chwili, w której się dokonała, co oznacza, że – paradoksalnie – pozostał nadal papieżem? Sytuacja nie miała precedensu, na którym można by się oprzeć. Ale Grzegorz i tak nie mógł oddać się w spokoju rozważaniom nad statusem swojej duchowej władzy.

Rzym i Państwo Kościelne ogarnęła anarchia, a papież nie potrafił przywrócić porządku na obszarze, do którego zgłaszał pretensje jako najwyższy władca. Zabrakło nawet pieniędzy na codzienne funkcjonowanie dworu.

Papież Grzegorz zastał rzymski pontyfikat tak osłabiony – za sprawą zaniedbań poprzedników – że, poza kontrolą nad kilkoma najbliższymi miastami i poza datkami

wiernych, prawie nic przy nim nie pozostało. Miasta i włości Kościoła, oddalone od Rzymu, plądrowali rabusie. Na publicznych drogach w całej Italii roiło się od złoczyńców, tak że pielgrzymom zapewnić bezpieczeństwo mogła jedynie silna straż²⁰.

Pielgrzymi nie mogli się czuć bezpieczni nawet po przybyciu do Rzymu. Przyzwyczaili się już do tego, że zachłanni mieszkańcy miasta oszukują ich i wykorzystują – ale teraz Rzymianie przemocą odbierali im dary, przeznaczone na ołtarz apostoła. Stronnictwa, wciąż dzielące się i łączące na nowo, niczym nie różniły się od grup bandytów. W tych warunkach Grzegorz musiał zająć się pilnowaniem porządku jak zwykły kapitan milicji – z własnej kieszeni płacił żołnierzom, aby czuwali nad spokojem w mieście. Zyskał sobie tym powszechną nienawiść, bowiem jego najemnicy okradali wszystkich bez wyjątku.

Zadanie Grzegorza byłoby trudne, nawet gdyby posiadał władzę absolutną, za którą zapłacił, stało się zaś niemożliwe do wykonania, gdy do Rzymu powrócili jego dwaj rywale. Benedykt, być może zawiedziony swoim romansem, a może odkrywszy, że nawet papierowy papież może zdobyć więcej pieniędzy niż rabuś-arystokrata, zapragnął kontynuować pontyfikat. Tak zwany Sylwester III także wkroczył do miasta, otoczony gromadą uzbrojonych współplemieńców. W 20 miesięcy po tym, jak Giovanni Gratiano kupił tron piotrowy, w Rzymie rządziło trzech papieży, każdy zbyt słaby, by pozbyć się pozostałych, każdy głoszący, że jedynie on piastuje klucze do bram nieba.

Wreszcie Rzymianie się zbuntowali – nie działali gwałtownie, jak to mieli w zwyczaju, lecz trzeźwo i na zimno. Grupa mieszkańców miasta i księży udała się do cesarza, by oddać mu – całkowicie i z własnej woli – prawa do miasta, których ich przodkowie tak zazdrośnie strzegli przez pokolenia. W zamian za to poprosili, by cesarz oczyścił chlew, jakim stał się Rzym, dokonując tego, czego wielokrotnie podejmowali się jego poprzednicy. Tym razem Rzymianie i cesarz mieli działać zgodnie.

Cesarz przybył do miasta i 20 grudnia 1046 roku przewodniczył synodowi, który zdecydował o losie trzech papieży. Tylko dwóch z nich przebywało wówczas w Rzymie, ponieważ Benedykt usunął się do Tusculum, gdy tylko cesarz wkroczył do Włoch. Absurdalny niby-papież Sylwester III nie stanowił problemu – w rzeczywistości nigdy nie był papieżem, więc uczestnicy synodu mogli go od razu potępić i uwięzić. Nie można było jednak w ten sam sposób potraktować Grzegorza VI. Działał w dobrej wierze i mógłby godnie pełnić obowiązki papieża. Jednak Rzymianie, zarówno świeccy, jak i duchowni, chcieli jasnej sytuacji. Grzegorz walczył dzielnie, lecz w końcu musiał przyznać, że zła nie można wypłenić złem. Złożywszy swój urząd, udał się na wygnanie do Niemiec w towarzystwie zawsze lojalnego Hildebranda.

W ten sposób na scenie pozostał jedynie Benedykt. Trzy dni później pozbawiono go jego godności zgodnie z przepisami prawa kanonicznego – co oznaczało, że przez cały czas trwania pontyfikatu Grzegorza Benedykt był papieżem – po czym wybrano nowego papieża, którego nominował cesarz.

Złożenie Benedykta z urzędu było łatwe, ale wprowadzenie tej decyzji w życie przedstawiało już trudności. Młody człowiek miał przykład w postaci swego słynnego kuzyna Jana. Kiedy tylko wojska cesarza wycofały się z Italii, Benedykt wrócił do Rzymu, licząc na niechęć Rzymian wobec „obcego” papieża. Nastroje antycesarskie były silne na tyle, by zapewnić mu osiem miesięcy chwiejnego panowania. Gdy jednak w lipcu 1048 roku cesarz Henryk III osobiście wkroczył do miasta, nieliczni poplecznicy, którzy pozostali przy Benedykcie, opuścili go ostatecznie. Benedykt uciekł po raz ostatni, tym samym przechodząc z dziedziny historii w krainę legend. Nikt nie wiedział na pewno, kiedy i gdzie umarł. Piotr Damian zapisał opowieść, jakoby po śmierci Benedykta widziano pod postacią potwora, pół niedźwiedzia, pół osła, skazanego na błąkanie się po Ziemi aż do dnia sądu ostatecznego. Inna, bardziej łaskawa plotka głosiła, że odpokutował za swe czyny, wstąpił do klasztoru i zakończył życie jako pokorny chrześcijanin.

Śmierć Benedykta skruszyła wreszcie uścisk, w jakim ród Teofilakta od prawie 150 lat trzymał papieństwo. Brat Benedykta, aktualny pan Tuskulum, próbował jeszcze raz osadzić na tronie papieskim Tuskulańczyka – i rzeczywiście udało mu się to, lecz tylko na kilka miesięcy. Czasy się zmieniły. Pod wodzą Hildebranda Włosi i Niemcy zjednoczyli się, żeby złamać tę ostatnią zuchwałą próbę. Przedziwny przypadek Benedykta paradoksalnie podziałał na korzyść papieństwa – ogrom zepsucia, jaki towarzyszył temu urzędowi, wywołał potężną i pełną niechęci reakcję. W takiej atmosferze potęga Świętego Cesarza Rzymskiego mogła posłużyć reformie, zamiast zużywać się w jałowych walkach z Rzymianami. Chronione przez cesarski miecz papieństwo zmieniło kształt i dokonało reform w najważniejszych kwestiach. Prawo wybierania papieża, odebrane Rzymianom, przeszło w ręce nowo utworzonego Kolegium Kardynałów. Tak powstał zamknięty cykl przekazywania władzy.

Kiedy papieństwo stanęło na własnych nogach, okazało się, że potęga, która go strzegła – kiedy rozwiązywało swoje wewnętrzne problemy – jest jego jedynym rywalem w Europie. Papieństwo postanowiło więc pokonać rywala i odniosło sukces. W 1077 roku w Kanossie mnich Hildebrand, już jako papież Grzegorz VII, dosłownie rzucił cesarza na kolana. Choć Grzegorz musiał osobiście zapłacić za to upokorzenie, jego następcy wyciągnęli z niego wielkie korzyści. Pod koniec XII wieku cesarz był tylko cieniem, a papież sięgnął po władzę nad całym światem.

III

Pan Europy

Benedetto Gaetani

Papież Bonifacy VIII (1294–1303)

Wielka odmowa

Czwartego lipca 1294 roku dziewięciu zmęczonych, upartych ludzi spotkało się na konklawe – tak, jak robili to już od 18 miesięcy. Kiedy w 1292 roku zmarł panujący papież, było ich 12, ale nawet to niewielkie Święte Kolegium uległo podczas przedłużających się obrad uszczupleniu. Dawny przewodniczący kolegium zmarł, inny kardynał leżał zmożony ciężką chorobą, a trzeci opłakiwał śmierć brata.

Konklawe odbywało się nie w Rzymie, lecz w Perugii, ponieważ Wieczne Miasto dotknęła zaraza. Kiedy wybuchła, większość kardynałów uciekła, by szukać chłodu i zdrowego powietrza w górskich miejscowościach. Jednak rzymscy kardynałowie, świadomi, że źródłem ich potęgi jest miasto, pozostali, dla politycznej korzyści godząc się z żarem i dusznym smrodem ogarniętego zarazą Rzymu. Pojawiła się groźba schizmy, gdyż ci, którzy nie opuścili miasta, twierdzili, że tylko oni tworzą prawdziwe konklawe. Wreszcie, w październiku 1293 roku, zgodzili się dołączyć do swoich towarzyszy w Perugii, posępnym, otoczonym murami mieście na wysokim wzgórzu.

Kardynałowie spotykali się nieregularnie przez całą zimę tego roku. Wiosną przybył Karol II Andegaweński, król Neapolu, wątpliwy sprzymierzeniec Kościoła, który nieledwie grożąc, ponaglił ich, by położyli kres tej skandalicznie przeciągającej się zwłoce. Kardynałowie łamali prawo, wprowadzone 20 lat wcześniej w celu zapobieżenia takim właśnie przypadkom. Konklawe, rozpoczęte w 1271 roku, trwało trzy pełne intrygi i zamętu lata. Udało się je zakończyć dopiero wtedy, gdy mieszkańcy Rzymu zerwali dach z pałacu, w którym odbywały się obrady. Wydano wówczas prawo, zgodnie z którym podczas następnych konklawe kardynałowie mieli być zamykani, a codzienne racje jedzenia zmniejszane, póki nie ustalą werdyktu. Jednak, jak zarzucał rozeźlony król Karol, kardynałowie zawsze przedkładali wygodę nad obowiązek. Zawiesili „straszliwe prawo” – jak je nazywali – i nadal prowadzili swoje niekończące się spory.

Zarzuty króla spotkały się z gwałtownym wybuchem ze strony Benedetta Gaetaniego, który spośród wszystkich członków kolegium w sposób najbardziej

otwarty umiał wyrazić swoje zdanie – wybór nowego papieża to sprawa kardynałów. Nawet jeśli mieliby siedzieć tutaj całą wieczność, nikt nie ma prawa wywierać na nich nacisku. Świat chrześcijański może czekać – kardynałowie dokonają wyboru w takim czasie i w taki sposób, jakie uznają za stosowne. Rozwścieczony Karol odjechał, a konklawe trwało, trwało i trwało, tydzień po tygodniu, przez całą wiosnę i wczesne lato, aż wreszcie zaczęło się wydawać, że nigdy się nie skończy.

Zdawałoby się, że 11 ludzi powinno dość łatwo dojść do porozumienia. Jednak uczestnicy konklawe sympatyzowali lub należeli do dwóch rywalizujących ze sobą rzymskich rodzin, Colonnów i Orsinich. Wewnątrz kolegium kontynuowali walkę stronnictw, w której wyniku na ulicach miasta padł już niejedyn trup. Ostatni papież pochodził z rodu Orsinich, a Orsini nie mogli znieść myśli o utracie władzy. Jednocześnie Colonnowie nie chcieli pozwolić, by rywale znów sięgnęli po urząd papieski. Przedstawiciele dwóch sławnych rodów ścierali się przez kolejne miesiące. Ich siły były zbyt wyrównane, by przechylić szalę na jedną ze stron.

Neutralni członkowie kolegium krążyli niezdecydowanie pomiędzy stronnictwami. Niektórzy, jak Gaetani, mieli w tym swój cel, inni obawiali się wesprzeć jedną stronę, by nie narazić się na wrogość drugiej. Na próżno przewodniczący zgromadzenia, stary i schorowany Latino Malabranca, nawoływał, by koledzy zapomnieli o rodzinnych interesach. Tylko głupiec, mówił, chciałby wziąć na siebie ciężar tiary. „Czasy były diabelskie”. Arabowie odzyskali Akrę i Trypolis, królowie Francji i Anglii toczyli wojnę, która zagrażała jedności chrześcijaństwa. Należącej do Kościoła Sycylii zagrażali niecywilizowani mieszkańcy Hiszpanii. Nikt nie słuchał słów Malabranci. Narody Europy mogły uważać tron piotrowy za niedosiężny i niemal boski urząd, ale kardynałowie widzieli w nim tylko to, czym był w rzeczywistości – najcenniejszą zdobycz dla jednej z rzymskich rodzin.

Tego szczególnego dnia kardynałowie spotkali się po raz kolejny. Siedzieli w ciężkim lipcowym upale i, gdyby wszystko potoczyło się jak zwykle, niedługo wstaliby i rozeszli się do swoich pałaców, aby zmyć z siebie pot i zmęczenie, zjeść obiad i zebrać siły przed kolejnym starciem. Wszystkie argumenty zostały już użyte, wszystkie możliwe groźby padły i zostały odparte. Żaden z kardynałów nie mógł liczyć na to, że uzyska 2/3 głosów, niezbędne, by wybrano go na papieża. Wydawało się, że muszą się zbierać znowu i znowu, w nużącej duchocie lata, w deszczowe dni kolejnej jesieni, w mgliste i chłodne dni zimy. Kardynałów, którzy tego poranka brali udział w pogrzebie brata Napoleona Orsiniego, ogarnęła niezwykła powaga. Cień śmierci dotykał nawet tak wyrafinowanych ludzi. Niekończące się rozmowy o polityce ucichły. I wtedy właśnie Latino Malabranca powiedział – zwracając się do wszystkich – że otrzymał od świętego pustelnika list najwyższej wagi, przepowiadający im boską zemstę, jeśli papież nie zostanie wkrótce wybrany.

Kardynałowie nie czuli się w obowiązku podjąć temat – w ciągu ostatniego roku nie brakowało świętych proroków ani wieści o potępieniu i zagładzie. Benedetto Gaetani uśmiechnął się i rzucił sarkastycznie: „Przypuszczam, że to jedna z wizji twojego Piotra z Morone”¹.

Wszyscy wiedzieli, że Malabranca był uczniem Piotra z Morone, świętego człowieka, który wieszał swój kaptur na promieniu słońca, a gdy się modlił, nad jego głową dźwięczał niewidzialny dzwon. Zirytowany Malabranca przyznał, że list rzeczywiście przysłał Piotr. Rozmowa – wciąż jeszcze spokojna – zesłała na osobę słynnego pustelnika z Monte Morone.

Piotr z Morone bardziej przypominał anachoretów, żyjących w pierwszych wiekach Kościoła niż trzynastowiecznego chrześcijanina. Choć kochał samotność i unikał ludzi, znalazł jednak czas, by założyć zakon pod wezwaniem Świętego Ducha, którego popularność i liczebność wciąż wzrastały. Co prawda spirytualiści otrzymali oficjalne błogosławieństwo, lecz bardziej konserwatywni ludzie Kościoła patrzyli podejrzliwie na ich umiłowanie ubóstwa i prostoty, graniczące z fanatyzmem. Sam Piotr doczekał się – całkiem niepożądaną – sławy i większość czasu spędzał na uciekaniu przed hordami pielgrzymów i przenoszeniu się z jednej góry w Abruzzach na inną. Obecnie przebywał w pustelni na zboczu Monte Morone, skąd wysłał swój list do Malabranki.

Rozmowa stawała się coraz bardziej ożywiona. Kardynałowie przytaczali legendy o Piotrze, niektórzy, być może, z ukrytą kpina, inni z prawdziwym przekonaniem. Nagle Malabranca powiedział głośno: „W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, wybieram brata Piotra z Morone”².

Wydawało się to rzeczą wprost fantastyczną, jakby cudowną demonstracją doktryny, zgodnie z którą to Duch Święty przemawia przez usta zgromadzonych na konklawe kardynałów. W przeszłości jego obecność objawiała się w dość kłopotliwy sposób, ale teraz wybór był jasny i jednogłówny. Święty człowiek, we wszystkim, co czynił, oddany Duchowi Świętemu, został wybrany spontanicznie. Pięciu kardynałów natychmiast na to przystało. Ich motywacje – inaczej niż w przypadku Malabranki – mogły być różne, chociaż Colonna twierdził, że do wybrania Piotra skłoniła ich wyłącznie „sława jego świętości”. Tak czy inaczej, nawet jeśli mieli różne motywacje, ich decyzja przełamała patową sytuację, nie dając jednocześnie przewagi żadnej z walczących rodzin. Orsini poszedł w ślady Colonna.

Podobnie postąpił Benedetto Gaetani. To właśnie jego uszczypliwe pytanie pośrednio doprowadziło do wybrania Piotra, czego Gaetani ani się nie spodziewał, ani nie pragnął. Przez 18 miesięcy ten arogancki, zimny człowiek celowo przedłużał obrady, odmawiając oddania głosu na przedstawiciela jednego z dwóch głównych stronnictw. Był spokrewniony – choć niezbyt blisko – i z Colonnami, i z Orsinimi, miał więc powody przypuszczać, że konklawe, nie mogąc dokonać wyboru pomiędzy nimi, zwróci się ku niemu. Jednak kardynałowie, zdawałoby się, ulegli zbiorowemu szaleństwu.

Mimo to zagłosował tak, jak pozostali. Piotr z Morone był starcem dobrze po osiemdziesiątce, więc jego pontyfikat – z natury rzeczy – nie powinien trwać długo. Gaetani liczył sześćdziesiąt kilka lat i, poza nękającymi go podagrą i kamicią nerkową, nie narzekał na zdrowie. Miał jeszcze wiele czasu, żeby osiągnąć to, co zamierzał.

Zawyczał po obraniu papieża zawiadomienie go o tym nie przedstawiało trudności, ponieważ, jeśli nawet nie było go w tym samym pomieszczeniu, z pewnością, niespokojny, czekał na werdykt konklawe gdzieś w pobliżu. Jednak człowiek, którego tym razem wybrał Duch Święty, przebywał w górskiej jaskini, w odległości ponad 200 kilometrów. Zgodnie z protokołem kardynałowie powinni czekać na niego z nowinami i przyjąć jego formalną zgodę. Dość im było jednak podjąć jedną impulsywną decyzję. Męcząca podróż do samotnej jaskini wśród skał, w której żył Piotr, byłaby poniżej godności ksiąząt Kościoła. Zadanie przekazano duchownym stojącym niżej w hierarchii, z których jeden, Jacopo Stefaneschi, pozostawił nam relację z tego wyjątkowego wydarzenia.

Po trwającej pięć dni, nużącej wyprawie wysłannicy dotarli na miejsce, by ujrzeć, że ktoś ich wyprzedził. Karol, król Neapolu, nie poczytując tego za poníženie, osobiście oczekiwał na nowo obranego papieża, powodowany mniej pobożnością, a bardziej względami politycznymi. Piotr z Morone był jego poddanym – jak się nagle okazało, bardzo ważnym poddanym.

Wysłannicy kardynałów i orszak królewski, zerkając na siebie podejrzliwie, zaczęli się wspinać do pustelniczej celi Piotra. Gdy ciągnęli w górę zbocza, pocąc się z wysiłku w wytwornych szatach, dołączył do nich kolejny przybysz z Perugii. Kardynał Pietro Colonna najwyraźniej przemyślał sprawę i zrozumiał, że zostając w mieście, zachowa godność, ale straci być może szansę skorzystania z zamętu pierwszych godzin pontyfikatu papieża-prostaczka. Kardynał wolał być w tym czasie na miejscu, zanotował Stefaneschi. Następnie porzucił natrętnego kardynała i zajął się opisywaniem niezwyklej sceny, która rozegrała się przed jego oczami, gdy dotarł do pustelni Piotra z Morone.

Piotr wybrał sobie jaskinię, położoną na zboczu niegościnnej góry na wysokości ponad 300 metrów. Jego nieoczekiwani goście musieli stłoczyć się na wąskim spłachetku równego gruntu, zakończonym ostrym spadkiem. Wieść o zbliżającym się orszaku napełniła Piotra nie tyle konsternacją, ile autentycznym przerażeniem. Chciał uciec jeszcze dalej, do odleglejszej kryjówki, lecz jego uczniowie, lepiej niż mistrz zorientowani co do możliwych korzyści, przekonali go, by został. Stefaneschi zobaczył go za kratami celi, z wychudłą twarzą i powiekami spuchniętymi i poczerniałymi od płaczu. Wydawało się, że z trudem rozumie, co się do niego mówi. Kiedy wiadomość wreszcie do niego dotarła, rzucił się na ziemię i modlił. Na koniec wstał i z ogromnym wahaniem i oporem przyjął swoją nową godność.

Powyższa scena mogłaby stać się tematem jednej z modnych w owym czasie alegorii. Oto władca królestwa ziemskiego wraz ze swymi synami i dworem

oraz książę Kościoła i wysocy dostojnicy padali na skrawku skały przed świętym prostakiem, aby ucałować jego chodaki i pozdrowić go jako najwyższego kapłana. Zanim uformowali procesję, u podnóża góry Morone zgromadziły się już setki pielgrzymów, pragnących na własne oczy ujrzeć nowy cud. Śpiewając pieśni triumfu, świeccy i duchowni zeszli w dolinę – i tam ich krótkie porozumienie się zakończyło.

Wysłannicy kardynałów chcieli skierować się na północ, do Rzymu, kiedy tylko starzec będzie w stanie podróżować. Król Neapolu nie zamierzał jednak tak łatwo wypuścić z rąk swojej cennej zdobyczy. Nowy papież miał pozostać w jego królestwie, najlepiej w samym Neapolu, gdzie będzie można nim manipulować zgodnie z potrzebami. Duchowni wyrazili ostry sprzeciw, ale nie mogli nic zrobić, ponieważ sam Piotr odmówił udania się na północ. W tej jednej sprawie obstawał przy swoim. Całe życie spędził na południu i nic nie mogło go skłonić, by zaryzykował spotkanie z nieznanymi niebezpieczeństwami północy.

Skoro papież nie chciał przyjść do kardynałów, kardynałowie, z oporami i po jednym, przyszli do papieża. Jako ostatni przyszedł Benedetto Gaetani, świadom, że wkracza na ziemię króla, którego tak poważnie obraził w Perugii. Karol, wygrawszy batalię, postanowił jednak zapomnieć o sporze, wiedząc, jak ważna może być dla niego przyjaźń człowieka pokroju Gaetaniego. Król i kardynał się pogodzili.

Koronacja, podczas której Piotr z Morone przyjął imię Celestyn, odbyła się w Aquili 29 sierpnia. Dwieście tysięcy ludzi, wieśniaków i mieszkańców okolicznych miast, przybyło, by zobaczyć apoteozę Południa. Papież Celestyn V, ich rodak, dzięki wsparciu króla Neapolu mógł przywrócić potęgę i chwałę krainy od tak dawna uciskanej przez arogancką Północ. Nadzieje tysięcy zgromadzonych na koronacji wydały się potwierdzać w październiku, kiedy Celestyn ogłosił, że zamierza uczynić swą stolicą Neapol. Dowiedziawszy się o tym, Gaetani z furią wykrzyczał: „Idźcie za swoim świętym, ale beze mnie! Nie pójdę z wami i nie dam się więcej oszukiwać Duchowi Świętemu!”³. Świętokradztwo to nie przeszło niezauważone.

Mimo to Gaetani pojechał do Neapolu wraz z całym papieskim dworem. Na miejscu sytuacja, z początku przypominająca komedię, raptownie zmieniła się w farsę, a na koniec w tragedię. Celestyn wprowadził się do wspaniałego Castel Nuovo, twierdzy o pięciu wieżach, która jeszcze dziś góruje nad portem. Jego pierwszy rozkaz dotyczył zbudowania, w jednej z pięknych zamkowych komnat, drewnianej celi, w której ukrył się – jak pisał Stefaneschi – niby struś, który myśli, że jest niewidoczny i bezpieczny, jeśli wetknie głowę w piasek. Biedny staruszek był całkowicie zagubiony. Nie miał nic wspólnego z wyrafinowanym towarzystwem, w którym nagle się znalazł. Światowi i doświadczeni kardynałowie przeżalali pustelnika, który przez całe życie unikał ludzi. Nie potrafił nawet rozmawiać z nimi w języku przyjętym na dworze. Kardynałowie łaskawie porzucili więc swą wykwinną łacinę, zmuszeni porozumiewać się z papieżem-wieśniakiem

w miejscowym dialekcie włoskim, jednej mowie, jaką rozumiał. Jego zaufanymi i doradcami zostali oczywiście zwykli mnisi, których poznał w czasach, gdy był jednym z nich. Tylko w ich obecności nieszczęsny papież czuł się swobodnie.

Celestyn V ignorował całą działalność rozległej instytucji, na której czele teraz stał. Jedyny wyjątek czynił dla swoich towarzyszy ze wspólnoty zakonnej, którym przyznawał coraz to nowe przywileje. Starożytny zakon benedyktynów został pozbawiony nadań na rzecz półfanatycznych spirytuałów. Szczególnie ucierpieli benedyktyńscy mnisi z Monte Cassino. Postępowanie papieża zasiało ziarno nienawiści między zakonami. Na dwór w Castel Nuovo napłynęli łowcy posad, zwabieni perspektywą zdobycia stanowisk i innych korzyści. Celestyn nie miał pojęcia o wartości darów, które mógł teraz rozdawać. Zaskoczony głodem beneficjów przyznawał je zazwyczaj każdemu, kto o nie poprosił. Pozbawieni skrupułów urzędnicy kancelarii zaczęli przygotowywać bulle *in blanco* i sprzedawać je zainteresowanym, którzy sami wypełniali dokumenty. Wykwintne uczyty i przyjęcia, dawniej będące codziennością na papieskim dworze, zakończyły się. Nie na skutek oficjalnego zakazu, ale w sposób naturalny. Celestyn, który od dziesiątków lat wiódł żywot ascety, czuł się nie tyle obrażony, ile zadziwiony luksusem. Współcześni opisują go, jak błąka się od komnaty do komnaty, wzdychając za przestrzenią i wysokim niebem nad górą Morone, gryząc kawałek suchego chleba, który uważał za jedyny strawny pokarm.

Obranie papieżem zwykłego, prostego człowieka i wyniesienie go z górskiej jaskini wprost na najwspanialszy tron w Europie najpierw zadziwiło, a potem zachwyciło wiernych. Zdawało im się, że widzą, jak spełnia się jedno z proctw, które zapowiadały nadejście czasów nowego przymierza z Bogiem, kiedy maluczcy zaczną rządzić wszechpotężnymi. Jako papież, Celestyn znalazłby może miejsce we wcześniejszej epoce Kościoła, zanim machina władzy przerosła i zgmiotła ludzi, którzy ją stworzyli. W XIII wieku był anachronizmem, tak jak męczennik z I wieku naszej ery w ruinach Koloseum.

Nie minął miesiąc jego pontyfikatu, a Celestyn swoimi przypadkowymi darami i równie przypadkowym odbieraniem przywilejów dotychczasowym posiadaczom zdołał zmienić papieską biurokrację w chaos, który jego następcą – nie mogąc rozwikłać tej plątaniny interesów – mógł tylko uciąć. Zrozumiawszy, że nie nadaje się do sprawowania władzy, papież podjął próbę rozwiązania problemu przez powołanie swego rodzaju rady regentów, składającej się z trzech kardynałów. Na szczęście Święte Kolegium przekonało go, by porzucił niebezpieczny eksperyment, który dałby Kościołowi cztery głowy zamiast jednej. Niebawem jednak sytuacja stała się zbyt poważna, by ją tolerować, gdyż Celestyn zaczął uciekać i chować się przed zbyt ciężkimi dla niego obowiązkami.

Jego życia nie ułatwiała świadomość, że w jakiś sposób zdradza tych, których kochał – braci spirytuałów, którzy powitali jego koronację jako jutrzeńkę nowego wieku miłości. Ich rzecznikiem był Jacopone da Todi, niegdyś poeta i grzesznik,

a wówczas już pół święty, pół fanatyk, w naśladowaniu św. Franciszka posuwający jego ascetyzm do ekstremum. Ze swej celi Jacopone kierował dobitne ostrzeżenia do swego dawnego mistrza, który teraz nie mógł znaleźć sobie miejsca między cynicznymi światowcami: „Strzeż się łowców urzędów, ludzi o sprawnych, lecz złych językach. Przede wszystkim zaś strzeż się gniewu Boga, jaki z pewnością spadnie na tego, kto zlekceważy bezcenną szansę naprawy świata”⁴.

Celestyn był w niezwykle trudnej sytuacji. Z jednej strony ludzie, którym dał nowy zakon i nową nadzieję, nakłaniali go, by rozpoczął na ziemi rządy miłości. Z drugiej cynicy, twardzi jak skała biurokraci z papieskiego dworu wykorzystywali go do własnych celów albo starali się zmusić go, by całkowicie zmienił siebie i swoje życie. Jako trzeci naciski wywierał na niego król Karol, który spodziewał się konkretnej nagrody za udzieloną Celestynowi protekcję. Papież posłusznie wprowadził do Świętego Kolegium wielu nominowanych Karola. Jednego z nich uczynił kardynałem dość przypadkowo – „po obiedzie”, jak zanotował z oburzeniem inny kardynał. Siedmiu z nowych kardynałów było Francuzami, gdyż Karol, pochodzący z rodu Andegawenów, zawsze dbał o utrzymanie dobrych stosunków z Francją. Święte Kolegium, grono mające wyłączne prawo wybierania nowego papieża, składało się teraz wyłącznie z Francuzów i Włochów. Był to pierwszy wyraźny znak nadchodzącej schizmy.

Nikt nie potrafi teraz stwierdzić, kiedy i pod wpływem jakiego wydarzenia lub czyjej rady Celestyn V zaczął myśleć o abdykacji. Colonnowie rozpuszczali plotkę, jakoby Benedetto Gaetani zasiał w jego duszy ziarno zwątpienia, umieszczając w celi papieża ukrytą tubę, przez którą w nocnej ciszy przemawiał jako wysłannik niebieski, ostrzegając, że albo abdykuje, albo pochłonie go ogień piekieł. W tę historię uwierzył między innymi Dante, który, kiedy Gaetani wywalczył sobie miejsce na tronie piotrowym, oskarżył go, że zdobył je oszustwem.

Było oczywiste, że w tak poważnej sprawie jak abdykacja Celestyn zwrócił się do znawcy praw o sławie i prestiżu Gaetaniego. Precedensy przedstawiały się niejasno i kojarzyły się nieprzyjemnie. Jeden z nich wiązał się przecież ze sprzedaniem urzędu papieskiego, do którego doszło 150 lat wcześniej. Latino Malabranca, pierwszy sojusznik Piotra i jedyny człowiek, który mógłby udzielić mu bezinteresownej i kompetentnej porady, już nie żył. Pomiędzy frakcjami istniejącymi w Kolegium Gaetani był przynajmniej neutralny – nawet jeśli tylko z tej przyczyny, że myślał wyłącznie o swoich planach.

Niezależnie od tego, z czyjej strony wyszła inicjatywa, od chwili gdy Celestyn podjął decyzję, to Gaetani prowadził go przez mielizny polityki i prawa. Nowina o abdykacji przedostała się do opinii publicznej i wzbudziła wielki zamęt. Współbracia Celestyna, wiedząc, że rezygnacja ich mistrza nie tylko położy kres oczekiwanemu od dawna panowaniu miłości, ale także pozbawi ich

nowych przywilejów, podburzyli mieszkańców Neapolu. Także Karol, z własnych powodów, naciskał na starca, żeby zmienił zdanie. Idąc za wskazówkami Gaetaniego, Celestyn udawał, że rozważa ponownie swoją decyzję. Tymczasem machina prawa już działała. Zaledwie 15 tygodni po swojej koronacji, 13 grudnia, Celestyn V zwołał kardynałów na ostatni – jak się miało okazać – konsystorz. Prawdopodobnie Gaetani jako jedyny wiedział, co się zdarzy.

Blady, drżący, lecz wreszcie zdecydowany, stary człowiek odczytał przygotowany przez Gaetaniego akt rezygnacji z urzędu. W pełnej zaskoczenia ciszy powoli zszedł ze stopni tronu i własnymi rękami zdjął wspaniałe szaty, które dla niego symbolizowały nie władzę, lecz więzienie. Wyszedł z sali, by wrócić za kilka chwil, już w grubym, szorstkim okryciu, do którego przywykł.

Tak skończył się wielki eksperyment miłości. Większość kardynałów – nawet jeśli nie byli wcześniej tak nierozsądni, by, jak Gaetani, oskarżać Ducha Świętego o oszustwo – przyjęła decyzję Celestyna z ulgą. Poza kolegium reakcje wahały się od współczujących i świadczących o zrozumieniu do okrutnych. „W dniu świętej Łucji papież Celestyn zrezygnował z papiestwa – i dobrze zrobił”⁵, brzmiał być może najprzychylniejszy z komentarzy. Dopiero Dante skojarzył postać złamanego życiem starca z hańbą, która miała stać się wyrokiem historii. Poeta umieścił Celestyna co prawda nie w piekle, lecz w jego najbliższych okolicach, wraz z tymi, którzy nie byli ani przyjaciółmi, ani wrogami Boga, gdyż brakowało im odwagi lub namiętności, by opowiedzieć się po stronie dobra lub zła. Pomiędzy nimi Dante wymienił człowieka, „co z trwogi wielką skaził się odmową”⁶.

Dziesięć dni po abdykacji Celestyna konklawe zebrało się i po upływie 24 godzin ogłosiło papieżem Benedetta Gaetaniego, który przyjął imię Bonifacy VIII.

Zjednoczenie

Nowy papież miał nieco ponad 60 lat, a jego wybór stanowił logiczne zwieńczenie kariery, w której dowiódł swej kompetencji i energii. Dysponował ponadczterdziestoletnim doświadczeniem, wyniesionym z ośrodka papieskiej polityki, doświadczeniem nabytym nie tylko w klaustrofobicznej atmosferze Rzymu, lecz również w przepychankach personalnych podczas misji poselskich do różnych krajów. Jako młody 30-letni kapłan przebywał w Anglii w otoczeniu legata papieskiego w czasie, gdy krajem wstrząsały wewnętrzne walki związane z osobą Szymona de Montforta. Wiele lat później Bonifacy wspominał, jak wraz z pozostałą częścią stronnictwa papieskiego oblegany był przez stronników Montforta w londyńskiej Tower i jak przybył im na ratunek młody książę Edward. Młody Edward stał się Edwardem I, zaś ów ratunek prawdopodobnie legł

u podstaw wzajemnego szacunku i podziwu, którymi w późniejszym czasie zaczęli darzyć się ci dwaj mężowie o tak podobnych w gruncie rzeczy charakterach.

Po klęsce Montforta Gaetani wrócił do Rzymu i do centrum wydarzeń, ginąc na pewien czas z oczu kronikarzy, lecz systematycznie pnąc się w górę. Jego nazwisko pojawia się ponownie w roku 1281, w dokumencie nadającym mu liczne beneficja, które w tym czasie zdobył w Anglii, Francji i Włoszech. Taka mnogość beneficjów nie była niczym niezwykłym. Niezwykłe mogły być co najwyżej upór, z jakim Gaetani je dzierżył, i gorliwość w gromadzeniu kolejnych. Oto na wizerunek roztrzonego prawnika nakłada się obraz człowieka majątnego, lecz wciąż głodnego ziemi i złota, za pomocą którego można było ową ziemię nabywać – „złota wyciśniętego z jęku i łez biedaków”.

Niezwykłe pomyślną karierę Gaetani niewątpliwie zawdzięczał swoim koneksjom. Jego matka była siostrzenicą papieża, a dalsze więzy pokrewieństwa łączyły go z innymi rodzinami, których członkom udało się osiągnąć papieską tiarę. Ale choć nie ulega wątpliwości, że pomogły mu wpływy rodzinne, to jest pewne, że swej osobistej energii zawdzięczał umiejętność wytrwałego dążenia do władzy. Umiejętności tej dowiódł dziewięć lat po powrocie z Anglii. Tym razem rzecz działa się we Francji, gdzie – już jako legat papieski – przybył, by surowo upomnieć profesorów wszechpotężnego Uniwersytetu Paryskiego, którzy mieszały się w sprawę papieża.

„Wy, profesorowie paryscy, siedzący za swymi biurkami, wydajecie się sądzić, że świat powinien być rządzony według waszego rozumowania. A ja mówię wam, że tak nie jest – to nam powierzono świat, nie wam”⁷.

Z charakterystyczną dla siebie gwałtownością ostrzegł ich, że Rzym nie zahała się przez zniszczeniem uniwersytetu, jeżeli ten nadal będzie trwał w nieposłuszeństwie. Paryż ujrzał jeszcze jedno, obok prawnika i właściciela ziemskiego, oblicze Gaetaniego – aroganckiego duchownego, pewnego siebie i tej ogromnej instytucji, na której potędze opierał swą butę.

Ten właśnie człowiek ze zniecierpliwieniem uczestniczył w długim konklawe i z niedowierzaniem przyglądał się, jak świątobliwy pustelnik zatrzymuje machinę władzy. Na swoją korzyść potrafił obrócić każdą nadarzącą się okazję, wierząc, że jego szczytne cele usprawiedliwiają użycie wszelkich środków. W przeciwieństwie do rzymskich kardynałów, ciągle uwikłanych w jałowe walki, Gaetani przezornie przypochlebiał się Karolowi II Andegaweńskiemu, którego marionetkowi protegowani zdominowali kolegium. Prawdopodobnie właśnie ich poparci oraz głosom nielicznych bezstronnych kardynałów zawdzięczał szybką elekcję.

Uzyskawszy tiarę, Bonifacy nie miał najmniejszego zamiaru pozostawać w Neapolu. Pomijając już sam urok Rzymu, istotnym czynnikiem było zagrożenie ze strony samych Neapolitańczyków, którzy nie potrafili się pogodzić z abdykacją Celestyna V. Prawnicy mogliby zapewne roztrząsać moralne kwestie

związane z abdykacją, uznając ją ostatecznie za legalną; jednak w oczach ludu stanowiła ona zdradę. Niepokoje zρέcznie podsycala grupa mnichów Celestyna, którzy niedopełniwszy swojego pierwszego zadania, dążyli teraz do zemsty, podburzając Neapolitańczyków do ataku na uzurpatora. Bonifacy opuścił niebezpieczne miasto tak szybko, jak tylko mógł. Na papieża został wybrany w wigilię Bożego Narodzenia, a pod koniec miesiąca znajdował się już poza Neapolem. Wyjazd był tak pospieszny, że większość papieskiego bagażu została w mieście. Celestynowi, ku jego przerażeniu, przykazano, by towarzyszył nowemu papieżowi aż do Rzymu. Jedynym powodem abdykacji Piotra z Morone była chęć powrotu do życia, które znał i kochał. Rzym – ogromne, wrogie miasto, położone znacznie dalej niż Neapol od dobrze mu znanych i ukochanych gór – nic dla niego nie znaczył. W drodze do niego udało mu się uciec z ciągnącego wolno orszaku i wraz z niewielką grupą uczniów powrócić na Monte Morone.

Bonifacy o ucieczce dowiedział się dopiero w Rzymie. Wiadomość ta ogromnie go zaskoczyła. Do miasta wkroczył 17 stycznia. Rzymianie z entuzjazmem i radością witali swojego papieża po ponaddwuletniej nieobecności. Jednak Bonifacego doszły słuchy o innej powszechnej demonstracji w Neapolu, gdzie wieści o jego rzekomej śmierci wywołały falę triumfalnych wystąpień na ulicach. Krążyły już pogłoski, że wywarł nacisk na Celestyna i że jest uzurpatorem. A teraz dowiedział się właśnie, że Celestyn uciekł, co znaczyło, że jeśli zechce, może pozyskać zwolenników. Natychmiast rozkazał aresztować starca i sprowadzić go do Rzymu, nawet siłą, jeśli zajdzie taka potrzeba. Celestyna jednak w porę ostrzeżono. Z zadziwiającą u męża w jego wieku odwagą i sprawnością porzucił w środku zimy górę Morone, rozpoczynając wędrówkę po odległych szczytach, by uciec przed poszukującymi go papieskimi urzędnikami. Mnich, który pozostał w pustelniczej celi, by przekazać tę wiadomość rozwścieczonym żołnierzom Bonifacego, za swoje przywiązanie zapłacił życiem.

Była to złowroga wróżba dla rozpoczynającego się pontyfikatu, jednak – pomijając pierwsze zaskoczenie – Bonifacy nie przejął się tym zbytnio. To, że w końcu ktoś zdradzi Celestyna, wydawało się tylko kwestią czasu. Teraz należało się zająć przygotowaniem koronacji. Uroczystość musiała się odbyć z ogromnym przepychem, tak droгим sercu Bonifacego. Celestyn na własną koronację przyjechał na ośle, co niektórym wydawało się niemal świętokradztwem. On, Bonifacy, przybędzie do świątyni w odpowiedniej oprawie, godnej cesarza rzymskiego, którego przypominał, wzbudzając podziw całego ludu rzymskiego.

Uroczystość koronacji papieża w sposób naturalny dzieliła się na dwie części: konsekrację i koronację w Bazylice św. Piotra, po której następowała procesja do Pałacu Laterańskiego, gdzie nowy papież formalnie obejmował starożytną siedzibę swej doczesnej władzy. Bonifacy został konsekrowany 23 stycznia przy ołtarzu w Bazylice św. Piotra, a następnie – odziany w sztywne, wspaniałe szaty najwyższego kapłana – przeszedł na czele procesji na plac przed bazyliką. Tutaj,

na tle wielkich odrzwi, zasiadł na tronie. Dzień był wyjątkowo mroźny, jednak względy wygody nie mogły odwieść Bonifacego od najważniejszej części rytuału – koronacji papieża na oczach tysięcy zgromadzonych.

Archidiakon zdjął z jego głowy biskupią mitrę i na jej miejsce włożył wielką, stożkową tiarę, symbol roszczeń do uniwersalnej władzy na Ziemi. Nieco ponad dwa wieki wcześniej papieska „korona” nadal była prostą białą czapką – taką, jaką zgodził się przyjąć z rąk Konstantyna legendarny św. Sylwester. Nawet papieże z Tusculum zadowalali się tym symbolem, który czynił z nich panów wyłącznie na ziemiach Rzymu i państw papieskich. Jednak stopniowo i niezauważalnie symbol ten rósł wraz z rosnącym statusem papiestwa, stając się w końcu koroną tak okazałą jak korona cesarska. Tiara papieska rościła sobie zresztą pretensje do tej ostatniej, co jasno widać w słowach formuły wypowiedzianej w chwili koronacji: „Przyjmij tę tiarę ozdobioną trzema koronami i wiedz, że ty jesteś ojcem książąt i królów, władcą świata, namiestnikiem naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, któremu należą się honor i chwała na wieki wieków”⁸. Formułę tę Bonifacy zamierzał wprowadzić w życie.

Podniósłszy się, papież zszedł po schodach z placu na ulicę poniżej i dosiadł okazałego białego konia. I tutaj znów tradycja przyznawała mu wielki zaszczyt – konia prowadzili za uzdę królowie Węgier i Neapolu, pokornie brodząc w topniejącym śniegu u stóp papieża. Konstantyn miał rzekomo służyć jako giermek św. Sylwestra, przez co teraz najwięksi królowie przebywający w Rzymie poczytywali sobie za zaszczyt sprawować najpośledniejszą funkcję podczas procesji. Przeciskając się pod rozpadającymi się łukami wielkich historycznych władców, orszak minął samotną wieżę i zatrzymał się, gdy dotarł do niej Bonifacy. U podnóża budowli czekali przedstawiciele rzymskich żydów, przybyli, by zawrzeć pokój z nowym władcą Rzymu i przyjąć jego rytualne odtrącenie. Rabin oferował Bonifacemu Księgę Prawa Mojżeszowego, który wziął ją, po czym zwrócił ze słowami: „Uznajemy to prawo, lecz odrzucamy judaizm, bowiem prawo już się dopełniło za sprawą Chrystusa”.

Procesja kontynuowała swój pochód wśród radosnych okrzyków tłumu. Rzymianie kochali uroczystości i pompę. Z upodobaniem dekorowali domy stojące na trasie pochodu. Kolorowe chorągwie, lśniące w bladym świetle styczniowego słońca, ubarwiały zimowe uliczki, stanowiąc zapowiedź blasku i chwały przywróconych Rzymowi. Był to ostatni powrót papieża na Lateran, Bonifacy jako ostatni papież zamieszkał bowiem w tym starożytnym i świętym miejscu. Zaledwie pokolenie później pałac ten stał się ruiną – tysiącletnie dzieje obrócone wniwecz przez zwykłe gwałt i przemoc.

Jednak w styczniu 1294 roku Pałac Laterański nadal stanowił serce ziemskiej władzy papieskiej. Koło pałacu odbyła się zadziwiająca ceremonia, będąca odwróceniem uroczystości, jaka odbyła się przed Watykanem. Tam Bonifacy zajął miejsce na tronie św. Piotra; tutaj zasiadł na pradawnym siedzisku z czerwonego marmuru, które za sprawą otworu w siedzeniu ludzako przypominało toaletę.

Pierwotnie siedzisko to stało w jednej z wielkich miejskich łaźni publicznych, lecz potem – kiedy, jak tyle innych przedmiotów ze świetlanej przeszłości, zostało włączone w krąg papieskiej ceremonii i odnowione – jego skromne początki zatoneły w mrokach zapomnienia. Prawdopodobnie to właśnie jego antyczny rodowód i piękny kolor przyczyniły się do przemiany w tron, na którym zasiadał nowy papież, obejmując oficjalnie w posiadanie Lateran. Jednak jego zadziwiający kształt zrodził pobożne przekonanie, że papież siada na nim w akcie samoupokorzenia, z którego wynoszą go kardynałowie. Na kilka lat przed koronacją Bonifacego nieco mniej pobożne, lecz znacznie żywsze skojarzenia dały początek teorii, że tron ten powstał, aby można było przeprowadzić badanie budowy ciała nowego papieża i uniknąć niebezpieczeństwa pojawienia się nowej „papieżycy Joanny”. Pogłoski te były tak rozpowszechnione, że dwa stulecia później istniała już rozbudowana pseudoceremonia tego badania, wiernie zanotowana przez co bardziej łatwowiernych kronikarzy i historyków w celu podbudowania wiarygodności historii o Joannie.

Usadowiwszy się na tronie, Bonifacy otrzymał szarfę z przytroczonymi siedmioma kluczami i siedmioma pieczęciami. Po czym powstał, zanurzył ręce w torbie zawierającej złote i srebrne monety i trzy razy rzucał je garściami w tłum, wołając: „Złoto i srebro nie należą do mnie, lecz co mam, oddaję!” Następnie wkroczył do pałacu, gdzie odbywała się podobna ceremonia. Usiadł na podobnym marmurowym siedzisku i przyjął klucze do Pałacu Laterańskiego i bazyliki. Raz jeszcze okazał szczodrość. Potem pałacowi urzędnicy występowali naprzód, by ucałować jego stopę, a prałaci zbliżali się, by prosić i otrzymać od nowo ukoronowanego papieża zwyczajowe podarunki.

Po uroczystościach publicznych odbyła się uczta – o charakterze zaledwie nieco mniej publicznym – w czasie której potężni panowie szlacheckiego urodzenia przynosili papieżowi różne dania, a król występował w roli podczaszego. Bankiety w Pałacu Laterańskim zawsze były okazałe, jednak ten towarzyszący koronacji Bonifacego VIII najprawdopodobniej przyćmił wszystkie inne, które stary Lateran miał okazję dotąd widzieć. Było to niewątpliwie apogeum jego istnienia. Stefaneschi, który brał udział w uroczystościach, opisał obfitość drogich win i wybornego jadal, bezcenne kielichy ze złota wysadzanego drogiymi kamieniami, zdobione klejnotami półmiski i talerze, wspaniałe gobeliny pokrywające ściany. Rzym, choć po wielekroć grabiony, zgotował odpowiednie powitanie swemu panu, czerpiąc ze swych nieprzebranych skarbców.

Mimo iż wszystko świadczyło o stabilności jego pozycji, Bonifacy nie zapomniał o Celestynie, trzęsącym się starcu, który mógł go strącić z solidnego tronu – bądź mógł zostać w tym celu wykorzystany. Do poszukiwań Celestyna przyłączył się Karol II Andegaweński, lecz starzec, wspomagany przez tych, którzy go kochali i nienawidzili jego następcy, nadal wymykał się papieskim i królewskim tropicielom. Paradoksalnie, to właśnie miłość zwolenników go zdradziła.

Bardzo roztropnie Celestyn uznał, że Włochy stały się za małe dla niego i obecnego papieża i, dotarłszy do wybrzeża Adriatyku, wsiadł na statek płynący do Grecji. Być może miarą jego desperacji było to, że w ostatnich miesiącach życia zdecydował się porzucić nie tylko góry, które umiłował, lecz i samą Italię. Niemniej nie udało mu się uciec. Zerwał się sztorm i morze rzuciło jego statek z powrotem na włoski brzeg. Tam zaś, entuzjastycznie witany przez licznych zwolenników, Celestyn został rozpoznany przez królewskie oddziały w momencie, gdy jego sympatycy ogłosili go prawdziwym papieżem. Karol, który niegdyś wsparł go jako pierwszy, teraz go wykorzystał, skuszony profitami płynącymi z wymiany półdzikiego świętego męża na wdzięczność wspaniałego Bonifacego.

Celestyna przyprowadzono przed oblicza Karola i Bonifacego. Mieli go osądzić. Prawdopodobnie właśnie wówczas śmiertelnie utrudzony podróżą i kąsanymi wyrzutami sumienia starzec wygłosił swą przepowiednię, której pozorna dokładność zadziwiła późniejsze pokolenia.

„Doszedłeś do tej godności jak lis – powiedział niewzruszonemu Bonifacemu – będziesz panował jak lew, zaś umrzesz jak pies”⁹.

Bonifacy udawał, że zasięga opinii kardynałów, jednak los Celestyna był już przesądzony – gdyby pozostał na swobodzie, skupiłby wokół siebie buntowników. Jego ostatnim domem miała być odosobniona forteca Fumone, w przeszłości służąca znacznie ważniejszym więźniom stanu. Uwięzienie obróciło się w niezamierzoną przysługę, bowiem gdy Celestyn ujrzał celę dlań przygotowaną, niezmiernie się uradował – przypominała dom najmilszy jego sercu. Jednak dwaj bracia, którzy zgodzili się dzielić z nim karę, załamali się pod ciężarem surowych warunków, co w sposób nieunikniony wywołało pogłoski o celowym złym traktowaniu Celestyna. Jego uczniowie przyczynili się do ich rozpowszechnienia, opowiadając o jego ascetycznej celi i o tym, jak umierał, leżąc na gołych deskach, podczas gdy „ten, któremu zostawił papieństwo, spoczywał jak bóg na łożu zdobnym w purpurę i złoto”¹⁰.

Rzecz jasna, Celestyn nie przeżył długo w takich warunkach. Mniej więcej 10 miesięcy później wydał ostatnie tchnienie. Towarzyszyły mu pogłoski o morderstwie, całkowicie naturalne w takich okolicznościach. Relikwie byłego papieża, wśród których znalazły się czaszka z otworem oraz gwóźdź, którym otwór ten miano uczynić, nabożnie przechowano. Jest mało prawdopodobne, żeby Bonifacy uciekł się do tak okrutnych środków, by zgładzić człowieka, którego sama natura w niedługim czasie miała odwołać z tego świata. Niemniej powstanie tej makabrycznej opowieści i fakt, że przetrwała do naszych czasów, stanowią świadectwo nienawiści, którą zdołał wzbudzić Bonifacy VIII w ciągu kilku miesięcy od swojej koronacji.

Ponieważ przez ponad dwa lata papieństwo pozostawało praktycznie bez władcy, Bonifacy musiał energicznie zabrać się do wprowadzania ładu i porządku.

Zgodnie z relacją Bonifacego Celestyn jednoznacznie poprosił go o naprawienie szkód, jakie wyrządziły jego nieprzemyślane nadania. Niezależnie od tego, czy jest to prawdą, czy nie, pierwszą czynnością Bonifacego było potępienie wszystkiego i unieważnienie jednym pociągnięciem pióra nominacji i beneficjów, które szczerą ręką rozdał jego poprzednik. Było to zadanie doskonale odpowiadające charakterowi i sile woli Bonifacego, zarazem jednak przyczyniło mu niezliczonych wrogów. Do tych przeciwników, którzy szczerze żalowali straconych możliwości nowego zgromadzenia, dołączyli ci, którzy teraz zostali pozbawieni – jakkolwiek słusznie, to w sposób zdecydowanie nietaktowny – nielegalnych beneficjów.

Na polu polityki europejskiej Bonifacy poruszał się pewnym i stanowczym krokiem, podejmując zręczne i właściwe działania w początkach konfliktu między Edwardem I Angielskim a Filipem Pięknym, królem Francji. Ani on, ani sami uczestnicy sporu nie domyślali się, że konflikt ten stanowił zaledwie wstęp do długotrwałych walk, którym późniejsze pokolenia nadały nazwę wojny stuletniej. W roku 1298 wydawało się, że do zażegnania niepokoїв wystarczy arbitraż w sprawie Flandrii i angielskich posiadłości na terenie Francji. Zwaśnieni królowie poprosili o mediację prawnika, a nie papieża, co podkreślał fakt, że zwracali się do Benedetta Gaetaniego, a nie do Bonifacego VIII. Flandryjczycy narzekali między sobą, iż nie da się dochodzić sprawiedliwości w Rzymie, nie płacąc za nią słono. „Dwór rzymski jest nienasycony, jego apetyt nie do zaspokojenia – trzeba przynosić wiele podarunków”¹¹. I chociaż Bonifacy za wszelką cenę chciał odgrywać rolę arbitra Europy, nie odbierało to wartości jego radom – dzięki czemu zdobył znaczny prestiż, ale i rozsmakował się w sprawowaniu władzy doczesnej.

W polityce wewnętrznej Bonifacy grzeszył najbardziej nikczemnymi występami papieżstwa: symonią i nepotyzmem. Zdobyć złoto i nabyć ziemie, na których można by osadzić rodzinę Gaetanich – oto motyw przewodni jego postępowania. To ograniczone działanie, jego nikczemność i krótkowzroczność naznaczyły wszystko, co uczynił Bonifacy, a co mogło stać się wielkie i trwałe. W jego opinii papież nie mógł, z definicji, popełnić symonii, on był bowiem Kościołem, a Kościół był nim. Słowem, wszystko, co posiadał Kościół, znajdowało się w dyspozycji papieża. Rzym jak wielka paszcza połykał złoto Europy. I choć dużą część tego złota przeznaczano na finansowanie papieskich legacji, znacznie więcej zostawało w Rzymie. Nawet to można było uzasadnić, utrzymując, że ziemskie źródło siły Kościoła potrzebuje ziemskiego pokarmu. Kiedy jednak ziemska władza i bogactwo Kościoła zostały obrócone na korzyść i pożytek jednej tylko rodziny, Bonifacy przekroczył wszelkie granice, jakie stawiła cyniczna tolerancja jego współczesnych.

Nepotyzm był stosunkowo nowym grzechem na liście papieskich występków, a jego pojawienie się zbiegło się z ostateczną degradacją cesarstwa. Papieska tiara

stała się we Włoszech jedynym i najwyższym celem dla mężów tak ambitnych jak Bonifacy, którzy w innych okolicznościach dążyliby do sięgnięcia po zwykłą koronę. Jednak po dziesięcioleciach przedzierania się przez intrygi rzymscy politycy uświadamiali sobie, że wszystko, co osiągnęli, to iluzja i nicość. Tragedia Celestyna uwytkliła jeszcze fakt, że duchowa władza głowy Kościoła jest anomalią – prawdziwa natura władzy, którą dysponował papież, była takiego samego rodzaju, co w przypadku rządów każdego innego monarchy. Miała większy zakres, lecz jednocześnie jedną ogromną ułomność: monarcha-papież nie mógł przekazać tiany swoim potomkom. Żywe związki rodzinne, charakterystyczne dla mieszkańców Włoch, czyniły z tego ograniczenia najprawdziwszą i surową karę, wystawiając papieża na wielkie pokuszenie. W X wieku, a później w XVI, urząd papieski był niemal całkowicie ziemski i świecki, z tym wyjątkiem, że nie przekazywano go drogą dziedziczenia. Zapobiegli temu kardynałowie, jeśli nie z wyższych racji, to choćby dlatego, że każdy z nich miał prawo – i nadzieję – stać się papieżem.

Pozbawiony naturalnego sposobu przekazywania władzy, a zarazem uważając swych krewnych za jedynych pewnych sprzymierzeńców, Bonifacy starał się przydać wielkości rodowi, który największymi wpływami i bogactwem cieszył się w czasach papieża odrodzenia. Jego prawdziwe przywiązanie do rodziny było samo w sobie jedną z jego największych zalet. Na wieść o śmierci brata i bratanka podniósł gorzki i nieukrywany lament, złożyć Bogu, który sprowadził nań tę tragedię. Jednak rodzina Gaetanich była płodna i liczna, miał więc jeszcze innych bratanków, których mógł obdarzać miłością i potęgą – na koszt Kościoła.

Z prawnego punktu widzenia jego pozycja była niepodważalna. Ziemie, które kupował dla swojej rodziny, leżały w państwach kościelnych, przez co mógł utrzymywać, iż zapewniając lojalność lenników, związanych z nim więzami krwi i wdzięczności, zabezpieczał interesy Kościoła. Jednak ci, którzy go obserwowali, i ci, którzy stali się jego ofiarami, widzieli tylko, że niegdyś skromna rodzina zaczyna władać rozległymi połaciami wzgórz i dolin Kampanii. Nawet jeśli to pokolenie beneficjentów pozostanie wieme Kościołowi, co uczynią kolejne? Nikt bowiem nie trzymał się ziemi bardziej kurczowo niż włoski szlachcic.

Bonifacy systematycznie zdobywał bogate miasta i przylegające do nich tereny, dopóki nie powstał łańcuch miast, należących do Gaetanich, ciągnący się od wzgórz Rzymu na południe do Caserty i dalej do odległego morza. Ich zakup kosztował go równowartość dwuletniego dochodu Stolicy Apostolskiej – czwartą część całości przychodów za jego pontyfikatu. Aby osiągnąć swój cel, wyuzł z własności rodziny o długiej historii i utrwalonej pozycji. Niektórym zapłaceno słuszną cenę za ich dumę, inne brutalnie zepchnięto w szeregi wrogów Bonifacego. Spośród wszystkich tych, którzy przyglądali się temu z narastającym niezadowoleniem, najgroźniejsza była rodzina Colonnów.

Członkowie starego i potężnego rodu uważali się za potomków panów na Tusculum, a poprzez nich – mitycznej już niemal Marozii. Od czasu gdy Rzymianie

w końcu powstali i zgładzili swego zuchwałego wroga, Colonnowie rządzący w swoich rozległych ziemiach z położonej na wzgórzu Palestriny. Przez lata ich głównym wrogiem był ród Orsinich. A oto teraz stali się świadkami, jak parweniusze o nazwisku Gaetani, wsparci potęgą kluczy piotrowych, wdzierają się na ich ziemię. Konflikt pomiędzy papieżem a Colonnami stał się nieunikniony.

W początkowym okresie dwaj kardynałowie Colonna, Jacopo i jego bratanek Pietro, utrzymywali przyjazne, jeśli nie serdeczne, stosunki z Benedettem Gaetanem, uważając go za potencjalnego sojusznika. Nawet wówczas, gdy stał się ich zwierzchnikiem, nadal wspierali go, choćby tylko kierując się zasadą, że papież Gaetani zawsze jest lepszy niż papież Orsini. Szybko jednak wzajemne relacje zaczęły się psuć. Colonnowie nie tylko musieli przyglądać się wyniesieniu Gaetanich swoim kosztem, lecz ujrzeli także, jak ich odwieczni wrogowie, Orsini, znów sięgają po władzę. Bonifacy także był świadomy faktu, że nie uniknie starcia z Colonnami – zaczął więc sprzymierzać się z ich wrogami. Święte Kolegium po raz kolejny stało się areną walki stronnictw.

Szukając sposobu, by zaatakować Bonifacego, Colonnowie znaleźli słaby punkt w jego zbroi, a tym samym potężne źródło wsparcia dla swojej sprawy. Prawomocność jego wyboru na papieża mogła być uznana przez prawników kanonicznych, niemniej zwykłym ludziom, oplakującym utratę królestwa niebieskiego na ziemi, argumenty przemawiające na korzyść Bonifacego wydawały się jałowe i bez znaczenia. Wiedzieli jedno: papież Celestyn, wybraniec Ducha Świętego, został strącony przez papieża Bonifacego, prawnika-uzurpatora.

Większość przeciwników ograniczała się do wyrażanego po cichu niezadowolenia, lecz tu i ówdzie pojawiały się dziwne kultury, osobliwe odrosty głęboko zakorzonej nadziei, którą Bonifacy ściał przy samej ziemi. Najdziwniejszy z nich rozwinął się w Mediolanie, gdzie zmarła pobożna, aczkolwiek niczym innym niewyróżniająca się dama, zwana Guglielminą, która zapisała znaczną sumę pieniędzy klasztorowi cystersów. Mnisi uczcili jej pamięć stosowną kaplicą. Przy jej grobie objawiło się kilka nader stosownych cudów, w których wyniku szybko narodził się powszechny kult. Guglielminę czczono jako wcielenie Ducha Świętego i oczekiwano, że ponownie przybędzie na Ziemię i obali uzurpatora Bonifacego, na jego miejsce wprowadzając młodziczką mediolańską dziewczynę – Maifredę. Zarządzono dochodzenie, nieszczęsna Maifreda wraz ze swymi wyznawcami spłonęła na stosie, a szeregi zwolenników Guglielminy znacznie się przerzedziły. Lecz inni powstali, by zająć ich miejsce. Nieustannie też w centrum opozycji znajdowali się fanatyczni mnisi, którzy nazwali się imieniem swego umiłowanego bohatera, porzucając wcześniejsze miano „spirytuałów” na rzecz nazwy „celestyni”. Nader skwapliwie wspierali oni każdy atak na uzurpatora Bonifacego, a Colonnowie uczynili z nich swoich głównych sojuszników.

Bonifacy nade wszystko znienawidził przywódcę celestynów, Jacoponego da Todi, ongiś doradcę samego Celestyna. Jako młodzieniec Jacopone był utracjuszem i hulaką – dopóki po śmierci młodej, pięknej żony zmienacka nie pogrzyżył się we własnym piekle. Z rozpaczy niemal postradał zmysły, co odmieniło jego charakter do tego stopnia, że gdy wreszcie doszedł do siebie, wstąpił do zakonu franciszkanów, oddając się cnotliwym uczynkom z równym zapałem, jak wcześniej oddawał się występkom.

Jednak duchowa przemiana nie pozbawiła go talentu poetyckiego. Teraz zaprął go, by służył w słusznej sprawie. Zamiast radosnych, śpiewnych wierszy o wiośnie i miłości tworzył niezwykle dostojne hymny, a jego wena przekształciła skostniałą łacinę w dźwięczną, żywą muzykę. Choć porzucił poezję miłosną, to jego niespokojna, złożona natura ciągle szukała innego ujścia niż pisanie hymnów, dlatego spod pióra Jacoponego wychodziły też barwne satyry polityczne.

Przekonany, że Bonifacy reprezentuje całą doczesność Kościoła, jego upadek i zepsucie, obrał go sobie za główny cel ataków. W oczach pozostałych celestynów Bonifacy przybrał kształt szatana, „anioła ciemności, wspieranego przez złe duchy”. Jacopone, dostrzegając człowieka pod postacią papieża, skierował swe celne strzały ku jego najbardziej nikczemnym występkom – chciwości, symonii i ponad wszystko nieustannemu nepotyzmowi. Jacopone i Colonnowie, choć działając z różnych pobudek, okazali się niezwykle skutecznymi sojusznikami.

Do ostatecznego rozłamu między Bonifacym a Colonnami doszło czwartkowego popołudnia 3 maja 1297 roku. Była to pamiętna data dla Bonifacego, bowiem maleńka, niemal niewidoczna rysa, która pojawiła się na fundamentach monolitu jego władzy, miała się powiększać, by w końcu doprowadzić do rozłupania całości. Późnym popołudniem tego dnia nieopodal Rzymu przechodziła karawana mułów objuczonych złotem. Stefano Colonna zmienacka napadł na nią i zrabował złoto. Pieniądze te były przeznaczone na zakup kolejnych ziem dla Gaetanich. Cios trafił Bonifacego w najczulszy punkt.

Rozpętała się burza. O 9.00 następnego ranka rozwścieczony Bonifacy nakazał dwóm kardynałom Colonna stawić się tego samego jeszcze dnia w Lateranie. Jednak żaden z nich nie pojawił się aż do poniedziałku. Nie było najmniejszej wątpliwości, że Stefano zawinił i swoim czynem zaszkodził sobie i całej rodzinie, ulegając więc naciskom krewnych zgodził się oddać złoto. Dopiero uzbrojeni w tę wiedzę kardynałowie stawili się przed obliczem Bonifacego.

Szybko jednak zorientowali się, że sam zwrot zagrabionych pieniędzy nie wystarczy – i to żadną miarą. Bonifacy zażądał osoby samego Stefana, młodego świętokradcy, który ośmielił się położyć rękę na świętym złocie Gaetanich. Żądał jeszcze więcej. Colonnowie mieli zgodzić się na stacjonowanie papieskich oddziałów we wszystkich swoich głównych miastach, co Bonifacy poparł

z pozoru słusznym argumentem, że sami członkowie rodziny Colonna nieustannie toczą spory o ich posiadanie. Na przemyślenie sprawy dał im czas do następnego piątku.

Jacopo i Pietro wrócili do swego miasta i zwołali naradę rodzinną. W istocie jednak nie było nad czym debatować, bez wielkiego wysiłku dawało się przewidzieć, że owe „papieskie oddziały” w rzeczywistości będą „oddziałami Gaetanich” lub nawet – co gorsza – „oddziałami Orsinich”. W sposób oczywisty Bonifacy zmierzał do wykorzystania sytuacji i pozbycia się Colonnów, w razie konieczności nawet przy pomocy Orsinich. Pewne też było, że później wywiąże się walka między rodzinami Gaetanich a Orsinich o podział łupów, jednak wtedy zrujnowani Colonnowie będą już tylko niemymi świadkami.

W tej sytuacji pozostawało jedynie przedyskutować reakcję Colonnów na bezpośrednie zagrożenie. Udział w rodzinnej konferencji brali również Jacopone da Todi oraz pięciu potężnych prałatów francuskich. Razem ustalili, że ich atak musi być zgodny z prawem. Przez następne dwa dni opracowywali wspólną politykę i wczesnym rankiem w czwartek, 10 maja, sporządzili manifest, podważający prawomocność wyboru Bonifacego na papieża. Odwołali się w nim do soboru powszechnego, by rozstrzygnął wątpliwości i uciszył pogłoski w tej sprawie. Sporządzono kilkanaście kopii manifestu i tuż po wschodzie słońca zaufani posłańcy wyruszyli z nimi do Rzymu.

U progu lata Rzym wstawał wcześniej. Mieszkańcy widzieli więc, jak posłańcy Colonnów w pędzie przemierzają budzące się do życia ulice, kierując się do wyznaczonych miejsc. Egzemplarze manifestu przybito do drzwi kościołów w całym mieście. Jeden śmiałek dotarł nawet do samej Bazyliki św. Piotra, pozostawiając manifest na ołtarzu. Po wykonaniu zadania posłańcy galopem oddalili się z miasta, bez przeszkód przechodząc przez wielkie bramy miejskie.

Zuchwałe manifesty nadal trzepotały na wietrze, poruszane lekką poranną bryzą, gdy Bonifacy spotkał się z wiernymi sobie kardynałami. Zarówno on, jak i oni, a także cały Rzym wiedzieli, że jest to bezpośredni atak na jego autorytet. Colonnowie nie mieli sprzymierzeńców wśród członków Świętego Kolegium, zdominowanego przez Rzymian, z których każdy uważałby upadek Colonnów za zniszczenie przeciwnika. Woli Bonifacego stało się więc zadość. Wieczorem tego samego dnia papież ogłosił bullę, noszącą jeden z tych efektownych tytułów, w których się tak lubował.

W bulli *In excelso throno* wyliczał nieprawości, których doznał od Colonnów, ekskomunikował i usuwał z urzędu obu kardynałów, w uzupełnieniu bulli zaś domagał się, by przybyli przed jego oblicze w ciągu 10 dni. Rodzina Colonna odpowiedziała następnego dnia takim samym atakiem. Teraz Bonifacego oskarżano nie tylko o oszustwa, lecz również o ojcobójstwo, czyli bezpośrednio spowodowanie śmierci Celestyna. W odpowiedzi papież wydał kolejną grzmiącą bullę. Ekskomuniką objęci zostali wszyscy członkowie kardynalskiej linii rodziny Colonnów, „nawet do czwartego pokolenia”, jej najstarsi i najmłodszy

członkowie zostali uznani za heretyków, wyjętych spod prawa. Każdy mógł ich zaatakować w imię prawa.

Colonnowie, którzy nie mogli się już wycofać, rozpoczęli wojnę na słowa. Za radą swych francuskich sprzymierzeńców zwrócili się do całego świata chrześcijańskiego – a zwłaszcza do Francji, wykorzystując napięte stosunki między Bonifacym a Filipem Pięknym – w szczególności zaś do źródła siły Kościoła katolickiego, Uniwersytetu Paryskiego, który wbrew chęciom Rzymu kształtował europejskie poglądy na kwestie teologiczne. Historia o abdykacji została opowiedziana raz jeszcze, z uzupełnieniami i dość dokładną charakterystyką osobowości Bonifacego oraz jego dworu. Nie brakowało opisów sprzedajności, niezaspokojonej żądzы złota Bonifacego, despotyzmu w konsystorzu. Sprzeciwic mu się w najdrobniejszej sprawie to jakby wbić w niego nóż, mówili. Nie zadawała go samo sprawowanie władzy nad duchownymi, „lecz chępi się tym, że przewodzi królom i królestwom we wszystkich sprawach, uważając się za boga na ziemi”. Sami kardynałowie zostali pozbawieni godności, jak gdyby byli najpośledniejszymi urzędnikami: „bez wezwania, bez ostrzeżenia, bez uznania za winnych, bez oskarżenia, bez potępienia, bez zaskarżenia”¹².

Jeśli jednak Colonnowie liczyli na natychmiastową pomoc Francji, spotkało ich rozczarowanie. Filip Piękny nie chciał zaostrzać konfliktu, dzięki czemu Bonifacy miał chwilowo wolną rękę. Wypowiedział otwartą wojnę rodzinie Colonna i 17 sierpnia 1297 roku kościelna machina wytoczona została przeciwko dzieciom Kościoła.

Duchowe narzędzie walki – ekskomunika – uległo już wówczas znacznemu stepieniu. Dla ogromnych rzesz niepiśmiennych chrześcijan, a nawet dla niektórych wykształconych perspektywa wykluczenia z łona mistycznego Ciała Chrystusa była zarówno realna, jak i przerażająca. Jednak ekskomunika, stosowana stanowczo zbyt często dla niskich celów politycznych, nie miała takiej mocy wśród wyższych warstw społeczeństwa. Niemniej, choć jej duchowy wymiar został wypaczony, nadal dysponowała ona mocą prawną. Człowiek obłożony anatema wypadal na margines społeczności, wyjęty spod prawa; czyny, które wobec każdego innego członka społeczności uznano by za bezprawne, skierowane przeciwko niemu były nie tylko usankcjonowane przez prawo, lecz także prawe i szlachetne. Tak więc 14 września Bonifacy udzielił specjalnego rozgrzeszenia tym wszystkim, którzy splądrowali włości Colonnów w Rzymie – złodzieje przestali być złodziejami, a stali się mścicielami Chrystusa. Rzymskiego motłochu najprawdopodobniej nie obchodziła ta subtelna różnica teologiczna, mimo to jednak miła mu była świadomość, że mienie skradzione Colonom w świetle prawa należy do tych, którzy je ukradli.

Trzy miesiące później Bonifacy ostatecznie zdeprecjonował wszelkie formy kary, które godziły w dusze wiernych, ogłaszając krucjatę przeciwko rodzinie Colonna. Z jego punktu widzenia miał w rękach bardzo użyteczne narzędzie, pozwalające legalnie przywłaszczyć sobie pieniądze zbierane w całej Europie

na staromodne krucjaty przeciwko niewiernym w Ziemi Świętej. Mógł zwrócić się o pomoc do wielkiego zakonu rycerskiego templariuszy, a pokornych chrześcijan w odległych zakątkach przekonywać, że finansowy udział w krucjacie odkupi ich grzechy.

Stosunkowo nieliczni przystąpili do tej zaskakującej, nowej świętej wojny. Z radością szeregi przeciwników Colonnów powiększyła rodzina Orsinich, niektóre włoskie miasta zaś przysłały symboliczne kontyngenty w zamian za przywileje. Jednak zarówno mieszkańcom Włoch, jak i całej Europy krucjata ta jawiła się tym, czym była w rzeczywistości – bezwzględną walką między rzymskimi arystokratami, z których jeden mógł wykorzystać narzędzia Kościoła w prywatnej wojnie. Sami Rzymianie, choć nieraz już widzieli takie wewnętrzne starcia na papieskim dworze, sprzeciwiali się tej bratobójczej wojnie, podkopującej podstawy państwa. Była to krwawa walka, nawet według standardów rzymskich, oddziały papieskie, na wzór wojsk krzyżowych, nie musiały bowiem przestrzegać żadnych, nawet najbardziej podstawowych norm obowiązujących podczas wojny. Zgodnie z zasadą „Bóg rozpozna swoich” krzyżowiec mógł obrócić miecz przeciwko każdemu, polegając na boskiej interwencji, która przecież odwróciłaby ostrze, gdyby skierował je przeciwko prawdziwemu bożemu wyznawcy.

Ucierpiała nie tylko buntownicza rodzina Colonnów, ale i wszyscy z nią związani, choćby najślabszym z feudalnych więzów. Chłopi w ich włościach, kobiety i dzieci we wszystkich wioskach położonych w obrębie ich ziem – wszystkich można było teraz zabić bądź sprzedać w niewolę. Lichy dobytek przechodził na własność „krzyżowców”. Spalone zostały stare drzewa oliwne, z których każde stanowiło podstawę bytu jakiejś rodziny, doglądającej go przez pokolenia. Zniszczono plony niedojrzałe jeszcze do zbiorów. Nie bacząc na nic, Rzymianie z samobójczym uporem rujnowali bazę aprowizacyjną swego miasta. Senator Rzymu, świecka głowa miasta, podjął desperacką próbę pogodzenia papieża z Colonnami. Jednak bez skutku. Bonifacy przyjął go „z ojcowską troską”, nie zamierzał jednak rezygnować z szansy pozbycia się rodziny, która stała między Gaetaniami a chwałą. Również Colonnowie mieli świadomość, że jest to ostateczna próba sił.

Zażarta wojna trwała całą zimę i wiosnę, aż późnym latem 1298 roku niemal osiągnęła swój cel. Z jednym wyjątkiem wszystkie miasta należące do rodziny Colonna przeszły już w ręce „krzyżowców”. Każde z miast, które kolejno kapitulowały, przekazywano to tym, to innym sojusznikom papieża, w ramach obfitej zapłaty za wsparcie. Wyjątek stanowiła Palestrina. Tutaj w końcu zebrała się cała rodzina, powierzając obronę srogiemu Giovanniemu Colonnii, wytrawnemu żołnierzowi, który nosił znaczący przydomek Sciarra – Kłótlivy. Bezpiecznie skryci za potężnymi murami obficie zaopatrzonego miasta, umiejętnie bronionego przez Sciarę, członkowie rodu mogliby utrzymywać się w nieskończoność. Dowódcy wojsk oblegających Palestrinę doskonale wiedzieli, że jedynym

realnym sposobem na pokonanie mieszkańców zdecydowanego się bronić miasta jest zdrada.

I oto zdrada nadeszła – nie od wewnątrz, lecz z zewnątrz – w postaci krzywo-przysięstwa ze strony Bonifacego. Tak przynajmniej wynika z późniejszych gorzkich oskarżeń. Giovanni Villani, bezstronny Florentyńczyk, ostrożnie opowiedział się po stronie Colonnów. Zgodnie z jego relacją Bonifacy zaproponował im przebaczenie, „obiecując przywrócenie do wysokich godności, jeśli poddadzą miasto. Jednak tego nie uczynił – w zamian zniszczył miasto Palestrina. A ten fałszywy i oszukańczy traktat papież zawarł za radą hrabiego Montefeltro, w owym czasie brata zakonnego, który poddał mu szatańskie słowa „obiecuj dużo – wypełniaj mało”¹³.

Tę powszechnie znaną opowieść podchwycił i znacznie rozbudował Dante. Opisał, jak Bonifacy, poszukując sposobu wypędzenia Colonnów z Palestriny, zwrócił się o pomoc do Guida Montefeltro, „wilka przeistoczonego w zakonnika” – byłego rabusia, który został franciszkańskim bratem. Guido-żołnierz wiedział, że istnieje tylko jeden sposób, by to zrobić, lecz Guido-zakonnik nie chciał go zdradzić. Na bezpośrednie polecenie Bonifacego, otrzymawszy obietnicę rozgrzeszenia, powiedział:

Skoro mi ty
Sumienia czystość wracasz, którą stradam,
Radzę-ć: przyrzekaj dużo, czynń niewiele,
Tędy ci pewny triumf zapowiadam¹⁴.

Lunga promessa con l'attender corto – nie była to szczególnie oryginalna porada i wydaje się raczej nieprawdopodobne, by Bonifacy sam na to nie wpadł. Jakąkolwiek jednak postać nadano obietnicy, poskutkowała. Colonnowie skapitulowali, wierząc, że otrzymają z powrotem swoje dobra.

Bonifacy lubował się w publicznych wystąpieniach. W każdej niemal sytuacji kryzysowej pojawiał się, odziany w pełny strój papieski ze wszystkimi insygniami, w otoczeniu służalczych urzędników, by zasiąść na tronie – najchętniej na otwartym powietrzu przed wejściem do jakiegoś wielkiego kościoła lub przed bramą miejską. Tym razem, niczym jakiś rzymski generał, zasiadł na tronie przed bramą miejską Rieti po zewnętrznej stronie murów, by przyjąć swych pokonanych wrogów. Ku niemu zbliżali się kolejno Colonnowie: kardynałowie Jacopo i Pietro, Sciarra, Stefano, wszyscy z postronkami na szyjach. Rzucili się na ziemię, by ucałować jego stopy, błagając o przebaczenie. W godzinie swego triumfu Bonifacy okazał się zaiste wielkoduszny. Dwaj kardynałowie nie zostali przywrócenii do swojej godności, lecz zachowali wolność. Stefano, który zapoczątkował całą sprawę, miał udać się na pokutną pielgrzymkę, zaś przedmiot sporu zamierzano omówić w późniejszym terminie. Cały ciężar zemsty Bonifacego spadł na samego Jacopone da Todi. Mnich został wtrącony do więzienia. Ostatecznie śmierć Bonifacego uwolniła go od dożywotniej kary.

Sugestia, że spór będzie poddany pod dyskusję, gdy strony nieco ochłoną z gniewu, dała Colonnom nadzieję. Jednak Bonifacy wykorzystał ten czas, by dopełnić dzieła, które z jego wielkoduszności uczyniło farsę. Palestrina została zburzona.

Ten czyn nie miał precedensu w dziejach papieżstwa. Palestrina stanowiła jeden z siedmiu filarów Kościoła rzymskiego, od najdawniejszych czasów będąc siedzibą biskupa. Jej pomniki wywodziły się z okresu Cesarstwa Rzymskiego. Wspaniałych tradycji strzegli Colonnowie, których rodową siedzibą był pałac wzniesiony rzekomo przez samego Juliusza Cezara. W obrębie jego murów ród Colonna zgromadził te skarby przeszłości, którymi wzgardzili lub które odrzucili współcześni im ludzie, czyniąc z miasta bezcenne muzeum. Bonifacy nie miał zamiaru zadowolić się zwyczajowym symbolicznym zniszczeniem – wyburzeniem fragmentu muru miejskiego lub jednej czy dwóch wież – zamierzał całkowicie zmieść z powierzchni ziemi jedno z najstarszych miast Italii. Oszczędzono jedynie katedrę.

Było to trudne zadanie, licząca wiele wieków zaprawa opierała się bowiem niszczycielom, niemniej zostało wykonane. A kiedy dzieło zniszczenia dopełniło się, gdy wygnano wszystkich mieszkańców i niegdyś dumne miasto zamieniło się w pole gruzów, odprawiona została okrutna rzymska, symboliczna ceremonia pługa i soli. W edykcie nakazującym zniszczenie Palestriny Bonifacy otwarcie już naśladował rzymskiego generała: tak jak Kartagina została zaorana i obsiana solą, tak – powiedział – Palestrina ma zostać zaorana i obrócona w ziemię jałową po wieczne czasy. Symbolika okazała się niezwykle trafna, Palestrina bowiem nigdy już nie podniosła się z upadku. Nadal naśladowując rzymskie wzory, Bonifacy zarządził budowę nowego miasta na niższych stokach wzgórza. Nazwał je *Civitas Papalis*, jednak była to społeczność nadzwyczaj uboga. Zaledwie niecałe półtora roku po jej powstaniu, bo wiosną 1300 roku, w nagłym napadzie wściekłości zarządził zburzenie nawet tych nędznych szczątków; a mieszkańcy raz jeszcze zostali wygnani, tym razem na dobre.

Wydawało się, że Bonifacy całkowicie zwyciężył. Drogo jednak zapłacił za swoją mściwość. Burząc Palestrinę, zniszczył wszelką nadzieję na pogodzenie się z Colonnami, którzy wyznawali zasadę, że „zemsta najlepiej smakuje na zimno”. W swoim wygodnym mieszczańskim domu we Florencji Giovanni Villani z wielkim niepokojem odnotowywał koniec pierwszego aktu tej tragedii:

Colonnowie, ujrzawszy, że zostali oszukani i ich szlachetna twierdza Palestrina została zniszczona, pod koniec roku ponownie powstali przeciwko papieżowi i Kościołowi. I papież znów ich wykłął w straszny sposób, a oni, z obawy przed pojmaniem lub zabiciem z rozkazu papieża, opuścili Rzym. Niektórzy z nich udali się na Sycylię, inni do Francji, podróżując z miejsca do miejsca, gdzie ich nie znano. I tak pozostawali na wygnaniu, dopóki żył papież¹⁵.

Pośród tych tułających się Colonnów był też i Sciarra. Został schwytany przez piratów, jednak król Francji, Filip, zapłacił za niego okup i przywiózł go do

Francji. Sciarzę czekała ciężka i niebezpieczna praca, której owoce przyniosły mu zemstę tak okrutną, że wstrząsnęła nawet Włochami, którym wydawało się, że widzieli już wszystko.

Waleczny grzesznik

Bonifacy VIII, ostatni z wielkich papieży-monarchów, jest pierwszym z papieży, którzy wyraźnie odcinają się od tła swojej epoki; pierwszym, którego można poznać zarówno poprzez dzieła sztuki, jak i listy. Ponieważ kochał okazałość, ściągnął na swój dwór artystów, którzy tworzyli w bladym świetle wschodzącego renesansu, a ci w zamian pozostawili potomności jego obraz. Rzucając się w wir jednego ze sporów, które zadecydowały o kształcie Europy, walcząc z jej najpotężniejszym władcą, stał się obiektem zainteresowania wszystkich Europejczyków. W Anglii i Irlandii, we Francji, w Niemczech i Hiszpanii kronikarze pilnie odnotowywali jego poczynania. W jego ojczystej ziemi, we Florencji, w czasie jego panowania odrodziła się sztuka prawdziwej historii, i to jego postać dominuje na stronach dzieł wielkich florentyńskich autorów. Zaś w tej okazałej galerii świętych i grzeszników, jaką jest *Boska komedia*, Bonifacy rzuca cień dłuższy niż Lucyfer, pojawia się bowiem w każdej z trzech ksiąg.

Poza stronicami zapisywanym przez poetów i historyków jego działania szczegółowo rejestrowano w dokumentach, które produkowała armia prawników. W swoim imieniu przemawiał poprzez bulle, kochał bowiem prawo mocniej niż wszystkie inne intelektualne zajęcia i właśnie jego językiem najpełniej wyrażał swoją osobę. Paradoksalnie, to właśnie poprzez prawo utrwaliła się pamięć o nim. Król Francji prześladował go nawet w grobie pośmiertnym procesem, w którym każdy niegodny czyn tego gwałtownego człowieka, potwierdzony czy tylko domniemany, wydobyto na światło dzienne, by zbudować obraz niehumanitarnej niemal deprawacji. Wszyscy razem, poeci i prawnicy, historycy i artyści, stworzyli ogromną, górującą nad światem postać, która w umysłach panowała całą epokę – i zaledwie osiem lat na swym tronie.

Zanim nastąpiło odrodzenie, postacie niewielu papieży zostały tak wiernie utrwalone, jak wygląd Bonifacego. Potomni najlepiej poznali go właśnie poprzez dzieła rzeźbiarskie, bowiem będąc na wskroś Rzymianinem, przedkładał tę sztukę nad inne. Jego miłość do tej rzeźby była tak wielka, iż stała się później podstawą oskarżenia, że „nakazał umieszczać w kościołach srebrne wyobrażenia, by skłonić ludzi do bałwochwalstwa”. Bezsens tego oskarżenia dorównywał tylko jego złośliwości, niemniej faktem jest, że w czasie jego pontyfikatu w kościołach pojawiła się niespotykana dotąd liczba posągów żyjącego papieża.

Wiele z nich wykonano na bezpośrednie polecenie papieża, jednak za wiele z nich zapłaciły wspólnoty wiernych, w nadziei, że przypochlebią się najwyższemu kapłanowi. Jego najbardziej znany posąg, siedząca postać dłuta Arnolfa di Cambio, powstał we Florencji, nie w Rzymie. Bonifacy nie okazał się szczególnie wybitnym patronem sztuki – jego ulubioną dziedziną było prawo, sztuka zaś pozostawała jedynie ubocznym zainteresowaniem, luksusem. Niemniej odznaczał się wystarczającą wrażliwością, by dostrzec rodzący się wówczas nowy nurt i oddać cześć artystom w czasie, gdy powszechnie uważano ich za rzemieślników. Opowieść Vasariego o tym, jak Giotto zademonstrował swój kunszt, rysując odręcznie idealny okrąg, świadczy zarówno o zdolności Bonifacego do interpretacji tego subtelного gestu, jak i o umiejętnościach Giotta.

Giotto przybył do Rzymu, jednak większość z jego rzymskich prac, podobnie jak znaczna część innych dzieł, zainspirowanych przez Bonifacego, nie przetrwała. Zachowały się jedynie fragmenty fresków i mozaik, które stworzył dla Bazyliki św. Piotra. Jeden z tych fragmentów ukazuje żywego Bonifacego. To wyjątkowy relikw, Giotto bowiem utrwalił go w momencie, gdy ogłasza pierwszy jubileusz roku 1300, w chwili będącej zarazem apoteozą jego władzy i początkiem jego upadku.

Bonifacy VIII odznaczał się imponującą postacią. Mierzył ponad 180 centymetrów wzrostu i był proporcjonalnej, masywnej budowy, choć jego dłonie robiły wrażenie zaskakująco delikatnych i wrażliwych. Potrafił nosić niezwykle koronę, wyniosłą orientalną tiarę papieską, jak gdyby stanowiła część jego normalnego stroju, nie zaś nedorzeczny ciężar, przygniatający głowę, na której spoczywał. Giotto nie musiał przydawać wielkości swojemu modelowi, by ten mógł dominować nad niewielką grupą otaczających go osób.

Posąg Arnolfa odzwierciedla arogancję człowieka, malowidła Giotta zaś dodają rys wewnętrznej zadumy i melancholii. Nie ma w tym sprzeczności. Bonifacy niewątpliwie odznaczał się gwałtownością, arogancją i silną wolą, niezbędnymi do przeforsowania tytanicznego planu, jakim było stworzenie nowej potęgi światowej pod jednym przywództwem. Pod tymi cechami krył się jednak duch zdolny do wizualizacji takiego planu. Ostatecznie nie zawiodły ani siła, ani duch, Bonifacy nie został bowiem pokonany przez człowieka, a przez samą historię.

O Bonifacym pisali kronikarze w całej Europie, lecz to we Florencji wydany został na niego ostateczny wyrok. Sam Bonifacy dostrzegał i cenił intelektualny status Florentyńczyków, gromadzących właśnie siły do tego zaskakującego przyływu aktywności, który kulminację swoją znalazł w ruchu Odrodzenia. „Wy, Florentyńczycy, jesteście piątym żywiołem” – wykrzyknął, gdy stanęła przed nim grupa florenckich ambasadorów, z których każdy reprezentował inne państwo europejskie bądź włoskie.

Giovanni Villani dał pierwszą racjonalną ocenę charakteru tego człowieka:

Był niezwykle mądry dzięki wykształceniu i naturalnej roztropności, szalenie ostrożny i doświadczony, o wielkiej wiedzy i pojemnej pamięci. Bardzo był pyszny

i dumny, i okrutny wobec swych nieprzyjaciół, był wielkiego serca i trwogą napawał wszystkich ludzi (...). Człowiek ogromnych planów, wyniosły, dążący do wielkiego poważania¹⁶.

Dino Compagni, młody szlachcic, który odnotował burzliwe, a przewidziane przez Bonifacego wydarzenia we Florencji, wtórował Villanemu. „Był on człowiekiem wielkiej śmiałości i ogromnego zrozumienia i prowadził Kościół zgodnie ze swoją wolą, i strącał w dół tych wszystkich, którzy byli mu przeciwni. Rządził w sposób najbardziej okrutny i wywoływał wojny, niweczając wielu ludzi”¹⁷.

Villani i Compagni byli obywatelami kupieckiego miasta, nawykłymi mieżyć ludzi okiem kupca, dla którego błąd w ocenie oznacza materialną stratę. Zwłaszcza Villani w tej kwestii wydaje się Florentyńczykiem z krwi i kości, ostrożnym, trzeźwo patrzącym na świat i niechętnym ekstrawagancjom. W charakterystyce, stworzonej przez tych dwóch autorów, pojawiają się słowa-klucze, które powtarzały się nieustannie w pomniejszej wagi i wartości tekstach: pyszny, dumny, gwałtowny, odważny i wyniosły. Bonifacemu – całkiem słusznie – przypisywano wiele występków, lecz nikt nie mógł mu odmówić wielkich przysług.

Do osądu historyków i pisarzy dołączył znacznie surowszy osąd poety Dantego Alighieri. Dante nienawidził Bonifacego podwójną nienawiścią, natury osobistej i ideologicznej, Bonifacy bowiem uzurpował sobie świętą pozycję cesarza i doprowadził do sytuacji, w której wyniku Dante został wygnany na zawsze ze swego miasta.

Niepokoje we Florencji stanowiły przedmiot drwin w całych Włoszech, choć Włosi przyzwyczajeni byli do nieustannych rewolt we wszystkich miastach-państwach. Jednak niepokój Florentyńczyków miał, można powiedzieć, pewien cel – miasto zmierzało, jakkolwiek niezbyt konsekwentnie, w kierunku koncepcji prawdziwej wolności politycznej. Na rok przed tym, jak Bonifacy zdobył swoją koronę, Florentyńczykom udało się przeforsować niezwykle ustawę, uznającą równość wszystkich obywateli wobec prawa. Florentyńczycy lepiej potrafili tworzyć niezwykle koncepcje polityczne niż wprowadzać w życie choćby najprostsze z nich. Lecz chociaż nowe prawo było tak samo często ignorowane i przestrzegane, zrodziło pewien ferment, dając nadzieję niepiśmiennym masom. Ten zdumiewający eksperyment byłby bardzo niebezpieczny, gdyby Rzymianie chcieli go naśladować. Bonifacy, który zgniótł w zarodku republikanizm rodzący się w Rzymie, wiedział, czym grozi powstanie ośrodka republikańskiego w nie tak dalekiej Florencji. Do czegoż bowiem mógł taki eksperyment doprowadzić?

Poza tym pożądał Toskanii, chciał włączyć perłę Italii do Państwa Kościelnego, rozciągnąć ziemską władzę tiary na całe środkowe Włochy, co okryłoby jego imię chwałą po wieczne czasy. Działania w tym kierunku rozpoczął ostrożnie, jednocząc się w zмовie ze szlachetnie urodzonymi Florentyńczykami,

którzy wyniesienie ludu postrzegali jako koniec państwa. Intrygi jednak zostały odkryte, a jego agenci ukarani grzywną, na co zareagował ze swą zwyczajową gwałtownością, grożąc ekskomuniką i interdyktem.

„Czyż biskup rzymski nie jest najwyższym Panem nad wszystkim? Czyż cesarze i królowie rzymscy nie gną się przed nami w posłuszeństwie, choć wyżej stoją od Florencji?” Bonifacy domagał się absolutnego posłuszeństwa; w przeciwnym razie bowiem „zada największe szkody ich obywatelom i kupcom, sprawi, że ich dobra będą grabione i konfiskowane we wszystkich częściach świata, zwolni ich wszystkich dłużników od obowiązku spłaty długów”¹⁸.

Dokładnie tę metodę zastosował wobec Colonnów. Ale Florencja nie była rzymską własnością, całkowicie zależną od dobrej woli rzymskiego papieża, lecz okrzepłą republiką, która pokonała już wrogów potężniejszych niż Bonifacy. W mieście doszło do rozruchów i walk między sprzymierzeńcami Bonifacego a republikanami. Wówczas Bonifacy rzucił przeciwko miastu papieską armię, którą dowodził generał, noszący ironiczny tytuł pacyfikatora. Miasto wysłało do niego poselstwa; członkiem jednego z nich był radca miejski Dante Alighieri. Wszystkie zawiodły. W ostatnim wysiłku szlachcice pokonali stronnictwo ludowe, którego przywódcy, łącznie z Dantem, zostali skazani na wieczne wygnanie.

By oddać sprawiedliwość Bonifacemu, przyznać należy, że jedynie wykorzystał wybitny talent Florentyńczyków do bratobójczych walk. Relacja Compagniego opowiada o donosicielach, spieszących do Bonifacego, by dopaść go przed innymi, przedstawić własną wersję wydarzeń i zdyskredytować stronę przeciwną. Bonifacy był przekonany, że Florentyńczycy stanowią zagrożenie: wierzył lub został do tego przekonany, że oprócz niebezpieczeństwa związane go z bliskim sąsiedztwem republiki i Państwa Kościelnego, dodatkowym zagrożeniem jest fakt, że stronnictwo ludowe sprzymierzyło się z Colonnami. Nazwisko to było mu tak nienawistne, że mógłby zniszczyć sam Rzym, żeby pozbyć się Colonnów raz na zawsze.

Niezależnie jednak od tego, czy Bonifacy był pośrednią, czy bezpośrednią przyczyną tumultu, który opóźnił narodziny demokracji we Florencji, papież ściągnął na siebie zajadłą nienawiść Dantego. W późniejszym okresie poeta racjonalizował swoje emocje, rozwijając myśl przewodnią, że ludzkość może zaznać szczęścia wyłącznie pod rządami cesarza nadanego przez Boga, że doczesna władza papieża jest obrazą wobec nieba, skazującą całą ludzkość na chaos. W *Boskiej Komedii* Dante przeprowadza Bonifacego przez piekło, czyścić i nawet sam raj, by osądził go św. Piotr, który potępia go strasznymi słowami:

Ten, co przywłaszczył sobie na Opoce
To moje miejsce, moje miejsce, moje miejsce –
W obliczu Chrystusa sieroce,
Zmienił mych kości cmentarne pokoje

W krwi i plugastwa cuchnącą kałużę,
Ucieszne ducha upadłego zdroje¹⁹.

Może być miarą braku szczęścia Bonifacego, że podczas gdy jego obrona leżała w rękach skromnych ludzi – bezbarwnych urzędników, wypisujących stereotypowe pochwały zmarłego – to jego potępienie wyrazili potężnym językiem Dante i Villani. Jednak w swych dźwięczących wersach mistrzowie języka włoskiego, choć oddali naturę papieża, przeoczyli pewne cechy człowieka. To właśnie piórom innych maluczkich, choć byli narzędziami wrogów Bonifacego, zawdzięcza potomność pełny wizerunek jego osoby.

Bonifacy posiadał dar uszczypliwego, dosadnego wyrażania się, upodobanie do błyskotliwych, częstokroć aluzyjnych żartów słownych, którymi rzucał, nie bacząc na ich niestosowność, obojętny na fakt, że pracowici mali ludzie mogą je skrupulatnie notować. Cieleśna niemoralność? Cóż to takiego? Pójść do łóżka z kobietą czy chłopcem to jak zatrzeć ręce. Nieśmiertelność? Człowiek może mieć taką nadzieję na życie po śmierci jak ten tu pieczony drób na stole – uwaga ta została poczyniona w dzień postny, co odnotował wstrząśnięty świadek wydarzenia. Trudno jest ocenić prawdziwe przekonania Bonifacego, jednak rzucające mimochodem słowa składają się na jednorodny obraz człowieka wykształconego, obojętnego czy nawet sceptycznego wobec misterium religii, którą wyznawał. Bogiem, którego czcił w oczach świata, był bóg władzy.

Kardynałowie, mający z nim bliski, codzienny kontakt, zniecierpliwi go nawet silniej niż zaciekle Dante. Jego duma i arogancja przewyższyły i przygniatały nawet ich wybujałą pychę, sprowadzając ich do pozycji dworskich urzędników, pogardliwie ignorowanych, chyba że musieli złożyć podpis na dokumentach. Większość problemów z Colonnami brała się z faktu, że Bonifacy nie umiał – lub nie chciał – uznać czyjejkolwiek woli, czyichkolwiek celów z wyjątkiem własnych.

„Wszyscy kardynałowie pragną jego śmierci i są znużeni jego niegodziwościami” – donosił królowi Aragonii poseł Gerald z Albalato. Gerald, mały, podlizujący się człowieczek, skwapliwie zbierał wszystkie zasłyszane z ust „wielkich psów kurii” plotki. Przekazywał je następnie swemu panu, który – jak tytu innych – czekał na fałszywy krok ze strony Bonifacego. Lecz właśnie słabość Geralda czyniła z niego osobę, na którą kardynałowie mogli bezpiecznie wylać całą swą złość. „Kardynał Landulf mówi, że lepiej jest umrzeć niż żyć z takim człowiekiem. To sam ozór i oczy, cała reszta jest przegniła; nie pożyje długo. Musimy tutaj radzić sobie z prawdziwym szatanem”²⁰.

„Sam ozór i oczy” – wyraziste sformułowanie, podsumowujące bezsilną nienawiść podwładnego, wijącego się pod razami mistrza inwektyw, omiatanego zimnym, pogardliwym spojrzeniem pewnego siebie przełożonego. Jednak bezwzględna uwaga Landulfa, że Bonifacego toczy zgnilizna, wyjaśnia do pewnego stopnia wybuchy niekontrolowanego gniewu, jakie zdarzały się papieżowi. Był chorym człowiekiem, a jego dolegliwości związane z podagrą i kamieniami

nerkowymi zaostrzyły się znacznie podczas walki z nieustannymi problemami papieżstwa.

Człowiek o jego temperamencie nie mógł być łatwym pacjentem. Lista jego lekarzy przedstawia się doprawdy imponująco. Każdy z nich zjawiał się z kojącymi obietnicami i każdy odchodził z płonącymi uszami i drżącym sercem. Nie byłoby trudno dowieść, że szarlatan jest heretykiem, szczególnie wówczas, gdy pacjent leczony przez niego driakwią, tłuczonymi diamentami i suszoną mandragorą zasiada na tronie najwyższego kapłana.

Jednak, paradoksalnie, zdrowie, a prawdopodobnie i życie, zawdzięczał Bonifacy potępionemu heretykowi. Był nim Arnold z Villanova, hiszpański doktor, teolog i prorok, który spędził już pewien czas w paryskim więzieniu za to, że wydał heretycką książkę na temat Antychrysta. Przybył do Rzymu, by odwołać się do papieża w sprawie swego skazania, jednak Bonifacy nie skomentował oficjalnie zaskakującej nowej doktryny, głoszącej przybycie Antychrysta w ciągu kilku najbliższych lat.

Arnold okazał się lepszym lekarzem niż prorokiem i Bonifacy gotów był przytknąć oczy na duchową herezję, jeśli jej autor znajdzie lekarstwo na jego dolegliwości. W każdym razie kardynałowie sądzili, że Arnold ponosił całkowitą odpowiedzialność za uratowanie Bonifacemu życia – i nie wyrażali wdzięczności. „Krażą pogłoski, że zaprawdę papież byłby już martwy i w grobie, gdyby nie przybył magister – a jakie rzucają na niego przekleństwa, sądzę, że się nie godzi napisać”²¹, posłusznie donosił swojemu panu Gerald. Jak wszyscy, poseł przypisał wyleczenie Bonifacego magii. Wiadomo na pewno, że częścią kuracji uzdrawiającej, zaleconej przez Arnolda, było noszenie specjalnej przepaski na biodra z wszytymi kabalistycznymi pieczęciami. Podchwyciła to i rozdmuchała plotka – w pierścieniu lub pieczęci Bonifacego mieszka zły duch, któremu papież złożył ofiarę z włosów i paznokci.

Niezależnie jednak od tego, czy dręczył go zły duch, czy też zwykła podagra, w bliskim kontakcie Bonifacy był nie do zniesienia. Upokarzając swych bliskich przyjaciół i podwładnych, rozwścieczając równych sobie wygórowanymi żądaniami, ze wszystkich ludzi to przede wszystkim sam Bonifacy doprowadził do własnego końca.

Jednak w roku 1299 żaden człowiek nie mógł przewidzieć jego upadku. Papież stał u szczytu niespotykanej dotąd potęgi. Jego wrogowie, Colonnowie, zostali pokonani; jego przyjaciele we Florencji nie poddawali się, a Rzymianie byli całkowicie zastraszeni. Wydawało się bardzo odpowiednie, by ogłosił pierwszy wielki jubileusz Kościoła rzymskokatolickiego, kiedy dziesiątki tysięcy chrześcijan przybywało do swego rzymskiego domu.

Ogłaszając jubileusz, Bonifacy przynajmniej raz przemawiał jako rzecznik niepiśmiennych chrześcijan (choć w ten sposób głosił swą chwałę całemu światu).

W ciągu ostatniego tygodnia odchodzącego stulecia coraz więcej małych grup pielgrzymich przybywało do Rzymu. Nieświadomie uczestniczyli w chrześcijańskiej wersji pradawnej ceremonii, poganie bowiem także gromadzili się tłumnie w stolicy Europy, by uroczystie celebrować nadejście nowego stulecia. Bonifacy znalazł dostatecznie dobry precedens, by pogańską ceremonię przekształcić w chrześcijańską i 22 lutego 1300 roku wydał bullę, ogłaszającą jubileusz.

Formalne błogosławieństwo instynktowej potrzeby ludzkich serc wzbudziło niezwykle entuzjazm, który ogarnął cały kontynent. Po raz ostatni Rzym stał się centrum Europy, a jego starożytnej świetności i przepychowi dodawało chwały znaczenie, jakie miasto to miało dla chrześcijaństwa. Jerozolima była w rękach niewiernych, ruch krucjat zamierał w rozgoryczeniu i rozczarowaniu; tak więc Rzym stał się głównym celem wszystkich pielgrzymów. Ludność miasta zwiększyła się o około 30 000. Rzymianie szacowali, że bramy ich miasta przekroczyło tego roku ponad 2 000 000 osób, i chociaż na pewno była to liczba przesadzona, obserwatorom w miastach położonych na trasie pielgrzymek wydawało się, że cała Europa zdążyła do Rzymu.

Przynajmniej raz zapanował tu spokój. Zbiory się udały, chleb i wino, mięso i ryby były tak tanie i w takiej obfitości, że nawet zwyczajowa zachłanność rzymskich sklepikarzy nie dawała się tak bardzo we znaki. Ojcowie miasta zaprowadzili porządek, co wywarło ogromne wrażenie na tych, którzy wcześniej odwiedzili już Matkę Europy. U bram miasta na pielgrzymów różnych narodowości czekały komitety złożone z ich ziomków, którzy przeprowadzali przybyłych przez zawile uliczki miasta, będącego nadal największym ośrodkiem miejskim Europy. W ciągu pierwszych tygodni jubileuszu ludzie ginęli w chaosie tratowani przez tłum, zwłaszcza na drodze wiodącej przez most Sant' Angelo do Bazyliki św. Piotra. Rajcy miejscy wprowadzili na moście ruch jednokierunkowy. Niekończący się powolny pochód, mijający mury zamku, żywo podzielał na wyobraźnię przynajmniej jednego pielgrzyma. Lata później Dante przywołał z pamięci obraz Rzymu z czasu Wielkanocy 1300 roku, wspomnienia te przekształcając w wizję zagubionych dusz, z żalem, lecz posłusznie sunących po piekielnym moście wprost do piekła.

Także Villani przybył tego roku do Rzymu. Poruszony przeszlą chwałą miasta postanowił napisać własne dzieje. Cały świat jest tutaj, pomyślał. Na ulicach znów słyhać każdy europejski język, można zobaczyć każdą odmianę narodowego stroju, poczynając od zgrzebnych futer Tatarów, kończąc na jedwabiach i brokatakach Wenecjan. Każdego, kto przeszedł przez bramy, pochłaniał powolny, bezwzględny prąd, który prowadził tłumy poprzez wąskie uliczki, przez most, aż do podnóża schodów wiodących do bazyliki, prowadzących wprost do grobu św. Piotra. Tutaj pielgrzymi, stłoczeni w ogromną ludzką masę, modlili się najlepiej, jak było można w tych warunkach, by następnie przed odejściem złożyć swoją ofiarę przed ołtarzem.

„Dniem i nocą dwaj klerycy stali przed ołtarzem św. Piotra, trzymając w swoich rękach grabie, którymi zgarniali nieskończone ilości pieniędzy”²². Widok sług Rybaka łowiących nie ludzi, lecz złoto, dostarczył ostrej amunicji wrogom Bonifacego. Cały jubileusz – jak szyderczo utrzymywali – był jedynie dochodowym interesem, kolejnym sposobem na zdobycie pieniędzy dla Gaetanich. Jednak zgromadzone w ten sposób pieniądze były miedziakami ubogich, a nie złotem bogaczy, i prawdopodobnie z trudem starczyły na pokrycie wydatków.

Nie cały bowiem świat przybył do Rzymu. Bulla papieska w sposób specjalny wykluczała wrogów Kościoła, do których zaliczali się Colonnowie i wszyscy ci, którzy im pomagali i ich miłowali. Nieobecni też byli wielcy Europy. Żaden monarcha nie pojawił się, by modlić się przy grobie św. Piotra i uklęknąć u stóp jego wielkiego następcy – potwierdzając tym samym nie tylko jego duchową, lecz i doczesną wyższość. W osobie Bonifacego znów połączyły się – przynajmniej w jego własnym mniemaniu – bliźniacze atrybuty kapłana i króla. On, Gaetani, był papieżem-cesarzem.

Przewlekła walka między papieżem a cesarzem zakończyła się całkowitym poniżeniem cesarstwa. Ogromny potencjał został wyczerpany, kurcząc się do zużywających waśni pomiędzy dwoma rywalami w Niemczech. W końcu jeden z nich obalił drugiego i przyjął tytuł Świętego Cesarza Rzymskiego – uznał jednak za rozsądne uzyskać potwierdzenie tytułu od papieża Bonifacego. Posłowie cesarscy spotkali się z pogardą. „Cesarz? To ja, ja jestem cesarzem” – odrzekł papież. A przynajmniej tak opowiadali jego wrogowie, przechodząc dalej do szczegółów tej farsy: jak Bonifacy sam przywdział cesarską purpurę, szkarłatne cesarskie koturny razem z pozłaczanymi butami i ostrogami, jak paradował z wielkim mieczem w rękę i krzyżem na piersi. Być może jego wrogowie nieco ubarwili opowieść, ale wielotysięczne tłumy tłoczące się w mieście uwierzyły w nią bez zastrzeżeń, nie dostrzegając żadnych wewnętrznych sprzeczności w odgrywaniu tej roli przez papieża, który świadomy był wywołanego wrażenia. W rodzinne strony pielgrzymów poniosły się wieści, że w Rzymie znów można spotkać pana Europy.

Wyzwanie i riposta

Lecz nawet wówczas, gdy niekończąca się procesja pielgrzymów do Rzymu wydawała się potwierdzać, że nastąpiła złota era papiestwa, we Francji obmyślano ostateczne wyzwanie dla dominacji papieża. Do starcia nie doszło bynajmniej na płaszczyźnie istotnych spraw wiary czy urażonej dumy. Spór dotyczył kwestii ściągania pieniędzy, niemniej posłużył do obalenia Bonifacego.

Królem Francji był Filip VI. Piękny, jak zwali go pochlebcy, odznaczał się bowiem wielką fizyczną urodą – na pozór niczym więcej. Właściwie podsumował charakter Filipa Villani, opierając się na swym florenckim wycuciu. Przyjmował za pewnik, że król posiadał zalety jako król, „lecz przesadnie szukał przyjemności. Nade wszystko miłował polowanie i pozwalał innym wykorzystywać swą władzę do rządzenia jego królestwem. Na ogół dawał się zwieść złym radom, którym zbyt chętnie dawał wiarę, przez co na wielkie niebezpieczeństwa wystawiał swoje rządy”²³. Na łożu śmierci, spoglądając wstecz na swe burzliwe i zgubne życie, Filip potwierdził zdanie Florentyńczyka: „Zła rada była moją zgubą”²⁴.

Kością niezgody między Filipem a Bonifacym stały się pieniądze, bowiem Filip potrzebował ogromnych sum na utrzymanie supremacji nad ziemiami nadal wstrząsanymi feudalną walką – na finansowanie wojny z baronami niemal tak potężnymi, jak on sam i na niekończącą się wojnę z Anglią. Aby je pozyskać, chwycił się każdego sposobu, od dewaluacji monety do otwartego podnoszenia podatków. Szlachta była od nich zwolniona. To maluczcy wezwani zostali do zapłaty, do oddania dziesiątej części, ćwierci, połowy swych lichych dochodów bądź plonów, by finansować ekstrawagancję dworu i wojnę wyciskającą ostatni grosz z tej ziemi. Prawnicy otaczający króla obmyślali coraz to bardziej pomysłowe sposoby na zdobycie pieniędzy, zaś armia zajadłych poborców podatkowych, wymuszających posłuch dla prawniczych dekretów, wzbudzała więcej nienawiści niż żołnierze wrogiego króla.

Jak było do przewidzenia, Filip zwrócił się ku bezmiernym zasobom bogactwa, znajdującym się w posiadaniu Kościoła we Francji. Bonifacy stworzył już użyteczny precedens, wykorzystując środki przeznaczone na finansowanie krucjaty do celów własnej wojny i Filip mógł – słusznie – utrzymywać, że pieniądze przesłane przez francuskich księży powinny zostać użyte do obrony Francji. Zaczął więc czerpać z niezmiernego bogactwa zakonu cystersów. Opaci cystersów, będąc osobami duchownymi, nie mieli innego zwierzchnika jak sam papież. Mogli zatem odwołać się bezpośrednio do papieża, z pominięciem francuskich biskupów.

Bonifacy na skargę odpowiedział na swój ulubiony sposób, głośną bullą, w której jego ogromna wiedza prawnicza mogła zostać wykorzystana ze wspólnym skutkiem. Bulla otwarcie przyznawała to, co każdy wiedział od lat – że osoby świeckie żywiły głęboką i narastającą nienawiść do duchowieństwa. Zatem jego obowiązkiem jest chronić swe sługi i zakazuje tym samym, pod groźbą ekskomuniki, jakichkolwiek prób pobierania pieniędzy, w jakiejkolwiek formie, od jakichkolwiek osób duchownych bez bezpośredniego pozwolenia Stolicy Apostolskiej.

Filip niezwłocznie kontratakował. Bulla miała wejść w życie już następnego dnia, ale prawnicy opracowali dekret zakazujący wywozu z kraju pieniędzy w jakiejkolwiek formie dla jakiegokolwiek celu, jednocześnie zabraniając

cudzoziemcom zamieszkiwać we Francji. Było to podwójne uderzenie wymierzone w Bonifacego – bogate źródło dochodów z Kościoła we Francji od razu wyschło, zaś urzędnicy jego kurii w tym kraju stali się formalnie osobami przebywającymi tam nielegalnie.

Jednak spór o pieniądze skrywał znacznie głębszy problem. Europa budziła się z letargu, w którym pogrążona była przez stulecia. Postać, jaką przyjmowała, miała być całkiem różna od poprzedniej. Ostatni z wielkich cesarzy spoczywał w grobie od ponad wieku, zaś ogromna połać ziemi, niegdyś tworząca cesarstwo, rozpadała się na państwa narodowe. Niektóre z nich, jak Anglia, znalazły już swój ośrodek, a wraz z nim tożsamość. Inne, jak Francja, ciągle ich szukały. Wojna z Anglią stanowiła jeden z przejawów poszukiwań sposobu na samookreślenie i obronę swej tożsamości, jakie prowadził nowy naród francuski. Walka z Bonifacym była innym, głębszym jeszcze wyrazem rodzącego się nacjonalizmu. „Wojna” w większości prowadzona była suchym, prawniczym językiem. Bonifacy – mistrz w tej dziedzinie – bez trudu pokonywał swych słabszych, niemniej budzących respekt rywali, prawników zgromadzonych wokół osoby Filipa. Dla zwykłych ludzi niepojęta musiała być to walka, w której bronią były rozwklekłe łacińskie terminy. Jednak jej skutki głęboko ich dotknęły. Pytanie, na które szukano odpowiedzi, było proste: czy Europą włada tylko jeden pan?

Po ogłoszeniu bulli zarówno Bonifacy, jak i Filip zawahali się przed podjęciem nieodwracalnych działań. W kolejnych listach papież umniejszał siłę rażenia swej bulli, a król zaś wstrzymywał się przed poruszaniem kwestii wywozu pieniędzy. Jednak charakter tych dwóch mężczyzn zbyt były podobne, by mogli osiągnąć jakieś porozumienie. W ciągu kolejnych trzech lat Filip raz po raz podejmował w sprawach wewnętrznych Francji działania, ocierające się o kompetencje Rzymu. Kazał aresztować biskupa podejrzanego o zdradę. Skonfiskował francuskie środki finansowe, które przypadkiem przeszły przez kościelną kasę. „Po tym wielka polemika wywiązała się między panem królem a panem papieżem, wzrastając każdego dnia wraz z gromkimi słowami, którymi każda ze stron obrzucała drugą”. Niewątpliwie papiescy i królewscy posłańcy, z trudem przedzierający się przez alpejskie przełęcze zimą 1301 roku, mieli powód, by żałować, że ich panowie wybrali taką formę walki.

W grudniu 1301 roku Bonifacy wznowił zawieszoną bullę, zabraniającą nakładania podatków na duchownych i uzupełnił ją wezwaniem francuskich biskupów do stawienia się w Rzymie, „by otrzymali porady dotyczące okrucieństw, zbrodni i aktów przemocy dokonanych przez króla Francji i jego urzędników” na ciele Świętego Kościoła. Biskupi rozdarci byli między królem a papieżem...

Ponieważ jednak odnajdywali już w sobie cząstkę narodowej tożsamości, składali się ku wierności temu pierwszemu. Odwoływali się zatem do swego rozświetlonego zwierzchnika, by w miarę możliwości złagodził nieco swoje żądania.

Nie było to jednak możliwe. Tego samego miesiąca Bonifacy ogłosił kolejną bullę, zaczynającą się od zwodniczo łagodnych słów: „Słuchaj, mój synu”, w której powtarzał swoje papieskie żądania. Wyrażone były powściągliwym językiem, lecz ogólny wydźwięk pozostawał bez zmian: papieństwo miało władzę nad wszystkimi i bunt wobec tej władzy równoznaczny był z interdyktem – gospodarczą, społeczną i duchową śmiercią. Filip odpowiedział serią dziecinnych obelg. „Do Bonifacego, który zwie się papieżem, bez powitania. Niechże do twej zdumiewającej głupoty dotrze, że w sprawach doczesnych nie podlegamy żadnemu człowiekowi”²⁵.

Bonifacy, zdolny obrazę obrócić na własną korzyść, odpowiedział: „Nasi poprzednicy złożyli z tronu trzech królów Francji. Wiedz – my możemy cię zdjąć jak chłopca stajennego, jeśli to będzie konieczne”²⁶. I ponownie wezwał do siebie biskupów, tym razem pod groźbą ekskomuniki. Filip z kolei zwołał radę, która wszystkie zbrodnie Bonifacego, prawdziwe i urojone, przedstawiła całej Francji i Europie. Symonia, sodomia, ojcobójstwo, nepotyzm, herezja – nikczemny katalog, którego nie usprawiedliwiają nawet gwałtowne emocje walki. Bonifacy, jak twierdzono, uśmiechnął się na zarzut herezji. „Byliśmy dobrymi katolikami dopóty, dopóki sprzyjaliśmy sprawie króla Filipa”²⁷.

Spór szybko narastał. Filip postanowił odwołać się do szerszego grona odbiorców i zwrócił się do ludu, czyniąc ze swej osobistej walki sprawę narodową. W kwietniu 1302 roku zwołane zostały Stany Generalne, będące pierwszym skutecznym spotkaniem trzech stanów narodu francuskiego. Duchowieństwo, poddając się aktualnemu prądowi, opowiedziało się po stronie króla i z kościelnych kazalnicy przystąpiło do ataku na Bonifacego. Nie wszyscy jednak uważali za rozsądne oddzielać się od Rzymu. W listopadzie 45 biskupów i opatów uczestniczyło w wielce spóźnionym soborze. I z tego soboru rozszedł się ostatni gromki dźwięk trąby papieskiej monarchii skrojonej przez Bonifacego – wielka bulla *Unam Sanctam*.

Było to najwspanialsze osiągnięcie Bonifacego jako prawnika. Bulla nie zawierała rewolucyjnych nowości, od kiedy bowiem papieństwo stało się potęgą niezależną zarówno od cesarza, jak i od Rzymu, papieże wielcy i mali zawsze działali na postawie założenia, że dzierżą i miecz, i klucze. Jednak bulla *Unam Sanctam* w sposób wyraźny i bezpośredni wyrażała to, co do tej pory pozostawało w domyśle: „Posłuszeństwo każdej istoty ludzkiej biskupowi rzymskiemu jest konieczne do osiągnięcia zbawienia”²⁸. Władza doczesna na ziemi leżała w rękach papieża. Mógł – i czynił to – obdzielać nią monarchów i książąt, lecz również mógł – i jeśli zechce, będzie tak czynił – ją odebrać.

W lutym następnego, 1303 roku, gdy trwała oficjalna i publiczna dysputa między królem a papieżem, grupa Francuzów zebrała się potajemnie, by na polecenie Filipa przygotować pewien plan. Ludziom tym przewodził prawnik Guillaume Nogaret, który swoją wysoką pozycję zawdzięczał głównie cncie

troski o zdrowie królewskich finansów. Utrzymywał, że miał już zaszczyt osobiście skrzyżować miecz z budzącym respekt Bonifacym. Zgodnie z jego relacją udał się na pielgrzymkę jubileuszową do Rzymu, gdzie papież przyjął go na prywatnej audiencji, w czasie której Nogaret usilnie namawiał go do poprawy zachowania. Jeśli historia ta była prawdziwa, to spotkanie musiało być istotnie niezwykle interesujące.

To właśnie Nogaret odpowiadał za szczególnie podły atak na Bonifacego, przygotowany przez radę królewską poprzedniego roku, posiadał bowiem wyjątkowy talent do obelg i prostackich zachowań oraz upodobanie do mniej ambitnej strony prawa. W tamtej przemowie uczynił aluzję do możliwości użycia przemocy, która właśnie teraz była potajemnie omawiana. Spiskowcy zaprosili na to potajemne spotkanie włoskiego weterana – Sciarre z rodu Colonnów, któremu udało się przeżyć świętą wojnę z 1298 roku.

Latem 1303 roku Bonifacy schronił się przed spiekotą Rzymu w małym mieście Anagni, położonym w odległości około 60 km od Rzymu. Anagni nie mogło konkurować ze starożytnymi miastami Tusculum czy Palestriną, nie mogło chętnie się związkami z wielkimi pogańskimi nazwiskami z odległej przeszłości, jednak zamiast tego posiadało znacznie cenniejszą wartość, łączącą się z teraźniejszością. Było miejscem narodzin Benedetta Gaetaniego. A ten, już jako papież, zasypywał je licznymi dowodami życzliwości.

Bonifacy nie przepadał za Rzymem, zresztą tak naprawdę niewielu wielkich obywateli tego miasta mieszkało tam z wyboru. Najbardziej nawet kompetentna władza administracyjna nie byłaby w stanie zahamować, a tym bardziej odwrócić, procesu powolnego upadku miasta. A kompetentne władze w Rzymie zdarzały się coraz rzadziej. Rozpadające się mury, zablokowane ulice, niesprawną kanalizacja oraz niedostatek wody czyniły z pobytu w mieście ciężką pokutę. W dodatku w każdej chwili można było stać się ofiarą przypadkowej przemocy, która stanowiła stały element życia w Rzymie. Bonifacy przyjął więc zwyczaj podróżowania od jednego do drugiego z mniejszych miast położonych na wzgórzach.

Anagni należało do jego ulubionych miejsc i tutaj wzniesiono wielki pałac papieski, rywalizujący z potężną sylwetą katedry. Miasto leżało w sercu rosnącego państwa Gaetanich, dzięki czemu jego mieszkańcy znacznie się wzbogacili. Tutaj, w tym jedynym miejscu na ziemi, Gaetani czuł się u siebie – bezpieczny pośród ludzi, których pomyślność nierozdzielnie związana była z jego pomyślnością. To właśnie stąd wysyłał jak pociski owe wielkie bulle. I właśnie przebywając w Anagni, Bonifacy dowiedział się o drugim zgromadzeniu (13 czerwca tego samego roku) Stanów Generalnych, które nazwały go heretykiem i wezwały sobór do złożenia go z urzędu. Papież w odpowiedzi w swojej ostatniej bulli ekskomunikował Filipa Pięknego, wyrzucając go poza nawias wspólnoty chrześcijańskiej i uwalniając wszystkich francuskich poddanych od posłuszeństwa wobec niego. Nawet opatrzył bullę datą – 8 września 1303 roku –

niemniej na razie przechowywana była wśród licznych dokumentów papieskiej kancelarii, do czasu ogłoszenia będąc zwykłym kawałkiem pergaminu. Los chciał, że bulla ta pozostała nim na zawsze.

O świcie 6 września liczna grupa uzbrojonych ludzi przekroczyła bramy miejskie Anagni. Na ich czele stał Sciarra Colonna przybyły, by wreszcie posmakować zemsty. Przez całe lato Sciarra i Nogaret przebywali w Toskanii, realizując spisek, który uknuli w lutym w Paryżu. Na koszt króla przemierzali Włochy w poszukiwaniu wrogów Bonifacego, zręcznie, szybko i potajemnie zastawiając na niego sieć. Zyskali ogromne poparcie wśród osób równie mocno jak Colonnowie dyszących żądzą zemsty; złoto było niemal nieistotną dodatkową zachętą. Nawet w samym Anagni znaleźli się zdrajcy chętni otworzyć bramę miasta.

Bonifacy spał jeszcze w swym wielkim pałacu, gdy obudziły go hałas i wrzaski uzbrojonych żołnierzy na ulicach. Miejska milicja Anagni pozostawała bierna, dając wiarę – bądź udając, iż wierzy – oświadczeniu Nogareta, że przybył zaprosić papieża na sobór. Jednak Bonifacy nie został całkowicie bez środków do obrony. Potężny pałac papieski, zaprojektowany właśnie na taką ewentualność, broniony był przez jego bratanków. Jednak żołnierze, którymi dowodzili, zdezerterowali, a sami bratankowie poddali się – i Bonifacy został sam. Kardynałowie przebywający w Anagni uciekli, gdy tylko usłyszeli pierwszą wrzawę.

Wydawało się, że Bonifacy nie odczuwał strachu, gdy bowiem Sciarra i Nogaret weszli wreszcie do pałacu, ujrzeni go w pozie, którą zawsze przybierał w sytuacjach kryzysowych. Siedział wysoko na tronie, z ogromną tiarą na głowie, odziany w okazałe szaty pontyfikalne, czekając na nich w śmiertelnej ciszy. Jego widok rozwścieczył Sciarrę. Rzucił się do papieża przez całą komnatę, podniósł sztylet i byłby zatopił go w ciele starca, gdyby Nogaret nie przytrzymał jego ręki.

Przez trzy dni Bonifacy przebywał w zamknięciu. Sciarra i Nogaret nie bardzo wiedzieli, co z nim zrobić, jakby nie oczekiwali tak szybkiego powodzenia swej akcji. Rozpatrywali możliwość zaciągnięcia swego skutego łańcuchami więźnia do Lyonu, gdzie miałby być sądzony. W tym czasie mieszkańcy Anagni okazali nieco spóźnioną skruchę i zaatakowali najeźdźców. Nogaretowi i Sciarrze udało się uciec, a Bonifacy został uwolniony i zabrany z powrotem do Rzymu.

Jednak w ciągu tych trzech dni władza Bonifacego całkowicie się załamała. Powstali wrogowie Gaetanich, okupując ziemie, które zostały im ukradzione. Gaetani z kolei pozyskali nowych sprzymierzeńców i pokonali wrogów. Miejsce spokoju narzuconego żelazną wolą starca zajął wielki rozłam. Wola Bonifacego została bowiem tak samo złamana jak jego władza. Ostatni miesiąc życia Bonifacy spędził w Lateranie, z ogromną podejrzliwością traktując każdego przybysza, planując szaloną zemstę. „Postradał zmysły”, zapisał jeden ze współczesnych. „Wierzył, że każdy, kto się do niego zbliża, pojmie go i uwięzi”²⁹.

Krążyły plotki, że jak zwierzę szarpał zębami własne ramiona, że ostatecznie zadał sobie śmierć, waląc głową w ścianę. Plotki kłamały. Zmarł w ogromnej rozpacz, jednak z przyczyn naturalnych, a nie z własnej ręki. A wraz z nim odszedł ostatni prawdziwy cesarz rzymski.

„Wiedz, że ty jesteś ojcem książąt i królów, władcą świata” – brzmiała formuła koronacyjna Bonifacego. Potraktował ją dosłownie i chciał urzeczywistnić i to właśnie go zniszczyło. Lecz nawet ci, którzy cierpieli z powodu jego arogancji, poruszeni byli okolicznościami, w jakich musiał odejść. Nawet Dante, nienawidzący Bonifacego z taką mocą, jak tylko jeden człowiek może nienawidzić drugiego, podzielał powszechne oburzenie, odczuwane przez wszystkich Włochów – wszystkich Europejczyków – a wywołane świętokradztwem popełnionym na osobie papieża Bonifacego.

Widzę w Alagna wschodzącą liliją
I Chrystowego więzy namiestnika.
Widzę, powtórnie szydem go okryją,
Podadzą z żółci i octu napoje,
Między żywymi łotrami zabiją³⁰.

Elegia, którą Dante napisał dla Bonifacego, nie przekreślała poprzednich zawziętych oskarżeń rzucanych temu samemu papieżowi. Ani Dante, ani jemu współcześni nie dostrzegali w takiej postawie żadnej sprzeczności. Namiestnika Chrystusa i monarchę-papieża uważano za dwie odrębne osoby. Paradoks, iż niemożliwe było pomniejszyć jednego bez urażenia drugiego, leżał u podstaw władzy papieskiej. Na nim papież opierał swą ziemską potęgę dopóty, dopóki znaczna część Europy uznawała jego duchowe przywództwo.

Benedykt IX, następca Bonifacego, dosadnie przeklął miejsce, które za sprawą apatii mieszkańców przyczyniło się do upadku papieża. „O, nieszczęsne Anagni, żeś pozwoliło takiemu czynowi dokonać się w twym łonie. Oby nigdy nie zrosiła cię kropla rosy ni deszczu, bo chociaż mogłoś go obronić, bohater upadł, i ten, który miał władzę, został pokonany”³¹.

Benedykt, choć o tym nie wiedział, został również uznany za ostatniego bohatera heroicznego okresu papiestwa. Był papieżem niecały rok, po nim zaś we Francji wybrano na ten urząd Francuza, Klemensa V. Ten pozostał w swym rodzinnym kraju, zamieniając powszechny kościół w prywatną kaplicę króla Filipa IV. Filip Piękny, dążąc do całkowitego pogrążenia pamięci o potężnym, aroganckim Bonifacym, wszczął pośmiertny proces przeciwko niemu, mający potępić go jako heretyka, tym samym odmawiając mu miana papieża. Jednak Klemens, mimo że ulegał królowi, podstępem pozbawił go tej satysfakcji. Proces nigdy nie zakończył się wydaniem werdyktu.

IV

Wędrowny papież

Bartolomeo Prignano

Papież Urban VI (1378–1389)

Awinion, wrzesień 1376 roku

Od wczesnych godzin porannych tłum gromadził się na placu przed pałacem papieskim, górującym niczym biały masyw górski nad zatęchłymi, wąskimi uliczkami Awinionu. Wewnątrz samego pałacu urzędnicy kończyli obowiązki związane z nagłą i zadziwiającą decyzją Grzegorza VIII. Owszem, od miesięcy, a nawet od lat, krążyły pogłoski, że papież i jego dwór mają powrócić do Włoch, lecz co rozsądniejsi ludzie nauczyli się je ignorować. Wyglądało na to, że papież nigdy nie wróci do tego zdradzieckiego i rozdartego konfliktami kraju.

Później przybyła do Awinionu porywczą uczona dziewczyna ze Sieny, niejaka Katarzyna Benincasa, która gwałtownie zaatakowała Grzegorza VIII, nakłaniając, zastraszając i błagając go, by zdecydował się na powrót. Jednakże nawet to wydarzenie nie było w stanie zmienić opinii członków dworu. Jak bowiem owa niewykształcona mistyczka mogła dokonać czegoś, co nie udało się takim gigantom ówczesnych czasów, jak Dante czy Petrarca? Awiniońscy dworacy szybko spisali ją na straty.

Sam papież, po serdecznym powitaniu, szybko usunął się w cień i pogłoski przycichły. Jakiś czas później, podejmując decyzję niemalże z dnia na dzień, Grzegorz VIII postanowił o powrocie kurii do Rzymu. Od tego rozkazu nie było odwołania. Przygotowania ruszyły pełną parą i rankiem 13 sierpnia dwór był gotowy do drogi.

Postronny obserwator mógł odnieść wrażenie, że – zanim jeszcze słońce wstało na dobre – cały Awinion wyległ na plac i otaczające pałac papieski uliczki. Wyjazd kurii oznaczał ruinę dla wielu kupców i rzemieślników czerpiących pokaźne zyski z zamówień hojnych kapłanów. Sam Awinion zaś powrócić miał do statusu prowincjonalnego miasteczka, jakim był, zanim ponad 70 lat temu przeniesiono tu siedzibę papieża. Miały go teraz omijać nieprzerwane potoki złota spływające do kościelnych skarbców z całej Europy. Tłum przyszedł obserwować koniec pięknej epoki. Niektórzy zapewne przybyli w nadziei na cud, który powstrzyma Grzegorza VIII od wykonania podjętej decyzji.

Późnym rankiem z bram pałacu wyszedł sam papież. Miał wówczas 45 lat, lecz życie wycisnęło głębokie piętno na tym schorowanym, przygarbionym i zmęczonym człowieku, będącym głównym celem ataków skłóconych frakcji dworu. Każda polityczna czy też osobista decyzja opierała się na założeniu, że pozostanie on w tym spokojnym i bogatym mieście nad Rodanem. Kardynałowie zareagowali na wieść o wyjeździe mieszaniną rozpacz i wściekłości, papież zdawał zaś sobie sprawę z ich niepewnej lojalności. Właściwie sam również pragnął zostać, gdyż taka decyzja wydawała się rozsądna, lecz wyjazd jego i całej kurii był wynikiem działania przemożnej, irracjonalnej siły. Stanąwszy na stopniach pałacowych schodów, Grzegorz obrzucił spojrzeniem zebrany tłum, po czym ruszył przed siebie. W tej samej chwili jego ojciec rzucił mu się do nóg, wołając „Synu mój, dokądże idziesz?!” „Albowiem napisane jest, że ty zmiądzysz stopą swą żmiję i bazyliżka”¹, odparł na to papież, po czym przestąpił ciało ojca rozciągnięte przed nim w dramatycznej pozie. W chwilę później muł, na którego próbował wsiąść, stanął dęba i za nic nie dawał się uspokoić. Grzegorz czekał jednak niewzruszenie, aż przyprowadzono mu następnego, całkowicie ignorując szept o złych znakach. Kolejne zwierzę okazało się znacznie mniej odporne i papież mógł na czele pochodu wyruszyć w długą i niebezpieczną drogę do Rzymu.

Bartolomeo Prignano, arcybiskup Bari i asystent podkanclerzego kurii, również znajdował się w tym orszaku. Prawdę mówiąc, kuria nie mogła się obyć bez niego, gdyż sprawował on pieczę nad siedmioma oddziałami kancelarii, z których każdy składał się ze sporej liczby skrybów, prawników, kaligrafów i grawerów zajmujących się z kolei dziesiątkami tysięcy pergaminów, wstęg i pieczęci – namacalną reprezentacją sieci, jaką dwór awinioński rozciągnął nad całą chrześcijańską Europą. Nazywano go „małym biskupem” i nie było w tym przezwisku nic z dobrotliwej ironii, gdyż żadna z cech owego neapolitańskiego prawnika nie mogła wzbudzać sympatii. Ów niski, zażywny człowiek miał popolite rysy twarzy i ziemistą cerę, której stanu nie poprawiały niewyszukane jedzenie i lata spędzane w dusznych, zakurzonych skryptoriach.

W odróżnieniu od wielu wysokich urzędników kurii Prignano zawdzięczał swą godność ciężkiej pracy i uporowi, nie zaś dworskim koneksjom swojej rodziny. Mógł posłużyć za przykład tego, że w owych czasach Kościół oferował jedyną szansę kariery komuś, kto nie nadawał się do służby wojskowej. Urodzony w neapolitańskiej dzielnicy nędzy i mówiący z ciężkim rodzimym akcentem, Bartolomeo doszedł do godności arcybiskupa. Był to jednak wątpliwy honor, gdyż przyznano mu ją tylko dlatego, że wypadło, by ktoś o tak dużych wpływach zajmował stosowną pozycję. Nawet jego urząd nie stawiał go w zbyt dobrej sytuacji. Nie był wszak kanclerzem – to stanowisko rezerwował sobie papież. Prignano musiał zadowolić się funkcją pomocnika podkanclerzego, którym był arogancki Francuz, pogardzający swym asystentem. Szanse

na otrzymanie kapelusza kardynalskiego przez Bartolomea były bardziej niż odległe. Aby wejść w poczet decydujących o losach papieżstwa książąt Kościoła nie wystarczyły bezgraniczne poświęcenie obowiązkom i kompetencja. Niezbędne były wpływy i pieniądze, a „mały biskup” nie posiadał ani jednego, ani drugiego. Dodatkowo bardzo przydatne bywało, by władca kraju, z którego pochodził kandydat na kardynała, mógł zastraszyć bądź przekupić papieża, zaś Joanna, królowa Neapolu, nie mogła sobie pozwolić na takie działania. Wciąż zawdzięczała Awinionowi odpuszczenie grzechu mężobójstwa i nie miała zamiaru psuć i tak nadwreżonych stosunków z papieżem, by popierać neapolitańskiego biskupa.

Wydawało się zatem, że liczący już 58 lat Bartolomeo Prignano nie osiągnie wyższej godności. Owszem, działanie kancelarii było w ówczesnym okresie znacznie ważniejsze dla kurii niż kiedykolwiek wcześniej. Po skandalicznym upadku Bonifacego ta ostatnia straciła na znaczeniu. Teolodzy wciąż pisali traktaty ustalające, przynajmniej w oczach ich autorów, świecką władzę papieża. Kuria wkraczała zaś zawsze tam, gdzie słaby monarcha lub niepewna sytuacja pozwalali na umocnienie pozycji Kościoła. U podstaw pochłaniającej ponad połowę kościelnych wpływów wojny w Italii leżało właśnie dążenie do wyegzekwowania takiej władzy. Z drugiej zaś strony, awinioński dwór rad wycofał się z polityki, jeśli działanie takie mogło ułatwić im gromadzenie złota, nawet kosztem prestiżu.

Skarbowa machina kościelna, sięgająca do kiesy zarówno największych monarchów, jak i najbiedniejszych wiejskich proboszczów, była najprawdopodobniej najskuteczniejszą strukturą służącą do pozyskiwania dochodów na skalę całego kontynentu. Jej działania zaś generowały ogromną liczbę dokumentów – bulli, raportów legatów, listów, petycji – których szelest nieodłącznie towarzyszył brzękowi monet. Wszystkie te krążące po Europie pergaminy przechodziły w którymś momencie przez ręce Bartolomea Prignana. Siedząc w swym biurze, wiedział on zapewne dużo więcej o polityce Kościoła niż dowolny z kardynałów, obnoszących się z przepychem po pałacowych salach.

Nieobliczalny, bezlitosny wobec podległych sobie, tchórzliwy względem przełożonych, zgorzkniały, sfrustrowany człowiek – tak brzmiała opinia Awinionu, jeśli w ogóle zadawał on sobie trud zastanawiania się, kim jest ów mały urzędnik. Już samo to było wystarczającym powodem, by Prignano zgorzkniał niczym starzec, przepelniony jednocześnie największymi ambicjami. Co więcej, mimo iż w jego życiu dominowała polityka, w sercu płonęła prawdziwa wiara. Nie był w stanie pogodzić jej z otaczającym go luksusem awiniońskiego dworu. Z całą pewnością Bartolomeo nie był odosobniony w swoich poglądach na zepsuty i szerzący zepsucie „Babilon Zachodu” – to ukute przez Petrarke wyrażenie szybko stało się popularne wśród wrogów papieskiego dworu. Prignano odnosił się do tego szafującego retoryką poety dość podejrzliwie i nie mógł nadziwić się uwielbieniu okazywanemu przez innych temu orędownikowi nowej

nauki. Podobnie zresztą oceniał inną biegłą retorkę, a mianowicie Katarzynę ze Sieny, jeszcze bardziej zdziwiony połączeniem nadnaturalnego daru języków z bardzo przyziemną krytyką. Podejrzliwość nie przeszkadzała jednak zgadzać się z ogólnymi tezami wysuwanymi przez te osobistości, w których potępiąły one Awinion jako siedlisko wszystkiego, co zbytkowne, a więc odpychające dla ich purytańskiej natury.

On sam, uważający jedzenie za paliwo dla ciała, nie dał się oczarować przepychem bankietów, na których papież i kardynałowie podejmowali zarówno znamienitych gości, jak i siebie nawzajem. Podczas tych uczt podawano na złotych naczyniach niezliczone dania, pomiędzy którymi zaproszeni wymieniali podarki – szlachetne kamienie lub konie. Nosząc najprostsze odzienie, czuł pogardę wobec futer i jedwabiu, w które odziewali się francuscy pałacy – złotogłowi z Damaszku, jedwabiu z Toskanii, brokatów z Wenecji – i wszystkich egzotycznych bogactw Wschodu i Zachodu sprowadzanych dla przyjemności papieża oraz kardynałów i opłacanych złotem z kościelnych kufrów.

Nie dziwi więc fakt, że Awinion wciąż potrzebował pieniędzy. „Kiedy tylko wchodziłem do komnat urzędników, spotykałem bankierów i kapłanów zajętych ważeniem i liczeniem złota leżącego przed nimi w dużych stertach”². Tak pisał Alvaro Prelayo, poprzednik Prignana na stanowisku asystenta podkanclerzego. Prelayo, podobnie jak jego następcą, był gorącym obrońcą papieża, doskonale zdającym sobie jednak sprawę, że zbytne umiłowanie luksusu może doprowadzić je do ruiny.

Prawdę rzekłszy, Prignana gorszyły nie tyle luksusy, ile charakter francuskich papieży, których w Awinionie zasiadało już sześciu. Część z nich była dobrymi, lecz słabymi ludźmi, część – miernymi zarządcami, część zaś – jowialnymi hedonistami, lecz rządy wszystkich pogarszały i tak już nie najlepszą sytuację papieża. „Naszych dwóch Klemensów bardziej zepsuło Kościół, niż siedmiu waszych Grzegorzów było w stanie naprawić”³, jak zwierzył się Petrarce jeden z francuskich pałaców.

Pierwszym z wymienionych był strachliwy Klemens V, który przeniósł Stolicę Apostolską do Awinionu i płaszczył się przed francuskim królem. Później przyszedł Jan XXII, nazywany Bankierem Awinionu. On właśnie pogrzebił tych, którzy śmieli wystąpić ze straszliwą herezją, iż Jezus i jego apostołowie byli ubodzy, a więc gromadzenie bogactw jest sprzeczne z jego naukami. To Jan XXII stworzył skomplikowaną machinę finansową – Kościół pochylał się nad maluczkimi, niemal im pochlebając, a po każdym takim ruchu do skarbcza kościelnego wpadała pokaźna ilość złota. Co prawda zarzucano mu herezję, lecz na łożu śmierci wyrzekł się jej, choć lepszym dowodem wspierania Kościoła było 4 000 000 florenów, o które wzbogacił za swego pontyfikatu papieski skarbiec.

Cudowny deszcz pieniędzy zahamował następcę Jana XXII Benedykt XII – niestroniący od butelki syn cieśli, wielki prześladowca heretyków, lecz jednocześnie

z gruntu uczciwy i nienawidzący nepotyzmu człowiek. Wszystkich swoich krewnych, przybyłych do Awinionu w nadziei na otrzymanie lukratywnego stanowiska, odprawił z niczym, podsumowując sprawę krótkimi, acz celnymi aforyzmatami w rodzaju: „Jako Jacques Fournier znałem was. Jako papież – nie znam” czy „Papież powinien być jak Melchizedek – bez ojca, matki czy rodowodu”.

Za jego pontyfikatu Europa odetchnęła od ucisku poborców, gdyż Benedykt, oszczędny i sprawny zarządca, potrafił skutecznie kierować Kościołem, poświęcając na ten cel ćwierć sumy pobieranej zwykle przez jego poprzedników, potrafiąc przy tym jeszcze finansować wojny we Włoszech i opłacić budowę wielkiego pałacu w Awinionie. Kiedy umierał, cały dwór żegnał go z szyderstwem i nienawiścią. „Był bezkompromisowym, upartym i zachłannym człowiekiem”, pisał jeden z dworaków, ogłaszając to, czego bał się powiedzieć za życia Benedykta XII. „Zbyt uwielał ludzi dobrych, nienawidząc przy tym złych. Nader niechętnie rozdawał dary i stanowiska, a także nie miał serca do ceremonii. Bardziej gustował w niewybrednych żartach niż w kulturalnej dyspucie. Pił tak dużo, że za jego życia do języka plebsu weszło powiedzenie »chłać jak papież«. Był Neronem – żmiją walczącą z klerem”⁴. Kardynałowie, którzy chętnie usunęliby w niepamięć okres wymuszonej surowości, zadziwiająco zgodnie obrali papieżem człowieka dzielającego ich poglądy. Był nim Pierre Roger de Beaufort, syn lorda Rosiers, krewniaka francuskiego króla. Nowy papież odznaczał się radosnym usposobieniem, a także umiłowaniami wykwintnego jadła, kulturą osobistą i nieskrywanym afektem do pięknych kobiet. Przyjął imię Klemens VI i rządził tak, że kardynałowie nie mieli mu nic do zarzucenia. Hojne dary, rozdawane na początku pontyfikatu, poważnie osłabiły papieski skarbiec, niepokojąc tym samym skarbników. Na ich zarzuty papież odpowiedział tylko: „Moi poprzednicy nie wiedzieli, jak być papieżami, lecz ja wiem, że jedynym obowiązkiem księcia jest sprawić, by poddani odchodzili od jego tronu zadowoleni”⁵.

Była to maksyma niezwykle odpowiadająca tym z poddanych papieża, którzy mieszkali w Awinionie, lecz niezbyt popularna wśród ludności innych miast i wsi. To z ich podatków finansowano hojne dary. Mówiono, że „apostołowie otrzymali polecenie prowadzenia owiec na pastwisko, nie strzyżenia ich do skóry”, zaś król Anglii, Edward, nakazał parlamentowi opracowanie planu, mającego na celu osłabienie odpływu majątku z kraju. Złoto jednak płynęło do Awinionu szerokim strumieniem, pokrywając wydatki nawet tak rozrzutnego papieża jak Klemens VI.

Wydatki były spore. Artyści zostali wezwani do przyozdobienia nagich ścian bogatymi freskami. Dla złotników, kuśnierzy, bławatników i wielu innych rzemieślników zajmujących się wytwarzaniem dóbr ze szlachetnych materiałów, a także sprowadzających je kupców, dwór awinioński stał się niewyczerpanym źródłem dochodów. Jednakże nadmierna ekstrawagancja nie wzbudziła obrońców moralności tak jak inny cel, na który wydawane były zyski ze świętopietrza.

Klemens VI nie ukrywał, że bardzo sobie ceni wdzięki kobiece. Villani, trzeźwo myślący wenecki kupiec, zauważył z niechęcią, że:

(...) kiedy był jeszcze arcybiskupem, nie trzymał się z dala od kobiet, lecz pędził żywot młodego szlachcica. Będąc papieżem, nie zmienił swego zachowania ani na jotę. Szlachetnie urodzone panny miały do jego komnat taki sam przystęp, jak pralaci. Sama księżna Turenii była z nim tak blisko, że części łask papież udzielał za pośrednictwem jej osoby⁶.

Villani, mieszkający w dalekich Włoszech, a do tego pochodzący z miasta znajdującego się w wiecznym konflikcie z papieżem, mógł być uprzedzony, lecz żyjący w Awinionie Petrarca mówił to samo w sposób nie mniej bezpośredni, a przy tym dużo bardziej zjadliwy. Klemens VI zrobił wiele dla tego młodego poety, on sam utrzymywał, że miał zamiar zrobić znacznie więcej. Mimo to w serii swoich listów, w których okrutnie piętnował Awinion, a których przezornie nie opublikował, całą odpowiedzialnością za największy skandal świata chrześcijańskiego obarczył papieża i księżnę, „tego Dionizosa Kościoła, mistrza nieprzystojnych i niesławnych forteli, oraz jego Semiramidę, skalaną kazirodczym uściskiem”⁷. Dworacy szybko zorientowali się, że księżna Turenii potrafi otworzyć drogę do wielu stanowisk, a ona i jej rodzina bardzo wzbogaciły się na rozpowszechnianiu tej wiedzy.

Po śmierci Klemensa ten pożałowania godny proceder dobiegł końca, ale skutki nadmiernych wydatków szybko dały o sobie znać. Co więcej, położenie Stolicy Apostolskiej nie było już wyłącznie kwestią akademickich sporów, gdyż jeśli papież nie powróciłby do Rzymu, straciłby cenne Państwo Kościelne, na którym opierała się jego władza. Całe Włochy stały na krawędzi buntu, doprowadzone do ostateczności okrucieństwem i brakiem kompetencji awiniońskich legatów. Delikatny i cnotliwy Urban V, który zasiadł na tronie po Klemensie VI, wysłuchał coraz uporczywszych żądań i przeniósł kurię na powrót do Rzymu. Tam był nękanym przez tęskniących za wygodami Awinionu kardynałów i ciągłe ataki włoskich wojsk, których dowódcy traktowali papieża jako sojusznika Francji. Dlatego też bardzo szybko powrócił do dawnej siedziby, ku radości książąt Kościoła. Wydawało się, że na tym zakończą się eksperymenty z przenoszeniem stolicy.

Kiedy jednak Urban V zmarł i na jego miejsce wstąpił Grzegorz VIII, z Włoch znów nadeszły prośby o powrót papieża. Petrarca, podówczas już niemłody, lecz wciąż miłujący Rzym i nienawidzący Awinionu, ponownie chwycił za pióro. Cztery miesiące później, w czerwcu 1376 roku, pojawiła się największa orędowniczka powrotu, Katarzyna Benincasa, córka farbiarza ze Sieny, kobieta, którą Włosi szybko uznali za świętą.

Prignano spotkał Katarzynę już wcześniej, kiedy brała udział w poselstwie z Florencji, przedkładając Grzegorzowi VIII sprawę miasta. Florencja stała na czele skierowanej przeciwko papieżowi rewolty, wskutek czego została objęta

interdyktem. Od miesięcy zmarłych chowano bez ostatniego namaszczenia, dzieci nie otrzymywały chrztu, drzwi kościołów były zamknięte, samych mieszkańców zaś traktowano jako wyjętych spod prawa. Wywołało to kolejny bunt, w którego trakcie Florentyńczycy zmusili kapłanów do kontynuowania posług, narażając się przy tym na jeszcze sroższe kary. Ostatecznie zdecydowali się wysłać Katarzynę z listem, w którym proponowali ugodę.

Nie była to łatwa misja. Mieszkańcy miasta zmienili zdanie, gdy Katarzyna była już w Awinionie. Jednakże niepowodzenie misji politycznej tylko umocniło poczucie misji duchowej, którą było przywrócenie stada pasterza. Prignano nie był obecny przy pierwszym spotkaniu świętej i papieża, lecz wiedział o nim, podobnie jak cały Awinion. Wiedział, że Katarzyna rozpoczęła mowę od miążdżącej krytyki Awinionu. Mówiła, że w mieście tym, w którym spodziewała się ujrzeć raj, napotkała wyłącznie ohydy piekielne. Grzegorz VIII spytał przezornie, skąd wie tyle o mieście, w którym przebywała zaledwie kilka godzin, by usłyszeć w odpowiedzi: „Na Boga, powiadam ci, że żyjąc we własnym mieście, gdzie się urodziłam, widziałam na własne oczy więcej grzechów popełnionych przez rzymską kurię, niż widzieli ich ci, którzy mieszkają tutaj i sami grzeszą w tym miejscu”⁸. Papież nie mógł nic odpowiedzieć na tak irracjonalną wizjonerską wypowiedź i wołał nie kontynuować tematu. Katarzyna wyszła z pierwszej audiencji jako zwyciężczyni.

Takie opowieści szybko przekształcają się w legendy. Mieszkańcy Awinionu chętnie powtarzali plotkę, według której kochanka papieża chciała podejść do Katarzyny, lecz ta odsunęła się od niej z widocznym obrzydzeniem, kiedy zaś jej towarzysz zwrócił jej uwagę na niestosowność takiego zachowania, odparła: „Żebyś tylko wiedział, jak ona cuchnęła grzechem”. Takie oznaki mistycznego natchnienia nie mogły się na wiele przydać w otoczeniu światowych członków dworu papieskiego, a już na pewno nie wpłynęłyby na kardynałów, którzy uważali, że głównym celem Katarzyny jest usunięcie ich z wygodnych posad i wrzucenie do wrzącego kotła Italii. Nic więc dziwnego, że rozpoczęli subtelną kampanię oczerniania owej kobiety, papież zaś znalazł się w krzyżowym ogniu, nakłaniany do powrotu przez Katarzynę, przez kardynałów zaś – do pozostania.

Jeśli chodzi o samego Bartolomea Prignano, wszystkie cechy Katarzyny budziły jego podejrzliwość. Przede wszystkim odnosił się niechętnie do mistycyzmu, z którego brały początek wszystkie herezje ostatniego stulecia. Odrzucał go fakt, że była kobietą i chciała zajmować się polityką, a także jej niepowstrzymany entuzjazm. Jednak osobowość Katarzyny pokonała jego racjonalizm i umiłowanie porządku. Z początku należał do jej przeciwników, lecz ostatecznie uległ elokwencji tej wyjątkowej kobiety, zmieniając postawę z wrogiej neutralności na bierne poparcie. Nie afiszował się jednak z tym, nie mając doświadczenia w otwartej walce. Zamknięty w swoim archiwum działał niczym kret, niepostrzeżenie torując drogę wydarzeniom, które doprowadziły do tego, że papież

i kuria zupełnie nagle porzucili schronienia, w jakim przebywali przez ostatnie 73 lata. Katarzyna opuściła Awinion tego samego dnia, co pozostali członkowie kurii, lecz nie dotrzymywała im towarzystwa, pragnąc wrócić do dawnego życia. Jednakże ona i Prignano mieli się spotkać ponownie, tym razem w samym sercu włoskiego kotła – w Rzymie.

Schizma: Rzym, rok 1378

Minęło 18 miesięcy od opuszczenia przez papieża Awinionu. Grzegorz VIII na łożu śmierci spowiadał się żarliwie z tego, że posłuchał przepowiedni mistyków i przeniósł do Rzymu stolicę Kościoła, ściągając na tę ostatnią widmo zagłady. W pierwszych dniach po jego wjeździe do miasta atmosfera była bardzo przyjazna, jako że w przybyciu papieża Rzymianie upatrywali powrót stolicy do dawnej chwały. Ale Rzym nie przemawiał już w imieniu Włoch. Na całym półwyspie kolejne miasta przyłączały się do buntu przeciwko papieskim najemnikom, zwiastującym nadejście namiestnika chrystusowego.

Grzegorz VIII nie wierzył Katarzynie, która zapewniała go, że kraj czeka na niego jak dziecko na wytęsknionego ojca. Dlatego też wysłał przodem jednego z kardynałów, by poczynił niezbędne przygotowania.

Robert, kardynał z Genewy, kulawy i zezowaty człowiek, wykazujący nadmierny pociąg do rozlewu krwi i najlepiej czujący się w zbroi, otoczony przez nieokrzesanych żołdaków, uderzył na Włochy na czele bretońskich najemników, których obawiali się nawet inni najemni żołnierze. Bretończycy słynęli z tego, że są równie bezwzględni wobec sojuszników, jak wobec wrogów.

Mieszkańcy niewielkiej Ceseny, dotychczas wiernie opowiadający się po stronie papieża, zbuntowali się przeciwko stacjonującym w mieście i zachowującym się jak zbójce Bretończykom. Robert z Genewy polecił więc reszcie swoich żołnierzy stłumić bunt, co zakończyło się trwającą cały dzień i noc masakrą ponad 4000 mieszkańców i wypędzeniem wszystkich pozostałych przy życiu. Wieści szybko się rozeszły. Ponury akt przemocy sprawił, że sporadyczne bunty przerodziły się w potężne powstanie narodowe.

W takich właśnie okolicznościach chory Grzegorz VIII próbował przywrócić papieską władzę w Rzymie. Podobnie jak Urban, był krytykowany zarówno przez kardynałów, jak i Włochów, podobnie jak poprzednik, zdecydował się porzucić projekt, lecz śmierć pokrzyżowała mu plany. W ostatnich dniach życia zdawał sobie sprawę z następstw swojej decyzji. Skrupulatnie przestrzegane prawo kanoniczne stanowiło, że papież musi zostać wybrany w miejscu śmierci swego poprzednika, obecne warunki zaś musiały wycisnąć duże, być może nawet zbyt duże, piętno na konklawe.

Próbując opóźnić nieuniknione, Grzegorz VIII wydał bullę, na mocy której konklawe powinno rozpocząć się bez pięciu kardynałów, którzy pozostali w Awinionie, by doglądać pałacu; decyzje podejmować miano przewagą 2/3 głosów, a także (co odzwierciedlało jego najgorsze obawy) papież musiał być uznany, nawet jeśli część kardynałów nie zgadzała się z tą decyzją. Ponadto papież upewnił się, że twierdza Sant'Angelo pozostanie w rękach Francuzów. Grzegorz VIII zmarł 27 marca, zaś 11 dni później kardynałowie zgromadzili się, by wybrać jego następcę. Było to pierwsze od 76 lat konklawe, na które Włosi mogli mieć istotny wpływ.

Jedyną pewną rzeczą dotyczącą konklawe było to, że nie przebiegnie ono bez kłopotów. Na wszelki wypadek władze miejskie ustawiły szafot na placu św. Piotra, wyгнаły z miasta najbardziej wpływowych szlachciców i wzmocniły garnizon strzegący bram. Dodatkowo rajcy przestrzegli kardynałów, że nie ręką za ich bezpieczeństwo, jeśli na papieża nie zostanie wybrany Rzymianin, a przynajmniej Włoch. Tłum, który otaczał udających się do Watykanu kardynałów, skandował: „Rzymianina lub Włocha! Chcemy Rzymianina lub Włocha!” Jean Froissart, francuski kronikarz, autor niezbyt jasnego zapisu wydarzeń, zanotował dość obrazową pogroźkę: „Dajcie nam rzymskiego papieża albo nie tylko wasze kapelusze będą czerwone”¹⁹.

W Rzymie przebywało wówczas 16 kardynałów, z których 10 pochodziło z Francji, a jedynie czterech – z Włoch. Ci pierwsi podzieleni byli jednak na dwie frakcje – Limuzyńczyków i Francuzów, z których każda obawiała się drugiej nie mniej niż Włochów. Limuzyńczycy stali za elekcją trzech awiniońskich papieży i nie mieli ochoty rezygnować ze swej lukratywnej pozycji. Ich przeciwnicy gotowi byli nawet pójść na układ z Włochami. Robert z Genewy, zwany „ceseńskim rzeźnikiem”, z racji urodzenia nie należał do żadnej z tych grup, lecz przyłączył się do Francuzów. Szesnasty kardynał, pochodzący z Hiszpanii Pedro de Luna, pozostał neutralny.

Późnym popołudniem 7 kwietnia wszyscy kardynałowie zamknęli się w sali na piętrze Pałacu Watykańskiego, gdyż dawny pałac na Lateranie wciąż pozostawał w ruinie po pożarze. Przez cały wieczór i większą część nocy tłum z niecierpliwością oczekiwał, jak potoczą się wydarzenia. Pijana tłuszcza wdarła się nawet do pałacu, podpałiła co się dało i próbowała przebić pikami sufit. Świt zapowiedziało bicie dzwonu na Kapitolu, używanego zwykle do ogłoszenia *stormo*, tradycyjnego wezwania do broni. Natychmiast odpowiedziały mu dzwony Bazyliki św. Piotra. Choć oba te incydenty oficjalnie przypisano wybrykom podpitego motłochu, skutecznie zastraszyły one kardynałów z Francji, przypominając im, że przebywają na terenie wrogiego miasta. Francuzi ostatecznie spostrzegli, że chcąc nie chcąc, muszą wybrać Włocha, ale żaden z nich nie nadawał się na to stanowisko. Kardynałowie z Mediolanu i Florencji reprezentowali miasta będące w stanie otwartej wojny z papieżem, kardynał św. Piotra był stanowczo za stary, zaś kardynał Orsini zbyt młody i zbyt ambitny. Właśnie

ten ostatni wysunął nieśmiałą propozycję, aby wybrać tymczasowego papieża i później, gdy sytuacja się uspokoi, przeprowadzić kolejną elekcję. Z początku pomysł ten odrzucono, by później doń powrócić. Kardynał z Limoges zasugerował, że tron apostolski można by ofiarować komuś spoza Świętego Kolegium, jednocześnie wskazując na kłopoty związane z takim rozwiązaniem. Następnie wysunął kandydaturę Bartolomea Prignano. Po chwili namysłu pozostali kardynałowie zgodzili się na nią, a młody Orsini podszedł do okna, by ogłosić zgromadzonemu tłumowi wynik konklawe.

Na skutek panującego na zewnątrz hałasu orędzie nie zostało jednak dobrze zrozumiane, co wywołało niecodzienne skutki. Kiedy kardynał krzyknął: „Idźcie do katedry pod wezwaniem św. Piotra!”, zgromadzeni zrozumieli, że papieżem został kandydat św. Piotra. Francuski prałat próbował naprawić pomyłkę, krzyżąc „Bari, Bari!”, co z kolei odczytano jako triumf Limuzyńczyka Jeana de Bar¹⁰. Kiedy fałszywa pogłoska o wybraniu Francuza rozeszła się w tłumie, uzbrojony motłoch wtargnął do pałacu. Lękający się o swoje życie kardynałowie ubrali więc kardynała św. Piotra w szaty papieskie i posadzili go na tronie. Stary i schorowany człowiek, nie rozumiejąc, co się dzieje, wpadł w histerię, a następnie zaczął krzyczeć o diabłach i przeklinać klęczących przed nim ludzi. Dopiero po długiej chwili udało się opanować sytuację. Wieść szybko dotarła do Pizy i Francji, gdzie zaczęto hucznie świętować wybór nowego papieża. Froissart zapisał, że starzec zmarł trzy dni po konklawe, najprawdopodobniej na skutek zbyt ostentacyjnie okazywanej radości Rzymian.

Przez całe konklawe Prignano przebywał na terenie pałacu. Niedawno kupił dom i winnicę wewnątrz murów miejskich, lecz życie w prywatnym domu w tych niespokojnych dniach okazało się zbyt niebezpieczne. Faktem jest, że po śmierci Grzegorza VIII jego pozycja znacznie wzrosła, jako że wieść o niezgodzie wewnątrz kolegium rozeszła się dość szybko. Został też zaproszony na tajne spotkanie władz miasta, na którym udzielił kilku ważnych sugestii oraz ostro sprzeciwił się próbom przekonania kardynałów, by obrali Włocha papieżem. Także samo Święte Kolegium zaczęło przychylniej spoglądać na przedsięwzięcie urzędnika, zaznaczając, że jest on Włochem, a także Neapolitańczykiem. Królowa Neapolu była zaś gorącą zwolenniczką Awinionu.

Kiedy więc dostarczone mu wieści, Prignano nie okazał zdziwienia i odpowiedział w sposób zgodny z tradycją, choć w jego przypadku całkowicie szczerze: „Nie jestem godzien tego zaszczytu, lecz nie mogę sprzeciwić się woli bożej”.

Duma, jaką mógł czuć wyróżniony kancelista, musiała szybko ustąpić, gdyż sam sposób przekazania informacji był daleki od oficjalnego ogłoszenia. Kardynał z Florencji przekazał mu ją osobiście, wśród pozostałych zaś wciąż trwały kłótnie i spory typowe nie dla konklawe, lecz dla poprzedzających je rozmów. Część kardynałów opuściła miasto, część schroniła się w murach twierdzy Sant’ Angelo. Drugiej nocy Prignano czekał na delegację, która ukłękłaby przed nim, przyjęła jego błogosławieństwo i poprosiła o wstawiennictwo. Nikt jednak nie przyszedł.

Następnego ranka hiszpański prałat przekazał niezwykłą wieść swojemu przełożonemu, kardynałowi de Luna. Udał się mianowicie na audiencję do papieża, lecz zastał przy nim jedynie dwóch kardynałów – z Mediolanu i Florencji. Prignano wyglądał na zdenerwowanego i smutnego. Był więc czy też nie był papieżem? Posłał po kardynałów, lecz ci wymawiali się byle czym – niebezpieczeństwami podróży, brakiem stosownych szat czy też obietnicami przyjścia później, jeśli znajdą czas.

Prignano miał jednak za sobą radę miejską, jej członkowie doskonale zaś wiedzieli, co się stanie, gdy Rzymianie znów poczują się oszukani. Do kardynałów wysłano więc uzbrojonych posłańców z żądaniem stawienia się w Watykanie i sytuacja powoli zaczęła wracać do normy. Kardynałowie nie byli może zachwyceni, ale też zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie pociągnęłoby podjęcie innej decyzji. Piątkowego ranka 9 kwietnia 1378 roku Prignano został oficjalnie wybrany na papieża, odebrał hołd Świętego Kolegium i przyjął imię Urban VI. Europejskich władców powiadomiono, że w Watykanie zasiada nowy papież, kardynałowie zaś rozpoczęli zanosić do tronu piotrowego zwyczajowe prośby natury duchowej i materialnej. Dziewięć dni później Urban VI został koronowany i wszystko wskazywało na to, że konklawe z 1378 roku przejdzie do historii jako gwałtowne, lecz niezbyt istotne. Tak by się zapewne stało, gdyby nie charakter nowo obranego papieża.

Według Dierticha von Niem, sekretarza Urbana VI, władza absolutna błyskawicznie przekształciła wybuchowego urzędnika we wściekłego tyrana. Dietrich miał najprawdopodobniej rację. Dotychczas Prignano występował zawsze na pozycji podporządkowanej, nie posiadał też talentów, które pozwoliłyby mu wejść w wyższe kręgi kurii. Owszem, był inteligentny i wykształcony, lecz brakowało mu poczucia humoru i nie zwykł ustępować w drobnych sprawach, by zwyciężać w większych. Cechowało go też wiele chwalebnych przymiotów ducha. Dietrich von Niem, jako jedyny cieszył się zaufaniem papieża, znał go jako urzędnika i jako Urbana VI, a także nie wahał się opisywać najgorszych wad. Można mu więc wierzyć, że Prignano był człowiekiem skromnym i pobożnym, niekalającym swych rąk przyjmowaniem podarków, ostro potępiającym i karzącym symonię, miłośnikiem dobra i sprawiedliwości; niestety, zbyt mocno polegał przy tym na własnym rozsądku i często ulegał sugestiom pochlebców¹¹. Niestety, ostrożność nie była mocną stroną nowego papieża.

W ciągu kilku pierwszych tygodni pontyfikatu Urban VI koncentrował się na wzmocnieniu kontroli nad opływającymi w dostatki kardynałami z Awinionu. Zdawał sobie sprawę, że został wybrany niejako w charakterze bufora, w najgorszym zaś razie – papieża tymczasowego. Pierwszy konsystorz stanowił trudne wyzwanie dla każdego papieża jako spotkanie z ludźmi, którzy do tej pory byli mu równi bądź wręcz stali wyżej od niego w hierarchii, obecnie zaś stawiali się grupą jego poddanych, mogących poważnie zaszkodzić papieżowi, gdyby wycofali swoje poparcie. W przypadku Urbana VI pierwsze spotkanie okazało się całkowicie nieudane, co pociągnęło za sobą bardzo poważne następstwa.

Kardynałowie Kościoła rzymskiego byli książętami w każdym znaczeniu tego słowa. Ich szeregi rzedły, zwłaszcza podczas okresu awiniońskiego, kiedy papież, ograniczeni sojuszem z królem Francji, mianowali głównie kardynałów pochodzących z tego kraju. Ci z kolei wybierali francuskiego papieża, co tworzyło zamknięty krąg władzy, w którym namiestnik św. Piotra był całkowicie uzależniony od woli Świętego Kolegium. Władza kardynałów była równie wielka wewnątrz kurii i poza nią. Wszystkie potęgi europejskie starały się wprowadzić do kolegium swoich ludzi, wykładając na ten cel wielkie sumy.

Bogactwo książąt Kościoła także było niezwykle. Poza darami od koronowanych głów, kardynałowie czerpali zyski ze wszystkich krajów Europy. Połowa złota spływającego do Stolicy Apostolskiej należała do nich – dotyczyło to połowy świętopietrza, podatków, jak również podarunków. Po każdym obiorze papieża wszyscy kardynałowie otrzymywali zwyczajowe podarki. Każdy dzierżył też wiele nadań, takich jak kościół w angielskim miasteczku, urząd kanonika w skandynawskim mieście czy biskupstwo we Włoszech. W całej Europie chłopi, kupcy, rybacy, książęta, prostytutki czy królowie odprowadzali ze swoich dochodów część, którą następnie dzieliło pomiędzy siebie dwudziestu kilku kardynałów.

Liczyło się przede wszystkim złoto. Nie jako symbol, ale jako cenny kruszec. Pomiędzy sobą kardynałowie wymieniali ciężkie worki. Po śmierci kardynała Hugona Rogera wykonawcy ostatniej woli weszli do jego domu, by ujrzeć złoto z każdego niemalże kraju Europy. W czerwonej skrzyni zamknięto 21 woreczków z różnymi złotymi monetami. Poza tym w różnych innych miejscach znaleziono: 5000 piemonckich złotych florenów, 5000 starych złotych koron, 2000 aragońskich złotych florenów, 4500 złotych koron angielskich, 855 złotych franków, 500 złotych nobli*, 97 złotych dukatów, 1000 złotych florenów papieskich, 363 florenów z Florencji, 511 florenów sycylijskich i 900 złotych florenów z mennicy du Grayle.

Tak wyglądał skarbiec jednego z kardynałów, w dodatku niezbyt wpływowego i umiarkowanego bogatego. W Awinionie, za którym bardzo tęsknili, wszyscy kardynałowie żyli w luksusach pałaców i ogrodów, tworzących niemalże odrębne miasto, zwane Villeneuve, położone na drugim brzegu Rodanu. Procesji, w jakich poruszali się po ulicach miasta, nie powstydziliby się żaden król czy książę – długi orszak sług nie różnił się od tego, który towarzyszył władcom Anglii lub Francji. Niektórzy przybysze z zachwytem patrzyli na splendor miasta, inni z kolei go przeklinali. Petrarca wziął sobie kardynałów na cel szczególnie dotkliwych szyderstw.

Zamiast wędrujących boso apostołów widziałem satrapów, posiadających koni okrytych złotogłowie i przyozdobionych złotem. Niedługo pewnie będą oni

* Złota moneta, bita w Anglii od 1465 roku do czasów Karola I (1625–1649 – przyp. tłum.).

podkuwać je złotem, jeśli Bóg nie powstrzyma ich pysznej zachłanności. Można by pomyśleć, że to jacyś królowie Persów czy Partów, którzy kazali oddawać sobie boską część i do których nikt nie przychodził z pustymi rękami¹².

Tak właśnie prezentowali się ludzie, przed którymi w kwietniu 1378 roku miał stanąć były asystent podkanclerzego, a teraz najwyższy kapłan Kościoła w Rzymie. Możliwe, że zaakceptowaliby oni nowego papieża, być może też pogodziliby się z koniecznością pozostania we Włoszech, gdyby tylko Urban VI okazał dość sprytu i politycznego talentu. Niestety, w gwałtownej, a wręcz obelżywej mowie papież ujawniał, ile jadu nagromadziło się w nim przez lata służby. Każdy z kardynałów stał się celem osobistego ataku. Papież napiętnował ich chciwość, żądzę władzy, niemoralność, oparte na symonii bogactwo i zaniedbania obowiązków, a wszystko to językiem rodem z rysztoła. Większość zarzutów Urban VI przedstawił w sposób, który uraziłby nawet najspokojniejszego człowieka. Jednemu z kardynałów kazał się zamknąć, drugiego nazwał kłamcą, trzeciego – głupcem, a wojowniczego kardynała z Genewy – bandytą, choć w tym przypadku miał akurat zupełną rację. Pod koniec konsystorza, kiedy kardynałowie w ciszy opuszczali komnatę, Robert z Genewy podszedł do papieża i odezwał się do niego w te słowa: „Nie potraktowałeś dziś kardynałów w sposób, do jakiego przywykli za twoich poprzedników. Powiem ci jedno – jeżeli spróbujesz pomniejszyć naszą pozycję, my pomniejszymy twoją”¹³.

Nie tylko kardynałowie sądzili, że przyjdzie im zmagać się z szaleńcem. „Mogę wszystko, wszystko!” – krzyknął kiedyś do sekretarza, który odważył się napomknąć, że ekskomunika nie jest dobrym pomysłem na karanie najmniejszych przewinień. Nastroje papieża zmieniały się gwałtownie i bez przyczyny. Czasami wydawał się rozsądny, wręcz uprzejmy. Innym znów razem wpadał w furję, napotkawszy najdrobniejszy opór, i obrzucał wszystkich wokół wiązkami neapolitańskich inwektyw.

Swoich rodaków nie traktował lepiej. Wysłannicy królowej Joanny, którzy przybyli, by przekazać gratulacje od władczyni, powrócili, trzęsąc się z gniewu na wspomnienie inwektyw, którymi papież obrzucił ich i królową Neapolu. W drodze powrotnej napotkali przyjaciół św. Katarzyny i zwierzyli im się z ostatnich wydarzeń. Całe Włochy, ba, cała Europa znała charakter królowej, ale czy godziło się, by sam Ojciec Święty publicznie mówił takie rzeczy? I czemu posunął się do obrazy pod adresem jej męża Ottona, i to na oficjalnym bankiecie? Otton ukląkł, by ceremonialnie podać papieżowi naczynie z wodą, ten zaś trzymał je na kolanach, udając, że go nie spostrzegą.

„Ten Ojciec Święty jest straszliwym człowiekiem i przeraża poddanych swymi słowami i zachowaniem”. Tak pisał jeden z przyjaciół do św. Katarzyny, która ze swojego domu w Sienie obserwowała rozwój wydarzeń. „Z drugiej strony” – zauważał – „nie robi tego bez przyczyny. Wydaje się pokładać wielkie nadzieje w Bogu i stara się ze wszystkich sił wyrugować symonię i przepych, panujące w Kościele Bożym”¹⁴.

Uczniowie świętej mogli pochwalać pomysł zniesienia symonii oraz próby ograniczenia luksusów, nawet jeśli uważali, że zastosowano w tym celu niewłaściwe metody. Kardynałowie byli jednak innego zdania. W ciągu lata zachowanie Urbana VI jeszcze się pogorszyło, czego ukoronowanie stanowił atak na kardynała Limoges podczas konsystorza. Z wolna wszyscy członkowie kolegium znaleźli pretekst, by opuścić Rzym, a we wrześniu większość Francuzów przybyła do Anagni, miasta niewróżącego papieżu niczego dobrego. Kapłani wymieniali między sobą dyskretne listy, a także zapraszali pozostałych na spotkanie w celu omówienia aktualnej sytuacji. Czy nad Urbanem zawisła groźba detronizacji? Wszyscy pamiętali sugestię Orsiniego co do wyboru tymczasowego papieża. Gdyby okazał się on rozsądnym człowiekiem, można by pozostawić go na stanowisku. Jednakże w takiej sytuacji...

Urban dowiedział się o spisku i zareagował z rzadką odwagą i godnością, ogłaszając, że jest gotów poddać słuszność swojej elekcji pod sąd soborowy, a także wysyłając trzech włoskich kardynałów z propozycjami ugody. Wkrótce tę niewielką frakcję włoską osłabiła śmierć najstarszego z kardynałów, tego samego, który został zmuszony do odegrania roli fałszywego papieża. Umierając, przyznał, że Urban VI jest prawowładnie wybranym papieżem, lecz jego zdanie przemilczano. Pozostali Włosi nie próbowali nawet w dostępny sobie sposób zmieniać układu sił i zachowali neutralność. Niektórzy szeptali, że każdy z tej trójki miał nadzieję na zwycięstwo podczas nowego konklawe, lecz bierna zdrada nie przyniosła im zysków, gdyż 20 września Święte Kolegium obrało nowym papieżem Roberta z Genewy, który przyjął imię Klemens VII. Stanowczo za późno Urban VI wprowadził swoje groźby w życie, powołując pewną liczbę włoskich kardynałów, tworząc nowe, podległe mu kolegium. W ten sposób powstały dwie niezależne od siebie kurie.

Można zgodzić się co do tego, że konflikt wybuchł z winy popędliwego Urbana VI, lecz podsycala go głównie polityka Francuzów. „Teraz ja jestem papieżem”, miał podobno powiedzieć król Francji na wieść o elekcji Klemensa VII. Nie mylił się. Choć podniosło to na duchu zbuntowanych kardynałów, francuski kler utrzymywał, że groteskowa i niejasna sytuacja we Włoszech nie pozwalała im jeszcze opowiedzieć się po jednej ze stron. Schizma uzyskała więc charakter nie tyle religijny, ile narodowy. Chęć sprzymierzenia się z jednym bądź drugim papieżem wynikała głównie z poparcia lub wrogości wobec Francji. Dlatego też Anglia natychmiast stanęła u boku Urbana VI, zaś Szkocja, wróg Anglii oraz sojuszniczka Francji, poparła Klemensa VII.

Włosi dość szybko zdecydowali, po której stronie chcą się opowiedzieć. Gdy tylko dotarły do niej wieści o ostatnich wydarzeniach, Katarzyna napisała serię szyderczych listów do kardynałów:

O ludzie, a nie ludzie raczej, lecz demony o ludzkich obliczach, jakże występna miłość żywiona przez was do łajna, jakie stanowi ludzkie ciało, a także do przyjemności i zaszczytów tego świata mogła zaślepić was do tego stopnia? Oto namiestnik

chrystusowy, którego wy sami wybraliście mocą swojego urzędu, chce naprawić wasze żywoty, a wy bluzgacie jadem nienawiści, twierdząc, że nie jest on papieżem?¹⁵.

Urban uznał, że przemawia ona głosem całych Włoch, i po elekcji Klemensa VII wezwał dziewczynę do Rzymu, gdzie wysłuchał wielu jej rad. To właśnie Katarzyna dzięki swej elokwencji sprawiła, że w obliczu nieuniknionego starcia pojawił się młody i zdolny dowódca, mający zwyciężać dla Urbana i Włoch. Alberico da Barbiano, młody włoski szlachcic, powołał kompanię wyłącznie włoskich najemników, Katarzyna zaś poprosiła go o pomoc w jednym z tych listów, które były w stanie każdego przekonać do jej racji. Barbiano ruszył na południe, spotkał się z Klemensem tuż pod murami Rzymu i doszczętnie rozbił jego armię.

Był to dobry omen. Po raz pierwszy od wielu pokoleń armia włoska spotkała w polu i zwyciężyła wojska najeźdźców, którzy bezkarnie poczynali sobie w podbitym kraju. Barbiano triumfalnie wkroczył do Rzymu i otrzymał od papieża piękny jedwabny sztandar z napisem „Włochy ocalone przez barbarzyńcami”. Francuska załoga zamku Sant' Angelo poddała się, Klemens zaś uciekł do Neapolu, skąd rozpaczliwie szukał poparcia we Włoszech, po czym odpłynął do Awinionu. Pierwszą bitwę bezapelacyjnie wygrał Urban VI.

Długi Marsz

Ucieczka Klemensa VII w zaledwie sześć miesięcy po wyborze i zarazem początku schizmy sprawiła, że Urban VI nie miał we Włoszech żadnych liczących się wrogów. Gdyby na papieskim tronie zasiadał zwykły człowiek, schizma wkrótce należałaby do przeszłości. Prawnicy z pewnością kłóciliby się jeszcze przez kilkadziesiąt lat o szczegóły, lecz awiniońska kuria szybko straciłaby na znaczeniu – w końcu Europa ujrzała, że Urban VI opanował Święte Miasto, ciesząc się przy tym poparciem Włochów. Poparcie w tym przypadku nie było jednak równoznaczne z sympatią. Szalony biurokrata wciąż budził grozę, podobnie jak gwałtowny papież. Urban VI miał jednak sporą przewagę nad przeciwnikiem – był Włochem. Jego polityka sprowadzała się do tego, by pozostać we Włoszech, gdyż rodacy z pewnością nie wybaczyliby mu ucieczki.

Niestety, wszystkie atuty Urbana VI przekreśliła pewna okoliczność. Nie był on zwykłym Włochem, lecz Neapolitańczykiem, więc fakt, że królowa Joanna udzieliła schronienia Klemensowi VII, odebrał jako osobisty afront. Dotychczas jedynym miejscem, które Prignano mógł nazwać domem, swoją *patria*, był Neapol. Udało mu się uciec z wąskich, brudnych ulic, wśród których dorastał, i krok po kroku, boleśnie odczuwając każdą decyzję, wykuć sobie los, którego większość Neapolitańczyków mogła mu tylko pozazdrościć. Chęć powrotu do

rodzinnego miasta w papieskim splendorze wydawała się całkiem rozumiała. Niestety, okazała się też dla niego tragiczna w skutkach.

Pomijając osobiste odczucia, Urban VI nie mógł bez końca pozostawać neutralny wobec „kwestii neapolitańskiej”, której skutki odczuwał każdy papież. Neapol nie był zwykłym miastem – był ideą. Wielkie, brudne, a jednak piękne, położone nad potężną zatoką, największe państwo włoskie utrzymało swój status przez ponad 600 lat. Jego właściwa nazwa brzmiała Królestwo Obojga Sycylii, a sięgało od Sycylii niemalże do samego Rzymu, obejmując przy tym całą południową część Półwyspu Apenińskiego i granicząc z Państwem Kościelnym. Na to terytorium przybywali od morza lub z północy Bizantyjczycy, Arabowie, Normanowie i Niemcy. Każda fala najeźdźców podbijała te ziemie, a następnie asymilowała się z mieszkańcami, włączając swe zwyczaje w eklektyczną kulturę, która dla Włochów z Północy była nie mniej obca niż dla każdego innego Europejczyka. Położenie i podobny do innych włoskich dialektów język stanowiły jedyne cechy, które Neapol dzielił ze swymi sąsiadami na półwyspie.

Niecały wiek wcześniej królestwa podbili ostatni najeźdźcy. Byli to Andegaweni, członkowie rodu, którego władza sięgała od Anglii przez Francję i Neapol aż po Węgry. Początkowo osiedlili się na Sycylii, skąd rządili jak tyrani, stosując rozmyślnie opracowaną strategię poniżania. Mieszkańcy wyspy zbuntowali się podczas tak zwanych niesporów sycylijskich, mordując tysiące francuskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Skomplikowany system małżeństw pozwolił jednak Andegawenom roztoczyć wpływy w całych południowych Włoszech i nad Adriatykiem. Wkrótce członkowie tego rodu panowali na Sycylii, w Neapolu, Tarencie, Durazzo i na Węgrzech. W każdym pokoleniu jedna z gałęzi rodu próbowała zdominować pozostałe. Neapol był ich głównym celem i zajął się bardzo niebezpieczne, nawet jak na włoskie standardy.

Pierwszym z problemów Urbana VI była Joanna, królowa Neapolu. Nazywana przez Francuzów *La douce reine* – Słodką Królową – nawet w wieku 50 lat zachowała swój rzadki urok, stanowiący połączenie zmysłowego piękna, surowego majestatu, starannego wykształcenia i ciętego dowcipu. Petrarka i Giovanni Boccaccio wielokrotnie dawali wyraz swojemu szacunkowi dla niej i podziwowi dla dworu, który odziedziczyła i utrzymywała. Petrarka, najprawdopodobniej największy żyjący w tym okresie europejski uczony, czuł się zaszczycony, mogąc brać udział w ulubionych przez Joannę i przewodzonych przez nią spotkaniach, na których wysoko ceniono sztukę prowadzenia dysputy oraz flirtu. Boccaccio, znający się na kobietach tak dobrze, jak Petrarka na nauce, uznawał ją za „gładką i miłą dla oka”, często dedykował jej swoje utwory, umieszczał ją w galerii największych kobiet, lecz jednocześnie nie chciał wyjawiać, czy wierzy w jej winę mężobójstwa.

Widmo tej zbrodni wisiało nad Joanną przez cały okres jej panowania, by ostatecznie doprowadzić ją do gwałtownej i tragicznej śmierci. W wieku pięciu

lat przyszła królowa została poślubiona Andrzejowi, Andegawenowi z Węgier. Ta próba scalenia dwóch podupadających gałęzi rodu okazała się całkowitym fiaskiem. Andrzej był bowiem chłopcem ociężałym na ciele i umyśle, całkowicie zdominowanym przez zaborczych rodaków, którzy towarzyszyli mu podczas wesela. Wydawało się więc oczywiste, że swobodna, inteligentna i uwielbiająca zabawę Joanna w przyszłości znajdzie sobie neapolitańskiego kochanka. Andrzej padł ostatecznie ofiarą politycznych rozgrywek, lecz jego zabójcą okazał się właśnie kochanek królowej. Cała Europa rozważała, czy Joanna brała udział w spisku. Ona sama zaniósła tę sprawę do Awinionu, przed oblicze Klemensa VI, i została uznana za niewinną. Wiadomo jednak, że papież ten niezwykle cenił wdzięki poci pięknej, trudno więc było oczekiwać, że wyda inny werdykt w sprawie pięknej, wykształconej kobiety, w której żyłach płynęła krew potężnego francuskiego rodu. Włosi, jak zwykle, nie wypowiedali się w tej kwestii, lecz Węgrzy zapowiedzieli bezlitosną zemstę.

Relacje pomiędzy Urbanem VI a Joanną przedstawiały się dość interesująco. Ona sama ucieszyła się wielce na wieść o jego obiorze i ofiarowała mu pomoc w pierwszych dniach schizmy. Nikt więc nie wiedział, czemu tak szybko zdecydowała się wspomóc Klemensa VII, zapłacić mu kwotę, którą była winna Urbanowi VI, i udzielić mu schronienia w Neapolu. Być może padła ofiarą gry swoich dworzan, aktywnie wspierających Francję. Możliwe też, że uznawała sukcesję awioniońską za słuszniejszą. Nie da się też wykluczyć kaprysu, gdyż Joanna, choć piastowała godność królowej, nie przestała być kobietą. Niezależnie jednak od przyczyn tej decyzji, bramy Neapolu zostały przed Urbanem VI zamknięte.

Sam papież cieszył się z poparcia Joanny i gdy ta zaczęła się od niego odsuwać, rozważał wysłanie do niej Katarzyny, która mogłaby sprowadzić ją na właściwą drogę. W tej chwili w jego niestabilnym umyśle pojawił się jednak inny plan, oparty na pewnego rodzaju nepotyzmie. Być może ze względu na swą izolację i samotność, ów zagorzały przeciwnik każdej postaci symonii, ulubionego grzechu papieżstwa, zdecydował się przekreślić cały dorobek swego życia, by poprzeć bratanka. W odróżnieniu od wielu papieskich „kuzynów”, Francesco Prignano nie był synem Urbana VI, gdyż w tym względzie papież zachowywał pełne umiarkowanie. Niestety, niewiele więcej dobrego dało się powiedzieć o papieskim bratanku, którego Neapolitańczycy nazywali *Butillo*, czyli Grubasem. Ów otyły, głupawy człowiek, lubujący się w prymitywnych rozrywkach, przez całe życie oczekiwał od innych, by wyręczyli go we wszystkim. I to właśnie z jego powodu miano upokorzyć bogate królestwo i zamordować jego władczynię.

Powodowany wieloma motywacjami – chęcią zdobycia rozgłosu w rodzinnym mieście, nepotyzmem czy też pragnieniem zmiany wydanej 20 lat wcześniej decyzji i ukarania zbrodni – Urban VI szukał kogoś, kto pomógłby mu w obaleniu Joanny. Znalazł sojusznika w osobie Karola z Durazzo, krewnego

zamordowanego Andrzeja oraz Joanny. Człowiek ten zdecydował się poprowadzić krucjatę przeciwko królowej Neapolu w zamian za obietnicę uzyskania tronu. W 1380 roku ustalono szczegółowy plan działania. Urban miał ogłosić i sfinansować świętą wojnę oraz pozyskać najemników, a następnie namaścić następcę tronu Neapolu. W zamian za to Karol obiecywał poprzez pretensje Butilla do przyznanych mu już przez papieża najbogatszych ziem królestwa: Amalfi, Salerno, Fondi, Caserty i Sorrento. Nie wiadomo, czy Karol naprawdę zamierzał przekazać owe włości Butillowi, lecz Urban VI koronował go na króla Neapolu i uzurpator mógł w roku 1381 ruszyć na wojnę, której opłacenie poważnie nadszarpnęło stan kościelnego skarbcza.

Joanna, zorientowawszy się, jakie niebezpieczeństwo jej grozi, zaczęła rozpaczliwie szukać obrońcy. Przystosowała członka starszej gałęzi rodu w charakterze następcy, zapraszając do Włoch Ludwika Andegawena, brata króla Francji. Jej działania rozplatały i splatały na powrót misterną sieć, którą Andegawenowie rozciągnęli nad południowymi Włochami. Ludwik ruszył na pomoc, lecz tak powoli, że Karol mógł oblegać Neapol bez większych kłopotów. Z charakterystyczną dla siebie hojnością Joanna dawała w swym zamku schronienie każdemu, kto o to poprosił. Niestety, ta gościnność doprowadziła do wyczerpania zapasów żywności i Joanna zmuszona była skapitulować i zdać się na łaskę Karola.

Nie znalazła się jednak w sytuacji beznadziejnej, gdyż zwycięski Karol znany był z rycerskości i uwielbiany przez wszystkich, którzy znali go bliżej. Skoro poddanie zamku zakończyło konflikt, Joanna nie musiała obawiać się o życie. Niestety, Ludwik, długo odkładający swą pomoc, zdecydował się wreszcie ruszyć z odsieczą, co miało fatalne następstwa. Karol wywołał bowiem powstanie w Neapolu, organizując zamach na Joannę. Niektórzy mówili, że zginęła ona tak samo jak jej mąż, uduszona jedwabnym sznurem. Jej ciało wystawiono na widok publiczny na rynku.

Trudno ustalić, co Urban VI faktycznie sądził o Karolu. Każdy polityk bez wahania odparłby, że dowódca nie po to brał udział w długiej i niebezpiecznej kampanii, by oddać wywalczone ziemie papieskiemu bratankowi. Jednakże Urban nie znał się dobrze ani na polityce, ani na wojnie. Widział jedynie, że Karol przeciąga działania wojenne, a Francesco Prignano jest równie daleko od przejścia obiecanych ziem jak przedtem. Wysłał więc serię ponaglących listów z irracjonalnymi wskazówkami. Doczekał się najpierw wykrętnych odpowiedzi, a następnie reakcji zakrawającej na szyderstwo. Ostatecznie pozostało mu tylko jedno – osobista wyprawa do Neapolu. Kardynałowie nie posiadali się ze zdumienia, gdy ogłosił im swoją decyzję, gdyż nie miał zamiaru pozostawiać ich w Rzymie, by mogli spokojnie spiskować za jego plecami. Cała kuria udała się więc na kolejną pielgrzymkę.

Protestujący kardynałowie nie myśleli jedynie o własnej wygodzie i ryzyku udania się w niepewne rejony południowych Włoch, wiedzieli bowiem, że tylko fizyczna obecność papieża utrzymuje lojalność Rzymian na jako takim

poziomie, i nie wahali się poinformować o tym Urbana VI. Ten jednak odrzucił ich sugestie. Gdyby Katarzyna ze Sieny wciąż żyła, odwiodłaby go od szaleńczego planu czy może nawet od niektórych decyzji podjętych podczas wojny neapolitańskiej. Niestety, zmarła w wieku 33 lat, wkrótce po opuszczeniu miasta przez Karola w 1381 roku. Urban VI wydał więc rozkazy, powołał zebraną naprędce armię najemników i w kwietniu 1383 roku cała kuria wyruszyła z Rzymu. Pięć i pół roku później wróciła do miasta w stanie rozkładu, straciwszy wielu członków nie tyle wskutek niebezpieczeństw podróży, ile skrytobójstw.

Papież wkroczył do Neapolu cztery miesiące po wyjeździe z Rzymu. Sprawy przedstawiały się znacznie gorzej, niż mógł przypuszczać. W Aversie, kilka kilometrów przed Neapolem, Urban VI został na kilka dni uwięziony przez Karola, który skutecznie wybił mu z głowy co bardziej wygórowane żądania. Rozsierdzony, lecz bezsilny, po wypuszczeniu na wolność mógł triumfalnie wkroczyć do Neapolu, choć w zasadzie nie miał tam czego szukać. Jego wojsko było zbyt słabe, by mógł występować z pozycji siły, a Neapolitańczycy, na których tak liczył, przywitani go z rezerwą. Co prawda był na tyle przewidujący, że wysłał przodem swego legata, kardynała Sangro, by ten oczyścił miasto z popleczników Klemensa VII. Brutalna rozprawa z francuskimi prałatami nie wpłynęła na stosunek mieszkańców do papieża. Przede wszystkim nie mogli mu oni wybaczyć sposobu, w jaki zakończył ich beztrioskie życie pod rządami Joanny. Butillo spotkał się zaś z otwartą nienawiścią, gdyż od początku zachowywał się niczym udzielny władca – porwał szlachciankę z klasztoru, zabrał ją do swego domu i tam żył z nią bez przeszkód, chroniony przez papieskich żołnierzy. Kiedy jej rozsierdzeni krewni przybyli domagać się sprawiedliwości, papież odeśłał ich z niczym, mówiąc: „Ależ to jeszcze młodzieniec”. W tym samym roku Butillo skończył 40 lat.

Po niełatwej wiośnie i lecie, kiedy to stosunki między Urbanem VI a Karolem znacznie się pogorszyły, papież postanowił opuścić Neapol. Wbrew oczekiwaniom kardynałów nie powrócił jednak do normalnego życia w Rzymie, lecz zatrzymał się kilka kilometrów na południe do miasta Nocera, w pobliżu Pompei. To przyjemne miejsce, w którym morska bryza czyniła letni skwar nieco bardziej znośnym, dla kardynałów stało się jednak przedsionkiem piekła. Zamek nie mógł pomieścić całego dworu, służący i urzędnicy musieli więc zajmować kwatery w całym mieście, przez co do skarg kardynałów dołączały się często protesty lokalnych mieszkańców.

Wielu członków kolegium pochodziło z Neapolu: nawykli do specyfiki lokalnych zwyczajów, łatwo się adaptowali i wykonywali polecenia. Część kardynałów wywodziła się jednak z innych okolic, a nawet spoza Włoch, jak wspomniany kardynał Sangro czy Adam Easton z Anglii. Obaj bezskutecznie próbowali nakłonić papieża, by powrócił do Rzymu. Widząc, że kuria pozostanie przez długi czas w małym miasteczku wśród wzgórz, postanowili zawiązać spisek.

Nie da się ukryć, że byli miernymi konspiratorami. Większość podjętych przez nich działań ograniczała się bowiem do prowadzenia z innymi kardynałami czysto teoretycznych dysput, dotyczących możliwości legalnego zdjęcia papieża z tronu. Niektórzy sugerowali, by wysłać papieża na stos jako heretyka, co było z kolei dzieleniem skóry na niedźwiedziu. Niestety, żaden z nich nie zdecydował się podjąć istotnych kroków. Jeden uczestników dyskusji uznał, że dobrze byłoby poinformować o sprawie samego papieża. Pewnej styczniowej nocy Urban VI kazał pojmać sześciu najważniejszych konspiratorów i uwięzić ich w lochu do czasu, aż zapadnie wyrok.

Dietrich von Niem, trzydziestopięcioletni wówczas Niemiec, jest wiarygodnym świadkiem tego, co nastąpiło później. Był obowiązkowy, solidny, spokojny i dobrze wykształcony, choć nie posiadał bogatej wyobraźni. Ponadto cechowała go niezachwiana lojalność względem papieża. Stał przy nim w Awinionie, towarzyszył mu w czasie burzliwych dni konklawe i na początku schizmy. Urban wierzył mu jak nikomu innemu i traktował go niemalże jak syna. Dietrich nigdy nie posuwał się do udzielania rad, lecz w swoim dzienniku zapisywał wszystkie błędy papieża, które według niego prowadziły kurię do upadku.

Kilka dni po aresztowaniu kardynałów Urban kazał wezwać swego sekretarza. Dietrich był przekonany, że będzie musiał rozmawiać z szaleńcem, i bardzo bał się tego spotkania, choć posłusznie stawiał się przed obliczem swego przełożonego. Papież jednak skupił swoją wściekłość nie na nim, lecz na czterech urzędnikach, którzy mieli „przesłuchać” uwięzionych kardynałów. Butillo Prignano poszedł z nimi, by sprawdzić, czy badania przebiegają należycie. Więźniowie zostali zamknięci w osobnych celach, śledczy zaś przesłuchiwali ich po kolei, używając dość delikatnych środków, sam Butillo zaś obiecywał im papieskie przebaczenie, jeśli tylko wyznają prawdę. Niestety, śledczy nie dowiedzieli się niczego wartościowego, gdyż niczego poważnego żaden z oskarżonych nie planował.

Tej samej nocy Dietrich ponownie odwiedził papieża. Pewien, że sprawa nie skończy się na zwykłym przesłuchaniu, ryzykując własne życie, zauważył, że Urban VI odstrasza od siebie lojalnych sojuszników, i poprosił go o łagodne potraktowanie kardynałów. Słowa te niemalże przyprawiły papieża o zawał serca. Krzyczał, póki nie zabrakło mu tchu, „a twarz płonęła mu niczym lampa”, wyrzaskując Dietrichowi w twarz „dowody winy” kardynałów. Młody człowiek bez słowa opuścił komnatę. Postąpił odważnie, ale na nic się to nie zdało.

Trwające trzy dni „przesłuchania” nie przyniosły żadnych rezultatów i papież rozkazał rozpocząć „badanie”, czyli innymi słowy, przyzwolił na stosowanie tortur, do których śledczy skwapliwie przystąpili. Dietricha szczególnie zaniepokoił sposób, w jaki traktowano kardynała Sangro. Ten zażywny starszy mężczyzna został trzykrotnie zawieszony pod sufitem i gwałtownie opuszczony na ziemię. Dietrich próbował przekonać go, by zeznał cokolwiek, aby zakończyć śledztwo, lecz kardynał dumnie odmawiał, twierdząc, że nie ma nic do powiedzenia. Butillo śmiał się, przyglądając się tym praktykom.

Efekty nie zadowolily papieža. Zwrócił uwagę Dietrichowi i innym osobom, że nie słyszał krzyków Sangra, sugerując śledczym, by lepiej przyložyli się do pracy. Kiedy następnego dnia rozpoczęli przesłuchanie następnego oskarżonego, Urban przechadzał się w ogrodach pod oknami celi, głośnie czytając brewiarz, co miało zachęcić instygatorów, żeby zwiększyli wysiłki. Pod koniec Dietrich miał już dość. Nawet jego lojalność nadwątlona została takim dręczeniem starszych, naiwnych kapłanów. Niespostrzeżenie wymknął się więc z zamku i ruszył w drogę do Neapolu. Śledztwo wciąż trwało.

W tej chwili Karol i Urban toczyli już ze sobą regularną wojnę. Urban ekskomunikował swego byłego dowódcę, obłożył Neapol interdyktem i ogłosił chęć koronowania swego bratanka. W odpowiedzi Karol wysłał pod Nocerę armię dowodzoną przez innego papieskiego dowódcę, Alberica da Barbiano. Neapolitańscy heroldzi ogłosili pod murami Nocery, że 10 000 florenów czeka na każdego, kto wyda w ich ręce papieża – żywego lub martwego. Urbanowi nie brakowało odwagi, po tym świętokradczym ogłoszeniu pojawił się więc w oknie, dzierżąc dzwonek, książkę i świecę oraz obrzucając klątwami zebranych pod murami żołnierzy. Według naocznego świadka, robił tak trzy lub cztery razy dziennie, za każdym razem cudem unikając gradu strzał.

Nocera padła, lecz potężny zamek trzymał się dobrze, a 5 lipca nadeszła odsiecz. Nie była dobrze zorganizowana ani wystarczająca, lecz przełamała panujący impas. Jeden z lokalnych możnowładców z bliżej nieokreślonych powodów osobistych zerwał sojusz z Karolem, przerwał neapolitańskie linie obrony i wyprowadził papieża z zamku. Karol nie zareagował, być może nawet sam zorganizował tę akcję, gdyż papieżowi udało się bezpiecznie przejść przez teren pełen wrogich wojsk. Jeden z popleczników Urbana VI, doża Genui, obiecał wysłać flotę galer, jeśli tylko papieżowi i jego towarzyszom uda się dotrzeć do brzegu, i słowa dotrzymał.

Cierpiąc z powodu nieznośnego skwaru, członkowie kurii wracali do Neapolu, gdzie mieli wsiąść na galery. Aresztowani kardynałowie ledwie byli w stanie siedzieć na swoich na wpół zagłodzonych koniach. Jeden z nich, biskup Aquili, nawet w tak kiepskim stanie, wzbudził podejrliwość papieża, który kazał go zamordować na oczach jego przerażonych kolegów i porzucić ciało przy drodze. Większość kardynałów dawno by już uciekła, gdyby nie otaczali ich najemnicy. Urban VI przestał im płacić, żołnierze więc zaczęli traktować dostojników jako zabezpieczenie okupu.

Kardynałowie przybyli na brzeg, lecz nie ujrzeli żadnych galer. Ktoś przeczył bowiem fakt, że Neapol znajdował się w rękach przeciwników Urbana i okręty zostały skierowane w inną stronę, wzdłuż wybrzeża Adriatyku. Orszak zawrócił, udając się do najbliższego portu, gdzie odnaleźli ich Genujczycy i zabrali na pokład swoich statków.

W Genui Urban VI przebywał 18 miesięcy. Doża szybko zaczął żałować, że udzielił wsparcia temu szaleńcowi, opętanemu jedną myślą, którą było uderzenie

na Neapol siłami kolejnej armii. Wszystko inne było mniej ważne. Nie interesował się poczynaniami swego rywala w Awinionie, podobnie jak prośbami i protestami dochodzącymi z ogarniętego anarchią Rzymu. Prawie natychmiast poróżnił się z Genuńczykami. Miasto było republiką, uznającą autorytet papieża, lecz nie zamierzało pozwolić mu, by wtrącał się do jego wewnętrznych spraw. Mieszkańcy szybko obwieścili, że szalony papież jest w ich oczach uchodźcą i jako taki powinien zachowywać się odpowiednio. Władze zabroniły najemnikom rozbijać się po mieście, co mogło zagrozić niepewnemu porozumieniu. Jednakże dla Genuńczyków najbardziej odpychający był sposób, w jaki papież traktował kardynałów.

Genuńczycy pomogli papieżowi w zamian za 130 000 florenów i obietnicę wypuszczenia aresztowanych. Urban VI nie dotrzymał jednak drugiej części umowy, a im silniej był do tego nagabywany przez dozę, tym większy stawiał opór. Część mieszkańców podjęła nawet chwalebłą, lecz źle zorganizowaną próbę odbicia więźniów. Pięciu spośród sześciu zostało natychmiast zamordowanych. Niektórzy mówili, że zostali zakopani żywcem, inni zaś – że kardynałów zawiązano w workach i wrzucono do morza. Szósty, Adam Easton, zawdzięczał życie nieugiętej postawie Ryszarda II, który nie ustawał w próbach uwolnienia kapłana. Urbanowi VI zostało wystarczająco dużo politycznego rozsądku, by nie pozbawiać się wsparcia potężnego angielskiego monarchy, i niedługo później wypuścił Eastona.

Morderstw dokonano w nocy 15 grudnia. Rankiem papież opuścił Genuę. Nie ma wątpliwości, że gdyby został tam dłużej, mieszkańcy miasta wzięliby sprawy we własne ręce i wyeliminowali jednego albo nawet obydwu papieży ze schizmy. Z Genui Urban VI pożeglował do Lukki, a stamtąd ruszył łądem do Perugii, gdzie jego ludzie zbierali najemną armię, która miała uderzyć na Neapol.

Ostatnia krucjata przeciwko temu królestwu zakończyła się całkowitym fiaskiem, jeszcze zanim naprędce złożona armia zdołała przekroczyć granicę. Zebrani najemnicy należeli do najgorszych w swoim fachu, gdyż żaden szanujący się żołnierz nie miał ochoty walczyć dla Urbana VI, znanego jako tyran i skąpiec. Nawet ci, którzy zgromadzili się pod papieskimi sztandarami, zgodzili się na to tylko dlatego, że część żołdu wypłacono z góry, obiecując kolejną wypłatę w drodze do Neapolu. Marsz rozpoczął się triumfalnym wyjazdem z Perugii, podczas którego papież osobiście szedł na czele armii, dzierżąc buławę dowódcy. Jakiś pochlebca lub satyryk powiedział: „Oto św. Piotr we własnej osobie”. Niestety, wyprawa zakończyła się kilka kilometrów na południe od miasta, gdy dowódcy najemników, powołując się na jeden z artykułów kontraktu, oświadczyli, że oni, a także ich ludzie wypowiadają służbę.

Urban wściekał się, lecz nadaremnie. Nie miał ani pieniędzy, ani szans na ich zdobycie, musiał więc patrzeć, jak jego najemnicy odchodzą w poszukiwaniu lepszego płatnika. Przy papieżu zostało jedynie kilkuset żołnierzy i ta niewielka

obdarta banda ruszyła dalej przez Umbrię. Po raz pierwszy w swojej karierze Urban VI poczuł strach i niepewność. Być może stało się tak za sprawą gorączki, na którą zapadł w Neapolu, gdyż zaczął miewać halucynacje, w których pojawiali się apostołowie wskazujący mu drogę do Rzymu. Odwiedził go też jeden z wielu żyjących we Włoszech pustelników, który przepowiedział: „Pójdiesz do Rzymu, czy tego chcesz, czy nie. Gdyż pisane ci w Rzymie umrzeć”. Fakt, że papież nie rozkazał go stracić na miejscu, dość dobitnie świadczy o przerażeniu, które musiało go ogarnąć.

Nawet Urban VI potrafił przyznać się do porażki. Pomijając nadnaturalne omeny, sam pomysł ataku na Neapol w takiej sile wydawał się śmieszny. Papież był chory na ciele i na umyśle, a ostatnie kilometry swojej podróży przebył w konnej lektyce. Niedaleko granicy z Neapolem podjął decyzję o powrocie do Rzymu, gdzie zawitał we wrześniu 1388 roku.

Papież miał przed sobą jedynie rok życia, a spędził ten czas na ostrych konfliktach z Rzymianami. Sen o złotych królestwach zniknął, rozwiany przez trudy rozciągnięcia władzy nad miastem, które raz już zakosztowało niepodległości. Pomimo iż coraz bardziej opadał z sił, udało mu się jednak nagiąć Rzymian do swojej woli, co było nie lada wyczynem w tym chyba najbardziej anarchicznym włoskim mieście. Przynajmniej w tym miejscu był prawdziwym królem i, choć znieawidzony przez arystokrację, dawał poczucie bezpieczeństwa zwykłym obywatelom, którzy darzyli go chłodnym szacunkiem. Zmarł 15 października 1389 roku. Dietrich von Niem – który dołączył do papieża w Genui – też leżał na łożu śmierci. Być może poprawiało to humor papieżowi w ostatnich jego godzinach.

Choć bezkompromisowość Urbana VI leżała u podstaw schizmy, to jego śmierć nie zakończyła rozłamu, gdyż oba niezależne kolegia w Rzymie i Awinionie kontynuowały tradycję obioru swoich papieży. Krótki, lecz burzliwy pontyfikat neapolitańskiego biurokraty postawił pytanie dotyczące natury władzy duchowej, uzupełniające kwestię podjętą przez Bonifacego VIII. Pretensje tego ostatniego do uniwersalnej władzy świeckiej spotkały się z szybką i brutalną odpowiedzią. Kwestia nieograniczonej władzy duchowej była kontynuowana przez rzymskich następców Urbana, lecz wypowiedzi Awinionu w tej materii zawsze były zbywane milczeniem. Dwadzieścia lat po jego śmierci, kardynałowie z Rzymu i Awinionu zjednoczyli się, pozbawili tronów obu panujących wówczas papieży i wybrali wspólnego kandydata. Problem jednak pozostał.

W wyniku zwołania soboru zamiast dwóch papieży teraz rządziło trzech. Który z nich był prawdziwy? Ten wybrany w Rzymie, w Awinionie, czy też na soborze? Kim w takim założeniu jest antypapież? Eksperci od prawa kanonicznego mówili, że to ten, który nie został wybrany zgodnie z prawem. Czym jednak była owa zgodność? Trzysta lat wcześniej, w mrokach X wieku, pewien ksiądz, Boniface Franco, zamordował papieża i został wybrany na jego następcę

jako Bonifacy VII. Następnie uciekł, wrócił, zabił kolejnego papieża i chcąc pozostać w zgodzie ze zwyczajem, swoje rządy kazał datować od pierwszego, nie zaś drugiego morderstwa. W ten sposób stracił w otchłań zapomnienia dwóch papieży. Oczywiście, akurat ten papież nie należał do najświętszych. Mimo to wybitny prawnik Benedetto Gaetani przyjął imię pontyfikalne Bonifacego VIII, uznając zatem legalność rządów Bonifacego VII. Jeśli więc taki człowiek mógł być legalnym papieżem, jak można było odmówić tego zaszczytu surowemu Benedyktowi XIII, awiniońskiemu papieżowi, który objął tron po przeciwniku Urbana VI?

Benedykt uważał, że godność papieska słusznie mu się należy, i przez 27 lat panował w Awinionie, podczas gdy w tym samym okresie na tronie w Rzymie zasiadło siedmiu papieży. Francuzi, zmęczeni już podziałem w Kościele, wycofali swoje poparcie, wskutek czego papież musiał udać się do Hiszpanii, a jego królestwo zmniejszyło się do paru metrów kwadratowych. Święcie przekonany o słuszności swojej władzy mianował czterech kardynałów, którzy po jego śmierci wybrali następcę.

Na długo przed śmiercią Benedykta XIII Europa zbuntowała się jednak i postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Na zwołanym w 1415 roku soborze w Konstancji sześciu władców europejskich ustaliło swą politykę wobec papieństwa, a następnie zdeponowało trzech papieży: „awiniońskiego” Benedykta XIII, „rzymskiego” Grzegorza XII – który abdykując wcześniej, zachował twarz – oraz Baldassare Cossę, na wpół pirata, na wpół kondotiera, który jakimś cudem został wybrany przez poprzedni sobór i przyjął imię Jan XXIII.

Zdjęcie z tronu nie miało jednak sensu, jeśli nie zostało poparte jednogłośnie wyborem nowego papieża. Sobór powierzył więc swoje uprawnienia ciału, które było w istocie komitetem powołanym przez kilku władców państw europejskich. Komitet ten zdecydował się obrać przedstawiciela rodu Colonnów, który przyjął imię Marcin V. Nieugięty Benedykt XIII odmówił jego uznania i przez następne pokolenie co jakiś czas w różnych miejscach pojawiali się antypapieże. Żaden z nich nie otrzymał jednak poważnego poparcia, a imię Marcin V zostało umieszczone w poczcie następców św. Piotra. Sobór nie wypowiedział się na temat sukcesji papieża awiniońskich i soborowych, co wywołało kilka nieścisłości w wyborze imion przez kolejnych papieży. Rodrigo Borgia przyjął bowiem imię Aleksander VI, uznając tym samym Aleksandra V wybranego przez sobór w Pizie, lecz Giulio de Medici nosił pontyfikalne miano Klemens VII, odrzucając tym samym roszczenia rywala Urbana VI, który rozpoczął schizmę. Dopiero w 1958 roku odsunięto w niepamięć Baldassara Cossę, kiedy to kardynał Angelo Roncalli przywrócił dawną chwałę imieniu Jan XXIII.

V

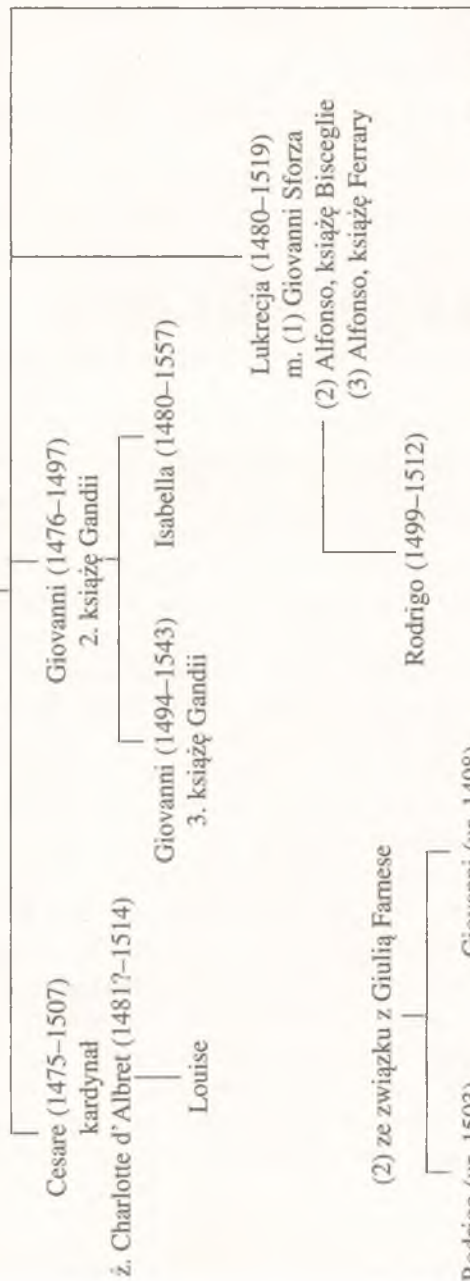
Hiszpański byk

Rodrigo Borgia

Papież Aleksander VI (1492–1503)

POTOMKOWIE ALEKSANDRA VI
(urodzeni za jego życia)

(1) ze związku z Vanozzą de Cattanei



Goffredo (1482-1517)
ż. (1) Sancia Aragońska
(2) Maria Aragońska

(3) ze związku z nieznaną kochanką lub kochankami

Pedro Luis (1458?-1488)
1. księżę Gandii
nieznane z imienia dzieci

Kardynał Rodrigo Borgia

Najdroższy synu!

Doszło do naszych uszu, że nie dalej jak cztery dni temu kilka sieneńskich pańien, których reputacja pozostawia wiele do życzenia, zebrało się w ogrodach Giovanniego di Bichis, ty zaś, nipomny zajmowanego stanowiska, bawiłeś w ich towarzystwie od godziny 17 do 22. Wraz tobą przebywał tam również twój towarzysz, którego wiek i pełniona funkcja winne były odwołać go do właściwych obowiązków. Mówi się, że tańczono tam najbardziej frywolne tańce i oddawano się innym rozpustnym przyjemnościom, ty zaś sprawiałeś wrażenie, że nic z tych rzeczy nie jest ci obce. Tylko wstyd powstrzymuje mnie przed wymienieniem innych bezeceństw, których wieczór ów był świadkiem, i same wzmianki, których nie powinno nigdy łączyć się z kimś o twojej randze. Gospodarz zaś, wiedząc, że puścisz wodze swych żądz, nie uznał za stosowne zaprosić mężów, ojców, braci oraz krewniaków wzmiankowanych pańien... Cała Siena huczy wprost od plotek na temat się tej orgii... Nie da się opisać naszego zgorszenia... Zachowanie takie nie licuje z godnością kardynała...!

Takie słowa skreślił w czerwcu 1460 roku rozważny Pius II do młodego Rodriga Borgii, kardynała i podkanclerzego Kościoła rzymskiego. Choć dawniej, kiedy znano go wyłącznie jako Eneasa Piccolominiego, również folgował swojej próżności, a nawet piastując już stanowisko namiestnika św. Piotra, gotów był przymykać oczy na grzeszki błyskotliwego hiszpańskiego młodzieńca, który swym wdziękiem bez trudu oczarowywał mężczyzn i uwodził kobiety. Jednak ekscesy na wspomnianej zabawie musiały wykraczać poza i tak już luźne ramy obyczajowości ówczesnych mieszkańców Sieny. Pius II nie przypuszczał nawet, że owo pisemne upomnienie będzie w pewnej mierze prorocze, gdyż dobrze opisywało cechy człowieka, który później miał zasiąść na tronie piotrowym jako papież Aleksander VI.

Rodrigo Borgia miał wówczas 29 lat. Zaledwie pięć lat wcześniej jego wuj objął najwyższe stanowisko kościelne pod imieniem Kaliksta III i niemalże natychmiast sprowadził do Rzymu wielu swoich krewnych i przyjaciół. Rodowici

Rzymianie nie kryli niechęci do „Katalończyków”, widząc, że coraz więcej lukratywnych stanowisk, zarówno świeckich, jak i kościelnych, przechodzi w ręce Hiszpanów. Papież Kalikst był hojny dla swych rodaków, a wszystkich członków swej rodziny traktował po ojcowsku. Adoptowawszy dwóch synów swojej siostry – Rodriga i Don Pedra Luisa – natychmiast obsypał ich najwyższymi zaszczytami. Rodrigo w wieku 26 lat został mianowany kardynałem, zaś w niecały rok później papież powierzył mu drugie co do ważności stanowisko w Kościele – urząd podkanclerzego. Osoba obdarzona tak wielkimi wpływami musiałaby się bardzo postarać, by szybko nie zgromadzić dużych sum pieniędzy, a Rodrigo nie zamierzał nakładać żadnych ograniczeń swoim apetytom.

Don Pedro Luis, starszy o rok brat Rodriga, miał być, w zamyśle wuja, założycielem nowej dynastii. Dźwięczne nazwy wszystkich nadanych mu tytułów współbrzmiały z ich znaczeniem: książę Spoleto, pan Civitavecchia, gubernator patrymoniom św. Piotra, generalissimus Świętego Kościoła i prefekt Rzymu. Rodrigo mógł być szczęśliwy, że to jego bratu powierzono owe stanowiska, gdyż ostatecznie ściągnęły one na głowę Don Pedra Luisa gniew Rzymian. Kierując się przede wszystkim żądzą bogactwa, która cechowała niemal całą sprowadzoną do Rzymu szlachtę hiszpańską, Pedro postanowił osłabić pozycję wszystkich wielkich rodów tego miasta. Dopóki żył Kalikst III, młody książę był bezpieczny, lecz po śmierci papieża w roku 1458 wyjątkowi zgodni w tej materii Rzymianie wypędzili Pedra z miasta. To wydarzenie i prędką śmierć na wygnaniu stanowią osobliwą paralelę do losów syna jego brata Cesarego Borgii.

Rodrigo bez szwanku przetrwał zmianę władzy. Można powiedzieć, że za życia swego wuja wykazywał znacznie więcej ostrożności niż w późniejszych latach. Piccolomini, który później skarcił go w pamiętnym liście, pisał wówczas: „nasz Kanclerz, Rodrigo Borgia, siostrzeniec papieża, jest młody, ale powaga i stateczność dodają mu lat”². Podczas konklawe to właśnie głos młodego Borgii przesądził o wyborze Piccolominiego, co dobrze wyjaśnia względy, jakimi Pius II obdarzał Rodriga. Jednak podczas pontyfikatu nowego papieża kardynała Borgię coraz częściej można było zobaczyć, jak całkiem otwarcie oddaje się rozrywkom niegodnym kardynała. Miał przy tym zwyczaj cynicznie ignorować skandale, które wywoływał. Trzeba przyznać, że choć nie był wzorem moralności, późniejszy Aleksander VI brzydził się hipokryzją, przez co stanowił łatwy cel dla wrogów, którzy opłacali najzjadlejszych pamflicistów i satyryków epoki renesansu, by go oczerniali.

Pod koniec XV wieku papieństwo znajdowało się u szczytu swojej potęgi. Tragiczna śmierć Bonifacego VIII położyła kres próbom uzyskania zwierzchnictwa nad władcami świeckimi, a już kilkadziesiąt lat później Kościołem wstrząsnąć miała rewolucja religijna, zapoczątkowana przez Marcina Lutra. Na pozór zdawało się, że okres schizmy definitywnie dobiegł końca, papieże zaś ustalili swoje – słabsze już, acz pewniejsze – wpływy na mniejszym obszarze.

Podczas wieku, który upłynął od czasu, gdy papież Urban VI wywołał wielką schizmę zachodnią, na Półwyspie Apenińskim zaszły spore zmiany. Okres odbudowy dawnego prestiżu papieżstwa przypadł bowiem na czasy odrodzenia. Ze względu na złożoność zjawisk definiujących ów okres, trudno jest wskazać jego początki, choć powszechnie przyjmuje się, że podwaliny pod nową epokę położyli w pierwszych latach XV wieku mieszkańcy Florencji, którzy uwikłani w wojnę, rozpoczęli próbę zdefiniowania tego, o co walczą. Florency uczeni odnaleźli to w nowo odkrytych podówczas pismach Cyserona. Pod ich wpływem w mieście coraz większą popularność zdobyła koncepcja, że poczucie tożsamości oparte jest na idei wolności. Tej samej wolności, która leżała u podstaw republiki rzymskiej, zanim przekształciła się ona w rządzone żelazną ręką cesarów imperium.

W swoich początkach odrodzenie było ruchem o charakterze ideologicznym, gdyż Florentyńczycy próbowali jedynie w dziełach antycznych mówców i poetów znaleźć uzasadnienie podejmowanych przez siebie działań. Jednak raz rozpoczęty proces trwał i po pewnym czasie stał się zaczątkiem nowej epoki kulturalnej. Nauka, choć zapomniana, nie zaginęła i w nowych społecznościach, teraz stabilniejszych i bogatszych, coraz więcej ludzi mogło poświęcić swój czas na lekturę klasycznych dzieł. Niektórzy, ogarnięci obsesją wiedzy, skłonni byli sprzedać wszystko, co posiadali, by powiększyć dorobek nauki.

Proces ten narastał w błyskawicznym tempie. Do połowy XV wieku odnaleziono i przywrócono ludzkiej świadomości znaczną część dzieł klasycznych autorów. Była to rewolucyjna zmiana dla wszystkich, którzy traktowali teologię chrześcijańską jako jedyną wykładnię prawdy o świecie. Wielu z nich, przyjmawszy nowy punkt widzenia z gorliwością neofitów, czciło klasyków z takim samym żarliwym oddaniem, jakie wcześniej rezerwowali wyłącznie dla Pisma Świętego. Umiejętność wystawiania się w klasycznej łacinie stała się warunkiem wykształcenia. Każdy fragment antycznych dzieł, niezależnie od tego, czy był to traktat o architekturze, dyskurs o moralności czy też poemat, postrzegano jako ideał ze wszech miar godzien naśladowania.

Nowa kultura stała się modą, która, jak to często bywa, przechodziła w istną manię. W 1485 roku odkryto zachowane w doskonałym stanie ciało młodej dziewczyny z czasów antycznych. Zwłoki przetransportowano z grobu przy Via Appia do jednego z budynków publicznych, gdzie przychodziły oglądać je rzesze ludzi. Czyżby chcieli okazać w ten sposób swoje uwielbienie? Zachowane pisma, w których z wielkim kunsztem sławiono wdzięki tajemniczej dziewczyny, zdają się sugerować taki właśnie cel. Sam papież uznał, że zachowanie to nosi oznaki rodzącej się herezji, i rozkazał w sekrecie pochować ciało. Bałwochwalcą cześć dla starożytności okazywali również przedstawiciele wyższych warstw społecznych. Książęta-parweniusze wydawali krocie na przebudowę swych posiadłości tak, by przynajmniej z zewnątrz przypominały rzymskie wille. Obrotni handlarze zwietrzyli nowy interes, gdyż bogacze chętnie kupowali od nich rozmaite szczątki starożytnych rzeźb, które wcześniej trafiłyby do

wapienników. Uczni snobi wplatali antyczne nawiązania w codzienne rozmowy, oficjalne pisma, a nawet modlitwy. Bóg Ojciec znów stał się Jowiszem, Chrystus przybrał postać Apolla, święci przemienili się w pomniejszych bogów, zaś zakonnice – w westalki. W życiu codziennym zdarzało się, że rajców miejskich nazywano prefektami, poprzedzający post chrześcijański karnawał zaś określano mianem Luperkaliów.

Duch odrodzenia dotarł do Rzymu w połowie XV wieku, gdy na tronie piotrowym zasiadał Mikołaj V. Ów skromny i honorowy człowiek, choć pełnił obowiązki Ojca Kościoła z oddaniem i werwą, większość sił kierował ku swojej największej miłości – nauce. Do końca życia wysyłał niezliczonych emisariuszy we wszystkie strony świata w poszukiwaniu interesujących rękopisów. Jego kolekcja dała początek jednemu z najśłynniejszych księgozbiorów – Bibliotece Watykańskiej. Zgromadzeni na dworze papieża najwybitniejsi uczeni epoki zapewnili rozprzestrzenienie się nowych nauk, co ostatecznie miało się zwrócić przeciwko ich patronowi. W owym okresie Rzym przypominał laboratorium, w którym wypróbowywano coraz to nowe wynalazki. Architekci, upojeni powrotem do antyku, nie ustawiali w eksperymentach. Aby je zrealizować, burzono zarówno domy plebsu, jak i stare pałace, po pewnym czasie więc całe Miasto Leonowe zostało przebudowane i ufortyfikowane na nowo. Majestatyczna Bazylika św. Piotra, wznosząca się nad miastem przez niemalże 1000 lat, również padła ofiarą architektonicznej gorączki. Kiedy wiele lat później Michał Anioł nadzorował ostatnie prace przy kopule nad nową bazyliką, stała ona już w zupełnie innym mieście niż jej poprzedniczka.

Mimo wszystkich swoich zalet renesans miał również drugie, nie tak wzniosłe, oblicze. Wcześniej papieże spoglądali podejrzliwie na pogańskie cechy odrodzenia i zachłyśnięcie się naukami starożytnych, których autorytet osłabił potęgę ojców Kościoła. Elementy pogańskie nie były tak niebezpieczne, jak podważanie słuszności władzy papieskiej. Najsilniejszy atak na uświęconą tradycją pozycję papieża przypuścił Lorenzo Valla, jeden z wielu podróżujących po Europie uczonych. Jego ulubionym tematem literackim była stosunkowo popularna w tych kręgach pornografia, czego najlepszy wyraz dał w dziele *Dialogus de voluptate* (O rozkoszy), które stanowiło katalog przyjemności, swoiste libertyńskie vademecum, niezbyt starannie zamaskowane jako uczony traktat o hedonizmie. Niektórzy uczeni byli skłonni nazywać tego typu twórczość owocami „fałszywego odrodzenia”, jednak w rzeczywistości zarówno „prawdziwe”, jak i „fałszywe” przejawy odrodzenia wypływały z jednego źródła. W latach 40. XV wieku Valla opublikował klasyczny w formie traktat historyczny, osławioną krytykę *Donacji Konstantyna*, na której opierały się wszystkie papieskie pretensje do władzy świeckiej. Przez wieki podejrzewano, że dokument ten nie jest autentyczny, jednak jeszcze za czasów Bonifacego VIII nawet tak krytycznie ustosunkowany względem Kościoła uczoney, jak Dante Alighieri przyznawał oczy na ewentualne fałszerstwo. Choć pisał:

O Konstantynie, jakżeś stał się wrogi
Światu, nie poprzez chrzest, lecz przez darowiznę,
Którą się pasterz zbogacił ubogi!³

Donacja jednak pozostawała faktem. Valla, korzystając ze wszystkich dostępnych źródeł, potępił ten dokument jako oczywiste fałszerstwo. Głosił też, że „nawet gdyby była prawdziwa, to dawno powinna zostać unieważniona poprzez zbrodnie papieżstwa, którego chciwość pogrążyła Italię w nieustających wojnach”⁴.

Valla wezwał mieszkańców Rzymu do buntu przeciwko tyranom w ornatach. W 10 lat później na wezwanie odpowiedział niejaki Stefano Porcari, ostatni republikanin i, jak na ironię, protegowany liberalnego Mikołaja V. Ów fanatyczny wyznawca bliżej nieokreślonej wizji Złotej Ery, w której kapłani byli sługami, nie zaś władcami miasta, zawsze nosił przy sobie złoty sznur, którym zamierzał symbolicznie skępować papieża po obaleniu kurii. Niestety, jego rojenia nie miały szans na realizację, gdyż władzy papieskiej nie mogła naruszyć garstka zbuntowanych uczonych. Rebelię krwawo stłumiono, lecz okazała się ona prorocza, gdyż w niecały wiek później na Rzym ruszył niemiecki wódz luteranin, który złoty sznur wziął nie po to, by papieża skępować, lecz by go powiesić.

Przekroczywszy 40. rok życia, kardynał Borgia był drugim co do majątności członkiem Kolegium Kardynalskiego, w którym zasiadali najbogatsi z mieszkańców Europy. Choć swoją pozycję zawdzięczał początkowo nepotyzmowi, samo utrzymanie się w środowisku ostro rywalizujących ze sobą najwyższych urzędników kościelnych wymagało niepospolitych talentów. Jeden ze współczesnych mu kronikarzy pisał o nim:

Jeśli chodzi o przymioty umysłu, człowiek ten potrafi wszystko. Jest biegłym mówcą, dobrze pisze, choć brak mu talentu literackiego. Odznacza się wielkim zmysłem handlowym, a wszelkie decyzje podejmuje szybko i trafnie. Zgromadził wielkie bogactwa, znajomości wśród książąt i królów dają zaś mu niewyobrażalne wpływy. Zbudował dla siebie piękny i przestronny pałac pomiędzy mostem Sant' Angelo a Campo di Fiori. Regularnie otrzymuje duże sumy z racji pełnionych funkcji, jak również ze swoich opactw w Italii oraz Hiszpanii i trzech biskupstw w Walencji, Porto i Kartagenie. Sam urząd podkanclerzego przynosi mu dochód rzędu 8000 dukatów rocznie. Wykwintnego jadła, bogatych ozdób, jedwabnych szat przetykanych złotem i rzadkich ksiąg, jakich zwykł zażywać, nie powstydziliby się żaden król ani papież. Nie muszę przy tym wspominać o łożach z sutymi baldachimami, wystawnych uprzężach dla koni oraz drobnych przedmiotach ze złota, srebra i jedwabiu, jak również o kufrach pełnych monet. Można przyjąć, że posiada on większy majątek niż pozostali kardynałowie razem wzięci, może z wyjątkiem Estouteville'a⁵.

Te pieczołowicie zbierane dobra służyły innym celom niż zwyczajne obnośzenie się z bogactwem. Dawno już bowiem minęły czasy, kiedy o wyborze

papieża decydowały zbrojne starcia stronnictw. Owszem, motłoch rabował pałac zwycięskiego kardynała – ale tylko dlatego że taki był zwyczaj. Za czasów Borgii władzę zdobywano złotem, nie mieczem. Z tego też powodu Rodrigo nie ustawał w gromadzeniu wpływów i majątku, a dzięki zajmowanemu stanowisku podkanclerzego miał w tej mierze sporą przewagę nad pozostałymi kardynałami. Kiedy ktoś oburzał się na cyniczne kupczenie odpustami za najcięższe winy, wśród których znajdowało się nawet dzieciobójstwo, Borgia odpowiadał: „Wolą Boga nie jest to, by grzesznik umierał, lecz by żył ze swym grzechem i za niego zapłacił”⁶.

Konklawe z roku 1484 nie obdarowało jednak tiarą przedsiębiorczego kardynała, choć ten, ufając w siłę swoich koneksji, czuł się już papieżem. Poseł z Ferrary napisał w swoim raporcie: „Kto wchodzi na konklawe papieżem, wychodzi z niego kardynałem”⁷, które to słowa stały się później często powtarzaniem w Rzymie porzekadłem. Pomimo wielkiej władzy Borgia nie cieszył się szacunkiem i kardynałowie woleli zaufać pisemnym zobowiązaniom kardynała Cibo. Jan Burchard, ówczesny mistrz ceremonii, w swoich pamiętnikach opisał malowniczą scenę. Oto papież podpisuje dokumenty podczas modlitwy, nie zadając sobie nawet trudu ich przeczytania. Kiedy wiadomość o tym dotarła do przebiegających się do snu kardynałów, ci, na wpół ubrani, pędem ruszyli do komnat papieża, by nie stracić tak cennej okazji przedłożenia swoich próśb. Cibo, późniejszy Innocenty VIII, podpisał wszystkie bez zmużenia oka, by potem wycofać się z większości zobowiązań.

W ogólnym rozrachunku przegrana była dla Rodriga Borgii błogosławieństwem, gdyż w porównaniu Innocentym VIII nawet on mógł się wydać człowiekiem skromnym i uczciwym, przynajmniej przez pierwszych parę tygodni. Można by przypuszczać, że Cibo przybrał pontyfikalne imię, kierując się ironicznym samokrytycyzmem. Po mieście krążyły nawet pogłoski o tym, że jest kobietą, którym kres położyła zjadliwa satyra: „Na cóż wam świadek, który by potwierdził, że kardynał jest mężczyzną lub kobietą? Policzcie tylko jego dzieci. Nic dziwnego, że cały Rzym nazywa go ojcem”⁸. Innocenty VIII zdarł ostatnią zasłonę, skrywającą prywatne życie papieża, odrzucając tradycję nazywania swych potomków kuzynami. Jak podają kroniki, „był on pierwszym papieżem oficjalnie uznającym swoje dzieci z nieprawego łoża, który w pełnym majestacie prawa obdarzał je bogactwami i zaszczytami”⁹. Mimo wszystko sytuacja nie była aż tak niepokojąca: papież przyznał się do posiadania jedynie dwójki dzieci – córki oraz syna imieniem Franceschetto.

Spokojny, ospały, obojętny na wszystko poza gromadzeniem dóbr i wspieraniem własnych dzieci, papież Innocenty przekazał większość obowiązków swojemu głównemu popiecznikowi, jak on sam pochodzącemu z Genui, kardynałowi Giulianowi della Rovere. W tym czasie jego syn opływał w dostatki, głównie dzięki jawnej sprzedaży odpustów i urzędów. Franceschetto zawarł z podkanclerzem układ, w myśl którego papieski syn miał zatrzymywać dla siebie zysk

z odpustów droższych niż 150 dukatów, reszta zaś trafiać miała do skarbcza, stamtąd zaś część zabierał podkanclerzy. Dzięki temu z każdą z licznych transakcji do kufrow Borgii wpływała drobna suma. Rodrigo myślał o przyszłości, podczas gdy Franceschetto potrafił jednej nocy przegrać do jednego z kardynałów ponad 14 000 dukatów. Poskarżył się później ojcu, a ten orzekł, że kardynał oszukiwał, i nakazał zwrot przegranej sumy. Mimo nękającego go pecha, upodobania do hazardu i niezdolności do gospodarowania majątkiem, potomek Innocentego VIII został uznany za wartościowego kandydata do ręki córki samego Lorenza de Medici.

Małżeństwo to okazało się dobrą inwestycją dla rodu Medyceuszy. Innocenty VIII przeżył jako papież zaledwie osiem lat, a jego apatia coraz wyraźniej zwiastowała nadchodzącą śmierć. Korzystając z tego, że ojciec niedomaga, jego nieodrodny syn chyłkiem opróżnił część skarbcza, po czym zbiegł, by wrócić, gdy papież dojdzie do zdrowia. Niestety, w roku 1492, w wieku 60 lat, Innocenty VIII rozstał się ze światem. Wśród jego dokonań można wymienić otrzymanie Świętej Włóczni od sultana Bajezyda, a także opróżnienie skarbcza i ugruntowanie w powszechnej świadomości przekonania, że za pieniądze można kupić wszystko. Franceschetto, słusznie obawiając się niebezpieczeństw walki o władzę, szybko sprzedał otrzymane od ojca posiadłości i zniknął ze sceny politycznej.

Na przełomie lipca i sierpnia Jan Burchard, mistrz ceremonii na papieskim dworze, zajmował się tym, co kochał najbardziej – przygotowaniami do wyboru następcy zwierzchnika Kościoła rzymskiego. Przez lata zasady rządzące konklawe przeszły całkowitą metamorfozę. To, co kiedyś było zbiorem niepisanych i zmienianych *ad hoc* reguł, stało się opasłym tomem precyzyjnych regulacji, dotyczących najdrobniejszych szczegółów zarówno obioru papieża, jak i codziennej toalety kardynałów. Burchard pilnował, by wszystko odbywało się zgodnie z regulacjami, i z zadania tego pedantyczny Niemiec wywiązywał się doskonale, choć wymagało to posiadania encyklopedycznej wiedzy o hierarchii dostojników kościelnych. Każdy z kardynałów uznawał się niemalże za księcia i zazdrośnie strzegł należnych mu praw i przywilejów. Ponadto mistrz ceremonii musiał odznaczać się instynktem kamerdynera, by móc przewidzieć zachcianki każdego z 23 duchownych, odciętych od świata na bliżej nieokreślony czas. Burchard nadzorował już poprzednie konklawe i w swoim pamiętniku pieczołowicie spisał najdrobniejsze uwagi na temat każdego z kardynałów.

Stół, krzesło, taboret. Siedzenie dla wypróżniania żołądka. Dwa nocniki, dwie serwety na stół każdego z panów [kardynałów]. Dwanaście serwetek i cztery ręczniki dla każdego z nich. Dwie małe chusteczki do wycierania kielichów. Dywan. Skrzynia na szaty kardynała: jego koszule, ornaty, ręczniki do wycierania twarzy oraz chusteczkę do nosa. Cztery skrzynki słodczy. Jeden słój kandyzowanych nasion pinii. Marcepan. Cukier trzciniowy. Biszkopty. Głowa cukru. Podręczna waga.

Młotek. Klucze. Rożen. Igielnik. Puzderko z przyborami do pisania, zawierające surowe pióra, nożyk do ich ostrzenia, gotowe pióro, szczypczyki oraz kałamarz. Ryzą czystego papieru. Czerwony wosk. Dzbanek na wodę. Noże. Łyżki. Widelce¹⁰.

Wszystkie te ustalenia miały na celu ograniczenie do minimum ewentualnych wpływów z zewnątrz, a Burchard skwapliwie pilnował, by były one przestrzegane co do joty. Niestety, nie mógł jednak zapobiec naciskom od wewnątrz.

Jeszcze przed pierwszym spotkaniem kardynałów, zaplanowanym na 6 sierpnia, wszyscy mówili o przedwyborczej walce. Nie było tajemnicą, iż król Francji wyłożył 200 000 dukatów, aby zapewnić obiór Giuliana della Roverego, Genua zaś ofiarowała w tym samym celu dalsze 100 000 dukatów. Niestety, pomoc króla Francji okazała się fatalna w skutkach dla della Roverego. Pozostali kardynałowie chętnie sprzedaliby swoje głosy, ale możliwość francuskiej interwencji okazała się dla nich ceną nie do przyjęcia. To zaś dało pole manewru pozostałym kandydatom.

Pierwsze dni konklawe upłynęły na jałowych sporach. Poseł z Florencji donosił, że sytuacja jest bardzo mętna, i on sam nie może zorientować się w gąszczu nie zawsze jasnych porozumień i układów. Obserwator z Ferrary odnotował nazwiska czterech najpewniejszych kandydatów na następcę Innocentego VIII. Rodrigo Borgia zajmował ostatnie miejsce na tej liście, jednak autor notatki przytomnie zauważył, że majątek tego kardynała może zapewnić mu zwycięstwo. Owszem, był on Hiszpanem, a Rzymianie wciąż pamiętali niesławne rządy jego wuja, ale teraz konklawe debatowało w całkowitej izolacji od wpływów z zewnątrz.

Gdy dziesiąty dzień sierpnia dobiegał końca, Borgia przeciągnął już na swoją stronę 13 kardynałów. Wśród nich znajdowali się przedstawiciele najstarszych i najbardziej wpływowych rodów rzymskich, jednak ujrawszy w swej szkatule żadaną sumę, żaden nie wahał się oddać głosu na znieawidzonego cudzoziemca. Rodrigo umiejętnie użył swego majątku, a dzięki talentowi dyplomatycznemu udało mu się przełamać niechęć kardynałów, raz już oszukanych pustymi obietnicami Innocentego VIII. Nieco później po Rzymie zaczął krążyć trafny epigramat, głoszący, iż „Aleksander sprzedaje Ołtarz, Klucze i samego Chrystusa. I ma do tego prawo, gdyż to wszystko kupił”¹¹. W ciągu pierwszych czterech dni konklawe Borgia przekupił większość kardynałów, jednak wynik głosowania nie był przesądzony, gdyż neutralny Ascanio Sforza wciąż pozostawał groźnym rywalem. Równie bogaty jak Borgia, miał przewagę w postaci wsparcia rodziny, władającej potężnym księstwem Mediolanu.

Dziesiątego sierpnia Rodrigo poprosił go o rozmowę w cztery oczy. Rywal mógł zażądać wszystkiego, gdyż otrzymał już bardzo szeroką ofertę łapówek. Arcybiskupstwo? Opactwo? Gotówka? Stanowisko podkanclerzego? Sforza potrafił się targować i koniec końców wymusił na Borgii nie tylko to ostatnie stanowisko, ale także sporą sumę w złocie. Jego przeciwnik natychmiast nakazał wypłacić gotówkę i jeszcze przed świtem do pałacu Sforzów wysłano cztery

muły obładowane workami, według niektórych, pełnymi srebra, według innych – złota.

Ośmiu kardynałów nie uległo namowom, lecz Borgia potrzebował jeszcze tylko jednego głosu. Zdobył go, przekupując liczącego 96 lat kardynała Wenecji. Jak widać, żądza złota zaślepiła nawet tego człowieka, który z racji wieku nie miał szans w pełni nacieszyć się zdobytym bogactwem. Jego głos kosztował Rodriga 5000 dukatów – kwotę śmieszną w porównaniu z bajłońskimi sumami, jakie wydał, zapewniając sobie poparcie innych. Ten głos przeważył szalę i po głosowaniu, przy akompaniamencie modlitw do Ducha Świętego o pokierowanie decyzją oraz głośnych protestów Sforzy, rankiem 11 sierpnia z urny wyciągnięto imię kardynała Rodriga Borgii.

Nowo wybrany zakrzyknął „Jestem papieżem! Jestem papieżem!” – po czym pospieszył przywdziać bogate szaty będące oznaką sprawowanego urzędu. Nie zamierzał wygłaszać pełnej pokory mowy, jak nakazywała tradycja. Przeciwnie, nakazał Burchardowi przygotować ulotki z tekstem „Mamy papieża, którym jest Aleksander VI, Rodrigo Borgia z Walencji”, i rozprowadzić je wśród czekającego na zewnątrz tłumu. Po obiorze Borgia po raz kolejny okazał pogardę dla fałszywej skromności. Nie zadowoliliby go imię Innocenty, Pius czy Klemens. Dlatego też wybrał imię Aleksandra, największego wodza, jakiego znał cały świat starożytny.

Rodzina Borgiów

Mija już 37 lat od chwili, w której wuj, Kalikst III, podniósł go do rangi kardynała i od tamtego momentu zawsze obecny był na konsystorzu, chyba że nie mógł nań przybyć złożony chorobą, co jednak zdarzało się niezmiernie rzadko. Za pontyfikatu Piusa II, Pawła II, Sykstusa IV oraz Innocentego VIII zawsze był w centrum wydarzeń. Jedynie kilku kardynałów mogło równać się z nim pod względem znajomości etykiety. Wiedział, jak forsować swoje zdanie, jak błyszczeć w rozmowie, jak wydać się godnym. Dzięki masywnej męskiej sylwetce prezentował się lepiej niż drobniejsi i niżsi ludzie. Właśnie rozpoczynał szóstą dekadę życia, o którym to wieku Arystoteles pisał, że człowiek osiąga w nim szczyt mocy umysłowych. Krzepki i żywego umysłu, doskonale nadawał się do pełnienia swojej nowej funkcji¹².

Powyższy opis Aleksandra VI, choć wyszedł spod pióra jego sekretarza i z pewnością został ubarwiony przez pragnącego się przypodobać dworzanina, dość dobrze oddawał powszechną opinię o nowym papieżu. Ludzie spoza wąskiego kręgu władzy widzieli w nim przede wszystkim przystojnego, hojnego kapłana, który z upodobaniem dostarczał im wystawnych uroczystości. Ci jednak, którzy podobnie jak on toczyli boje o wpływy, mieli na temat zupełnie

inne zdanie. Młody kardynał Giovanni de Medici, który odmówił sprzedaży swego głosu na konklawe, uznał za rozsądne natychmiast opuścić Rzym. Znakomita większość kardynałów po prostu cieszyła się złotem z kufrów Borgii. Poza tym doświadczenia dwóch poprzednich pontyfikatów kazały myśleć, że kolejny papież musi być lepszy.

Tym, którym nie były obojętne przymioty człowieka zasiadającego na tronie piotrowym, Aleksander przyniósł wielką nadzieję. Już następnego dnia po obiorze zwołał konsystorz, na którym ogłosił, iż pragnie przede wszystkim oczyścić kolegium z grzechów, z symonią na czele. Musiało to zaniepokoić 14 kardynałów, którzy tak chętnie sprzedali swoje głosy podczas ostatniego konklawe. Dla zwykłych Rzymian, od wieków uwielbiających publiczne igrzyska, Aleksander VI przygotował ceremonię koronacyjną, która miała przyćmić wszystkie poprzednie. Już jako kardynał zyskiwał sobie podziw tłumu niezwykle widowiskowymi procesjami w dzień Bożego Ciała, zaś po zdobyciu najwyższej godności kościelnej posiadał dość złota, by godnie uczcić fakt, że dynastia Borgiów doszła do władzy. Na każdym rogu powiewały proporce z godłem rodu – czerwonym bykiem kroczącym na czarnym tle. Na placu św. Marka ustawiono wielkiego byka z brązu, z którego paszczy nieprzerwaną struga tryskało wino. Nadzy młodzieńcy, o skórze pokrytej złotą farbą, stali upozowani na antyczne rzeźby, a na kroczący przez bogate łuki triumfalne pochód koronacyjny spływał deszcz rzucanych z okien kwiatów. Ceremonia przypominała triumfy starożytnych wodzów, a duch dawnych rzymskich igrzysk zdawał się odzywać na nowo.

Rzym był wielki za Cezara – lecz za Aleksandra jeszcze większy.

Gdyż pierwszy był jedynie człowiekiem. Drugi zaś jest Bogiem.

Takie wiersze widniały na łukach triumfalnych, lecz nikt nie zauważył jawnego bluźnierstwa.

Panegiryki na cześć nowego papieża charakteryzowały początek jego pontyfikatu. Potem, gdy Aleksander miał już dość władzy, by bez obaw móc ukazać swoje prawdziwe oblicze, wielu kronikarzy zaczęło opisywać go jako wcielenego potwora. Duża część tych opinii była mocno przesadzona: ludzie zdolni czcić zwłoki rzymskiej dziewczyny nie potrafili nienawidzić zwykłego śmiertelnika. Jednak w morzu zjadliwych pomówień i pamfletów znalazło się też sporo sprawiedliwych ocen, zawierających rzeczowe argumenty.

Jeden ze znanych florenckich uczonych, Francesco Guicciardini, który później miał służyć następcom Aleksandra, nie mógł odmówić papieżowi elokwencji, przenikliwości czy umiejętności zarządzania, jednak:

Wielkie te cnoty przyćmiewały znacznie poważniejsze wady. Sposób, w jaki żył, wołał o pomstę o nieba. Człowiek ten nie znał szczerości, wstydu, wiary ani religii. Co gorsza, zawsze i wszędzie kierowały nim przede wszystkim nienasycona zachłanność, niezaspokojona ambicja i płonąca żądza zapewnienia jak największych wpływów swoim dzieciom, które mu w tym pomagały, nierzadko wspierając autorytet ojca czynami godnymi najwyższej pogardy¹³.

Nepotyzm Innocentego VIII kolidował z interesami Kościoła, jednak był w zasadzie nieszkodliwy. Franceschetto wydawał po prostu olbrzymie sumy na zaspokajanie swoich żądz, podczas gdy ród Borgiów pragnął wyłącznie władzy. Raz ją zdobywszy, omal nie doprowadził do upadku całego Kościoła.

Okolo roku 1460 młody Rodrigo Borgia nawiązał znajomość z Vannozzą da Catanei, należąca do jednego z pomniejszych szlacheckich rodów rzymskich. W ciągu następnych 20 lat spłodził z nią czwórkę dzieci: Giovanniego, Cesarego, Lukrecję i Goffreda. Zanim spotkał Vannozzę, Rodrigo doczekał się już – ze związków z różnymi kobietami – trójki innych dzieci, z których jedno, najstarszy syn imieniem Pedro, otrzymał tytuł księcia Gandii*.

Młody człowiek, przeznaczony do stanu kapłańskiego i wielkiej kariery, zmarł, nim jego ojciec uzyskał godność papieską. Tytuł oraz związane z nim ambicje ojca przeszły na następnego w kolejności dziedziczenia Giovanniego, który liczył wówczas 14 lat.

Gdyby życie Rodriga Borgii potoczyło się inaczej, mógłby być doskonałym mężem: hojnym, oddanym i, biorąc pod uwagę ówczesną obyczajowość, całkiem wiernym. Vannozza musiała posiadać niepospolite talenty, by przez dziesięciolecia utrzymać przy sobie takiego kochanka, nawet wówczas, gdy jej uroda przeminęła, a inna kobieta zajęła jej miejsce w łóżu Rodriga. Niestety, nie wiadomo, na czym polegał jej sekret. Źródła w zasadzie milczą na jej temat. Prowadziła najwyraźniej niezwykle dyskretne życie, rozważnie dysponując otrzymanym od papieża majątkiem. Wszystko wskazuje na to, że zdawała sobie sprawę ze swojej specyficznej pozycji, pod koniec życia zaś oddała się zwyczajowym zajęciom statecznej włoskiej matrony. Swoje listy do córki zwykła kończyć słowami: „Twoja szczęśliwa i zarazem nieszczęśliwa matka”.

Rodrigo Borgia zapewnił jej trzech mężów, którzy chętnie osłonili ją własnymi nazwiskami w zamian za spokojne, wygodne życie na koszt kochanka żony. W roku 1486, licząc nieco ponad 40 lat, Vannozza wyszła za mąż po raz trzeci i ostatni. Wkrótce później Borgia zerwał związek, trwający już blisko pół wieku. Dwaj starsi synowie, Giovanni i Cesare, opuścili już matczyzny dom, a dwójkę młodszych dzieci, Lukrecję i Goffreda, ich ojciec rozkazał oddać pod opiekę swojej kuzynki i powiernicy, niejkiej madonny Adriany. Trzy lata później to właśnie w jej domu Rodrigo Borgia poznał piękną Giulję Farnese, którą Rzymianie ochrztili Oblubienicą Chrystusa. Giulia pojawiła się w domu Adriany jako jej przyszła synowa, a w roku 1489, gdy ukończyła 16 lat, w pałacu Borgiów odbył się jej ślub z jedynym synem Adriany. Mniej więcej w tym samym czasie dołączyła też do licznego grona kochanek Rodriga.

Madonna Adriana była wdową, więc żaden mąż nie mógł przeszkodzić, mieszając się w tę delikatną sprawę, a pretensje rodziny Farnese uciszyło hojne zadośćuczynienie, pochodzące prosto z papieskiego skarbcza. Jednym z pierwszych

* W Katalonii (przyp. tłum.).

dekretów, które wydał Aleksander VI, było podniesienie do rangi kardynała młodego Alessandra Farnese, brata Giulii. Powszechnie nazywany Kardynałem-Spódniczką, nosił ten przydomek, póki nie zasiadł na papieskim tronie jako Paweł III. Pozostali krewni Giulii również skorzystali na małżeństwie. Przybrany brat jej siostry upomniał się o swoją część. W liście Girolamy Farnese do męża znajdujemy następującą wzmiankę: „Otrzymałeś już zapewne listy z Florencji i wiesz, jakie zaszczyty spłynęły na Lorenza dzięki wstawiennictwu Giulii. Z pewnością będziesz bardzo zadowolony”¹⁴.

Różnica wieku między Rodrigiem Borgia a jego kochanką wynosiła ponad 40 lat, lecz w owych czasach nierzadko wydawano młode dziewczęta za podstarzałych, ale wpływowych i bogatych lubieżników. Poza tym sama Giulia nie wydawała się niechętna temu związkowi, gdyż jej kochanek był mimo wszystko bardzo atrakcyjnym mężczyzną. „Uprzejmy człowiek o ujmującej powierzchowności, potrafiący się kwieciście wysławiać, dzięki czemu umiał rozkochać w sobie kobiety, które lgnęły do niego jak opiłki żelaza do magnesu”¹⁵.

Pomimo niewątpliwych pokus, Borgia nie grzeszył nieumiarkowaniem w jedzeniu i picciu. Wręcz przeciwnie, jadał tak skromnie, że znajomi omijali jego dom w porze posiłków. Aleksander VI nad rozkosze stołu przedkładał bowiem zdrowie i tężyznę fizyczną. Dzięki temu nawet w wieku 70 lat potrafił w chłodną wiosenną noc znieść trudy długiej jazdy konno do Rzymu. Jego umiłowanie balów i wystawnych ceremonii mogło niektórych szokować, lecz na pewno zachwycało młode dziewczęta, które wkraczały dopiero w dorosłe życie.

Vannozza została odsunięta w cień, podczas gdy Giulia błyszczała u boku papieża. W Wigilię Bożego Narodzenia roku 1493 Lorenzo Pucci, wspomniany już szwagier Girolamy Farnese, odwiedził dom, zamieszkiwany przez trzy kobiety, które Aleksander VI umiłował ponad wszystko. Przywitała go tam miła, rodzinna atmosfera. „Kiedy wszedłem, madonna Giulia skończyła właśnie myć włosy. Siedziała przy kominku, obok madonny Adriany i madonny Lukrecji, córki naszego Pana. Wszystkie powitały mnie wielce serdecznie”. Gdy rozmowa zesłała na tematy rodzinne, Pucci wylewnie podziękował Giulii za wstawiennictwo i otrzymał skromną odpowiedź, podkreślającą jego własne zasługi. Następnie poszedł zobaczyć pierwsze dziecko Giulii.

Jest już duża i, jak mi się wydaje, bardzo przypomina papieża. Madonna Giulia urosła nieco, co jeszcze bardziej podkreśliło jej i tak wielką urodę. Rozpuściła przede mną włosy, które niemalże sięgały ziemi. Pierwszy raz w życiu widziałem coś takiego. Na głowie nosiła czepek z cienkiego lnu, na nim zaś lekką siatkę uplecioną ze złotych nici. Nie skłamię, jeśli powiem, że świeciła blaskiem bliskim słonecznemu. Ubrana zaś była w suknię uszytą na neapolitańską modłę, podobnie jak madonna Lukrecja. Ta ostatnia, nawiasem mówiąc, opuściła po chwili komnatę, by wrócić w lekkiej sukience z fiołkowego aksamitu¹⁶.

Lukrecja – licząca wówczas 13 lat – sześć miesięcy wcześniej wyszła za mąż. Z prawnego punktu widzenia zrobiła to już po raz trzeci, gdyż wcześniej zawarto

w jej imieniu dwa kontrakty małżeńskie, za każdym razem ze szlachcicem pochodzącym z kraju jej ojca. W owym czasie Rodrigo, pełniący funkcję kardynała, zdobywał już bogactwa i wpływy, lecz nadal był jednym z wielu uprzywilejowanych, wpływowych i bogatych ludzi, znalezienie wysoko urodzonego męża dla nieślubnej córki nie przedstawiało więc trudności. Kiedy został papieżem, wartość Lukrecji na rynku małżeńskim wzrosła niepomniernie. Poprzednie kontrakty unieważniono i Aleksander znalazł lepszego kandydata. Kardynał Ascanio Sforza, któremu Rodrigo Borgia zawdzięczał zwycięstwo na konklawe, dzięki objęciu urzędu podkanclerzego jeden z najbardziej wpływowych hierarchów kościelnych, przedstawił mu swego krewniaka, Giovanniego Sforzę. Papież z radością przywitał możliwość zacieśnienia więzów ze starym lombardzkim rodem, który kontrolował podówczas całe północne Włochy.

Giovanni Sforza chętnie przyjął rękę Lukrecji, świadom, że pozycja papieskiego szwagra może jedynie wzmocnić jego wpływy. Lukrecja nie zyskała jeszcze pozycji, o której marzyli jej brat i ojciec. Ci, którzy poznali ją we wcześniejszych latach, zanim została pionkiem w papieskiej grze, a także później, gdy odsunięto ją od Rzymu, opisywali ją jako kobietę hojną, łatwo ulegającą presji i niezbyt inteligentną. Pod względem urody nie mogła równać się z Giulią, lecz z całą pewnością była atrakcyjna. „Jest średniego wzrostu i wdzięcznej figury. Ma twarz pociągłą, nos prosty, włosy w kolorze złota, oczy w nieokreślonym kolorze. Usta dość duże, olśniewająco białe zęby. Jej szyja jest wąska i delikatna, pierś proporcjonalna i kształtna”. Młody Giovanni Sforza mógł się więc uważać za szczęściarza.

Ślub odbył się 12 czerwca 1493 roku w Watykanie i zapisał się w pamięci jako jedna z tych wystawnych uroczystości rodzinnych, które nadały specyficzną atmosferę temu owianemu mgłą legend wzgórze. Burchard, mistrz ceremonii na papieskim dworze, dopilnował przebiegu ślubu i wesela z taką samą skrupulatnością, z jaką dbał o porządek na konklawe, pogrzebach czy koronacjach. Wielką *Sala Reale* i przyległe komnaty ozdobiono gobelinami, nad główną salą zaś górował pięknie przybrany papieski tron. Po obu jego stronach ustawiono fotele dla gości, całą podłogę natomiast zasłano aksamitnymi poduszkami w jaskrawych kolorach.

Mistrz ceremonii, jak zwykle zresztą, skwapliwie notował wszystkie szczegóły. Uroczystość, którą nadzorował, nie była precedensem, gdyż papież Innocenty VIII urządził w tym miejscu ślub swojego syna. Mimo to Burchard czuł się w obowiązku zaprotestować: nie tyle ze względu na niestosowność samego pomysłu, ile z powodu pojawienia się na weselu płci pięknej. „Zapisałem to, gdyż nasze zasady jasno zabraniają kobietom zasiadać przy jednym stole z papieżem”¹⁷. Jednak w ciągu poprzednich 20 lat złamano tyle zasad i zwyczajów, że nawet stary mistrz ceremonii zadowolił się zapisaniem tego, co się wydarzyło, nie zaś tego, co zdarzyć się powinno.

Don Juan Borgia, książę Gandii, syn papieża i starszy brat donny Lukrecji, otrzymał od Jego Świątobliwości polecenie towarzyszenia Lukrecji. Doprowadził on ją

aż do ostatniej komnaty, podczas gdy czarnoskóra służąca niosła jej tren. Za nią szła donna Battistina, wnuczka świętej pamięci papieża Innocentego VIII, której tren również niosła Murzynka. Donna Giulia Farnese, konkubina papieża, oraz inne rzymskie damy w liczbie około 150 podążyły zaś za Lukrecją i Battistiną.

Podeksycytowane damy zapomniały o dobrych manierach. Kiedy przechodziły przed papieskim tronem, „żadna, poza córką papieża i kilkoma jej towarzyszkami, nie dygnęła należycie pomimo moich dokładnych instrukcji”¹⁸.

Po ceremonii zaślubin wesele trwało do samego rana, a bawiło się na nim najlepsze towarzystwo ówczesnego Rzymu, a także wszędobylski ambasador z Ferrary, który zdążył już opisać szczęście młodego Sforzy.

Po zakończeniu głównego bankietu rozpoczęły się tańce, a także uraczono gości wspaniałą sztuką dramatyczną z muzyką i śpiewem. Obecny był przy tym papież i wielu innych możnych. Cóż więcej mogę rzec? Gdybym chciał opisać wszystko, nigdy bym nie skończył tego listu. Tak oto spędziliśmy tę noc, a ocenę, czy było to dobre, czy nie, pozostawiam już w gestii Waszej Wysokości¹⁹.

Aleksander VI zasiadał na tronie piotrowym zaledwie od 10 miesięcy.

Vannozza nie była obecna na ślubie własnej córki, podobnie jak jedenastoletni wówczas Goffredo. Przybył za to Cesare, który, choć wciąż pozostawał w cieniu swego brata, Giovanniego, także skorzystał na złotym deszczu, jaki spłynął na rodzinę, gdy Rodrigo Borgia został papieżem. Ojciec już na pierwszym konsystorzu przyznał mu kapelusze kardynalski, czego należało się zresztą spodziewać, jako że Cesarego od dziecka przeznaczono do stanu duchownego. Niegdyś Sykstus VI zwolnił czterolatka z ograniczeń, wynikających z jego urodzenia „z kardynała i zamężnej kobiety”, otwierając mu tym samym drogę do godności kościelnych. Teraz zaś liczący 18 lat Cesare Borgia był już kardynałem, biskupem Pampeluny, arcybiskupem Walencji, dawnej diecezji ojca, pełnił także wiele innych drobnych funkcji. Wszystko wskazywało na to, że pójdzie w ślady ojca i zgromadzi co najmniej takie same bogactwa. Niemniej wszystkie te sukcesy odniósł tylko dlatego, że przynależał do rodu Borgiów. Aleksander VI koncentrował całą swą miłość na Lukrecji, z Giovannim zaś wiązał nadzieję powstania dynastii Borgiów. Starszy brat nosił już bowiem tytuł księcia Gandii i jedynie ślub Lukrecji opóźnił jego powrót do własnego księstwa oraz planowany związek z hiszpańską księżniczką. Trzy miesiące później, w sierpniu 1493 roku, Giovanni wyruszył do Hiszpanii, a w tym samym miesiącu Aleksander ożenił swojego najmłodszego syna Goffreda z Sancią, córką rodu władającego Neapolem. W ciągu jednego roku od konklawe Aleksander VI połączył swoją rodzinę z trzema wielkimi rodami z Włoch i Hiszpanii. Aby zrealizować swój plan, musiał w swoją sieć złowić jeszcze Francję.

Inwazja 1494 roku

W sierpniu 1492 roku, kiedy Rodrigo Borgia zasiadał na papieskim tronie, Krzysztof Kolumb rozpoczął sławetną podróż przez Atlantyk. Powstanie Nowego Świata uwieńczyło proces, który rozwijał się w Europie od wielu lat. Poprzednie pokolenie widziało upadek Konstantynopola po ataku Turków w 1453 roku. Chrześcijańskie cesarstwo na Wschodzie – od stuleci największy rywal Rzymu – powoli chyliło się ku upadkowi, zdradzone przez chrześcijan w chwili największego zagrożenia. Kiedy ostatecznie zaś wpadło w ręce najeźdźców, Europa stanęła oko w oko z nowym nieprzyjacielem – islamem, który opanował już większą część basenu Morza Śródziemnego i Bałkanów, a jego wpływy sięgały serca Starego Kontynentu.

Na północy z ruin cesarstwa powstało wiele małych państw. Hiszpania odzyskała dawną potęgę jako ostatnia, lecz po zjednoczeniu kraju – czego symbolem był ślub Izabelli Aragońskiej i Ferdynanda Kastylijskiego w 1469 roku – mogła wkroczyć na arenę zmaganiń mocarstw europejskich. Włochy były otoczone przez zagrażających im gigantów, lecz mimo to nie potrafiły zdobyć się na poważne zmiany. Zmieniała się forma władzy, lecz nie jej rozkład. Republiki należały już do przeszłości, z wyjątkiem Wenecji, w której w rzeczywistości panował jednak despotyzm. W ich miejsce pojawiły się niezależne księstwa, rządzone na ogół przez ludzi, którzy zdobyli władzę nielegalnie i utrzymywali ją za pomocą własnej siły i sprytu. Medyceusze we Florencji, Sforzowie w Mediolanie, d'Este w Ferrarze, Baglioni w Perugii, Malatestowie w Rimini... Część z nich odznaczała się niepospolitymi cechami, część zadziwiała ubóstwem charakteru, lecz wszyscy bez wyjątku dążyli do jednego celu, którym było – tak tragiczne w skutkach dla dawnych republik – utrzymanie autonomii w granicach państwa. Książęta ci władzę swą opierali na częstych zdradzieckich zmianach sojuszy, gdyż na niewielkim Półwyspie Apenińskim brakowało miejsca i czasu na długotrwałe układy. Niegdyś nad porządkiem panował cesarz, udzielając poparcia poszczególnym stronnictwom, by zachować równowagę sił. Obecnie jednak, gdy władza cesarska, zdawało się, znikła na dobre, wszyscy władcy byli równi sobie. Znaczące wzmocnienie pozycji wymagałoby pomocy ze strony jednego z nowych państw narodowych, jakie powstały na północ od Włoch. Na razie nikt nie zdecydował się jeszcze na ostateczną zdradę.

Człowiekiem, który otworzył bramy cudzoziemcom, był Ludovico Sforza, regent Mediolanu. Współcześni uważali go za archetyp wyrachowanego łotra: układnego, popędliwego, dobrze wykształconego i podstępnego. Rządził Mediolanem całkowicie bezprawnie. Prawowity władca, młody bratanek Ludovica, przebywał w areszcie domowym. Żona uwięzionego zwróciła się o pomoc do swego dziadka, króla Neapolu. Przeczuwając nadchodzące kłopoty, Ludovico postanowił wpłynąć na znanego z zapalczywości i pochopnych decyzji króla

Francji, Karola VIII. Ród Ferrante pochodził z Aragonii, a swoją władzę uzyskał po obaleniu dynastii Andegawenów. Z tego też powodu wywodzący się z rodu Andegawenów Karol VIII mógł wysunąć uzasadnione pretensje do tronu Neapolu. Tak oto zaczęła się wojna o sukcesję neapolitańską, która odbiła się echem w całych Włoszech.

Karol był zainteresowany propozycją Ludovica, tym bardziej że nieprzejednany wróg Aleksandra VI, kardynał Giuliano della Rovere, opuścił Rzym i udał się na dwór króla Francji, zanosząc nowe wieści i propozycje działania. Stary Ferrante zmarł i Aleksander VI, nie zwracając uwagi na roszczenia Francji, koronował jego syna Alfonsa na króla Neapolu. Sam Borgia skorzystał na takim rozwiązaniu, gdyż w zamian za wsparcie uzyskał dla swojego syna Goffreda tytuł książęcy i sporo mniejszych przywilejów na terenie Królestwa Neapolu. Jednak tym samym postawił się w niebezpiecznej sytuacji.

Kardynał della Rovere wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że za wyborem Rodriga Borgii stało przekupstwo. On sam nie przyłożył do tego ręki, mógł więc ze spokojnym sumieniem pomóc Karolowi, gdy ten chciał zaprowadzić porządku wewnątrz Kościoła. Plan zakładał odsłonięcie machinacji papieża, zdjęcie go z tronu i zastąpienie innym kardynałem, na przykład della Roverem, a następnie przeprowadzenie ataku na Neapol i przywrócenie w tym mieście władzy Andegawenów. Dodatkowo kardynał roztoczył przez Karolem wizję krucjaty przeciwko Turkom. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, to po jednej zwycięskiej kampanii król Francji mógłby zostać królem Neapolu, królem Jerozolimy, obrońcą Ziemi Świętej i wyzwolicielem papieżstwa spod wpływu Borgii. Wkraczając na ziemie włoskie, król Francji mógł liczyć na pomoc Ludovica Sforzy.

Kampania musiała przypaść do gustu narwanemu młodzieńcowi, który namiętnie oddawał się rojeniom o dawnej rycerskiej chwale. „Od dziecka był choroewity i nie odznaczał się szczególną tężyzną”, jak zanotował Francesco Cuicciardini w złośliwej prezentacji Karola VIII, nowego zbawcy Włoch.

Niskiej postury i odstręczającego oblicza, jeśli nie liczyć blasku i godności widocznej w spojrzeniu. Jego członki nie miały właściwych proporcji, wskutek czego bardziej podobny był do potwora niż do człowieka. Nie tylko kiepsko orientował się w sztukach wyzwolonych, lecz także ledwie radził sobie z czytaniem. Choć palił się do rządów, to, prawdę mówiąc, nie nadawał się do tego ani trochę. Nie znosił załatwiania interesów i wysiłku. Wszystko, co robił, nosiło oznaki zbytniej pewności siebie i braku właściwego osądu, a pragnienie chwały wynikało u niego raczej z porywczosci niż z rozsądku. Zachowywał się swobodnie, lecz zbyt często nie potrafił hamować swych żądz. Kiedy obstawał przy swoim zdaniu, znacznie częściej przejawiał prosty upór niż niezachwianą stanowczość²⁰.

Taki właśnie był Karol Walezy. Jednak nie zmieniało to faktu, że zasiadał na tronie Francji i miał do swej dyspozycji armię, jakiej Włochy nie widziały od wieków. Latem 1494 roku ta właśnie armia przekroczyła Alpy i rozpoczęła marsz na południe.

W XV wieku papieże znacznie powiększyli zakres swoich wpływów, jednak ich władza była wciąż władzą włoskiego księcia, dzierżącego w swym ręku Rzym i Państwo Kościelne. Sny o monarchii, stanowiące główny motor działań Bonifacego, który zginął, gdyż próbował je urzeczywistnić, zmieniły się w próbę utrzymania wąskiego klina ziem na środku Półwyspu Apenińskiego. Aleksander VI znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie, gdyż złożenie go z urzędu po oskarżeniu o symonię było jak najbardziej legalne i możliwe. Aby obronić się przed taką ewentualnością, musiał użyć tych samych środków, co pozostali książęta, gdyż w procesie wzmacniania potęgi swej rodziny obniżył status papieżstwa do pozycji książęcego rodu włoskiego. Co gorsza, żadne z mocarstw europejskich nie wykazywało ochoty przyjścia na odsiecz Borgiom.

Nie mając innego wyjścia, Aleksander VI postanowił poszukać pomocy poza granicami świata chrześcijańskiego, zwracając się do jednego z jego największych wrogów, sultana Bajezyda. Papież miał w rękawie mocną kartę przetargową w postaci młodszego brata sultana, Dżema, który był postacią tyleż dziwaczną, co tragiczną. Wiele lat wcześniej, w wyniku przewrotu pałacowego, Dżem musiał salwować się ucieczką do chrześcijańskiej Europy. Wędrował od jednego monarchy do drugiego, gdyż każdorazowy „opiekun” otrzymywał od Bajezyda 40 000 dukatów rocznie pod warunkiem, że Dżem będzie przebywał w areszcie domowym. Innocenty VIII przekazał go Aleksandrowi VI, który traktował młodego muzułmanina jak członka własnej rodziny, Giovanni Borgia zaś wręcz go uwielbiał i starał się naśladować nawet jego strój. Kiedy Pinturicchio malował portret rodziny Borgiów, ukryty pod tytułem: *Święta Katarzyna rozprawiająca*, znalazło się na nim miejsce również dla Dżema.

Niestety, wszystko to nie zmieniało faktu, że brat sultana był zakładnikiem, Aleksander VI zaś nie wahał się ani chwili, by wykorzystać tę sytuację dla własnej korzyści. Przede wszystkim ostrzegł Bajezyda, że francuscy „krzyżowcy” planują osadzić Dżema na rzymskim tronie. Z tego też powodu poprosił, by sultan natychmiast przesłał obiecane 40 000 dukatów i ułożył się ze swoimi przyjaciółmi z Wenecji, by zaatakowali armię Karola.

Bajezyd miał jednak w zanadru lepszy i prostszy plan. W odpowiedzi na list papieża zaproponował, by ten bezzwłocznie zgładził Dżema, a on wypłaci mu 300 000 dukatów, za które Borgia mógłby „nabyć majątki dla swych synów”. Na takim układzie obie strony mogły tylko zyskać.

Egzekucja sultańskiego brata została jednak odroczone, gdyż papieski wysłannik wpadł wraz z przewożonym listem w ręce Francuzów. Na wieść o tym, że głowa Kościoła spiskuje z sultanem przeciwko chrześcijańskiemu królowi, najeźdźcy postanowili tym szybciej rozprawić się ze zdrajcą zasiadającym na papieskim tronie.

Armia Karola nie napotkała żadnego oporu. We Florencji fanatyczny mnich Girolamo Savonarola uznał króla za miecz boży, którego nadejście przepowiedział wiele lat wcześniej. Mieszkańcy Rzymu popadli w głęboką rozterkę. Ród

Colonnów od razu przyłączył się do Francuzów, w ich ślady poszli też Orsini, których rodzina połączyła się przez małżeństwo z rodem Borgiów.

Aleksander VI cierpiał męki, nie mogąc szybko podjąć decyzji. Z początku zamierzał walczyć, lecz oceniwszy po namyśle lojalność swoich neapolitańskich sojuszników, wybrał ucieczkę i rozkazał Burchardowi spakować wszystkie ruchome sprzęty, z łóżkiem włącznie. Niedługo później odwołał polecenie. Na Rzymian nie miał co liczyć, to fakt, lecz zawsze mógł prosić o pomoc cudzoziemców. Burchard został wysłany z misją wybadania nastrojów zamieszkujących w mieście Niemców. Ci również odmówili walki. Zaraz potem przyszedł najboleśniejszy dla papieża cios. Jeden z francuskich patroli pojmał Giulię Farnese i madonnę Adrianę, które uciekały z Rzymu do Viterbo. Kapitan patrolu, zorientowawszy się, że są to kobiety o wysokiej pozycji społecznej, poinformował o tym swojego króla. Ten jednak nie chciał mieć z tą sprawą nic wspólnego, kapitan więc skontaktował się z Aleksandrem VI, żądając okupu w wysokości 3000 dukatów. Choć ziemia paliła mu się już pod nogami, Borgia zdobył pieniądze na okup, przebrał się w elegancki strój z czarnego aksamitu i udał się na umówione spotkanie, by osobiście odwieźć przerażone kobiety. Kiedy wieść o wydarzeniu doszła do uszu Ludovica Sforzy, ten wpadł we wściekłość. Okup, choć wysoki, nie oddawał wartości jeńców. „One były oczami i uszami papieża. Gdybyśmy je zatrzymali, wówczas on byłby gotów zrobić wszystko, czego byśmy tylko zażądali, gdyż nie jest w stanie bez nich żyć”²¹.

Armia francuska wkroczyła do Rzymu późnym popołudniem ostatniego dnia roku. Nawet w tak niesprzyjającej sytuacji Burchard próbował zadbać o przestrzeganie etykiety, wciąż utyskując, że Francuzi zajmują miejsca przeznaczone wyłącznie dla urzędników kościelnych. „Zamilcz wreszcie!” – krzyknął w końcu Aleksander VI. – „Czy chcesz, żebym stracił głowę?! Niech Francuzi chodzą, gdzie im się żywnie podoba!”

Burchard poddał się, lecz nie zamierzał wypuścić z rąk własnego majątku. Gdy odkrył, że kilku żołnierzy zajęło jego dom, poskarżył się samemu królowi. Karol odegrał widowiskową scenę, deklamując, że jego żołnierze „nie wezmą kury ni jaja, ni najmniejszego sprzętu, nie płacąc zań pełnej jego wartości”²² i aby zdobyć sobie większą przychylność Rzymian, nakazał powiesić schwytych rabusiów. Aleksander wiedział jednak dobrze, że sam nie może liczyć na względy króla francuskiego, zabrawszy więc ze sobą Dżema, schronił się w murach potężnej twierdzy Sant’ Angelo i rozpoczął rokowania.

Napięcie powoli opadało. Jeszcze raz potężna i nieuchwytna władza najwyższego kapłana przyszła na pomoc włoskiemu księciu. Wszyscy doradcy Karola zgadzali się co do tego, że aktualny papież musi zostać zdjęty z urzędu, a największym orędownikiem tej idei był Ascanio Sforza, ten sam człowiek, który za niewyobrażalną sumę sprzedał swój głos na konklawe. Tu jednak pojawiały się problemy. Czy inni władcy europejscy nie potraktują takiego działania jako

rozszerzenia wpływów Francji? Czy nie ucierpi na tym pozycja Karola jako obrońcy świata chrześcijańskiego? Kto miałby zostać następcą Aleksandra VI? Odpowiedź na te wszystkie pytania przekraczała zdolności polityczne młodego króla, który wzdrażał się przed podjęciem tak ważnej decyzji. Niezdolny doprowadzić swe zamierzenie do końca Karol zażądał kapelusza kardynalskiego dla jednego ze swoich protegowanych, wydania mu Dżema oraz obecności Cesarego Borgii podczas marszu na Neapol. Ostatecznie dostał jedynie kapelusz, gdyż Cesare zbiegł wkrótce po tym, jak armia opuściła miasto, a kilka dni później brat sułtana zmarł, „zjadłszy coś, co musiało naruszyć równowagę humorów w jego ciele”, jak zapisał Burchard. Precyzja tego eufemizmu zakrawała wręcz na ironię.

Szturm na Neapol również rozładował napiętą sytuację. Skorumpowana i znienawidzona przez poddanych dynastia padła od razu. Przez chwilę Karol obnosił się w glorii zwycięzcy, rojąc plany podboju, lecz po raz kolejny okazało się, że Włochy, na podobieństwo nienasyconego bagna, zdolne są wchłonąć każdą zwycięską armię. Podczas gdy Francuzi pławili się w neapolitańskich luksusach, ich dawni sojusznicy przegrupowywali się na północy – Karol zyskał zbyt wiele, musiał więc zostać upokorzony. Mieszkańcy Północy nazwaliby takie postępowanie zdradą, ale Włosi uważali je za praktyczne posunięcie polityczne. Reguły tej polityki były powszechnie znane i akceptowane. Aleksander VI zdobył nagle nowych przyjaciół, Karol zaś zorientował się, że podczas powrotu przyjdzie mu przedzierać się przez szeregi wroga. W Toskanii Savonarola grzmiał pod jego adresem: „Ściągnąłeś na swą głowę gniew Boży, gdyż nie doprowadziłeś do końca świętej misji reformy Kościoła, którą On osobiście ci powierzył”. Jednak w tym momencie król Francji miał już dość sławy i proctw. Pragnął jedynie wrócić do domu cały i zdrowy. Udało mu się to, lecz cena wyprawy do Włoch była ogromna. W bitwie pod Fornuovo wojska francuskie zostały rozgromione i zmuszone do porzucenia cennych łupów, zgromadzonych w pierwszej fazie kampanii.

Wbrew zamierzeniom wrogów papieża, interwencja jedynie wzmocniła pozycję Aleksandra VI. Utrzymał się na swym urzędzie, a spiskowcy mogli zostać teraz ukarani w majestacie prawa nie jako przeciwnicy rodu Borgiów, lecz jako wrogowie Stolicy Piotrowej, a ze względu na ich sojusz z obcym państwem – nawet całych Włoch. Aleksander planował zacząć rozprawę z przeciwnikami od zniszczenia rodu Orsinich. W tym celu wezwał z Hiszpanii swego syna, księcia Gandii.

Ów „marionetkowy książę, odziany w jedwabie i złotogłowy”, został mianowany legatem Państwa Kościelnego, legatem Perugii i głównodowodzącym wojsk papieskich, a następnie wysłany na południe, by zwyciężać ku chwale rodu Borgiów. Zawiódł sromotnie. Aleksander VI opłacił więc słynnego hiszpańskiego generała, Gonsalvo di Cordobę, który wykonał powierzone zadanie, za co został sownie wynagrodzony. Zaraz po tym Aleksander VI wydzielił

z terenu Państwa Kościelnego część ziem, które przekazał Giovanniemu w dziedziczne posiadanie. Tak jawne rozdawnictwo ziem kościelnych spotkało się jedynie z symbolicznym oporem, gdyż zgromadzenie kardynałów zdominowali Hiszpanie, z których ośmiu było bliskimi krewnymi papieża.

Mord na księciu Gandii

Pod wieczór 14 dnia lipca 1497 roku, w tydzień po uzyskaniu przez Giovanniego Borgię włoskiego tytułu szlacheckiego, Vannozza, jego matka, wydała uroczysty obiad rodzinny w winnicy przy swym domu za miastem. Spotkanie przebiegało w przemiłej atmosferze. Gdy zaczął zapadać zmierzch, Giovanni i jego brat Cesare w otoczeniu przyjaciół i służby ruszyli do papieskiego pałacu w Rzymie. Nim dojechali do miasta, Giovanni odesłał sługi, pożegnał się z przyjaciółmi, a następnie odjechał gdzieś w towarzystwie stajennego i człowieka w karnawałowej masce. Kilka minut później kazał odejść służącemu i ruszył dalej, rozmawiając z tajemniczym nieznajomym. Wtedy po raz ostatni widziano go żywego.

Następnego rana służący poinformowali Aleksandra VI, że jego syn nie powrócił z wczorajszego obiadu. „Wasza Świątobliwość był zdenerwowany, lecz z początku sądził, że książę powróci po zmroku, gdyż na pewno zatrzymał się na noc u jakiejś dziewczyny i nie chciał, by ktoś widział go, jak opuszcza jej dom w dzień”²³. Było to bardzo logiczne założenie, biorąc pod uwagę obyczaje papieskiego syna. Jednak wieczorem znaleziono pod miastem ciężko rannego stajennego, który nie potrafił powiedzieć, co się stało z jego panem. Aleksander natychmiast zarządził poszukiwania.

Następnego dnia, 16 lipca, ludzie przetrząsający okoliczne lasy napotkali handlarza drewnem, spławiającego swój towar w dół Tybru. Kiedy spytali go, czy nie widział wczoraj czegoś podejrzanego, ten opowiedział im o niecodziennym wydarzeniu, którego był świadkiem. Owej fatalnej nocy siedział w przycumowanej do brzegu łodzi, gdy nagle w pobliżu pojawiło się dwóch ludzi, którzy ostrożnie rozglądali się wokół. Nie zauważywszy rybaka, wycofali się w krzaki, a na brzegu pojawił się człowiek na białym koniu, wiozący ludzkie ciało. Dwaj mężczyźni, którzy poprzednio lustrowali okolicę, podtrzymywali zwłoki, by nie zsunęły się z końskiego grzbietu.

Tuż przy wylocie kanału tajemnicza trójka zatrzymała się, a dwóch pieszych zdjęło trupa z konia i rzuciło go na środek rzeki. Ciało utonęło, ale płaszcz unosił się na powierzchni, tamci dwaj rzucali więc w niego kamieniami tak długo, aż poszedł na dno. Wtedy cała trójka odjechała w las i zniknęła w mroczkach nocy.

Kiedy handlarz zakończył swą opowieść, ludzie papieża spytali go, czemu nie poinformował władz. Ten odparł jednak, że przez lata pracy na rzece widział co najmniej setkę takich przypadków. Nikt nigdy nie zadawał mu żadnych pytań, więc i tym razem uważał, że jest to sprawa, do której nie należy się mieszać.

W krótkim czasie zatrudniono ponad 300 flisaków do przeczesania dna rzeki, co dało początek żartom, że papieża „po raz pierwszy można nazwać łowiącym ludzi rybakiem”. W południe poszukiwania dobiegły końca: jedna z grup odnalazła zaplątane w wodorosty ciało Giovanniego, księcia Gandii. Wciąż był ubrany w strój wyjściowy, a przy jego pasie znaleziono sakiewkę z 30 dukatami. Nieznani zabójcy poderżnęli księciu gardło, a także zadali mu dziewięć innych ran, z których każda mogła być śmiertelna.

Jeśli wierzyć Burchardowi, Aleksander VI z żalu postradał zmysły. „Od środy wieczór aż do soboty nic nie jadł ani nie pił, zaś od czwartku do niedzieli nawet przez chwilę nie był w stanie usiedzieć w miejscu”, zapisał mistrz ceremonii, nie przejawiając nawet cienia współczucia dla cierpiącego człowieka. Vannozza de Catanei, odrzucona kochanka, odwiedziła Aleksandra, by nieco ukoić jego ból i przypomnieć, że pozostała mu jeszcze trójka dzieci, między nimi Cesare, który z pewnością będzie w stanie pokierować rodem Borgiów, tak jak miał to zrobić zabity Giovanni.

Mordercy nigdy nie odnaleziono, choć wiele spekulowano na jego temat. Niektórzy uważali, że wynajęli go Orsini, którym Aleksander VI odebrał sporą część ziem, by przekazać je synowi. Inni wskazywali na Sforzów, zwłaszcza na młodego Giovanniego. Jeszcze inni twierdzili, że książe Gandii padł ofiarą jednego ze swych osobistych wrogów, być może męża którejś z licznych kochanek. Byli jednak i tacy, którzy szeptali, że winnym jest brat zabitego, Cesare. Ta ostatnia plotka pojawiła się w rok później, gdy młody Borgia odrzucił godności kościelne, by pojawić się na arenie politycznej jako książe. Właśnie ta pogłoska zyskała sobie największą popularność i po pewnym czasie spora część mieszkańców Rzymu przyjęła ją za niezbity fakt. Głównym motywem zbrodni miała być zazdrość o wysoką pozycję brata i chęć przejęcia majątku i prestiżowych tytułów. Wszystko jednak zdaje się wskazywać na to, że akurat tej zbrodni Cesare Borgia nie popełnił.

Bracia nigdy nie byli skłóceni, a Cesare nie zyskałby niczego, zabijając Giovanniego, gdyż ten miał syna, który odziedziczyłby wszystko po śmierci ojca. Motywem zbrodni była najprawdopodobniej, jak to ujął kardynał Ascanio Sforza, „tragedia miłosna”. Rany na ciele zabitego, zadane zapewne w przypiływie dzikiej furii, związane ręce ofiary i próba skrytego pozbycia się ciała sugerowały właśnie takie tło zbrodni. Zawodowy zabójca wynajęty do wyeliminowania politycznego przeciwnika dokonałby dzieła szybko i sprawnie, a następnie zostawił ciało na miejscu zbrodni. Rzymianie przywykli do tego, że rankiem na ulicach miasta znajdują trupy, i nikogo to już nie dziwiło.

Kiedy pierwsza fala żalu i rozpacz minęła, Aleksander zaczął działać z tak charakterystycznym dla siebie rozmachem. Pięć dni po zabójstwie syna, 19 czerwca 1947 roku, papież wygłosił na konsystorzu podniosłą mowę:

Cios, który spadł na nas, jest chyba najcięższym, jaki można sobie wyobrazić, gdyż księcia Gandii umiłowaliśmy bardziej niż kogokolwiek na świecie. Oddalibyśmy i siedem tiar, by tylko wrócić mu życie. Najwyraźniej jednak śmierć ta jest karą, którą Pan zesłał na nas, gdyż sam książę nie uczynił nic, czym mógłby sobie zasłużyć na taki los. Z tego też powodu pragniemy wyrazić naszą skruchę i odpokutować grzechy, dokonując reformy w Kościele. Niniejszym wyrzekamy się więc nepotyzmu w każdej jego postaci. Zaczniemy przemianę od siebie i będziemy szerzyć naprawę w coraz to szerszych kręgach, aż cały Kościół zostanie odnowiony²⁴.

Powyższe słowa nie były jedynie cczą propagandą. Kościół musiał zostać oczyszczony z nagromadzonego przez stulecia brudu. Natychmiast powołano złożoną z sześciu kardynałów komisję, której zadaniem miało być sporządzenie szkicu bulli, zawierającej główne wytyczne reform. Ponownie dały o sobie znać niezwykła energia i zdolności organizacyjne Aleksandra, gdyż senną zazwyczaj kurię zmuszono do pracy tak intensywnej, że już po sześciu tygodniach papież otrzymał gotowy projekt obszernego dokumentu. Nie oszczędzał on ani obecnego, ani też poprzednich papieży. Symonia została potępiona w każdej postaci, od otwartego sprzedawania głosów po wydzielanie ziem kościelnych dla świeckich władców, jak miało to miejsce w przypadku terenów darowanych księciu Gandii.

Specjalną uwagę zwrócono na moralność kapłanów. Gdyby wszystkie zapisy reformy zostały wprowadzone, życie księży, od proboszcza do papieża, musiałyby natychmiast zmienić się w dość radykalny sposób. Kler nie mógłby zajmować się osobistymi sprawami ziemskimi, czy to w zakresie polityki, czy to codziennych rozrywek. Wszystkie konkubiny należało oddalić w ciągu 10 dni od ogłoszenia dokumentu, kardynałowie zaś powinni zadowolić się minimalną liczbą służących i nie wolno było im zapraszać do swych pałaców aktorów i muzyków. Tak właśnie przedstawiał się plan reform, które zaczęły żyć własnym życiem, wpływając nawet na szczegóły sprawowania świeckiej władzy nad Rzymem.

Projekt bulli z sierpnia 1497 roku jest jedną z wielkich niewiadomych w historii. Aleksander naprawdę zamierzał wprowadzić ją w życie, i aby nie stać się celem oskarżeń o hipokryzję, nakazał swojemu synowi Goffredowi natychmiast opuścić miasto wraz z żoną; rozważał też odesłanie Lukrecji do Hiszpanii. Późniejsi papieże również zmieniali swoje zachowanie po uzyskaniu tiary papieskiej, podobnie jak patron Borgii Pius II. Nawet niestroniący od luksusów Kardynał-Spódniczka porzucił co bardziej ekstrawaganckie nawyki, gdy zasiadł na tronie piotrowym jako Paweł III.

Aleksander VI nie był szczególnie utalentowanym politykiem. Jeśli w jakiejś sprawie nie działał na rzecz wzmocnienia pozycji swych dzieci, nie potrafił

patrzeć w przyszłość. Z drugiej strony, miał niespożyte siły oraz wdzięk i charyzmę, niezastąpione w negocjacjach. Zmiana moralności kapłanów za pomocą dokumentu była w zasadzie niemożliwa, gdyż nikt nie kontrolował kardynałów. Można było jednak uczynić niemoralność niedochodową. Gdyby Aleksander VI zdecydował się na taki krok, Marcin Luter, wówczas neurotyczny czterna-stolatek, najprawdopodobniej dożyłby swoich dni jako oddany Bogu mnich.

Niestety, entuzjazm Aleksandra VI zwrócił się przeciwko niemu. Papieżowi brakowało wewnętrznej siły, by podążać ciernistą drogą wstrzeźliwości, gdy świat wokół wabił niezliczonymi przyjemnościami. Ostatecznie bulla nie została nigdy opublikowana, choć udało się znaleźć kozła ofiarnego. W miesiąc po przedstawieniu projektu sekretarz Aleksandra, Bartolomeo Flores, został aresztowany pod zarzutem fałszowania papieskich dokumentów i skazany na doży-wotnie więzienie. Ponieważ rzeczywiście zbijał on spory majątek na tym niele-galnym procederze, wymierzono mu najzupełniej zasłużoną karę. Jednak niektórzy twierdzili, że prawdziwą przyczyną aresztowania był fakt, iż Flores, będąc osobistym sekretarzem papieża, miał również dostęp do wielu jego ta-jemnic.

Cesare Borgia

Lukrecja Borgia, córka papieża Aleksandra VI, wyszła za mąż po raz drugi 21 lipca 1498 roku. Małżeństwo to miało stanowić pierwszy krok do osadzenia jej brata, Cesarego, na neapolitańskim tronie. Co prawda była już żoną Giovanniego Sforzy, lecz ten, obawiając się z jednej strony mocy teścia, z dru-giej zaś – sztyletu szwagra, postanowił wycofać się z gry. Dokonał tego niechętnie, robiąc przy okazji sporo zamieszania, lecz jego zemsta miała okazać się znacznie skuteczniejsza niż uderzenie miecza.

W roku 1496 Giovanni znalazł się w bardzo niewygodnym położeniu, gdyż jego krewniacy postanowili wesprzeć króla Francji. Podczas rozmowy ze swym wujem, Ludovicem, podsumował to następująco:

Wczoraj Jego Świątobliwość rzekł do mnie: „Powiedzże mi, Giovanni z rodu Sforzów, co masz mi do powiedzenia?” Ja zaś odparłem „Ojcie Święty, ludzie po-wiadają, że Wasza Świątobliwość wszedł w układ z królem Neapolu, który prowa-dzi wojnę z Mediolanem. Jeśli jest to prawda, wówczas moja pozycja nie jest godna pozazdroszczenia, gdyż przyjmuję rozkazy zarówno od Waszej Świątobliwości, jak i od władców Mediolanu. Nie wiem, jak mogę służyć jednej ze stron, nie obrażając przy tym drugiej. Prosiłbym zatem Waszą Świątobliwość o jasne określenie, po której stronie mam się opowiedzieć...” On odpowiedział na to, że za bardzo intere-sują się jego sprawami i muszę sam podjąć tę decyzję. Mój panie, gdybym wiedział,

co wyniknie z tego układu, prędeż byłbym gotów zjeść własny siennik niż to zrobić. Proszę więc, nie opuszczaj mnie, lecz udziel mi rady i pomocy...”²⁵

Giovanni, jeden z wielu pionków w tej wielkiej, krwawej rozgrywce, nie uzyskał pomocy od wuja, który borykał się z własnymi kłopotami. Status zięcia papieża miał swoje niezaprzeczone zalety, lecz jednocześnie zmuszał do uczestniczenia w nie zawsze uczciwych rozgrywkach na wysokim szczeblu, co w tej chwili ustawicznie pogarszało sytuację młodego Sforzy. Nie wiedział on, że nawet gdyby jego wuj zgodził się współpracować z Aleksandrem, w niczym by mu to nie mogło. Borgia snuł nowe plany, a Giovanni Sforza stał się przeszkodą na drodze do jego celów. Poproszony o to, by rozwiódł się z Lukrecją, odmówił i natychmiast stał się obiektem ataku ze strony popleczników jej ojca. Żona ocaliła mu życie, choć równie prawdopodobne jest, że ukartowała całą sytuację, chcąc nastraszyć męża, by nie trzeba było sięgać po drastyczniejsze środki. Cesare odwiedził bowiem siostrę w chwili, gdy gościł u niej szambelan Giovanniego. Lukrecja kazała mu się schować, a ukryty dworzaniek podsłuchiwał, jak Cesare w rozmowie luźno napomknął o planach zamordowania Giovanniego. Kiedy młody Borgia wyszedł, jego siostra poleciła, by szambelan wrócił do swego pana i opowiedział mu o całej sprawie. Wysłuchawszy jego relacji, Sforza natychmiast zbiegł z miasta.

Kilka dni później księżę Gandii zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, co pozwoliło Giovanniemu odrobinę odetchnąć, lecz nie wpłynęło pomyślnie na bieg wydarzeń. Posłuszna ojcu Lukrecji komisja orzekła, iż pomimo trzech lat związku dziewczyna wciąż pozostała dziewicą, i przyjęła jej oświadczenie, iż mąż jest impotentem, co dawało podstawę do unieważnienia małżeństwa. Giovanni udał się po radę do głowy rodziny. Ludovico zasugerował sarkastycznie, żeby zademonstrował swą męską sprawność przy świadkach. Urażony i rozwścieczony młodzieniec odmówił, a następnie wykrzyczał, że papieżowi zależy na unieważnieniu małżeństwa, ponieważ sam chce posiadać swą córkę. Oskarżenie padło na podatny grunt, gdyż wśród wpływowych Rzymian było również wielu miłośników pikantnych skandali, co politycznych przeciwników Borgiów. Przypuszczenie, że papież zamierza żyć w kazirodczym związku, szybko przerodziło się w przekonanie, że na pewno czynił to już wcześniej. Niedługo później pojawiły się plotki, że podobne słabości wykazywali również dwaj bracia Lukrecji – Cesare i Giovanni, księżę Gandii. To z kolei dało podstawy spekulacjom, że to Cesare, nie chcąc dzielić się siostrą, pozbawił życia rodzzonego brata.

Pomimo protestów Giovanni musiał ostatecznie ulec presji i 20 grudnia 1497 roku niepotrzebne już Aleksandrowi małżeństwo Lukrecji zostało unieważnione. W sierpniu następnego roku została ona niemalże po kryjomu wydana za księcia Bisceglie, syna króla Neapolu. Bogato wyposażony córkę, papież liczył na to, że król odwdzieczy się, oddając Cesaremu Borgii rękę swej córki Carlotty. Znajdując się w centrum wydarzeń, Aleksander doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dni dynastii władców Neapolu są już policzone, a małżeństwo

to otwierałoby synowi papieża drogę do tronu. Niestety, plan spalił na panewce, gdyż król odmówił mu ręki Carlotty.

Księżniczka bawiła w tym czasie na dworze króla Francji. Ten z pozoru niewinny fakt miał w przyszłości przynieść poważne konsekwencje dla całych Włoch. Niezbyt rozgarnięty Karol VIII zmarł, a jego miejsce zajął niewiele bardziej roztropny Ludwik XII. Kiedy Lukrecja przygotowywała się do drugiego ślubu, Ludwik wysłał do papieża prośbę o unieważnienie jego ślubu z brzydką i chorowitą kobietą, by mógł cieszyć się związkim z młodą, majątną dziewczyną. Aleksander przyjął posłów uprzejmie i stwierdził, że małżeństwo da się anulować, jeśli król Francji zechce wpłynąć na córkę króla Neapolu i poprzez tym samym kandydaturę Cesarego. Ludwik przyjął ten układ z radością.

Papież nie życzył sobie, by jego syn wystąpił ze zgromadzenia kardynałów, ale ostatecznie uległ, robiąc pierwszy krok na drodze do całkowitego uzależnienia się od woli Cesarego. Jednym z głównych problemów było odsunięcie młodego Borgii od źródła dochodów, lecz przestało to być zawadą, gdy okazało się, że król Neapolu jest skłonny obdarzyć go świeckimi honorami. Cesare przyjął tytuł i księstwo Valentinois na terenie Delfinatu, które dawało mu 20 000 dukatów rocznego dochodu. Hiszpanie głośno protestowali przeciwko tej przemianie hiszpańskiego kardynała we francuskiego księcia, lecz papież uciszył ich, mówiąc, że jest to konieczne dla zbawienia duszy młodego człowieka. Jakkolwiek by patrzeć, hiszpańskie wpływy nie ulegały zbyt niemu uszczupleniu: miejsce Cesarego zajął kuzyn Aleksandra, Giovanni Borgia. Tak więc 17 sierpnia 1498 roku Cesare rozpoczął swą karierę świeckiego księcia. Miał wówczas 22 lata.

Andrea Bocaccio, ambasador z Ferrary, który zapisywał nawet najdrobniejsze plotki, skreślił taki oto portret młodego Borgii, kiedy ten jeszcze był członkiem kleru:

Spotkałem Cesarego wczoraj, w jego domu w Trastevere, kiedy przygotowywał się do polowania. Wyglądał światowo: w jedwabiach, lecz z bronią przy boku. Wciąż miał na głowie niewielką tonsurę, niczym zwyczajny ksiądz. Kiedy jechaliśmy obok siebie, mogłem z nim porozmawiać, jako że znamy się dość dobrze. Muszę przyznać, że nie brakuje mu ani mądrości, ani uroku, przez co sprawia wrażenie wielkiego księcia. Jest też energiczny, radosny i chętnie przebywa w towarzystwie. Nie czuł się dobrze w roli arcybiskupa, jednak pozycja ta zapewniała mu co roku 16 000 dukatów²⁶.

Ten niewinny obraz jest pierwszym opisem człowieka, który za pięć lat będzie kojarzony przede wszystkim z okrucieństwem i bezwzględnością. Podobnie jak siostra, Cesare odznaczał się niezwykle wdziękiem i urokiem osobistym, lecz podczas gdy Lukrecja łatwo ulegała presji innych, za delikatnością, wysmakowanym strojem i błyskotliwą retoryką jej brata kryły się żelazna dyscyplina i determinacja, pozwalające twardo kroczyć drogą ku władzy. Nie zadowolilo go nawet stanowisko dostojnika kościelnego, dzięki któremu mógł bez wysiłku zdobyć wiele korzyści. Nieco później na zamówionym przez niego

mieczu płatnerz wygrawerował: *Aut Caesar, aut nihil* („[Zostać] cezarem albo niczym”) i było to motto pasujące do młodego Borgii. Gdyby był starszy i zdobył większe wpływy w Kościele, mógłby objąć funkcję po swoim ojcu, przekształcając papieństwo w dynastię. Jedną z przyczyn, dla których zrezygnował z kościelnego stanowiska, była chęć znalezienia sobie żony, choć kobiety nie odgrywały w jego życiu znaczącej roli. Reputacja Cesarego jako nienasyconego satyra była tak samo zgodna z prawdą, jak oskarżenia o kazirodztwo. Kiedy znalazł sobie żonę, po spędzonym we Francji miesiącu miodowym nigdy już jej nie odwiedził. Prawdopodobnie pragnął założyć własną dynastię, ale traktował to raczej jako efekt uboczny zdobycia władzy niż cel sam w sobie.

Tego samego dnia, w którym Cesare oficjalnie zrzekł się funkcji kościelnej, do Rzymu przybyli posłańcy króla Francji, którzy mieli towarzyszyć mu w podróży na dwór ich władcy. Młody Borgia przygotowywał się do drogi ponad sześć tygodni, większość czasu poświęcając na zgromadzenie orszaku, który olśniłby króla. Pompa, z jaką opuszczał Rzym, pasowałaby raczej koronowanej głowie niż człowiekowi mającemu dopiero zostać księciem. Cesare odziany był w czerń, biel i złoto, na modłę francuską. Otaczali go najwyżsi dostojnicy Kościoła i młodzi przedstawiciele największych włoskich rodów, którzy chcieli uszczknąć choć część z jego rosnącej chwały i zapomnieli już o pogardzie, z jaką jeszcze niedawno traktowali hiszpańskiego bękartą. Za orszakiem podążała karawana mułów, dźwigających skarby wycenione na ponad 200 000 dukatów.

Niestety, orszak młodego Borgii był tylko wulgarną manifestacją bogactwa. Choć jego ojciec, obserwujący wyjazd z okna watykańskiego pałacu, zachwycał się każdym szczegółem, król Francji, który w sześć tygodni później spotkał się z Cesarem w miejscowości Chinon, nie krył niesmaku na widok pompy, nieprzystojącej „drobnemu księciu Vallentinois”. Mimo wszystko ów „drobny książę” uzyskał królewską dyspensę i wszystkie należne honory – z wyjątkiem jednego. Nikt w żaden sposób nie potrafił przekonać Carlotty, by zechciała przyjąć oświadczyzny. Odmowa była upokarzająca dla samego Cesarego, nieprzyjemna dla króla Ludwika, papieża Aleksandra VI zaś doprowadziła niemal do furii, lecz nawet najwyższy kapłan nie mógł udzielić ślubu dwóm osobom, z których tylko jedna wyraża na to zgodę.

Cesare przyjechał jednak do Francji po żonę i postanowił, że bez żony nie wyjedzie. Wkrótce przedstawiono mu przebywającą na dworze Charlotte d’Albret, liczącą 17 lat i niezaręczoną jeszcze księżniczkę, którą od razu zdecydował się poślubić. Ich związek był szczęśliwy, może dlatego, że trwał jedynie cztery miesiące. W sierpniu 1498 roku Ludwik opuścił Francję, przygotowując się do drugiego najazdu na Włochy, Cesare zaś podążył za nim, pragnąc odegrać rolę szakala, by później móc stać się lwem. Jego żona, podówczas już brzemienna, nigdy więcej go nie spotkała.

Dziesięć lat po śmierci papieża Aleksandra VI i rozpadzie maleńkiego imperium Cesarego florencki mąż stanu, Niccolò Machiavelli, postanowił bliżej przyjrzeć się burzliwym żywotom tej dwójki. Ogólnie rzecz biorąc uznał, że spisali się dobrze, posługując się sprytem, żeby wykorzystać okoliczności w swoich celach. Szczególną uwagę Machiavelli poświęcił sojuszowi, który Aleksander zawarł z Francuzami, a których śmiertelnie obawiał się jeszcze pięć lat wcześniej.

Aleksander VI, pragnąc wywyższyć swego syna, napotkał wiele trudności obecnych i przyszłych. Po pierwsze, nie widział drogi, aby go można było zrobić panem jakiegoś państwa, które by należało do Kościoła, a widział, że na oderwanie cokolwiek od Państwa Kościelnego nie pozwoliliby ani książę mediolański, ani Wenecjanie, którzy mieli już pod swoim protektoratem Faenzę i Rimini. Widział nadto, że broń Italii i ta, którą mógł się posłużyć, znajduje się w ręku tych, którzy mają powody obawiać się potęgi papieża, przeto nie mógł na nią liczyć, zważywszy na to, że w zupełności leżała ona w rękach Orsinich, Colonnów tudzież ich adherentów. Trzeba było zachwiać ten system i w zamieszanie wprawić państwa Italii, aby ich część mógł bezpiecznie opanować²⁷.

Podsumowując opis sylwetki Aleksandra VI, Machiavelli stwierdził, że umiejętnie i z koniecznym cynizmem wcielał w życie starożytną zasadę „dziel i rządź”.

Pierwsza część planu zakładała szturm na Mediolan, który stanowić miał cenę za francuską pomoc we Włoszech. Miasto poddało się bez większego oporu. Ludovico Sforza zbiegł, zaś Mediolańczycy gorąco powitali króla Ludwika, który ogłosił się – na mocy prawa dziedziczenia – ich księciem. W październiku był już gotów przyjść na pomoc tworzącemu własne państwo Cesaremu.

Na cel wybrano Romanię, leżącą na brzegu Adriatyku północną część Państwa Kościelnego. Każde z romańskich miast było *de facto* fortecą, której władca bardzo niechętnie uznawał papieskie zwierzchnictwo. Aleksander VI prawdopodobnie miał rację, gdy w październiku 1499 roku ogłosił, iż romańscy wasale nie wywiązują się z powinności lennych, jako ich suweren zmuszony jest więc przejąć bezpośrednią władzę w miastach. Wspomagany przez Francuzów Cesare przypuścił błyskawiczny atak na Imolę i Forlì, miasta przekazane przez poprzedniego papieża jego siostrzeńcowi i rządzone twardą, męską ręką przez Caterinę Sforzę. Mieszkańcy miasta bez wahania opuścili władczynię, która jednak dzielnie stawiała opór, zarówno ze strachu przed Cesarem, jak i z politycznego wyrachowania. Nie bała się bez przyczyny: po nieuniknionej kapitulacji Caterina znalazła się w rękach zwycięzcy jako jego własność.

Pomyślny początek kampanii nie był niczym szczególnym, gdyż lojalność romańskich poddanych względem ich władców pozostawiała wiele do życzenia. Z kolei szybko okazało się, jak bardzo Cesare uzależniony jest od francuskiej pomocy: gdy wybuchła rewolta w Mediolanie, Ludwik musiał skierować tam swoje siły, co niemal całkowicie zahamowało postępy w Romanii. Mimo

wszystko Aleksander nie posiadał się ze szczęścia, wysłuchując doniesień o zwycięstwach swojego syna. W tamtym czasie liczył już 70 lat, lecz „zdawał się młodnieć z każdym dniem”, jak zapisał jeden z Wenecjan, najwyraźniej oczarowany jego zachowaniem. „Jego troski nie trwają nawet jednej nocy. Zawsze jest wesoły i robi tylko to, na co ma ochotę. Interesuje się wyłącznie pomyślnością swych dzieci, zostawiając pozostałe kłopoty innym”²⁸. Cesare nie był wszak jedynym obiektem ojcowskiej troski.

Ziemie rodziny Gaetanich, z takim trudem wywalczone przez Bonifacego VIII, wpadły teraz w ręce Borgii. Głowę rodu odsunięto od władzy i, jak to się czyniło zwykle w takich przypadkach, uwięziono, a następnie zgłodzono bądź otruto. W ten sposób Lukrecja dołączyła do warstwy posiadającej ziemię szlachty, której liczebność w owym czasie malała. Rok później majątki dwóch pozostałych wielkich rodzin – Colonnów i Savellich – zostały uszczuplone o spory obszar, który następnie podzielono pomiędzy Rodriga, syna Lukrecji, a jej przyrodniego brata Giovanniego, syna Aleksandra VI i Giulii Farnese. Ten rażący przypadek nepotyzmu nie przeszedł niezauważony. Portugalczycy grozili zwołaniem soboru, istniało poważne niebezpieczeństwo, że Niemcy i Hiszpania wypowiedzą posłuszeństwo. Jednak w owym czasie każdego można było kupić lub zastraszyć, a zaskoczeni, niepewni Włosi, jak pisał później Machiavelli, do reszty stracili orientację w sytuacji politycznej.

W południe 26 lutego 1500 roku Cesare triumfalnie wkroczył do Rzymu. Włożył na tę okazję czarny aksamitny strój, jaki zwykł nosić każdego dnia, a członkowie jego straży przybocznej również odziani byli w czarne ubrania. Caterina Sforza, do niedawna władczyni Imoli i Forli, szła za nim skuta złotym łańcuchem. Gdy rzymski motloch dobrze ją sobie obejrzał, została wtrącona do więzienia w zamku Sant'Angelo. Tam najprawdopodobniej dożyłaby końca swoich dni, gdyby nie wsparcie Francuzów, którzy tak wychwalali jej męstwo podczas obrony miast, że Aleksander musiał ją wypuścić, aby nie narażać się cennym sojusznikom.

Cesare nie mógł wybrać lepszej pory na swój pierwszy triumf, gdyż w roku 1500 odbywał się jubileusz Rzymu i miasto wypełnili pielgrzymi z każdego zakątka Europy. W tym samym roku Cesare dał się też poznać jako ktoś, kto ma całkowitą władzę nad papieżem – swoim ojcem. Od tego momentu rządy Borgiów miały przekształcić się w pasmo skandali, które pogrzebały resztki szacunku, jakim obdarzano ich ród. Watykan był już wcześniej świadkiem wielu mactw i nieczystych akcji politycznych, lecz teraz dołączyły do nich zbrodnie, jakby celowo perwersyjne i dekadencjonalne. Łasi na każdy skandal przeciwnicy Borgiów z ochotą zapisywali najdrobniejsze szczegóły, przejawiając je, jak tylko się dało, lecz nawet w lakonicznych zapiskach Burcharda znajdują się fragmenty, których nie powstydziliby się ówcześni autorzy dzieł pornograficznych. Łatwo poddająca się manipulacji Lukrecja również wzięła udział w tych

wydarzeniach. Burchard zanotował, że była obecna podczas osobliwego konkursu, w którym 50 sprowadzonych z miasta ladacznic obcowało z 50 sługami w celu zdobycia fundowanych przez papieża nagród. Niektórzy posuwali się nawet do stwierdzenia, że to właśnie ona była pomysłodawczynią tej orgii. Innym znów razem stała wraz z ojcem w oknie, obserwując, jak Cesare zabawiał się strzelaniem do wypuszczonych na dziedziniec przestępców. Możliwe, że to jej brat wciągnął Lukrecję w wir nieprawości, pragnąc do reszty zniszczyć jej reputację.

Poza Watykanem Cesare traktowany był jako władca Rzymu. „Papież bardzo kocha swojego syna, a jeszcze bardziej się go boi”²⁹, jak zapisał jeden z cudzoziemców. Za panowania Cesarego Rzym zaznał terroru, jakiego nie doświadczył podczas rządów jego ojca. Owszem, Aleksander nie wahał się posunąć nawet do morderstw, lecz miały one charakter polityczny, nigdy osobisty. Cesare nie wahał się zaś zabijać ludzi dla zachcianki. Pijany współbiesiadnik stracił rękę i język za obrazę, jakiej się dopuścił pod adresem księcia. Pewien Weneccjanin, oskarżony o rozprowadzanie szkalujących władcę pism, został skazany na utopienie w Tybrze. Ambasador Wenecji, który udał się na skargę do papieża, usłyszał w odpowiedzi: „Książę jest dobrym człowiekiem, lecz nie może puszczać obelg mimo uszu. Często mówiłem mu, że Rzym jest wolnym miastem i każdy może mówić i pisać, co mu się żywnie podoba. O mnie też mówią wszak źle, a ja nic sobie z tego nie robię. Lecz książę odparł: »Rzymianie są przyzwyczajeni do wolności słowa, ale ja chcę nauczyć ich także ostrożności«”³⁰.

„O mnie też wszak mówią źle, a ja nic sobie z tego nie robię” – mówiąc to, Aleksander nie kłamał. Owszem, za jego pontyfikatu opublikowano pierwszy przejaw instytucjonalnej cenzury, słynny *Indeks*, który przetrwał prawie cztery wieki, jednak papież nigdy nie prześladował autorów krążących po całych Włoszech kąśliwych pamfletów. Być może owa tolerancja była przyczyną, dla której dał się tak szybko zdominować synowi.

Cesare wrócił do Rzymu nie tylko po to, by obnosić się ze swoim zwycięstwem, lecz także by zgromadzić pieniądze na dalszą część kampanii. Bez trudu otrzymał je od swego ojca. Jubileuszowe ofiary od dziesiątek tysięcy pielgrzymów zasiliły kufry Borgiów, lecz to nie wystarczało. We wrześniu powołano więc dziewięciu nowych kardynałów. „Reputacja większości z nich jest co najmniej wątpliwa. Wszyscy słono zapłacili za swoje stanowisko, niektórzy wyłożyli nawet 20 000 dukatów, dzięki czemu skarbiec papieski wzbogacił się o jakieś 120 000 do 130 000 dukatów. W ten sposób Aleksander VI pokazał całemu światu, że dochód papieża wynosi tyle, ile ten tylko zapragnie”³¹.

Wszystko to nie było jednak w stanie zadowolić Cesarego, zazdrosnego o troskę, jaką jego ojciec otaczał Lukrecję. Nie chodziło przy tym o jakąkolwiek więź osobistą, lecz o poczucie, iż sumy, jakie Aleksanderłożył na córkę, powinny być przeznaczone na finansowanie działań Cesarego. Drugi mąż Lukrecji, książę Bisceglie, przestał być potrzebny, gdy Hiszpanie i Francuzi tymczasowo

połączyli swe siły, by odsunąć jego rodzinę od władzy w Neapolu. Aleksander lekką ręką oddał im ziemie należące do własnego zięcia, stawiając go w takiej samej sytuacji, w jakiej trzy lata wcześniej znalazł się Giovanni Sforza. W pierwszym odruchu książę zbiegł z miasta, lecz zaraz wrócił na polecenie Aleksandra i teraz, ponieważ świadomy własnej naiwności, mógł tylko czekać na pierwszy atak ze strony przerażającej rodziny własnej żony.

Wieczorem 15 lipca 1500 roku Bisceglie został napadnięty przez wynajętych zabójców na placu św. Piotra, lecz udało mu się ująć z życiem. Przekonany, że za napaścią stał Cesare, książę podjął później brawurową, lecz nieprzemyślaną próbę zastrzelenia go podczas przechadzki po ogrodach Watykanu. Niestety chybił, podpisując tym samym wyrok śmierci na siebie.

Okoliczności jego zgonu okryte są do dziś mgiełką tajemnicy. W weneckim raporcie znajdujemy informacje, że wciąż odchorowywał rany zadane mu przez napastników, przebywając pod opieką żony i siostry, które, obawiając się próby otrucia księcia, same przygotowywały mu jedzenie w tym samym pokoju. Cesare wtargnął do pokoju z jednym ze swych najemników, siłą wyprowadził kobiety, a następnie udusił rannego. Burchard zapisał z typową dla siebie dyskrecją, że przesłuchano lekarzy zmarłego, lecz „szybko ich wypuszczono, gdyż człowiek powierzający im to zadanie został uniewinniony, a była to osoba dobrze znana”. Dyskrecja mistrza ceremonii była najprawdopodobniej przyczyną owej niespójności, gdyż książę Bisceglie został uduszony, nie otruty, więc jakiegokolwiek badanie lekarskie nie miało znaczenia. Z drugiej strony, Burchard starał się wypełniać polecenia Aleksandra, który nie zlecił morderstwa i nie miał zamiaru zajmować się nim dłużej. Sprawę należało jak najszybciej zakończyć, a weteran rozgrywek w papieskim pałacu nauczył się nie ufać nawet własnym dziennikom.

We wrześniu Cesare opuścił Rzym na czele dziesięcioletniej armii, ruszając po nowe zwycięstwa. Jego jedynym poważnym przeciwnikiem był czas, gdyż Aleksander VI, choć młody duchem, powoli zaczął odczuwać trudy starości. Machiavelli trafnie zauważył, że „nowy papież mógłby mieć wrogi stosunek do syna swego poprzednika”.

(...) żeby nie próbował odebrać mu tego, co dał mu Aleksander, (...) postanowił (...) zabezpieczyć się przed tym na cztery sposoby: po pierwsze, przez zglądzenie całych rodzin ograbionych przez siebie panów, aby odebrać papieżowi wszelką sposobność do wmieszania się w jego sprawy z ich powodu; po drugie, przez jednanie sobie całej szlachty rzymskiej, aby przez nią, jak się rzekło, trzymać papieża na wodzy; po trzecie, przez pozyskanie sobie jak tylko można najbardziej, Świętego Kolegium, po czwarte, starając się jeszcze przed śmiercią papieża skupić w swym ręku taką władzę, aby móc własną siłą odeprzeć pierwszy atak. Z tych czterech rzeczy dokonał trzech do śmierci Aleksandra; czwartą prawie przeprowadził³².

Zadania Aleksandra polegały na podtrzymywaniu dopływu złota oraz wprowadzaniu zamętu wśród przeciwników i z obu papież wywiązał się znakomicie.

Zgodnie z jego przewidywaniami Hiszpanie i Francuzi natychmiast zaczęli kłócić się o podział przyznanych im ziem neapolitańskich. Teraz Cesare nie musiał już występować z podrzędnej pozycji w rozmowach z królem Ludwikiem, przez co Francuzi nie mogli już kontrolować jego coraz bardziej szokujących wybryków. Tym razem to Ludwik potrzebował wsparcia Cesarego, gdyż sam nie był w stanie podolać Hiszpanom. Wydawało się, że ten młody, odziany na czarno młody człowiek posiadał niezwykłą zdolność pojawiania się w kilku miejscach naraz: w Neapolu, Toskanii, Romanii czy Umbrii, mając zawsze czas powrócić do Romanii. Aleksander z radością wysłuchiwał doniesień o upadku kolejnych miast: Faenzy, Ceseny, Senigaglii, Urbino, Camerino. Kiedy doszła doń wieść o podbiciu tego ostatniego, obecny był przy nim ambasador wenecki, który zanotował: „Tak bardzo nie mógł się powstrzymać, że musiał wstać i podejść do okna, podczas gdy posłańcy czytali mu list księcia”³³.

Nic nie było zbyt dobre dla syna. Sama tytułatura nadana mu przez papieża przedstawiała się imponująco: „Cesare Borgia z Francji, z bożej łaski książę Romanii, Walencji i Urbino, książę Andrii, władca Piombino, chorąży i głównodowodzący wojsk Kościoła”. Dodatkowo morderstwo księcia Biscegliego zaczęło wydawać owoce, gdyż Lukrecja została wydana za mąż za członka rodu d’Este z Ferrary, którego ziemie graniczyły od północy z posiadłościami Cesarego.

Młody Alfonso d’Este nie miał ochoty dołączać do tragicznego pocztu mężów Lukrecji, lecz sute łapówki ostatecznie zagłuszyły głos rozsądku. Otrzymał wszak bogobojną i wierną żonę. Lukrecja bez słowa sprzeciwu przyjęła zasady panujące na dworze rodu d’Este, zrobiła to tak chętnie, jak wcześniej ochoczo uczestniczyła w rzymskich saturnaliach.

Jej ojciec przesunął termin rozpoczęcia Wielkiego Postu w Ferrarze, by „ludzie mogli jeść mięso i uczestniczyć w zabawach urządzonych z okazji przybycia donny Lukrecji”.

Tuż przed swoim małżeństwem córka papieża występowała w charakterze swego rodzaju zastępcy ojca, podczas gdy ten odwiedzał Cesarego w obozie pod Piombino. Burchard, tak niechętnie odnoszący się do obecności kobiet na bankiecie w papieskim pałacu, nawet nie starał się skomentować tego niezwykłego wydarzenia.

Lato 1503 roku było nieznośnie skwarne, nawet jak na klimat panujący w Rzymie. Zapach unoszący się w najgorętsze dni z kanałów miejskich skutecznie ostrzegał mieszkańców przed niebezpieczeństwami pozostawania w mieście. W takich warunkach Aleksander szukałby schronienia od upału i zaduchu w jednej ze swych willi na prowincji, jednak w tym samym czasie Cesare miał zamiar przypuścić ostateczny szturm na Neapol, papież musiał więc pozostać w centrum zdarzeń.

Sierpień rozpoczął się od złych wieści. Zmarł kuzyn Aleksandra, kardynał Giovanni Borgia – podejrzewano, że przyczyniły się do tego nieznośne upały.

Jego pogrzeb zaplanowano na pierwsze dni sierpnia. Obserwowany z ulubionego okna pałacu watykańskiego kondukt pogrzebowy stanowił ponure memento dla papieża, jako że zmarły kuzyn był podobnego wieku i postury. „To zły miesiąc dla ludzi słusznej wagi”³⁴, zauważył papież i ledwie skończył to mówić, przez okno pałacu wleciała sowa, by upaść u jego stóp. Papież wpadł w popłoch na widok tak jawnego omenu.

Dziesięć dni później przypadała 11. rocznica pontyfikatu. Nie obchodzono jej jednak szczególnie hucznie, a spostrzegawczy obserwatorzy mogli zauważyć, że tryskający zazwyczaj energią papież wydawał się smutny i zamyślony. Następnego dnia, 12 sierpnia, Aleksander ciężko zachorował. W tym samym czasie pogorszył się również stan Cesarego i kardynała Adriana Corneta, który kilka dni wcześniej gościł obu Borgiów na obiedzie.

Owa zastanawiająca zbieżność szybko stała się tematem plotek, gdyż od dawna uważano, że Corneto został wybrany na kolejną ofiarę papieża i jego syna. Wenecki ambasador Giustiniani twierdził, że często „tuczyli” oni kardynałów, przyznając im intratne nadania za ogromne łapówki, a następnie pozbywali się ich za pomocą pewnego „białego proszku”.

Z drugiej strony, łatwo udowodnić, że przeważająca część kardynałów zmarłych za pontyfikatu Aleksandra VI odeszła z tego świata z przyczyn naturalnych, gdyż stanowiska te obejmowali zwykle ludzie w podeszłym wieku. Jednak nienawiść, jaką zaskarbili sobie Borgiowie, skutecznie podsyciała oskarżenia o morderstwo. Ponadto, trucizna była we Włoszech niezwykle popularną bronią w rozgrywkach politycznych, głównie ze względu na specyfikę planowanej na chłodno zemsty, tak gloryfikowanej przez Machiavellego. Każdy zgon, którego nie można było przypisać przemocy lub zarazie, z definicji traktowano jako śmierć od trucizny. Powszechnie uważano bowiem, że każdy człowiek ma jakiegoś wroga. Pomimo dużych trudności, jakie niosło ze sobą podanie trucizny dobrze pilnującej się osobie, doskonali w swym łotróstwie Borgiowie zasłynęli również jako arcytruciele, choć Cesare preferował pewniejsze metody pozbywania się przeciwników.

Aleksander wykorzystywał truciznę w sposób równie skuteczny, co rzesze jego przeciwników, teoretycznie mniej biegłych w tej sztuce. Duża liczba wrogów pozwoliła mu jednak przekuć tę zwykłą umiejętność w atut niemalże nadludzki. „Biały proszek” Borgii, czyli otrzymywany domowym sposobem arsenik, trudny do zamaskowania i działający w nieobliczalny sposób, przekształcił się w jego rękach w magiczny niemalże eliksir, dzięki któremu jego rodzina mogła w dowolnej chwili pozbywać się nawet odległych przeciwników. Wszystko, co robił Borgia, nosiło oznaki niezwykłości, trudno więc było oczekiwać od Rzymian, by uwierzyli w to, że chorobę papieża spowodowała tak prozaiczna przyczyna, jak skwarne włoskie lato. Sam Adrian Corneto podejrzewał, że został otruty podczas obiadu, z czego później wysnuto całą opowieść o zdradzie. Najczęściej spotykana wersja mówiła o tym, że Cesare zatrul wino kardynała,

lecz podczas uczt zamieniono kielichy i niczego niepodejrzewający papież i jego syn wypili własną truciznę.

Cesare chorował ciężko, ale po kilku dniach zaczął dochodzić do siebie. Papież Aleksander VI, był jednak bardzo słaby. Przez tydzień próbował walczyć z niemocą, w piątek – gdy Cesare podniósł się z łoża – Aleksandrem zaczęły targać przedśmiertne drgawki. Natychmiast rozeszły się pogłoski o nadnaturalnych wydarzeniach zachodzących przy papieskim łożu śmierci, gdyż nikt nie chciał wierzyć, że taki człowiek może rozstać się ze światem na podobieństwo zwykłego śmiertelnika. Służący zaklinali się, że słyszeli papieża targującego się z niewidzialnym towarzyszem o więcej czasu. Mówiono, że Aleksander zaprzedał duszę diabłu w zamian za pontyfikat trwający 11 lat i jeden tydzień. „Widziano Diabła, który wybiegł z papieskiej sypialni, przybrawszy postać małpy. Jeden z kardynałów schwytał ją i chciał zanieść do papieża, lecz ten powstrzymał go, mówiąc, by ją wypuścił, gdyż jest to Diabeł we własnej osobie. Tej samej nocy zmarł”³⁵. Krążyły też pogłoski, że po śmierci woda gotowała się papieżowi w ustach, a z całego ciała buchała para.

Trzeźwo myślący Burchard najwyraźniej nie był świadkiem żadnych demonicznych odwiedzin czy też nadnaturalnych zjawisk. Jego zapiski opowiadają historię tyle przyziemną, co odpychającą. Aleksandrem wciąż jeszcze targała agonia, gdy ludzie Cesarego wtargnęli do pałacu i wynieśli wszystkie cenne ruchomości. Po śmierci papieża służący ogołocili sypialnię, gdyż nikt z wysoko postawionych kapłanów nie śmiał się zbliżyć do zmarłego, póki Burchard nie przyszedł go ubrać, jak nakazywał obyczaj. Tak więc ciało papieża leżało przez całą noc niepilnowane, gdy zaś nad ranem odmawiano nad nim *Wieczne odpoczywanie*, strażnicy pałacowi zaatakowali grupę modlących się księży, którzy uciekli, ponownie zostawiając ciało bez opieki.

Burchard obawiał się głównie wtargnięcia mieszkańców miasta, mogących zbeczcześć zwłoki papieża, rozkazał więc przenieść je do kaplicy, gdzie spoczywały aż do niedzieli. Niestety, nie był to koniec upokorzenia, jaki spotkał Aleksandra po śmierci. Kiedy mistrz ceremonii wrócił, by przygotować należyty pochówek, odkrył z przerażeniem, że pośmiertne zmiany sprawiły, iż zwłok nie dało się zamknąć w trumnie. Z precyzją godną chirurga dokładnie opisał szerniałe i potwornie spuchnięte ciało: „Twarz koloru malin, gęsto pokryta sinoczarnymi plamami, nos nabrzmiały, język zwieszający się ze zniekształconych ust, wargi opuchnięte tak, że zdawały się zakrywać całą dolną część twarzy”. Nie szczędząc pikantnych dowcipów, służący próbowali zmieścić ciało do trumny, ostatecznie zaś zawinęli je w dywan i na siłę wbili do środka. „Nie zapalono żadnych świec, a przy ciele nie czuwał żaden z księży ani żadna z powszechnie szanowanych osób”.

Tak zmarł papież Aleksander VI, u szczytu swej sławy i bogactwa. Wiedzieć należy, iż był on człowiekiem potężnym, rozważnym i nieustraszoną, co potwierdzają jego rozliczne czyny. Uzyskawszy jednak tron papieski w urągający przyzwoitości

sposób, a to jest kupując go za pieniądze, nie ustawał w nieprawomyślności, przepajając całe swe rządy duchem szalbierstwa. Był bowiem człowiekiem niewolnym od wielu przywar, tyczących się tak ciała, jak ducha (...). Nie było w nim poszanowania dla religii ni danego słowa. Obiecywał wszystko hojnie, lecz nie przywiązywał wagi do niczego, co nie było korzystne dla niego. Nie dbał o sprawiedliwość, pozwalając złodziejom i mordercom chodzić wolno po ulicach Rzymu. Jego ambicja nie miała granic i rosła w miarę powiększania jego włości. I nie znalazłszy kary w życiu doczesnym, żył w nieuczciwie zdobytym bogactwie do końca swoich dni. Krótko rzecz ujmując, był on znacznie gorszym i jednocześnie bardziej fortunnym papieżem niż którykolwiek z jego poprzedników³⁶.

Osąd ten wyszedł spod pióra słynnego uczonego z Florencji, Francesco Guicciardiniego. Jeszcze kilkadziesiąt lat po śmierci Aleksandra VI nienawiść żywiona do papieża była tak silna, że skutecznie zniekształciła pamięć o nim. Dlatego Guicciardini powtórzył nieuzasadnione zarzuty kazirodztwa i masowego trucicielstwa. Nikt nie negował faktu, iż Aleksander był ulubieńcem fortuny, choć szczęście to wynikało raczej z niekompetencji oraz wzajemnych animozji między jego wrogami. Zarzut bycia najgorszym papieżem w historii był jednak dyskusyjny, biorąc pod uwagę kształt papiestwa w okresie odrodzenia. Większość wiedzy o przeszłości kształtowana była przez współczesnych, których opinie często bywały zniekształcone przez ludzi ograbionych z tytułów lub majątków przez papieża dzierżącego władzę świecką, niemających wszak pojęcia o korupcji panującej wśród urzędników kościelnych. Inni papieże również wspierali własne dzieci, lecz niewielu mogło równać się z Aleksandrem zdolnościami czy witalnością. A każdy ar ziemi, każdy tytuł uzyskany dla dzieci dodawał kilka kropel do czary gniewu i goryczy żywionych przez tych, którzy tracili swoje wpływy na rzecz bękartów Borgii.

Najlepszym przykładem zasięgu władzy Aleksandra jest błyskawiczny upadek państwa Cesarego po śmierci ojca. Zresztą sam syn papieża też nie był bez winy. Machiavelli zapisał: „Mówił mi w dzień wyboru Juliusza II, że pomyślał o wszystkim, co może się zdarzyć po śmierci ojca, i na wszystko znalazł środek; nie pomyślał o tym jedynie, że w chwili jego śmierci sam będzie umierającym”. Kiedy Cesare doszedł do zdrowia, okazało się, że na papieża wybrany został nieprzejednany wróg Borgiów, kardynał Giuliano della Rovere, który przyjął imię Juliusz II. Swój przydomek *Il papa terribile*, „straszliwego papieża”, zawdzięczał temu, że spędził większość życia w zbroi. Mimo to zdolnościami dyplomatycznymi przewyższał Cesarego. Lukrecja pozostała wierna bratu, lecz jej wpływy były zbyt ograniczone, by mogła poprawić ich pogarszającą się sytuację. Otoczony przez odzyskujących siły wrogów Cesare musiał salwować się ucieczką do Hiszpanii, gdzie zmarł trzy lata po swoim ojcu. Poległ w rycerskiej chwale, choć jako zwykły najemnik.

VI

Złoty Wiek

Giovanni de Medici

Papież Leon X (1513–1521)

RÓD MEDYCEUSZY

(starsza gałąź)

Giovanni de Bicci de Medici (1360–1429)

Cosimo

ż. Contessina de Bardi (1389–1464)

Piero (1416–1479)

ż. Lucrezia Tornabuoni (1425–1482)

Lorenzo il Magnifico (Wawrzyniec Wspaniały)

ż. Clarissa Orsini (1453–1487)

Giuliano (1453–1478)

* Giulio (ur. 1478)

papież Klemens VII (1523–1534)

Piero

ż. Altensina Orsini (1471–1503)

Lorenzo (1471–1503)

książę Urbino (1492–1519)

ż. Magdalena Owernijska
(1501–1519)

Giovanni (ur. 1475)

papież Leon X (1513–1521)

Giuliano (1478–1516)

* Ippolito (1511–1535)

Maddalena (1472–1519)

ż. Franceschetto Cibo

Giovanni delle

Bande Nere (1498–1526)

Katarzyna (1519–1589)

królowa Francji

m. Henryk III (1517–1559)

król Francji

* Alessandro (ur. 1510)

I. książę Florencji (1530–1537)

* potomkowie nieslubni

Rozkwit renesansu

Zakończony w 1513 roku pontyfikat Juliusza II, zwanego *Il papa terribile*, był dla członków Świętego Kolegium niczym zły sen. Przez dziewięć lat papież starał się oczyścić Kościół i całe Włochy z brudu nagromadzonego w czasie rządów Borgii. Ten szorstki, popędliwy i uczciwy człowiek, najczęściej paradujący w pełnej zbroi, potrafił złamać nawet kogoś tak silnego i przebiegłego jak Cesare Borgia, jednocześnie przyciągając do siebie ludzi pokroju Michała Anioła. Pod jego bacznym okiem Kaplica Sykstyńska przekształciła się w jeden z najchętniej podziwianych cudów architektury rzymskiej, a ziemie Państwa Kościelnego odebrane zostały rozmaitym złodziejom i przywrócone Kościołowi. Szubienice w Rzymie ugiwały się pod ciężarem szubrawców, lecz ulice wolne były od przypadkowych ofiar. W samym Kościele zaś Juliusz II, przynajmniej na czas swojego pontyfikatu, wyrugował symonię, stanowiącą w tym czasie główne źródło dochodu kardynałów, i jeszcze na łożu śmierci wydał bullę nakazującą unieważniać każde konklawe, którego zwycięzca zdobył pozycję przez łapówki. Aby zaś uchronić się przed splądrowaniem pałacu po własnej śmierci, przekazał wszystkie zdobyte skarby dowódcy twierdzy Sant'Angelo z poleceniem, by wydał je tylko i wyłącznie do rąk własnych jego następcy. Fakt, że po jego śmierci dokładnie wypełniono jego wolę, świadczy o sile osobowości tego człowieka oraz autorytecie, jakim cieszył się za życia.

Dwudziestu pięciu członków Świętego Kolegium spotkało się 4 marca 1513 roku, by wybrać następcę Juliusza II. Tym razem byli niemalże całkowicie zgodni, gdyż gotowi byłiby wybrać kogokolwiek, byle tylko stanowił przeciwieństwo poprzednika. Każdy z nich miał już dość uczestniczenia w uciążliwych marszach przez Italię i bycia pouczanym przez wierzącego w rządy silnej ręki papieża. Obecnie pragnęli wyłącznie tego, by na papieskim tronie zasiadł człowiek spokojny, łatwo poddający się manipulacji, podobnie jak oni nielubiący ograniczeń finansowych wprowadzonych przez Juliusza II, a przede wszystkim wystarczająco stary, by po jego śmierci mógł nacieszyć się papieskim urzędem jeden z jego wyborców.

Po trwających tydzień debatach na liście kandydatów pozostał tylko kardynał Giovanni de Medici. W pewnym sensie był on kandydatem idealnym – niezmiernie bogaty syn władcy jednego z największych miast włoskich, odznaczający się obyciem, wykształceniem i tolerancyjnym usposobieniem. Niestety, jego największą wadę stanowił fakt, iż liczył zaledwie 37 lat, przez co żaden z wybierających go kardynałów nie miał większych szans na objęcie po nim stowiska.

Z drugiej strony, korpulentny Giovanni de Medici z całą pewnością nie należał do ludzi o żelaznym zdrowiu. Od wielu lat cierpiał na chorobę wrzodową i na samym konklawe musiał pojawić się w towarzystwie osobistych lekarzy. W miarę jak konklawe się przedłużało, byli oni coraz bardziej zaniepokojeni pogarszającym się stanem kardynała, przez co wśród zebranych zaczęło kiełkować przekonanie, że młody wiek Giovanniego wcale nie musi oznaczać, iż wskutek niebezpiecznej i uciążliwej choroby nie rozstanie się on z tym światem szybciej, niżby chciał. Starsi członkowie kolegium przychylni się do tej myśli, ostatecznie godząc się poprzeć młodego kandydata, i 11 marca kardynał Giovanni de Medici, syn Lorenza Wspaniałego, wstąpił na tron papieski jako Leon X.

Kardynałowie nie mylili się co do charakteru Leona, który w liście do swego brata Giuliana napisał: „Urząd papieża jest darem bożym, powinniśmy więc się nim cieszyć”¹. Podstawą tego pontyfikatu miała się stać przyjemność, rozumiana jako wysublimowane rozkosze, nie drapieżne orgie Borgiów z walkami byków i morderstwami w hiszpańskim stylu. Leon był bowiem Włochem, a ponadto pochodził z Florencji, tego samego miasta, w którym pod naciskiem wojny zaszła tajemnicza przemiana kulturowa leżąca u źródeł odrodzenia. Jego rodzina odegrała ważką rolę w kształtowaniu nowej epoki, gdyż, zręcznie korzystając z nagromadzonych bogactw i wrodzonego zmysłu estetycznego, odgrywała rolę jednego z największych mecenasów ówczesnej epoki, wspomagając uczonych i artystów dziesiątkami tysięcy złotych florenów i zdobywając jednocześnie coraz większy wpływ na władzę w mieście.

Te same zjawiska, które spowodowały upadek starożytnych republik, pomogły Medyceuszom wspiąć się na szczyty władzy we Florencji, które to miasto jako niemalże ostatnie przyjęło status *signorii*. Nawet w początkach XVI wieku było ono swego rodzaju republiką, z rodem Medyceuszy grającym rolę pierwszego pośród równych. Miasto dwukrotnie uniknęło delikatnie zaciskającego się jarzma, w porę wypędzając przedstawicieli rodu, lecz za każdym razem powracali oni, gdyż Florencja, jak inne miasta, zdawała sobie sprawę, że jedynie rządy jednego silnego człowieka mogą położyć kres nieustannym wojnom poszczególnych frakcji. Lorenzo de Medici miał 21 lat, gdy jak pisze:

Drugiego dnia po śmierci mojego ojca, człowiek stojący na czele władz miejskich przybył, by złożyć mi kondolencje i jednocześnie spytać, czy nie zechciałbym objąć steru władzy w mieście, podobnie jak uczynili to mój ojciec i dziadek. Zważywszy na mój wiek, przyjąłem propozycję po długim ociąganiu i mając na względzie

wyłącznie dobro naszych przyjaciół i ich majątków. Bez kontroli ze strony władz życie we Florencji może być bardzo niebezpieczne².

Niechęc do wzięcia na swe barki tak dużej odpowiedzialności była szczerą, lecz po przejściu stanowiska Lorenzo wykorzystał je z całym kunsztem, wprowadzając miasto w okres pełen niebezpieczeństw, lecz również wiodąc je na szczyty splendoru i bogactwa. Ze wszystkich obowiązków wywiązywał się honorowo, nawet jeśli jego głównym celem było zapewnienie bogactwa i wpływów własnej rodzinie.

Lorenzo powiedział kiedyś: „Mam trzech synów. Jeden jest dobrym człowiekiem, drugi jest kutwą, trzeci zaś – głupcem”³. Tym ostatnim był jego najstarszy potomek Pietro, który nieszczęśliwie doprowadził do wypędzenia Medyceuszy z miasta po tym, jak poddał je wojskom Karola VIII w czasie pierwszej inwazji. Dobry Giuliano pozostawał w cieniu swego starszego brata, zaś skąpy i złośliwy Giovanni przeznaczony do stanu kościelnego, uzyskał tonsurę już w wieku siedmiu lat. Od tego momentu Lorenzo używał wszystkich swych politycznych i kupieckich wpływów, by zapewnić synowi należyte miejsce wśród dostojników kościelnych. W 1483 roku Giovanni, choć miał tylko osiem lat, został opatem Font Douce we Francji, w rok później otrzymał opactwo Passignano, zaś w roku 1486 przypadło mu w udziale legendarne opactwo Monte Cassino. Nękając Innocentego VIII ustawicznymi prośbami, Lorenzo nakłonił go, by ten przyjął chłopca w poczet kardynałów. Jednak wizja czternastolatka zasiadającego w dzierżącym wielką władzę Świętym Kolegium była odpychająca nawet dla Innocentego, który postanowił, że wolno mu dołączyć do tego zgromadzenia dopiero za trzy lata, gdy chłopiec zacznie osiągać dojrzałość.

Lorenzo, chcąc nie chcąc, musiał zgodzić się na propozycję papieża, i gdy tylko upłynął wyznaczony przez niego okres, Giovanni wyruszył do Rzymu, by tam objąć wymarzone stanowisko. Młody Medyceusz nie czuł się w Wiecznym Mieście obco, gdyż mieszkała tam jego siostra, poślubiona synowi Innocentego VIII, Franceschettowi, który powitał go na Moście Mulwijskim i z wielką pompą odprowadził do Watykanu. Tam trafił przed oblicze Burcharda, by wysłuchać krótkiej lekcji etykiety i zaznajomić się z procedurą audiencji u papieża. Sam mistrz ceremonii opisywał to tymi słowy: „Towarzyszyłem kardynałowi aż do zmroku. Kazałem powiększyć jego tonsurę i wyjaśniłem mu, w jaki sposób należy okazywać szacunek zwierzchnikowi całego Kościoła, a także zaznajomiłem go ze wszystkimi szczegółami etykiety, jak nakazał mi Jego Świątobliwość”⁴. Następnego dnia był dość dżdżysty i Burchard obawiał się, że w ukochanym przez niego protokole pojawią się jakieś błędy, ale na szczęście okazało się, że Medyceusze przykładają do ceremonii taką samą wagę, jak do finansów i polityki, dzięki czemu Giovanni zachowywał się nienagannie.

Gdy jego syn wstępował w szeregi kardynałów, Lorenzo, złożony był ciężką i, jak się wkrótce okazało, śmiertelną chorobą. Nie mógł więc uczestniczyć w uroczystościach towarzyszących temu wydarzeniu i musiał się zadowolić

napisaniem długiego listu pochwalnego, w którym zawarł mnóstwo porad, łączących zimną polityczną rozważę z religijną szczerością. Miały one za zadanie pomóc synowi w pokonaniu niebezpieczeństw, czyhających na niego w centrum kościelnej polityki. Jak widać, Lorenzo zapomniał lub też zignorował fakt, że Giovanni pozycję swą zawdzięczał pieniądзом.

Dzisiaj oddałem cię na służbę Bogu i Jego Kościołowi Świętemu, wypełniaj więc swoje obowiązki z całym oddaniem i pamiętaj, że nade wszystko powinieneś szanować dobro i honor Kościoła oraz Stolicy Piotrowej. Jeśli wciąż będziesz mieć to na uwadze, z pewnością nie ominie cię wiele sposobności, by służyć pomocą swemu miastu i rodzinie. Florencja może wiele zyskać na sojuszu z Kościołem, ale nie zapominaj, że jesteś złączony więzami lojalności z obiema stronami tego związku, a pomyślność naszego rodu zależy od majątności miasta.

Nie kryjąc dumy, Lorenzo przypominał też synowi, że:

(...) jesteś nie tylko najmłodszym członkiem Świętego Kolegium, lecz również najmłodszym kardynałem, jaki kiedykolwiek został wybrany. Dlatego też staraj się trzymać w cieniu starszych, zawsze będąc uważny i taktowny. Tylko w ten sposób szybko zorientujesz się, którzy z nich zasługują na prawdziwy szacunek.

Pomimo iż nie miał bezpośredniej styczności z Rzymem, Lorenzo doskonale znał ludzi, wśród których obracać miał się teraz jego syn. „Święte” Kolegium złożone było bowiem w przeważającej większości z do cna skorumpowanych ludzi, którzy z pewnością będą próbowali wykorzystać młodość Giovanniego, by wciągnąć go w wir swoich nieczystych gier.

Kolegium cierpi obecnie na brak szlachetnych i wartościowych ludzi. Pamiętam czasy, gdy zasiadało w nim wielu roztropnych i uczciwych mężów. Na nich to właśnie powinieneś się wzorować. Im bardziej różnić się będziesz od tych, którzy cię otaczają, tym bardziej będziesz kochany i szanowany przez innych.

Pod koniec listu Lorenzo dawał synowi rady dotyczące stylu życia, godne Poloniusza.

Wydawaj swe pieniądze raczej na godnie utrzymaną stajnię i najlepszych służących niż na zabawy i harce (...). Jedwab i klejnoty nie przystoją ci obecnie, lepiej więc gromadź zabytkowe sprzęty i wartościowe książki. Poza tym lepiej, byś miał mniej przyjaciół, za to uczonych i oddanych tobie (...). Spędzaj czas raczej w swoim domu niż na ucztach u innych (...). Ćwicz wiele (...). Wstawaj wcześniej (...). Uważaj na zdrowie (...)⁵.

Kardynał Giovanni de Medici starał się wypełniać ojcowskie przykazania co do joty; papież Leon X zapomniał o nich niemal całkowicie. Będąc kardynałem, nie zgodził się sprzedać głosu Rodrigowi Borgii, choć ryzykował własną karierą; jako papież znalazł takie sposoby na gromadzenie pieniędzy, które nie przyszły do głowy nawet Aleksandrowi VI. Kardynał godnie reprezentował ród Medyceuszy, wspierając wielu uczonych, Leon X wolał trwonić pieniądze na dyletantów. Wyglądało na to, że to tiara odegrała rolę katalizatora, wyolbrzymiając cechy noszącego ją człowieka. Hedonizm, z którym młody kardynał

zapoznawał się, czytając starożytnych, został uznany przez papieża Leona za optymalny styl życia.

Koronacja Leona X przebiegała w warunkach nieliczących z wagą samego wydarzenia. Starożytna Bazylika św. Piotra została całkowicie rozebrana, zaś niedawno ukończony nowy gmach wciąż znajdował się w stanie surowym. Paris de Grassis, nowy mistrz ceremonii, zmuszony więc do daleko idącej improvizacji, jako że nie do pomyslenia było przeprowadzenie koronacji w innym miejscu, przed zdewastowaną fasadą pozostałą po liczącym 1000 lat gmachu rozkazał rozstawić wielki namiot. W nim Leon X włożył na skronie wykonaną na zamówienie swego poprzednika złotą, wysadzaną drogimi kamieniami tiarę, która jeszcze przed końcem dnia dała mu się mocno we znaki.

Tradycja wymagała, by mistrz ceremonii stanął przed papieżem, trzymając w ręce pręt, na który nawinięto długą, grubą nić. Następnie zapalał ją i recytował starożytne: „Tak przemija chwała świata”. Sam rytuał był starszy niż chrześcijaństwo, gdyż podczas triumfów starożytnych wodzów rzymskich na rydwanie zwycięzcy zazwyczaj stał niewolnik, powtarzający co chwilę: „Pamiętaj, że jesteś tylko człowiekiem”. Cały obrządek stanowił zaś naiwną próbę poskromienia pychy osoby znajdującej się u szczytu sławy. Jedynym efektem, jaki to ostrzeżenie wywarło na Leonie X, było najprawdopodobniej zwiększenie chęci skosztowania wszystkich ziemskich przyjemności, zanim przeminie czas pisany papieżowi. Kolejne ze zdań wypowiedzianych przez Parisa di Grassisa mogło jednak zabrzmieć niepokojąco, gdyż brzmiało ono: „Nigdy nie ujrzysz wieku piotrowego”, co miało oznaczać, że żaden z papieży nie będzie panował tak długo jak pierwszy. Tradycja przyjmowała, że pontyfikat św. Piotra trwał 25 lat, więc dla 37-letniego papieża, który mógł liczyć jeszcze na co najmniej 30 lat życia, słowa te mogły nosić znamiona groźby.

Choć sama koronacja mogła razić skromnością wszystkich wysokich dygnitarzy, zgromadzonych niczym gawieź na jarmarku, to już wielka procesja od bazyliki na Lateran była godną zapowiedzią rządów Leona X. Wcześniej Lateran został usunięty w cień przez Watykan. W okresie „niewoli awiniońskiej” strawił go pożar i przez ponad 100 lat większość jego zabudowy stanowiły pocerniałe od ognia ruiny. Poprzedni papieże starali się przywrócić go do dawnej świetności, lwią część pieniędzy przeznaczając jednak na utrzymanie własnego pałacu. Z drugiej strony Lateran posiadał status miejsca świętego i oficjalna procesja odprowadzająca papieża do pałacu zawsze była kluczowym punktem ceremonii koronacyjnej.

Rzym wciąż pamiętał *Sancto Posesso* Rodriga Borgii, lecz Leon przeszedł nawet i jego, po raz kolejny ujawniając rodzinny talent Medyceuszy do urządzania spektakularnych widowisk. W świecie papieża znajdował się Gian Giacomo Penni, lekarz florencki, który jako jeden z wielu przybył do Rzymu na wieść, że na tronie papieskim zasiadł jego rodak. Sam Penni nie posiadał szczególnych talentów, lecz posługiwał się charakterystycznym dla florenckich kronikarzy

niezwykle żywym stylem narracji. On też był autorem długiego listu do siostry Leona, w którym barwnie opisał nową wersję starożytnego rytuału *Sancto Possesso*. Naiwnie – choć równie dobrze mogła to być naiwność podszyta ironią – zauważył:

Rozmyślając nad pompą i przepychem, jakich byłem świadkiem, tak bardzo zapragnąłem sam być papieżem, że nie mogłem w nocy zasnąć. Nie dziwię się więc już kardynałom, którzy tak z całych sił pragną tego stanowiska, i sądzę, że prędzej przypadnie ono w udziale dowolnemu ze sług niż księciu⁶.

Procesję z Watykanu na Lateran uświetniały bezcenne ozdoby – „posągi z marmuru, alabastru i granitu godne samego króla”, na nowo odkryte dzieła sztuki z okresu Cesarstwa Rzymskiego, o które majętni kolekcjonerzy toczyli zacięte targi. Bankier imieniem Agostino Chigi wzniósł wspaniały łuk triumfalny wsparty na ośmiu kolumnach, ozdobiony rzeźbami, które spoczywały przez wieki wśród ruin miasta Cezarów. Wypisano na nim złotymi literami następujące hasło:

Przeminął czas Wenery, jak również rządy Marsa.

Dzisiaj panuje tu Minerwa.

Napis ten symbolicznie nawiązywał do niedawnych rządów Aleksandra VI i Juliusza II oraz miłującego klasycyzm Leona X. Tuż przed łukiem Chigiego złotnik Antonio da San Marco kazał ustawić ufundowany przez siebie grecki posąg Afrodyty z parafrazą hasła wypisanego na łuku:

Mars odszedł tedy, nadeszła Minerwa.

Lecz Wenus ciągle rządzi w naszych sercach.

Florentyńczycy nie szczędzili wydatków i trudu, by wznieść pomnik należycie upamiętniający ich rodaka. Na zamówionym przez siebie łuku kazali wyrzeźbić napis „Papieżowi Leonowi X, ambasadorowi Niebios”, pod którym umieszczono praktycznie wszystkie symbole używane przez ród Medyceuszy: trzy kule z rodowego herbu, jarzmo z herbu Leona, diament z herbu jego brata Giulianiego oraz pierścień i strusia widniejące w herbie ich ojca. Cała budowla robiła jednak wrażenie bardziej ze względu na swoją wielkość niż koncept czy też jakość wykonania.

Wszystkie domy na trasie pochodu udekorowane były wieńcami z gałązek wawrzynu i mirtu, a także proporcami z przetykanego złotą nicią aksamitu. Między nimi, po ulicach pokrytych grubą warstwą kwiatów, kroczył w milczeniu orszak, roztaczając wokół woń egzotycznych pachnideł. Pochód otwierali jadący konno zbrojni, a za nimi podążały „rodziny” kardynałów, z których każdy nosił barwy rodowe swoich panów.

Leon pełnił również funkcję władcy Rzymu, zaraz za orszakiem księży Kościoła szli więc ludzie niosący sztandary poszczególnych dzielnic miasta oraz pięć sztandarów dzielnic Stolicy Apostolskiej, symbolizujących ziemską władzę kościelną. Pochód ten otwierał przybrany brat papieża, Giulio de Medici, odziany w barwy zakonu Rycerzy Rodyjskich. Giulio był wówczas przeorem, lecz zaraz potem otrzymał stanowisko arcybiskupa Florencji, stanowiące dla

niego pierwszy krok w świetlanej karierze, którą zawdzięczał powinowactwu z Medyceuszami.

Za sztandarami podążała karawana białych mułów z papieskich stajni, za którymi szli młodzi szlachcice wysokich rodów, odziani w szaty z czerwonego jedwabiu ozdobione gronostajowym futrem. Następnie jechali przedstawiciele rodów, które nieodłącznie splecione były z historią papiestwa – Orsini, Colonna, Gaetani, Savelli, Santa Croce – na tę jedną okazję zebrani razem i nieokazujący sobie cienia zwyczajowej wrogości. Tuż za nimi szli florency notable, bankierzy i kupcy, którzy nie mogli pochwalić się starożytnym nazwiskiem, lecz posiadali w jego miejsce dostęp do wypełnionych złotem skarbców, zapewniających im należyte miejsce w hierarchii społecznej.

A za orszakami złożonym z ludzi świeckich, za żołnierzami i szafarzami Stołicy Apostolskiej, którzy przeszli przez pokryte wonnym zieleń ulice, wśród tłumów wznoszących czasem wielbiące, czasem zaś złośliwe okrzyki, postępowali przedstawiciele kleru, prowadzeni przez diakonów i subdiakonów dzierżących srebrne berła, będące oznaką ich urzędu. Pomiędzy nimi stąpał samotny biały koń, na którego grzbiecie umieszczono Najświętszy Sakrament, otoczony przez czterech ludzi dźwigających nad nim złoty baldachim. Tuż za nim, na podobieństwo szumiącej rzeki czerni i purpury, szli niezliczeni księża niższej rangi. To właśnie ich praca umożliwiała działanie potężnej machinie administracyjnej, jaką był Kościół. Choć żaden z nich nie posiadał większych wpływów, to w swej liczbie cieszyli się większym znaczeniem niż potężni idący za nimi kardynałowie. Poczёт Świętego Kolegium otwierał młody Alfonso Petrucci, kardynał ze Sieny, jeden z tych, których życie zmieniło się nie do poznania po obiorze Medyceusza. Jego koń, podobnie jak konie innych kardynałów, nosił zazdrośnie strzeżoną, a odziedziczoną po starożytnym Rzymie oznakę senatorskiej władzy, jaką był biały kropierz. Tuż za nim szli kardynałowie, którzy jako odnowiciele Rzymu i spadkobiercy Senatu mogli nosić senatorską biel, choć obecnie zredukowano ich do rangi urzędników na papieskim dworze.

Na końcu orszaku jechał papież, poprzedzany przez Gwardię Szwajcarską, powołaną jeszcze przez Juliusza II. Ci zaprawieni w bojach żołnierze nosili jednakowe mundury w kolorach zieleni, żółci i bieli, lecz myliłby się ten, kto uważałby, że pełnią funkcję wyłącznie reprezentacyjną, gdyż pokazali oni swoją wartość, zarówno broniąc pałacu przed naporem tłumów, jak i gromiąc nieprzyjaciół na polu bitwy. Leon dosiadał arabskiego białego ogiera, którego umiłowiał nie mniej niż swoich przyjaciół. Nad głową papieża, podobnie jak nad Najświętszym Sakramentem, niesiono wielki jedwabny baldachim, lecz nawet pomimo tej ochrony przed palącym słońcem na twarzy korpulentnego następcy św. Piotra malował się wysiłek. Penni zauważył, że Leon chrapliwie oddycha i ugina się pod ciężarem tiary oraz ceremonialnych szat. Można więc przypuszczać, że długa procesja nie była przyjemnością dla nowo obranego papieża, lecz starał się on tego nie okazywać. Jechał dostojnie, ze stoickim spokojem ignorując

bóle, spowodowane chorobą, i z dobrotliwym uśmiechem błogosławił wiwatującym tłumom. Za nimi postępowali dwaj szambelani, niosący worki ze srebrem i złotem, i od czasu do czasu, zaczerpnąwszy garść monet, rzucali je wśród zgromadzonych.

Ceremonia *Sancto Posesso* i towarzyszące jej zabawy kosztowały Leona X ponad 100 000 dukatów, co stanowiło 1/7 rezerwy pozostawionej w skarbcu przez Juliusza II. Było to zapowiedzią najbliższych siedmiu lat, podczas których nowy papież trwoniał pieniądze w niezwykłym tempie. Pontyfikat Leona X został nazwany Złotym Wiekiem i tym razem przenosiła ta miała faktyczne odbicie w rzeczywistości, gdyż w okresie tym Rzym zmienił się w pękający w szwach skarbiec, czekający tylko nadejścia rabusiów.

Podobnie jak jego ojciec, Leon nie prezentował się zbyt okazale. Miał niezwykle dużą głowę i szerokie barki, gdy więc siedział, sprawiał wrażenie potężnego mężczyzny, lecz nieproporcjonalnie krótkie i chude nogi diametralnie zmieniały jego obraz, kiedy tylko wstał wstawał. Duża masa ciała sprawiała też, że raczej drobił niż kroczył, na czym również ucierpiało jego dostojęstwo. Dotknięty poważną krótkwzrocznością, nie rozstawał się z ozdobnym monoklem, przez który przyglądał się zgromadzonym lub odcyfrowywał swoje ulubione rękopisy. Podczas *Sancto Posesso* jeden z towarzyszących mu urzędników musiał dyskretnie przekazywać papieżowi treść napisów zdobiących mijane łuki triumfalne, gdyż z tej odległości Leon X nie był w stanie ich odczytać.

Osobowość papieża stanowiła jednak przeciwieństwo jego powierzchowności. Obdarzony miękim, delikatnym głosem, potrafił pięknie przemawiać, często też bez skrępowania wybuchał śmiechem, jeśli nie łamał tym protokołu. W kontaktach z ludźmi interesował go nie tyle ich status, ile zdolność zaciekania go rozmową.

Wydawało się, że chciał przeżyć życie w szczęściu i radości, odrzucając wszystko, co mogłoby naruszyć ten stan. Z tego też powodu nie przepuścił żadnej okazji do zabawy i żartów, często zabawiając się oglądaniem sztuk, odpowiadaniem anegdot czy śpiewem. Mogło to wynikać z naturalnych skłonności papieża lub też z przekonania, że unikanie trosk i złości przedłuży jego życie⁷.

Taką opinię przedstawił Paolo Giovio, pisarz, którego Leon X zwykł porównywać z Liwiuszem. Choć stosunkowo trudno podejrzewać papieża o hipochondrię, to można założyć, że czynił on wszystko, by zachować dobre zdrowie. Tak gorszące Niemców zamiłowanie do polowań wynikało z przekonania, że wzmacniają one organizm. Prawdę mówiąc, ćwiczenia fizyczne były pewnego rodzaju obsesją Leona X, który z początku próbował nagiąć przepisy prawa kanonicznego, które ich zabraniały. Po pewnym czasie poddał się i opuszczał Rzym wyłącznie z okazji polowań.

Przygotowania do nich były zwykle zakrojonym na ogromną skalę przedsięwzięciem, gdyż papież wyruszał z całym dworem, dbając przy tym o rozrywki zaproszonych urzędników, przyjaciół i zagranicznych ambasadorów, którzy

stanowili jego najbliższą świtę. W liście do zarządcy papieskiej willi nieopodal Civitavecchia czytamy: „Zawitam do Civitavecchia 24. dnia tego miesiąca, w towarzystwie dużej kompanii. Każ przygotować wystawny obiad, nie zapominając o rybach dla mnie, gdyż chcę godnie ugościć przebywających ze mną znacznych urzędników (...). Będzie nas 140, przygotuj więc wszystko dla tej liczby gości, aby nikt nie cierpiał na skutek twojej omyłki”⁷⁸.

Na początku jesieni papież wraz ze swoją świtą zwiedził najpiękniejsze zakątki środkowej Italii. Rozpoczął od łowów na ptactwo w Viterbo, następnie ruszył oddawać się połowom na jeziorze Bolsena, uczestnicząc przy okazji w zabawach urządzanych przez Alessandra Farneseego, Kardynała-Spódniczkę. Następnie udał się na północ, do Toskanii, by w pobliżu Civitavecchia zakończyć wyprawę niebezpiecznymi łowami na dzika oraz najszlachetniejszą myśliwską rozrywką – polowaniem na jelenie. Strój papieża wzbudził zgorszenie Parisa de Grassisa, który tak o nim pisał: „[Leon X] opuścił Rzym bez stuły. Co gorsza, nie wziął ornatu, a co najstraszniejsze – nosił buty do konnej jazdy, co już zupełnie nie przystoi kapłanowi. Jak ludzie mogą całować jego stopy, kiedy on nosi na nich coś takiego?”⁷⁹. Metafizyczny problem dotyczący całowania stopy przez wygarbowaną skórę dla Leona X jakby nie istniał. Odziany w swój wytworny, choć sprzeczny z protokołem, spędzał całe dni na łowach, kościelnymi sprawami zajmując się w okresie krótkich przerw między wypadami do lasów. Jego dworzanie szybko zauważyli, że myśliwskie triumfy potęgowały dobroduszość i hojność papieża, szybko więc nauczyli się wykorzystywać moment upolowania zwierzęcia do przedkładania mu wszelkich petycji.

Leon X lubił, by ludzie w jego otoczeniu dobrze się bawili, lubił być uwielbiany i chyba nigdy nie odrzucił czyjejs prośby, jeśli nawet mógł to bez szkód uczynić. Gdy pewnego dnia przejeżdżał przez swoją ulubioną wieś o nawie Malliana, jej mieszkańcy udekorowali drogę jak na uroczystą procesję. Papież obdarzał zarówno wielkich, jak i małuczkich podarkami wszelkiego rodzaju. Posagi, nadania, pensje, przywileje i innego rodzaju dary sypały się nieustanną strugą z dzierzzonego przez niego rogu obfitości. Ze względu na to, iż lwia część petycji dotyczyła takiego czy innego zwiększenia stanu posiadania, nie dziwi fakt, że papieski skarbiec poważnie ucierpiał na skutek bezgranicznej hojności Leona. Jednak w pierwszych latach pontyfikatu papież zdawał się tym całkowicie nie przejmować. Miał wszak do dyspozycji fortunę Medyceuszy oraz wszystkie skarby zgromadzone i przekazane mu przez Juliusza II.

Od samego początku Leon X nie potrzebował pieniędzy, a majątek swój trzymał przede wszystkim na przyjemności, którym zwykł oddawać się wraz z wieloma przedstawicielami największych rodów rzymskich. Za jego panowania Stolica Apostolska zaskakiwała kontrastem pomiędzy zaniedbanymi ulicami a kąpiącymi od złota willami możnych i dla przeciętnego pielgrzyma jawiła się przede wszystkim jako kiepsko utrzymane i niegościnne miasto. Niszczało ono w ten sposób już od ponad 100 lat, ale za Leona X proces ten znacznie się

nasilił. Wśród odrapanych kamienic wyrastały przestronne pałace, a od ulic tonących w kwiatach tratowanych przez uczestników olśniewających procesji odchodziły obskurne alejki, w których nagromadzone przez stulecia śmieci i gruz powoli podnosiły poziom całego miasta. Mimo to w pałacach zaprojektowanych przez największych architektów panował wręcz orientalny przepych, osiągnięty kosztem, który zdumiałby nawet samego Nerona.

Spośród wszystkich szastających złotem bogaczy najbardziej wybijali się florency bankierzy, których umiejętności leżały u podstaw tej orgii wydawania pieniędzy. W dniu elekcji Medyceusza do miasta przybyła fala Florentyńczyków, wiedzionych nadzieją, że wpływy do ich kas zwiększą się, gdy rodak zostanie wyniesiony do najwyższej godności kościelnej. Lecz panująca w Rzymie atmosfera wszechobecnej korupcji przytępiła ich ostrożność. Lorenzo Strozzi, którego rodzina udzielała wsparcia europejskim monarchom, wydał na cześć Leona X bankiet, którego przygotowanie pochłonęło sumę równą kosztom rocznego utrzymania niewielkiego państwa. Na tę okazję przebudowano sporą część pałacu. Goście wchodzili do przestronnej komnaty zaprojektowanej jako grobowiec, by następnie przejść do jasno oświetlonej i bajecznie udekorowanej sali. Dania dostarczano do niej za pomocą przemysłowej maszynery – owocu geniuszu jednego z ówczesnych konstruktorów, który cały swój talent poświęcił tworzeniu wymyślnych zabawek.

Uczta ufundowana przez Agostina Chigiego przyćmiła nawet fetę Strozziogo. Wydano ją w położonej nad Tybrem willi gospodarza. Podczas bankietu podawano egzotyczne potrawy, które mogły zadowolić nawet najbardziej wybredne podniebienia, choć wartość kulinarna papuzich języków z Afryki oraz żywych ryb sprowadzanych z Bizancjum musiała się opierać głównie na nowości. Jedzenie podawano na złotych półmiskach, które zaraz potem wyrzucano przez okno w fale Tybru. Chigi zadbał o to, by pod oknami zawieszono sieci, w które wpadały cenne naczynia, lecz pozwoliło to odzyskać jedynie drobną część kosztów bankietu, przypominającego ekstrawaganckie uczyty starożytności.

Na wszystkich tych przyjęciach nie brakowało również heter, często jedynych przedstawicielek płci pięknej na bankietach organizowanych dla kleru. W większości były to zawodowe kurtyzany, których uroda łączyła się z wykształceniem i doskonałymi manierami. Zazwyczaj utrzymywały one prywatne dwory i nie widziały nic zdrożnego w umieszczaniu na własnych nagrobkach informacji o zawodzie, jakim parały się za życia. Były idealnymi partnerkami dla Leona X, łasego na kobiece wdzięki, lecz niemającego ochoty na utrzymywanie wymagającego związku z kochanką.

„Dziś panuje tu Minerwa” głosił napis na ufundowanym przez Chigiego łuku triumfalnym i nie był on czczym pochlebstwem, gdyż Leon X rzeczywiście posiadał szeroką wiedzę z wielu dziedzin klasycznej nauki, znał modną podówczas grekę, potrafił też układać zgrabne wiersze i epigramy. Najwięcej uwagi

poświęcał zgłębianiu wiedzy starożytnej, bardzo popularnej w jego rodzinnym domu i definiującej kulturę renesansowej Italii. Każdy, kto przejawiał choćby najskromniejsze zainteresowania tą materią, mógł być pewien ciepłego powitania na papieskim dworze. Pracownicy kancelarii Leona X, administracyjnego serca kurii rzymskiej, rekrutowali się wyłącznie spośród miłośników wiedzy starożytnej. Ich moralność stała pod znakiem zapytania, czasem powątpiewano nawet w szczerść ich wiary, lecz potrafili oni wysławiać się w stylu Cycerona i dla papieża stanowiło to wystarczający powód przyznania im najbardziej odpowiedzialnych funkcji.

Papieska hojność była jednak tyleż wielka, co kapryśna. Pietro Bembo, wenecki uczony związany ze słynną drukarnią Aldusa, uzyskał godność sekretarza stanu. Paolo Giovio otrzymał biskupstwo za swój kunszt w układaniu esejów i opowiadań. Pietro Aretino, ulubiony przez papieża, nieprzebierający w środkach satyryk i autor powieści erotycznych, nie był może wielbiony przez kler, ale nie miał też powodów do narzekań, gdyż otrzymywał pensję regularnie wypłacaną z bezdennego, zdawałoby się, skarbcza Watykanu. Po śmierci Leona X Aretino wciąż cieszył się sporym majątkiem, dopóki trzeźwo myślący papież Adrian nie odciął go od źródła gotówki, urażony lekturą szczególnie wyzdanego dzieła artysty.

Inni uczeni mieli jednak mniej szczęścia. Niccolò Machiavelli znany był jako zręczny autor zabawnych komedijek, lecz jego dzieła polityczne i filozoficzne przechodziły bez echa, wskutek czego ich autor ledwo wiązał koniec z końcem, podczas gdy wielu jego rodaków opływało w dostatki. Inny Florentyńczyk, Francesco Guicciardini – jego dzieła do dziś stanowią podstawę wiedzy o rządach Medyceuszy – zyskał niewiele większą popularność niż autor *Księcia*. Owszem, uzyskał godność gubernatora, lecz był to urząd bardzo niewdzięczny i honor ten nie mógł być porównywany z intratnymi stanowiskami, którymi obdarowywano podrzędnych nierzadko wierszokletów.

Erazm z Rotterdamu, uznawany za jednego z najwybitniejszych uczonych swojej epoki, nie ukrywał, że marzy mu się posada w Rzymie, lecz papież zdawał się ignorować te uwagi, z dużą zresztą stratą dla papiestwa. Lodovico Ariosto, wspaniały poeta, również przybył do Rzymu z nadzieją na poprawę losu, lecz został odesłany z niczym. Było to dla niego wydarzeniem o tyle nieprzyjemnym, że przyjaźnił się z przyszłym papieżem w czasach, „gdy Lew był jeszcze szczenięciem i lubił bawić się ze swym towarzyszem, spanielem; lecz gdy tamten przybył do lwiej jaskini, zastał tam tyle wilków i lisów, że rychło zapomniał o swym dawnym towarzyszczu zabaw”¹⁰.

Umiłowanie starożytnych ksiąg, które cechowało Leona, było tak wielkie, że według niektórych poświęcał on świeckim dziełom znacznie więcej czasu niż Pismu Świętemu, a lektura dawnych tekstów nieuchronnie popychała go w stronę sceptycyzmu. „Jakże dochodowa dla nas okazała się ta bajka o Chrystusie”¹¹, powiedział kiedyś w rozmowie z Bembo, gdy ten ostatni zacytował fragment

Ewangelii. Leon X uwielbiał żarty i rzadko przepuszczał okazję obrócenia w dowcip jakiejś zajmującej myśli, Bembo zaś również zdolny był do zaimprovizowania czy przekształcenia znanego cytatu. Wszyscy jednak zastanawiali się, jakim człowiekiem jest nowy papież pod skrętnie utrzymywaną maską czytanego, kulturalnego człowieka. Nawet niestawny Rodrigo Borgia kazał namalować się jako pobożny świadek wskrzeszenia Chrystusa, podczas gdy ulubiony obraz Leona X przedstawiał go pogrążonego w lekturze starożytnego rękopisu.

Zatrudnieni przez Juliusza II Michał Anioł i Rafael Santi tworzyli również na zlecenie jego następcy. Pierwszy z nich był prawdopodobnie zbyt uparty, by zostać nadwornym artystą nowego papieża, lecz Rafael doskonale dopasował się do tej roli, stając się kimś w rodzaju głównego orędownika chwały Medyceuszy. Wielkość i sława Leona X miały być przepowiadane przez przeszłe wydarzenia, więc jednym z pierwszych zleceń Rafaela stało się wykonanie serii obrazów imienników papieża: Leona I, który powstrzymał Attyłę; Leona III koronującego Karola Wielkiego; Leona IV – fundatora Miasta Leonowego. A każdy z nich nosił rysy Giovanniego de Medici.

W ostatniej z dekorowanych freskami komnat, zwanej Salą Konstantyna, Rafael miał uwiecznić triumf Kościoła i przygotował nawet karton do fresku przedstawiającego zdyskredytowane wydarzenie, choć minęło ponad 80 lat od czasu, gdy Lorenzo Valla zdemaskował je jako fałszerstwo. Za pontyfikatu Leona X kwestia *Donacji Konstantyna* wyszła już ze ścisłego kręgu uczonych, dzięki czemu Ariosto mógł włożyć w usta wysłanego na księżyc Orlanda Szalonego następującą kwestię:

Tak rzekł i na pagórek wbiegł, cieniem okryty,
Z którego zapach i smród wraz szedł jadowity.
Beł to dar, jeśli rzecz się godzi, okazały,
Który dał Sylwestrowi Konstantyn wspaniały.

Leon, przynajmniej w tej materii nieprzejmujący się szyderstwami uczonych, rozkazał, by jeden z fresków przedstawiał owo słynne, jeśli nawet nieprawdziwe zdarzenie.

Dzieło to odegrało jeszcze jedną, dużo ważniejszą dla potomności rolę. Rafael uwiecznił na nim bowiem wnętrze starej Bazyliki św. Piotra, w której umieścił scenę donacji. Jak zwykle energiczny Juliusz II rozkazał bowiem jak najszybciej ukończyć budowę, chcąc jeszcze za życia ujrzeć spełnienie snu o nowej świątyni. Kamień węgielny położono 18 kwietnia 1506 roku; była to, nawiasem mówiąc, ostatnia ceremonia, którą prowadził Jan Burchard. Od tego momentu stara bazylika Konstantyna zaczęła dosłownie znikać wśród huku młotów i gorączkowych sporów. Michał Anioł gwałtownie protestował przeciwko niszczeniu gigantycznych kolumn, pochodzących jeszcze z antycznych czasów i wykorzystanych przez budowniczych podczas wznoszenia świątyni. Po raz kolejny

ziemia nad grobem św. Piotra stała się wielkim placem budowy, a okoliczne groby niezliczonych papieży musiały zostać przeniesione. Część potraktowano z należytyym szacunkiem, lecz na przykład Urban VI został ponownie upokorzony przez kościelnych biurokratów, za których sprawą z jego sarkofagu zrobiono poidło dla pracujących przy budowie zwierząt.

W chwili, gdy Leon X wziął na siebie odpowiedzialność za los świątyni, spory należały już do przeszłości. Dawną bazylikę wyburzano i teraz należało skupić się na budowie nowej świątyni. Rafael tymczasowo przejął po Donatellu Bramantem nadzór architektoniczny nad budową godną faraonów i w swoich pismach nie tylko dawał świadectwo podnieceniu, jakie ogarniało go na myśl o ukończeniu prac, lecz również wskazywał na problem, którego rozwiązanie wystawiałoby na pośmiewisko uosabianą przez świątynię ideę zjednoczenia.

Przejąłem z rąk Donatella Bramantego nadzór nad budową bazyliki. Jakież miasto jest większe niż Rzym i jaka spośród budowli większa być może od kościoła św. Piotra? To najważniejsza świątynia na świecie i największy budynek, jaki do tej pory widział świat. Całość kosztować będzie ponad 1 000 000 w złocie. Mogę cię zapewnić, że tylko w tym roku papież obiecał przeznaczyć na ten cel 60 000 dukatów, a jego myśli zaprzęta wyłącznie ta sprawa.

Budowa bazyliki poważnie nadwęgryła skarbiec Leona X, lecz złoto wypływało z niego także wieloma innymi kanałami. Jak zauważył jeden z Florentyńczyków: „Byłoby łatwiej sprawić, by kamień sam wzniósł się w powietrze, niż by papież utrzymał w rękach tysiąc dukatów”¹². Część pieniędzy Leon przeznaczał na wartościowe cele, jak chociażby przeszukanie ruin rzymskich budowli w celu odzyskania pozostałości po antycznej kulturze, bezmyślnie niszczonej przez ówczesnych Rzymian. Rafael otrzymał specjalne rozkazy, miał nadzorować poszukiwania, opisywać znaleziska i kontrolować rozbiórkę starych budynków. W liście polecającym papież zaznaczył: „Często znajduje się kawały marmuru noszące napisy lub też pozostałości dawnych dzieł sztuki, które wymagają zachowania, gdyż ich wartość dla rozprzestrzenia wiedzy o dawnych czasach i starożytnej łacinie jest nieoceniona. Niestety, zbyt często niszczy się je bezpowrotnie, by wykorzystać przy wznoszeniu nowych budowli”¹³. Pasja odkrywania dawnych rzeźb i innych wytworów antycznych artystów sprawiła, że Rzym stał się mekką poszukiwaczy skarbów. Sam fakt, że Leon X potrafił ocenić wartość na wpuł zatartych napisów i innych znalezisk, bardzo dobrze świadczy o jego wykształceniu i wrażliwości.

W raporcie, który Rafael stworzył dla swego patrona, możemy znaleźć interesujący opis zmiany, jaką przeszedł Kościół – od podejrzliwości względem pozostałości pogańskich kultur do jawnego dla nich uwielbienia. Jakże wielu było takich, którzy, znajdując się na tym samym stanowisku, co Wasza Świątobliwość, nie posiadali tego wykształcenia, przymiotów umysłu i sprawiedliwości, w których Wy przypominacie Najwyższego? Jakże wielu zajmowało się niszczeniem starożytnych świątyń, posągów, łuków i innych dzieł dawnych artystów?”

Wydawszy poprzednikom Leona X opinię bezmyślnych wandali, Rafael zazna-
czył, że prawdziwym zadaniem papieża było „ocalić pozostałości po dawnej
kulturze, by dawały świadectwo jej wielkości, aby można było porównać je
z budowlami wznoszonymi obecnie, a także aby służyły geniuszowi i talentom,
których rozprzestrzenianie wśród książąt świata chrześcijańskiego pomoże za-
siać między nimi błogosławione ziarno pokoju”¹⁴.

W raporcie tym humanistyczna retoryka niezwykle zręcznie przeplata się ze
złośliwą ironią, albowiem w chwili, gdy Rafael przeszukiwał ruiny dawnego
Rzymu w poszukiwaniu zapomnianych dzieł sztuki, papież dbał o pokój w Ita-
lii, przygotowując się do wojny, która miała na celu podniesienie rodu Medyce-
uszy do roli panującej dynastii.

Triumf Medyceuszy

Italia ściśnięta była w kleszczach wrogich mocarstw. Na południu Hiszpanie
kontrolowali Neapol, pozbywszy się Francuzów, niedawnych sojuszników,
którzy teraz okupowali północną część Półwyspu Apenińskiego, za bazę wypa-
dową przyjąwszy Mediolan. Przez cały swój naznaczony wojnami pontyfikat
Juliusz II gromadził pod swoim sztandarem ludzi, wznosząc tylko jeden okrzyk:
„Precz! Precz z barbarzyńcami!” Nienawidząc przedstawicieli obu obcych nac-
ji, nie wahał się wykorzystać Hiszpanów, by osłabić pozycję Francuzów. Po-
przeszał na tym, gdyż jego przeciwnicy wciąż mogli wykorzystać swe złożone
sojusze, by odzyskać przyczółek w Lombardii. Ta niemalże zapomniana wypra-
wa Karola VIII zapoczątkowała ciąg wydarzeń, które zakończyły się na dobre
dopiero w XIX wieku i na skutek których europejskie mocarstwa coraz częściej
rozstrzygały swoje waśnie na terenie przyszłych Włoch. Na pola bitew Italii
powróciło dawne okrucieństwo. Przez długie dziesięciolecia miasta utrzymy-
wały swoją pozycję, zatrudniając najemnych żołnierzy, którzy najchętniej chwyt-
ali wrogów żywcem w nadziei na sowity okup. Teraz jednak wzajemna niena-
wiść oznaczała walkę na śmierć i życie, do wygubienia rodu przeciwnika.

Na tronach Mediolanu i Lombardii zasiadali przedstawiciele wszystkich nacji –
Hiszpanie, Francuzi, Szwajcarzy, Niemcy... Zmuszani do wycofania się, ustę-
powali pod naporem nie Włochów, lecz innych cudzoziemców. W bitwach ginęły
dziesiątki tysięcy ludzi, podbite miasta płaciły daniny w złocie i krwi. Na-
dzieje i obawy mieszkańców księstw włoskich straciły na znaczeniu w miarę,
jak wrogie i przyjazne ościennne mocarstwa toczyły swoje coraz to bardziej zło-
żone gry polityczne. Plany angielskiego kardynała, wpływające na ambicje hisz-
pańskiego króla, mogły sprowokować do działania niemieckiego cesarza, co
nie pozostałoby bez odpowiedzi ze strony Francuzów, na co z kolei musieliby

zareagować Szwajcarzy... Rozwiązań było mnóstwo, lecz dla Włoch każde z nich oznaczało kłopoty.

Leon X doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że los Italii nie zależy już od niej samej, był więc gotów układać się z oboma głównymi najeźdźcami. Zarówno Francuzi, jak i Hiszpanie częstokroć podziwiali elastyczność, z jaką papież proponował warunki układów. Włosi mawiali zaś, że tego właśnie można się spodziewać po Medyceuszu. „Wszyscy przedstawiciele tego rodu nie widzieli nic zdrożnego w zawieraniu sojuszu z jedną ze stron, przy jednoczesnym pakowaniu z jej przeciwnikiem”¹⁵.

W ogólnym rozrachunku Leon, podobnie jak Juliusz II, miał o Francuzach zdanie znacznie gorsze niż o Hiszpanach, jednak – w odróżnieniu od swego poprzednika – z tymi pierwszymi był osobiście związany, gdyż wydał swego brata, Giuliana, za ciotkę Franciszka I, nowego króla Francji. Leon X swobodnie pakował jednak z wrogami Franciszka, a gdy armia francuska rozgromiła siły hiszpańsko-szwajcarskie w bitwie pod Marignano i przejęła tron Mediolanu, papież natychmiast zawarł sojusz ze zwycięzcami, szukając u nich nowych wpływów dla swych krewnych. „Wygląda na to, że Jego Świątobliwość prowadzi podwójną grę”, pisał rozwścieczony król Hiszpanii w liście do swojego ambasadora. „Chęć wypędzenia Francuzów z Italii była jedynie maską”¹⁶. W rzeczywistości jedyny cel stanowiło Leona powiększenie wpływów swoich i całej swojej rodziny – dążenie charakteryzujące wszystkich jego poprzedników.

Wkrótce po obiorze Leon wyniósł do godności kardynalskiej swego kuzyna, Giulia. Wymagało to sfalszowania aktu ślubu jego rodziców, gdyż Giulio był w rzeczywistości nieślubnym dzieckiem, co uniemożliwiało mu objęcie wspomnianego stanowiska. Wraz z kardynalskim kapeluszem kuzyn papieża otrzymał lukratywną funkcję podkanclerzego. Uczciwy, wykształcony i skromny Giulio wydawał się wymarzoną kandydatem na to stanowisko, gdyż wypełniał swoje obowiązki bez najmniejszych uchybień, dając jednocześnie łatwo sobą sterować. Jego tragiczna w skutkach słabość ujawniła się dopiero, kiedy objął najwyższe kościelne stanowiska.

Leon X zapragnął, by najwyższe spośród stanowisk świeckich przypadło jego ukochanemu młodszemu bratu Giulianowi. W lutym 1515 roku Giuliano udał się do Francji, gdzie miał poślubić francuską księżniczkę na znak sojuszu Medyceuszy z rodem królewskim. Leon X przekazał Giulianowi dochody z Parmy, Piacenzy i Modeny, co dawało ponad 48 000 dukatów rocznie, król Francji oddał zaś swemu nowemu powinowatemu jedno z księstw.

Młoda para została powitana w Rzymie z pompą godną Medyceuszy. Pod koniec uroczystości, gdy rozdano ludziom ostatnie słodycze, gdy opłacono zastępy żonglerów, muzykantów i artystów, gdy podliczono koszt jedwabi, aksamitów, wina i kwiatów, okazało się, że cała feta kosztowała 150 000 dukatów, a więc tyle, ile wynosił trzyletni dochód nowego księcia. Nadanie było jednak tymczasowe, gdyż Leon X planował umieścić swego brata na stanowisku jeszcze

bardziej prestiżowym: na tronie Neapolu lub księstwa utworzonego z ziem Lombardii bądź, w ostateczności, z terenów Państwa Kościelnego.

Niestety, Giuliano nie skorzystał więcej ze wsparcia papieża, gdyż niecałe dwa lata po ślubie rozstał się z tym światem, pozostawiając jako jedynego dziedzica syna z nieprawego łoża. Leon X ciężko przyjął ten cios, gdyż naprawdę kochał brata i życzył mu jak najlepiej. Z politycznego punktu widzenia śmierć Giuliana była korzystna, gdyż nie wiadomo, czy potrafiłby unieść ciężar politycznych ambicji Leona. Owszem, uważany przez ojca za bardzo dobrego syna, nigdy nie splamił honoru rodziny, lecz ten zamknięty w sobie, melancholijny człowiek, który zdecydowanie wołał, by ważne decyzje podejmowali za niego inni, nie został stworzony dla zaszczytów.

Cała energia, jaką Leon X wkładał w realizację planów względem własnej rodziny, skupiła się teraz na jego bratanku Lorenzu, synu Pietra, starszego brata papieża.

Lorenzo potrafił brać sprawy we własne ręce. Jak szeptali niektórzy, był w stanie otruć jednego wuja, by przyciągnąć uwagę drugiego. Miał zaledwie 18 lat, gdy Leon X, zmuszony do porzucenia Florencji, gdy zasiadał na papieskim tronie, oddał rządy nad miastem innemu członkowi swego rodu. Pomimo całej miłości żywionej do Giuliana nie mógł uczynić go swym następcą, gdyż przepełnieni republikańskim duchem poddani mogli łatwo wyrwać się spod kontroli spokojnego władcy. Młody Lorenzo wydawał się silny i elastyczny, a przez to zdolny do objęcia rządów. Z tego też powodu to właśnie jemu Leon powierzył władzę nad Florencją, gdy sam udawał się objąć najwyższe stanowisko w Watykanie. Nie od razu przestał kontrolować wydarzenia w mieście, lecz po trzech latach doszedł do wniosku, że postąpił właściwie. Teraz, po śmierci Giuliana, na barkach Lorenza spoczął ciężar założenia książecej dynastii Medyceuszy.

Juliusz II zostawił w Państwie Kościelnym tylko jednego udzielnego księcia – swego siostrzeńca, Francesca Marię della Roverego, władcę Urbino. „Straszliwy papież” nie był większym wrogiem nepotyzmu niż którykolwiek z jego poprzedników, jednak przynajmniej w tym przypadku działanie takie okazało się korzystne dla papieżstwa, gdyż della Rovere zasłynął jako sprawny władca, choć jego księstwem od dłuższego czasu targwały poważne rozruchy. Szukając księstwa dla Lorenza, Leon X skierował swoją uwagę na położone wśród gór malownicze Urbino i otaczające je niewielkie, acz bogate miasta. Jako zwierzchnik Państwa Kościelnego, Leon X mógł rozwiązać kontrakt feudalny z dowolnym wasalem, a znalezienie pretekstu, pod którym można by było pozbyć się księcia della Rovere, nie stanowiło zbyt dużego problemu. Jak niemalże każdy z wysoko postawionych szlachciców, także i ten miał na swoim sumieniu czyny, o których lepiej byłoby zapomnieć. Leon X przypomniał sobie o zabójstwie kardynała, po którym della Rovere otrzymał papieskie rozgrzeszenie, a także jego lekceważący stosunek do działań suwerena podczas walk w Lombardii. Takie

preteksty wystarczały, by usunąć władcę z tronu, co też papież bezzwłocznie uczynił.

Della Rovere zareagował niezwykle żywiłowo. Od razu wysłał swoją matkę do Rzymu, by rozmówiła się z papieżem. Wykształcona kobieta podkreśliła przed Leonem X przysługę, jakie jej syn oddał rodowi Medyceuszy po ich wyęźdzeniu z Florencji. Przypomniała też, że ona sama zaopiekowała się wtedy młodym jeszcze Lorenzem. Czy więc teraz, gdy chłopiec dorósł, miałby się stać ciemiężcą swoich opiekunów? Giuliano uznał, że Medyceusze mają dług wobec Urbino, i za swego życia starał się chronić miasto. Czy papież chce zignorować dążenia i ostatnią wolę zmarłego brata?

Leon X właśnie to zamierzał uczynić. Widząc, że degradacja księcia nie wystarczy, poparł ją ekskomuniką za niechęć podporządkowania się woli Rzymu. Francuzi wsparli papieża swoim wojskiem, choć jeszcze niecałe 10 lat wcześniej pomagali w podobnej sytuacji Cesaremu Borgii. Na czele armii stanął Lorenzo de Medici. Po krótkiej obronie miasto musiało skapitulować i zwycięski bratanek Leona X został 8 sierpnia 1516 roku mianowany księciem Urbino, która to godność była pierwszym dziedzicznym tytułem, jaki przypadł w udziale rodzinie Medyceuszy. Leon zdecydował, by całe Święte Kolegium podpisało akt inwestytury. Wszyscy przystali na to z ochotą, z wyjątkiem biskupa Urbino, zdecydowanie odcinającego się od tak jawnego rozboju. Biskup szybko opuścił Rzym, gdyż papież mógł śmiać się z dumnego, acz beznadziejnego oporu podwładnego, lecz jako polityk nie mógł mu tego puścić płużem.

Lorenzo, nowy książę Urbino, niedługo cieszył się spokojnymi rządami. Papież Leon popełnił błąd, odmawiając zdjęcia kłatwy z księcia, który prosił go o to „przez wzgląd na swą duszę”. Wygnany i obawiający się skrytobójstwa della Rovere uznał, że atak da mu większe szanse powodzenia niż ucieczka, i zgromadził armię, by walczyć o swoje prawa. Sprzymierzeńców nie musiał szukać daleko. Francuzi zaczęli już bowiem żałować pomocy, jakiej udzielili papieżowi, gdyż doszły ich słuchy, że ten pragnie uczynić Lorenza władcą nie tylko samego Urbino, lecz całej Romanii, a następnie przypuścić atak na swoich dawnych sojuszników. Della Rovere znalazł również wsparcie wewnątrz Świętego Kolegium. Czar Medyceuszy słabł, a Leon X zaczął się, zdaniem kardynałów, coraz bardziej upodabniać do niesławnej pamięci Aleksandra VI.

Papież był wściekły. Powołując się na swój autorytet, wezwał wszystkich władców chrześcijańskich do pomocy w rozprawie ze zbuntowanym księciem. W całym Państwie Kościelnym nałożono podatek wojenny, a bankierzy z Rzymu i Florencji udzielili papieżowi ogromnych pożyczek (z 40-procentowym zyskiem). Odwołując się do rycerskiego honoru, della Rovere wyzwiał Lorenza na osobisty pojedynek, który miał zdecydować o przyszłości miasta, lecz bratanek papieża nie tylko zignorował wyzwanie, ale również przekazał wysłannika swemu wujowi, by ten odpowiednio go „wybadał”. Papież zgodził się na użycie tortur w celu wydobycia z posła wiadomości na temat wojennych planów jego pana.

Przez całą wiosnę i lato 1517 roku della Rovere toczył z Medyceuszami nieustanne walki o Urbino. Ostatecznie zwyciężyli ci ostatni, nie tyle może dzięki talentowi strategicznemu Lorenza czy wpływom jego wuja, ile na skutek bezczynności Hiszpanów i Francuzów, którzy, mając własne plany co do Italii, nie chcieli marnować sił i środków na pomoc walczącym. Pomogli oni zwyciężyć księciu della Rovere, lecz następnie wycofali się z konfliktu, gwarantując mu ochronę i nietykalność majątku. Świadom, że rezygnacja ze wsparcia obcych władców równałaby się śmierci, książę niechętnie przyjął ich pomoc, traktując porażkę jako wygnanie tymczasowe. Przyszłość miała przyznać mu rację.

Leon X zwyciężył tę bitwę, lecz okupił to ogromnymi wydatkami oraz poważnym nadwężeniem papieskiego prestiżu. Włosi, pewni, że za pontyfikatu Aleksandra VI ujrzeli możliwe nieprawości, byli zszokowani tak bestialskim złamaniem zasad nietykalności. Wydanie na męki obcego posła w celu uzyskania tymczasowej przewagi zasiało strach w sercach poddanych i współpracowników papieża. W nieustannym wirze rozgrywanych na papieskim dworze intryg nikt nie mógł być pewny jutra. Nawet sam papież.

Spisek kardynałów

Paris de Grassis, nowy mistrz ceremonii, uczył się tajników swego fachu od Jana Burcharda, którego nienawidził ze względu na niemieckie pochodzenie, a także zazdrościł mu wyższej rangi na dworze. Mimo to podjął po nim dzieło kontynuowania pamiętników. Podobnie jak poprzednik, odznaczał się niezwykłą dbałością o zachowanie zasady precedensu i pedantyczną troskę o najdrobniejsze szczegóły, lecz brakowało mu obiektywności Burcharda. W oczach Parisa Leon X był istotą nadnaturalną, półbogiem, zdolnym powstrzymać się od ludzkich wzruszeń nawet na wieść o śmierci własnego brata Giuliana. Z tego też powodu jego zapiski nie są tak wiarygodnym źródłem informacji, jak notatki Burcharda. Z drugiej jednak strony, w notatkach Parisa możemy znaleźć dokładny opis rzadkiego wydarzenia, jakim było wyzwolenie się ofiary z papieskiej sieci intryg, które mogły przedwcześnie zakończyć jej życie.

Rankiem 21 maja 1517 roku kardynałowie zebrawali się w konsystorzu. „Papież posłał po kardynała Ancony, z którym rozmawiał przeszło godzinę”. Następnie Paris pisze:

Zerknąłem przez szparę w uchylonych drzwiach i dostrzegłem, że w papieskiej komnacie znajdują się kapitan straży oraz dwóch żołnierzy w pełnym rynsztunku. Bardzo mnie to zaniepokoiło, lecz wołałem zachować milczenie. Widząc kardynałów Riario i Farnese wchodzących do komnaty w doskonałych nastrojach, uznałem,

że papież chciał skonsultować z nimi decyzję o nadaniu godności, o której wspominał tego ranka. Zaledwie jednak kardynał Riario wszedł do środka, papież, idący pomiędzy dwoma szambelanami, wybiegł z pokoju i, zatraskując za sobą drzwi, zostawił kardynała Riario ze strażnikami. Wielce zdziwiony takim postępowaniem, zapytałem zrazu papieża, cóż ma oznaczać ten pośpiech i czy ma zamiar wejść na konsystorz bez swojej stuy, którą natychmiast założyłem na jego ramiona. Zauważyłem wtedy, że papież jest blady i wydaje się mocno zdenerwowany. Chwilę później rozkazał mi, w sposób bardziej stanowczy niż zwykle, bym odesłał kardynałów i zamknął salę, w której zbrali się wcześniej. Wykonałem to polecenie, nie mając już wątpliwości co do tego, że kardynał Riario został aresztowany. Wszyscy obecni przy tym urzędnicy zaczęli od razu snuć przypuszczenia co do powodu takiej decyzji, lecz niedługo później papież sam je nam wyjawiał¹⁷.

Kardynałowie uknuli spisek mający na celu otrucie Leona X i osadzenie kardynała Riario na papieskim tronie.

Pomysłodawcą intrygi był młody i nieznanym nikomu bliżej kardynał Alfonso Petrucci, który kierował się dość typowym motywem. Jego brat, niepodzielny władca Sieny, został odsunięty od władzy przez popleczników Medyceuszy, a ziemie Petruccich uległy konfiskacie. Alfonso czuł się podwójnie pokrzywdzony, gdyż podczas ostatniego konklawe popierał Giovanniego de Medici. Niewdzięczny papież, zamiast udzielić mu spodziewanego wsparcia, doprowadził jego rodzinę do ruiny. To, że jej upadek był w zasadzie karą za tyrańskie rządy, nie miało większego znaczenia. W tamtych czasach sprawiedliwość należała do rzadkości.

Początkowo Petrucci planował, wzorem jednego ze starożytnych bohaterów, zasztyletowanie papieża w publicznym miejscu, lecz przemożny lęk przed tak jawnym świętokradztwem skłonił go do użycia trucizny, co w zasadzie uniemożliwiało wskazanie go jako mordercy. Leon X wciąż zażywał lekarstwa, mające ulżyć mu w bolesnej chorobie, młody kardynał więc postanowił, że podczas chwilowej niedyspozycji papieskiego lekarza on sam podstawia mu medyka, który poda Leonowi zmieszaną z lekarstwem truciznę. Intryga zakończyłaby się pełnym sukcesem, gdyby nie ostrożność papieża, który odmówił przyjmowania lekarstw od nieznanego człowieka. Papież nie podejrzewał spisku, lecz niedługo później ufny w swoje możliwości Petrucci sam zdradził się ze swoim zbrodniczym zamiarem. Natychmiast wyjechał z Rzymu, lecz został wezwany z powrotem. Zapewniono mu nietykalność. Papież pokazał już co prawda, że z łatwością łamie dane słowo, lecz tym razem obietnicę poparła gwarancja hiszpańskiego ambasadora. Zaraz po przyjeździe do Stolicy Apostolskiej Petrucci został jednak pojmany i wtrącony do twierdzy Sant' Angelo mimo głośnych protestów hiszpańskiego dyplomaty, którego honor i autorytet wystawiono w ten sposób na pośmiewisko.

Cała ta afera, choć po raz kolejny udowodniła bezwzględność, z którą papież lekcewał gwarancje, miała na celu powstrzymanie niezadowolonego z rządów malkontenta. Hiszpańskiemu ambasadorowi Leon X odpowiedział, że

„truciciel nie zasługuje na zaufanie innych”, protestującym Wenecjanom wyjaśnił zaś, że sam nie dawał żadnych osobistych gwarancji Petrucciemu, a ambasador uczynił to na własną odpowiedzialność. Ostatecznie zaakceptowano fakt, że młody kardynał zasłużył na swój los.

Niedoszłego truciciela wtrącono do lochu, nie rozwiązało to jednak całkowicie sprawy. Na torturach przyznał się on bowiem, że nie działał sam, lecz w porozumieniu z innymi kardynałami, wśród których znalazło się wielu zasłużonych członków Świętego Kolegium. Okazało się, że w spisek zamieszani są: pełniący funkcję przewodniczącego od ponad 40 lat kardynał Riario, pochodzący z Florencji kardynał Soderini, Genueńczyk de Saulis i ulubieniec Leona, Adriano de Corneto... Wszystkie te nazwiska wydobyli przesłuchujący Petrucciego w twierdzy Sant'Angelo papiescy instygatorzy. Początkowo papież zamierzał zwołać konsystorz i przedstawić zgromadzonemu wiadomość o zdemaskowaniu spisku, lecz przerażony zasięgiem planowanej intrygi, postanowił bezzwłocznie wyeliminować kardynała Riario, który był jego głównym przeciwnikiem na ostatnim konklawe i być może dlatego miał go zastąpić po śmierci z rąk Petrucciego.

Nawet Paris de Grassis czuł się zszokowany wieścią o aresztowaniu kardynała, gdyż przewodniczący Świętego Kolegium cieszył się doskonałą opinią i wielkim szacunkiem wśród pozostałych urzędników kościelnych.

Trudno było nam uwierzyć w to, że kardynał Riario, którego roztropność znana jest chyba wszystkim, mógł być zamieszany w tak haniebnny spisek lub też, gdyby faktycznie był winny, że nie umiałby uniknąć podejrzeń. Z tego też powodu przypuszczamy, że jego cała sprawa była jedynie pretekstem, pozwalającym papieżowi wyeliminować najgroźniejszego konkurenta, który wielokrotnie dopuszczał się wobec niego nieprawości¹⁸.

Inni podzielali tę opinię, nawet jeśli owe „nieprawości” zdarzyły się przed narodzeniem Leona, gdy Riario spiskował przeciwko ojcu przyszłego papieża. Wydawało się nieprawdopodobne, by ktoś, nawet członek rodu Medyceuszy, potrafił chować urazę przez całe swoje życie. Prawda miała jednak przekroczyć najśmielsze nawet domysły członków papieskiego dworu.

Ósmego czerwca Leon X zwołał całe Święte Kolegium. W dniach poprzedzających konsystorz, kiedy jego ludzie badali najmniejsze nawet ślady spisku, sam papież zamknął się w twierdzy Sant'Angelo. Mieszkańcy Rzymu nie podejmowali żadnych działań w obawie przed reakcją papieskich żołnierzy. Gotowi byli zgnieść w zarodku najmniejsze nawet zarzewie buntu, mimo że Rzymianie już dawno utracili chęci i możliwości, by zrzucić zwierzchność Watykanu. W rzeczywistości papież powinien przede wszystkim obawiać się działań najbliższego otoczenia. Stało się jasne, że Święte Kolegium, jeden z najważniejszych instrumentów papieskiej władzy, po raz pierwszy próbowało obalić panującego namiestnika św. Piotra. Kardynałowie postanowili pozbyć się człowieka, którego sami wybrali na najwyższe stanowisko. Co kierowało ich postępowaniem?

Takie właśnie pytanie zadał papież na konsystorzu. Czyż nie okazywał kardynałom sympatii, udzielając im każdego wsparcia, jakiego tylko zapragnęli? Cemuż więc zdecydowali mu się odplacić w taki sposób? Zebrani nie próbowali odpowiadać, przytłoczeni zmęczeniem, strachem i rezygnacją. Następnie każdy z kardynałów został wezwany do wyznania pod przysięgą, czy brał czynny udział w spisku. Ci, na których podczas przesłuchania wskazał Petrucci, zostali oddzieleni od pozostałych. Francesco Soderini jako pierwszy wyparł się intrygi, lecz wysłuchawszy gniewnej tyrady z ust papieża, padł na posadzkę, błagając o przebaczenie. W ciszy, która nastąpiła po tym wyznaniu, papież powiedział, że wiadomo mu o innych spiskowcach. Wówczas Adriano de Corneto, zachęcany przez pozostałych, również przyznał się do udziału w intrydze. Papież wydawał się zadowolony z przebiegu spotkania. W dłuższej i patetycznej przemowie wyjaśnił, że choć winni zasługują na najwyższą karę i potępienie, on wybacza im ów postępek, zadowolając się wyłącznie nałożeniem wysokich grzywien. Kolegium przywitało tę wspaniałomyślną decyzję gromkimi brawami.

Kilka dni później Petrucci, Riario i de Saulis zostali pozbawieni wszelkich tytułów i godności, a następnie przekazani władzy świeckiej, gdyż przedstawiciele Kościoła nie mogli plamić sobie rąk osobistym wykonywaniem kar. Adriano de Corneto i Soderini, pojawiwszy aluzję papieża, czym prędzej opuścili Rzym, planując jednak powrót po śmierci Leona X. Z trójki skazanych jedynie Petrucci oraz jego służący nie uniknęły tortur i haniebnej śmierci na szubienicy, gdyż wysoko postawieni przyjaciele Riaria i de Saulisa potrafili przekonać papieża, że jego wrodzone skłonności do przebaczenia mogą zdziałać w tym przypadku wiele dobrego.

W ogólnym rozrachunku spisek prezentował się dość ciekawie. Każdy z oskarżonych miał swoje porachunki z Leonem X – brat Soderiniego został wygnany z Florencji przez Medyceuszy, obiór Leona pozbawił Riaria spodziewanej tiary, zaś Adriano i de Saulis byli krewnymi ekskomunikowanego księcia Urbino. Z drugiej strony, niemalże każdy członek Świętego Kolegium mógł przedstawić papieżowi jakieś zarzuty. Żaden ze spiskowców z osobna nie był w stanie przekonać majątnych i wysoko postawionych książąt Kościoła, by ryzykowali własne życie w celu zgładzenia Leona X. Mimo to każdy z nich przyznał się do współpracy. Szczegóły „procesu” zostały utajnione, szybko więc zaczęto szeptać, że cała sprawa została ukartowana, by dać Medyceuszom pretekst do pozbycia się dawnych wrogów i napełnić pusty skarbiec Watykanu.

Kilka tygodni później pogłoski te zaczęły się potwierdzać, gdyż 26 czerwca Leon utworzył 31 nowych miejsc w Świętym Kolegium. Każdy z nowo mianowanych kardynałów opłacił należycie swoje miejsce w tym zgromadzeniu. Zebrana w ten sposób suma – którą papież wsparł swego walczącego o Urbino bratanka – musiała przekraczać 500 000 dukatów. Jednak od materialnego zysku ważniejszy był fakt, że kolegium zdominowali teraz poplecznicy Medyceuszy. Wrodzy im kardynałowie znaleźli się w zdecydowanej mniejszości. Od

tego momentu aż do końca swego pontyfikatu Leon X nie miał już żadnych kłopotów z kolegium, gdyż po raz kolejny stało się ono posłusznym narzędziem w jego ręku.

Złoto uzyskane przez Leona X z grzywien i nadań pozwoliło jesienią 1517 roku zakończyć walkę o Urbino. Sytuacja wciąż była mocno niepewna, lecz młody książę czuł się prawdziwym zwycięzcą i nie krył tego. Leon zwrócił się do zniechęconych Francuzów, by zgodzili się na kolejne królewskie małżeństwo i w marcu 1518 roku książę Lorenzo de Medici wyruszył do Ambroise, by tam wziąć ślub z Magdaleną Owernijską. Po powrocie książę zdecydował osiąść nie w Urbino, gdzie wciąż uważano go za tyrana, a jego władzę za narzuconą siłą, lecz we Florencji. Tam chętnie używał swego książęcego tytułu, a Florentyńczycy, nagle zapomniawszy o swych wielowiekowych republikańskich tradycjach, nie wyrażali żadnego sprzeciwu.

Machiavelli, próbując wkraść się w łaski rodu, który doprowadził do wygnania go z Florencji – za radykalnie republikańskie poglądy – zadedykował *Księcia* młodemu władcy. Lorenzo przyswoił sobie większość zasad z opisywanego dzieła, lecz, ku rozczarowaniu autora, nie użył ich w walce z niszczącymi Italię najeźdźcami. Zastosował nową wiedzę do ustanowienia rządów, które niebezpiecznie zaczęły przypominać poczynania Cesarego Borgii. Niestety, w niecałe dwa lata po zwycięstwie nad księciem della Rovere, Lorenzo zmarł, nim zdołał w pełni wykorzystać swe talenty, a wraz z jego śmiercią przepadła nadzieja Leona X na utworzenie dynastii ze starszej gałęzi rodu Medyceuszy.

Luter

Pierwszym i podstawowym problemem Leona X zawsze były pieniądze. Musiał utrzymać najemników, broniących papieżstwa, wynagrodzić rzemieślników, produkujących zbytekowne przedmioty, i opłacić artystów, którzy przekształcali Watykan w ogromne dzieło sztuki – a przecież wszystkie te wydatki nie mogły równać się z największą inwestycją zapoczątkowaną jeszcze przez Juliusza II, a mianowicie budową nowej Bazyliki św. Piotra. Leon X był niezmiernie bogaty, zarówno jako dostojnik, jak i osoba świecka. Odziedziczył 750 000 dukatów, które jego poprzednik złożył w skarbcu twierdzy Sant' Angelo, zaś dochody z dzierżawy ziem Państwa Kościelnego, dotychczas wyciekające nielegalnymi kanałami, ponownie znalazły drogę do papieskich kufrów. Wenecjanie, znani z perfekcyjnej zdolności oceny majątku swych klientów, szacowali dochody Leona X na 400 000 dukatów rocznie. Pieniądze te papież uzyskiwał częściowo z ziem Państwa Kościelnego, częściowo zaś z monopoli

na produkcję octu, soli oraz ałunu, niezwykle poszukiwanego w Europie barwnika do tkanin. Oprócz tych półfeudalnych należności papieski majątek pomnażały niezliczone wpływy ze źródeł kościelnych, przede wszystkim odpustów, oraz innych należności, ustalonych przez awiniońską kurię blisko 200 lat wcześniej.

Mimo to wydatki papieża zawsze przekraczały jego dochody. Na samym dworze utrzymywał przeszło 700 osób, czyli cztery razy więcej, niż zgromadził wokół siebie Juliusz II. Doradcy obliczyli, że każdego miesiąca Leon X wydawał przeszło 8000 dukatów na podarki oraz polowania. Wystawne uczyty, z których zastąpił nowy namiestnik św. Piotra, pochłaniały niemal połowę wszystkich dochodów Watykanu. Ambicja dynastyczna zasiadającego na papieskim tronie Medyceusza okazała się również studnią bez dna. Wojna o Urbino pochłonęła od 800 000 do 1 000 000 dukatów, zaś młody książę Lorenzo wydał kolejne 200 000 na swoją podróż do Francji, ślub i wesele. Nieustannie szukając nowych źródeł dochodów, Leon X podniósł liczbę sprzedawanych kurialnych urzędów do ponad 2000. Dodatkowo założył też rycerski zakon św. Piotra. Pieniądze wpłacane przez należących doń rycerzy trafiały do kieszeni Medyceuszy. Bankierzy otrzymywali coraz to nowe prośby o pożyczki, których wysokość zaniepokoić by mogła nawet słynących z bogactwa Florentyńczyków. Papież jednak był wciąż młody, bankierzy liczyli więc na zwrot pożyczonych pieniędzy z niemałym procentem.

Lecz nawet gdyby Leon X rozsądnie zarządzał swoim majątkiem i okiełznał wrodzone umiłowanie luksusu, nie zmieniłoby to faktu, że kuria wciąż tonęła w długach. Budowa bazyliki pochłaniała ogromne kwoty, pozyskiwane zarówno z legalnych, jak i nielegalnych źródeł. Prace, będące tematem niekończących się zażartych sporów, trwały już od 10 lat, lecz musiał minąć cały wiek, zanim ukończona świątynia mogła zostać oficjalnie poświęcona. Przez cały okres swojego pontyfikatu Leon nadawał temu przedsięwzięciu najwyższy priorytet, lecz największy nawet entuzjazm nie mógł zastąpić żywej gotówki. Wykorzystując swoją władzę, papież uznał, że budowa świątyni jest dziełem, w którym udział powinni też brać wszyscy wierni. Dochody uzyskane ze sprzedaży odpustów mogły zostać przekazane na dalsze prace.

Była to epokowa decyzja, lecz Leon X nie stosował tego rozwiązania jako pierwszy: 400 lat wcześniej Urban II ogłosił odpuszczenie wszystkich win uczestnikom wyprawy, która miała na celu oswobodzenie Grobu Jezusowego z rąk niewiernych. Ci spośród chrześcijan, którzy z różnych powodów nie mogli uczestniczyć w krucjacie, uzyskiwali identyczne rozgrzeszenie dzięki wsparciu świętej wojny odpowiednią darowizną. W ten sposób zwyczaj sprzedaży odpustów upowszechnił się i okrzepł na dobre, stanowiąc względnie stałe źródło dochodów kościelnych. Nie był on mniej ani bardziej krytykowany od dawnego systemu awiniońskiego, w którym Kościół utrzymywał się ze sprzedaży stanowisk za cenę równą rocznemu dochodowi obejmującego je urzędnika.

Leon X nie zmienił więc nic w ówczesnym układzie, wykorzystując jedynie stare rozwiązania do własnych celów. W tym samym czasie w Niemczech 23-letni Albert Brandenburski popadł w poważne kłopoty finansowe. Niedawno otrzymał bowiem lukratywne stanowisko arcybiskupa Magdeburga i był winny kurii ponad 24 000 dukatów. Pożyczył tę kwotę od potężnego rodu bankierskiego Fuggerów, lecz musiał znaleźć jakiś sposób na spłacenie owego długu. Leon X wystąpił więc z propozycją pomocy: niech w Niemczech zostanie wprowadzony nowy ośmioletni odpust na budowę Bazyliki św. Piotra i ogłoszona zostanie święta wojna z Turkami. Dochody z tych przedsięwzięć miały zostać podzielone po połowie między Rzym i Alberta, a ściślej rzecz biorąc – Fuggerów. Świeżo upieczony arcybiskup przystał na tę propozycję, dominikanin Johann Tetzel zaś otrzymał misję doprowadzenia sprawy do końca.

Idea odpustów była dość złożona i opierała się na założeniu, że władza odpuszczania grzechów została przekazana apostołom w akcie założenia Kościoła ziemskiego. Prawem sukcesji apostolskiej otrzymywali ją kolejni biskupi Rzymu. Co prawda każdy grzech mógł zostać zmaszany przez sakrament pokuty, lecz mimo to po śmierci dusza musiała odcierpieć określony czas w czyśćcu, zanim mogła ostatecznie dostąpić zbawienia. Niektóre działania skracaly ten czas lub wręcz całkowicie anulowały męki czyścicowe. Każdy odpust był odpowiednikiem określonej liczby dni ziemskiej pokuty za grzechy, które mogły zostać zachowane na przyszłość bądź użyte natychmiast do wybawienia duszy od mąk czyścicowych.

Tetzel zredukował te skomplikowane zasady do prostej formuły, która w swojej satyrycznej formie szybko zdobyła popularność wśród wszystkich chrześcijan:

Gdy tylko grosik do skarbonki wleci,
Jedna duszyczka do nieba uleci.

Konieczność osobistej pokuty za grzechy została przy tym skrzętnie zamaskowana.

W rękę mym dzierzę dokumenty (...), które wprowadzić mogą duszę ludzką do raju. Za każdy z ziemskich grzechów, których przecież popełnia się codziennie kilka, choćby i zaraz po spowiedzi, naznaczone jest siedem lat pokuty na ziemi bądź w czyśćcu. Któż więc wahałby się wydać jedyne ćwierć florena, by nabyć jeden z tych dokumentów i mieć pewność, że zaraz po śmierci dostąpi pewnego wiekustego zbawienia duszy nieśmiertelnej?¹⁹

Tetzel nie był pierwszym handlarzem odpustów na tak wielką skalę, gdyż w samej Wittemberdze znajdowała się kolekcja relikwii, które obejrzeć było można po uiszczeniu odpowiedniej opłaty, co dawało wiernemu odpuszczenie 1443 lat pokuty. Jednak w odróżnieniu od przechowywanych w kościelnych relikwiarzach przedmiotów dokumenty Tetzela powielane były w dużych nakładach dzięki wprowadzonej w tamtym czasie do użytku nowoczesnej prasie drukarskiej. Wierni, pragnący dostąpić zbawienia, nie musieli już pielgrzymować do

miejsc świętych, gdyż zawsze mogli nabyć odpust w lokalnym kościele lub wręcz od obwoźnych kramarzy. Gdy Tetzel przybywał do miasta, jego wjazd przybierał formę starożytnego triumfu.

Niesiono przed nim bullę papieską, umieszczoną na poduszce z ałtasu i złotogłowiu. Prości ludzie, mnisi, księża i uczeni wyszli mu na spotkanie, niosąc świece i sztandary, podczas gdy wszystkie dzwony w mieście rozgłaszały to radosne wydarzenie. W głównej nawie największego kościoła wystawiono duży czerwony krzyż z przyczepionym doń kościelnym proporcem. Gdyby nawet Bóg we własnej osobie pojawił się w mieście, nie zgotowano by mu godniejszego przywitania²⁰.

Tetzelowi towarzyszył agent Fuggerów, który dyskretnie pilnował, by połowa wszystkich zysków trafiła do skarbcza jego pracodawców, których pożyczka zapoczątkowała całe to wydarzenie, a popyt na odpusty wskazywał na to, że bankierzy odzyskają swoje pieniądze z nawiązką. Jednak nie wszyscy spośród tłoczących się wokół mnichów byli zainteresowani wykupieniem się od czyścicowych ogni. Kilku zapłaciło za odpusty tylko po to, by przekazać je obserwowującemu całe to wydarzenie 34-letniemu doktorowi teologii z Uniwersytetu Wittemberskiego i zapytać, czy szanowny doktor Luter zechciałby się wypowiedzieć na temat wartości nowego środka zbawienia duszy.

Pamiętnego dnia 31 października 1517 roku Luter przybił swoich 95 tez do drzwi katedry w Wittemberdze. Stukot młotka miał się stać dla następnych pokoleń symbolem buntu podniesionego przez wolnego człowieka przeciwko skorumpowanemu autorytetom. Sam gest Lutera nie był niczym dziwnym, gdyż drzwi kościoła stanowiły najwygodniejsze miejsce do umieszczania wszelkiego rodzaju publicznych obwieszczeń. Zamierzał po prostu wziąć udział w debacie, w której mógłby bronić poglądu o bezprawnym charakterze nowego typu sprzedaży odpustów. Niektóre z tez były dobrze uargumentowane, zwłaszcza te, które dotyczyły bogactwa Medyceuszy. Jeżeli Leon X mógł wyzwalać ludzi od mąk w zaświatach, to dlaczego nie zapłacił za budowę Bazyliki św. Piotra z własnej kieszeni, przy okazji uwalniając wszystkie torturowane w czyścicu dusze? Tetzel wkrótce odparł zarzuty Lutera kontrargumentami, rozpoczynając tym samym zażarty spór.

Leon X traktował te, jak sam je określał, „mnisze kłótnie” z pobłażliwym uśmiechem i pewnego rodzaju skrępowaniem. Niedawno wyszedł wszak cało z najgroźniejszego jak dotąd spisku na życie papieża, a rozbieżność między działaniami Petrucciego i Lutera podsumował w zwięzłym epigramie: „Topór został odsunięty od korzenia, by uderzyć w gałęzie”²¹.

Nic nie wskazywało na to, by Luter mógł stać się w jakikolwiek sposób niebezpieczny. Przez ostatnie dwa wieki często pojawiali się dziwacy jego pokroju, sprzeciwiający się takim czy innym aspektom papieskiej władzy i nierozważalnie związanego z nią zepsucia. Dante, Hus, Petrarca, św. Katarzyna ze Sieny, Arnold z Brescii, Jeremi z Pragi, św. Brygida ze Szwecji – każde pokolenie знаło kilku gorliwych krytyków. Część z nich kończyła na stosie, część zaś na

ołtarzach, żaden jednak nie wywarł większego wpływu na działania papieża. Sam Leon X był świadkiem wstępu i upadku jednego z takich ludzi. Podczas wygnania Medyceusza Girolamo Savonarola rządził we Florencji jako swego rodzaju król-kapłan. Będąc pewnym swojego poparcia wśród mieszkańców, nie wahał się miotać pod adresem Rodriga Borgii obelg wielokrotnie mocniejszych niż kulturalne argumenty, które Luter kierował do zasiadającego na papieskim tronie Medyceusza. Nie dziwi więc fakt, że Savonarola podzielił los wszystkich gwałtownych reformatorów. Owszem, Aleksander VI podpisał na niego wyrok śmierci, lecz stos podpalili z ochotą ci sami Florentyńczycy, którzy jeszcze niedawno podziwiali jego triumf.

Leon X zapomniał jednak o pewnym istotnym fakcie. Ludzie wspierający Savonarolę rekrutowali się spośród najkapryśniejszych poddanych miasta, w którym niepokoje stanowiły normę, zaś poplecznicy Lutra należeli do tego samego narodu, z którego wywodzili się znani ze spokoju i sumienności niemieccy służący, dbający o czystość papieskich stajni. Otton I, który sześć wieków wcześniej przekształcił swoje państwo w Święte Cesarstwo Rzymskie, czuł się Sasem w nie mniejszym stopniu niż Marcin Luter Niemcem. Obaj mieli też wielu oddanych zwolenników, którzy uważali ich za wykonawców woli Boga i nie wahali się wesprzeć swoich przywódców zarówno złotem, jak i żelazem. Włosi z kolei nie poczuli się do udziału w świętych wojnach, kierując swoją energię raczej na walkę z rodakami. Jednak nawet gdyby papież wystąpił przeciwko Lutrowi z pozycji autorytetu, zostałyby powstrzymane przez gąszcz politycznych układów, chroniących przyszłego proroka Reformacji, który sam nie wiedział nawet, z jak dużym zainteresowaniem obserwowany jest przez najwyższe władze. Władcy Niemiec byli wiernymi synami Kościoła, lecz jednocześnie nie mieli zamiaru przepuścić żadnej okazji umocnienia swej pozycji w rozdartej konfliktami Europie. Ówczesny cesarz Maksymilian chciał zyskać pewność, że cesarska korona pozostanie w dynastii Habsburgów, zaś król Francji Franciszek I nie widział powodów, dla których on sam nie miałby zostać cesarzem w miejsce Karola, syna Maksymiliana. Uwikłany w europejską politykę papież wcześniej czy później musiał opowiedzieć się po jednej ze stron.

Na razie jednak wykazujący wielkie zamięłowanie do naukowych dysput Leon X zareagował na wydarzenia w Niemczech w sposób nader łagodny. Zgodził się z zarzutem zbyt dużego uproszczenia nauki o odpustach, a następnie wydał edykt, zabraniający nadużyć w ich sprzedaży. Nuncjusz papieski, Karl von Miltitz, skrytykował zachłannego Tetzela tak silnie, że kontynuowanie przez niego misji straciło jakikolwiek sens. Z kolei Luter nie wykazywał większych zapędów reformatorskich, przez co wizja porozumienia ze Stolicą Apostolską wydawała się całkiem realna. Niestety, zarówno Leon X, jak i Marcin Luter znajdowali się w sytuacji, która całkowicie odbierała im możliwość manewru.

Erazm z Rotterdamu zauważył, że we wczesnym okresie wyłącznie Luter opowiadał się po stronie uczonych. „Nie wiem, jak to się stało, lecz faktem jest,

iż przeciwnicy Lutra byli jednocześnie wrogami nauki. Dzięki temu miłośnicy zgłębiania wiedzy opowiadali się w tym sporze po stronie Lutra, gdyż w przeciwnym razie postępowaliby wbrew własnym interesom²². Niechętny szorstkiej, bezkompromisowej postawie nowego reformatora i najprawdopodobniej obawiający się większych zmian, Erazm wystąpił przeciwko Lutrowi. Niemniej jednak przeciwnicy Erazma twierdzili, że sukces odszczepieńców możliwy był między innymi dzięki chłodnej, cynicznej ocenie papieżstwa, z której zasłynął autor *Pochwały głupoty*. Stwierdzenie, że „on właśnie złożył jajo, które następnie wysiedziały Luter”, miało w sobie wiele prawdy.

Jednym z największych ciosów dla Leona X był jednak fakt, że grupa inteligentnych, wykształconych ludzi, których on sam zaprosił na swój dwór i utrzymywał przez lata, nie chciała włączać się w narastający konflikt. Francesco Guicciardini, florencki polityk i historyk, podsumował przyczynę tego stanu rzeczy w jasny i szczery sposób:

Nikt chyba nie jest tak zniesmaczony ambicją, zawiścią i zachłannością tutejszych księży (...). Niestety, piastując moje stanowisko przez okres pontyfikatu kilku papieży, nie mogłem nie polegać na ich wsparciu. Gdybym jednak był kimś innym, nie wahałbym się wesprzeć Lutra. Nie dlatego, że nie podobają mi się prawa, jakimi rządzi się świat chrześcijański, lecz po to, aby ujrzeć tę sforę kundli zmuszoną do zrezygnowania z pokus lub zdania swojej władzy²³.

Sam Luter nie byłby w stanie lepiej podsumować powodów, które skłoniły go do wystąpienia przeciwko papieżowi.

Przy takim obrocie spraw główny obowiązek obrony papieżstwa spadł na ludzi kiego wykształconych, którzy naprawdę postrzegali Lutra jako niemieckiego potwora i, niezdolni do opanowania delikatnych narzędzi klasycznej retoryki, atakowali go za pomocą sprawdzonych od wieków ryszotkowych kalumnii. Nic dziwnego, że nie mieli większych szans w starciu z doktorem teologii, któremu wykształcenie oraz intelekt pozwalały z równą łatwością radzić sobie w uczonej dyspacie i karczemnej pyskówce. Luter znał Rzym na tyle dobrze, by do ataków pod adresem papieżstwa dodawać kąśliwe uwagi osobiste. W 1511 roku przebywał w mieście jako pielgrzym, co później wyrzucał sobie dość często, gdyż jak pisał: „Uganiałem się tam od jednego kościoła do drugiego, wierząc w opowiadane przez nich plugawe brednie. Uczestniczyłem też w tuzinie mszy, żałując, że moi rodzice wciąż żyją, gdyż z pewnością wykupiłbym ich tym od czyścicowych ogni²⁴”.

W swoich atakach na Rzym Luter wykorzystywał też plotki, które docierały do jego uszu różnymi kanałami. Jeśli piekło istnieje, na pewno mieści się pod Rzymem, a może, jak mówią niektórzy, w samym Rzymie. Nawet gdyby pogański cesarz Tyberiusz w istocie był takim potworem, jakim przedstawia go Swetoniusz, to można byłoby go uznać za anioła w porównaniu z dzisiejszymi możnymi Kościoła. Mówi się, że wieczerzę podaje im do stołu przynajmniej 12 nagich panien²⁵. Ostatnie z tych oskarżeń zrobiło furorę w Niemczech, gdyż powszechnie

przyjęto, że miłośnik wyszukanej abstrakcji, jakim był Leon X, z pewnością byłby w stanie rozkoszować się groteskowym zestawieniem mięsiwa i nagiego ciała.

Kwestią otwartą pozostaje pytanie, czy to Italia została zepsuta przez papieństwo, czy też może relacja była odwrotna. Większości mieszkańców północnej Europy Półwysep Apeniński wydawał się jedną wielką krainą zepsucia, które mamiło lub odstręczało, w zależności od charakteru odwiedzających to miejsce podróżnych. Roger Ascham pisał:

Byłem raz w Italii, lecz dziękuję Bogu, iż musiałem przebywać tam jedynie przez dziewięć dni. W tak krótkim czasie ujrzałem w jednym małym mieście więcej okazji do grzechu, niż widziałem ich w całym Londynie przez dziewięć lat. Wyglądało to tak, jakby wolno było grzeszyć nie tylko bez żadnej kary, ale również bez zwrócenia na siebie uwagi. Na człowieka grzesznego i czystego patrzą tam jednakowo, podobnie jak w Londynie nikt nie rozróżnia ludzi noszących buty od tych noszących cizmy²⁶.

Włosi mogli naśmiewać się z wydelikacanych angielskich pedantów, lecz chętnie przyłączyli się do ciskania obelg pod adresem papieństwa. Watykan nie był największą ani najbogatszą z włoskich potęg, a sam Rzym również nie wydawał się bardziej zepsuty niż jakiegokolwiek inne miasto na półwyspie. Neapol, Wenecja czy Mediolan cieszyły się większymi dochodami niż papież, a zdeprawowane zwyczaje Neapolitańczyków i Wenecjan znane były w całej Europie.

Mimo to właśnie Rzym stał się głównym celem satyryków i moralistów. Dwa wieki wcześniej ten sam Giovanni Boccaccio, który bez skrupułów odsonił blaski i cienie neapolitańskiego życia, wypowiedział słowa coraz częściej powtarzane w czasach Leona X: „Jeśli chcecie nawrócić żyda, wyślijcie go do Rzymu. Obyczaje papieskiego dworu z pewnością zmuszą go do przyjęcia wiary, która jest w stanie wytrzymać taki wstyd”. Specyficzny wpływ odrodzenia sprawił zaś, że od czasów Boccaccia zwyczaje wykształconych, inteligentnych i niezależnych ludzi, jakimi byli Rzymianie, zyskały niewątpliwy polor, ulegając jednocześnie silnemu, wręcz karykaturalnemu wzmocnieniu.

„Przymioty te, odstręczające same w sobie, urastają do rangi zbrodni, gdy charakteryzują się nimi ludzie kroczący ścieżką, która nierozzerwalnie wiąże ich z Bogiem”²⁷, zapisał Guicciardini. Ten kontrast napełniał pogardą tak Niemców, jak i Włochów, zwłaszcza tych, którzy mieszkali na obrzeżach kraju, z dala od centrum największego zepsucia. Należy przy tym pamiętać, że zasiadający w Rzymie papież był nie tylko najwyższym kapłanem, lecz również ziemskim władcą. Owszem, jego pretensje do uniwersalistycznej władzy zostały obalone, jednak posiadane ziemie i wpływy czyniły go jednym z ważniejszych monarchów Europy. Do Rzymu przybywali więc ambasadorowie wszystkich innych potęg, a każdy z nich chętnie i często sięgał do skarbcza, by godnie reprezentować swój kraj, kupując przy tym przychyłność dworu papieskiego. Poza tym z każdym dyplomatą przybywał orszak jego służących, z których prawie każdy miał ochotę zasmakować rozkoszy oferowanych przez Wieczne Miasto, zaś

zawsze gotowi do ubicia interesu Rzymianie chętnie dostarczali według życzenia relikwii, kobiet, odpustów czy starożytnych posągów.

Wyższe warstwy społeczeństwa poszukiwały bardziej wyszukanych rozrywek. Te jednak prostym pielgrzymom wydawały się jeszcze bardziej ohydne, gdyż wśród wzmiankowanych możliwych znajdowali się również najwyżsi rangą urzędnicy kościelni, żyjący tu jak książęta. Nawet niektórzy uczestnicy niekończących się uczt nie kryli swojego zażenowania i niesmaku. Wenecki ambasador, przyzwyczajony wszak do życia w luksusie, opisywał ze zdumieniem, jak pod koniec jednej z tych gargantuicznych wieczerzy goście „powstali od stołów uginających się od przeróżnych potraw, ogłuszeni nieustającą muzyką”, by udać się na kolejne przygotowane przez gospodarza atrakcje. Gdy piękna Izabela d'Este przez cztery miesiące przebywała z oficjalną wizytą na dworze Leona X, Rzym jawił się jej jako ziemski raj, w którym wystarczyło tylko wypowiedzieć życzenie, by natychmiast zostało ono spełnione.

Wczoraj Jego Miłość Lorenzo de Medici podjął nas w swym domu obiadem. Byliśmy tam świadkami wspaniałej walki byków, podczas której zabito cztery spośród tych okazałych zwierząt. Gdy zapadł zmierzch, oddaliśmy się na jakieś trzy godziny przyjemnościom tańców. Na balu obecni byli kardynałowie Aragon, d'Este, Petrucci oraz Cibo, wszyscy zamaskowani, lecz wieczierający tam kardynałowie Bibienna i Cornaro nie kryli swych obliczy za maskami. Między nami przebywali również siostry papieża oraz jego bratanek. Później udaliśmy się na trwający jakieś dwie godziny niezwykle wyszukany bankiet, po czym powróciliśmy do tańców, na których bawiliśmy się do godziny ósmej²⁸.

Leon X korzystał ze wszystkich przyjemności życia. Na walkach byków, polowaniach, balach, bankietach, przedstawieniach, koncertach – gdziekolwiek przebywał, korpulentny papież zawsze promieniował spokojem i humorem, ciesząc się radością innych uczestników zabaw. „Bóg dał nam papieństwo, więc z niego korzystajmy”.

Luter przyjął opowieści o zepsuciu Rzymu za dobrą monetę, czego dał wyraz w liście do papieża. Pismo to nosi cechy przyjacielskiej rady, o ile autor nie posłużył się tym chwytem dla osiągnięcia efektu ironii. Można jednak odnieść wrażenie, że Luter w rzeczywistości nie winił Leona X za krytykowany stan rzeczy i odnosił się do niego raczej przyjaźnie.

Jesteś jak owca pośród wilków, niczym Daniel w jaskini lwów lub też jak Ezechiel wśród skorpionów. Rzymski dwór, którego ani Wy, ani żaden człowiek nie jest w stanie obronić przed zarzutem przeżarcia korupcją, który może równać się z zepsuciem Babilonu czy Sodomy, stał się ostatnio siedliskiem ludzi jawnie i skrajnie sztychających z boskich praw. Dlatego też jego los jest przesądzony: gniew boży spadnie na niego, gdyż dwór unika porady, zaś zmian się obawia. „Wyleczyliśmy Babilon, lecz bezskutecznie. Dlatego też musimy go opuścić”. Zawsze ubolewałem nad Wami, Leonie, że zostaliście wybrani na najwyższy urząd w tak niesprzyjających czasach²⁹.

Dwudziestego ósmego czerwca 1519 roku wnuk cesarza Maksymiliana został koronowany na cesarza Karola V i duża część Europy znalazła się pod rządami tego cichego, bladego, 22-letniego młodzieńca. W dwa lata później Karol zwołał w Wormacji posiedzenie, na którym postanowił rozpatrzyć kilka niecierpiących zwłoki spraw, między innymi kwestię ekskomunikowania Marcina Lutra. W wyniku obrad ekskomunika została wsparta cesarskim zakazem szerzenia jego tezy i Leon X mógł uznać, że kłopotliwy mnich nie będzie już przysparzać Kościołowi trosk. Luter, choć spalony wyłącznie *in effigie*, wycofał się z życia publicznego i zamknąwszy w wartburskim klasztorze, nie mógł brać czynnego udziału w polityce Niemiec i Włoch. Papież i cesarz zawarli porozumienie i w miesiąc później niemieckie wojska zasilły szeregi papieskiej armii w Italii. Lorenzo co prawda nie żył, lecz wciąż żyli dwaj młodzi Medyceusze, którzy, choć pochodzący z nieprawego łoża, mogli stać się założycielami nowej dynastii. Pod koniec roku, kiedy wojska francuskie wycofywały się z Italii, zapewniono im wpływy we Florencji. Pierwszego grudnia 1521 roku Leon X otrzymał wiadomość o przejściu Parmy przez swoje wojska. Wieczorem tego samego dnia umarł. Mówiono, że radość ze zdobycia miasta okazała się zbyt wielka dla chorującego od kilku dni papieża. Inni z kolei utrzymywali, że został otruty. Rzymianie, którzy bardzo skorzystali na hojności Leona X, zaaresztowali papieskiego podczaszego, który jednak został zwolniony, gdy śledztwo wykazało jego niewinność. Oskarżenia i plotki krążyły jeszcze przez jakiś czas, lecz nie znaleziono żadnych dowodów na ich potwierdzenie.

Leon X umarł szczęśliwy. Udało mu się bowiem osiągnąć to, czemu nie podołał Juliusz II, a mianowicie zobaczyć wycofujących się z kraju Francuzów. Cesarz wciąż traktował papieża z respektem, Luter ukrywał się przed władzą, rodzina Medyceuszy uzyskała silne wpływy w kraju, Rzym zaś nadal był perłą w koronie renesansowej Italii. Nie można było też odmówić papieżowi pozytywnego wpływu na odrodzeniową kulturę. Juliusz II sprowadził do Rzymu wielu artystów, zarażając ich swoją niespożytą energią, lecz to na pontyfikat Leona X przypada okres, w którym stworzono największe dzieła złotej ery odrodzenia. Wielu szczerze żałowało odejścia tak znamienitej osoby, ale chyba nikt nie ronił łez obficie niż bankierzy i bogaci kardynałowie, którzy chętnie pożyczali młodemu papieżowi pieniądze, ufając w odzyskanie swych inwestycji. Niestety, żadna z pożyczek nie została zwrócona, gdyż w chwili śmierci papieża jego skarbiec świecił pustkami.

VII

Ostatnie dni Italii

Giulio de Medici

Papież Klemens VII (1523–1534)

Giulio de Medici

Podczas konklawe, którego początek wyznaczono na 1 października 1523 roku, miejsce kardynała Giulia de Medici znajdowało się pod obrazem Perugina, przedstawiającym św. Piotra otrzymującego klucze do rajów. Wielu potraktowało to jako omen, gdyż kilkanaście lat wcześniej na tym samym miejscu zasiadał tuż przed obiorem Juliusz II.

Giulia de Medici przez całe życie spotykały takie właśnie szczęśliwe zbiegi okoliczności. W rzeczy samej, nie powinien on w ogóle zasiadać w tym szacownym gronie, gdyż był dzieckiem z nieprawego łoża. Choć pochodzenie takie nie stanowiło wówczas społecznego piętna, eliminowało kilka zdolności prawnych, zwłaszcza w kwestii kariery kapłańskiej. Gdyby sprawy potoczyły się zwykłym torem, Giulio mógłby zostać co najwyżej pomniejszym urzędnikiem, szczącym się płynącą w jego żyłach krwią Medyceuszy i mogącym liczyć na drobną pomoc ze strony tego rządzącego Florencją rodu. Udało mu się jednak zostać nie tylko kardynałem, ale również osiągnąć status *papabile*, czyli jednego z kardynałów, na których Rzymianie stawiali, klóćąc się to, kto obejmie najwyższy urząd w Kościele.

Kiedy Giulio uczył się chodzić, los dał o sobie znać po raz pierwszy. Dzięki nieznanemu mordercy trafił bowiem z podrzędnej florenckiej dzielnicy do pałacu Medyceuszy. Nikt nie wiedział, kim była jego matka, choć zakładano, że musiała być dość piękna, by przyciągnąć wzrok jego ojca, młodego i przystojnego Giuliana de Medici, brata Lorenza zwanego il Magnifico. Giuliano również nie przejmował się jej losem, gdyż powszechnie przyjęte było, by młody szlachcic swobodnie folgował swoim żądom. Dopóki nie stał się obiektem skandalu i póki w odpowiednim momencie nie wszedł w legalny związek małżeński, poparty interesem rodu, dopóty jego romanse stanowiły jego prywatną sprawę. Gdyby Giuliano w ogóle zainteresował się jego istnieniem, najprawdopodobniej oddałby swemu nieślubnemu synowi jeden z własnych domów, by mógł dorastać w przyzwoitych warunkach. Niestety, nie dane mu było poczynić w tej kwestii żadnych planów, gdyż pewnej kwietniowej niedzieli 1478 roku

został zasztyletowany we florenckiej katedrze, padłszy ofiarą spisku mającego na celu obalenie władzy Medyceuszy w mieście.

Lorenza również zaatakowano, lecz udało mu się ująć z życiem. Sam spiszek zakończył się całkowitym fiaskiem, gdyż intryganci nie wzięli pod uwagę temperamentu i zmienności Florentyńczyków. Giuliano cieszył się wielką popularnością, więc wielu jego zwolenników w przypiływie obywatelskiej wściekłości poczęło tropić i linczować zabójców. Niestety, przelana w akcie zemsty krew nie mogła przywrócić do życia Giuliana. Lorenzo, który szczerze kochał swego brata z żarliwością charakterystyczną dla wszystkich Medyceuszy, szybko dowiedział się, że we Florencji przebywa pewna kobieta, która niedawno powiła syna, będącego najprawdopodobniej dzieckiem Giuliana. Odnalezienie jej w liczącym 100 000 mieszkańców mieście nie było trudne, dziewczyna zaś nie miała ochoty ukrywać tożsamości ojca jej potomka. Chętnie oddała dziecko władcom Florencji, dzięki czemu Lorenzo mógł wychować je jak własne.

W chwili śmierci opiekującego się nim wuja Giulio miał zaledwie 14 lat. W innej sytuacji najprawdopodobniej zostałby odsunięty na bok lub wręcz dyskretnie uciszony, lecz i tym razem dała znać o sobie lojalność, jaką członkowie rodziny Medyceuszy darzyli się nawzajem. Opiekę nad chłopcem przejął bowiem Giovanni, drugi syn Lorenza, choć był starszy od swego podopiecznego o zaledwie trzy lata.

Pomiędzy przybranymi braćmi od razu zawiązała się silna więź. Pomimo niewielkiej różnicy wieku, starszy z nich przewodził we wszystkim: spokojny, nieśmiały Giulio niemalże ubóstwiał wszędobylskiego, błyskotliwego i dobrze ułożonego Giovannego. Kiedy zaś Giovanni wspiął się na szczyty wybranej przez ojca kariery i jako Leon X założył na swe skronie papieską tiarę, było rzeczą oczywistą, że Giulio może skorzystać z części zaszczytów, jakie hojnie przypały w udziale przyrodniemu bratu.

Faktycznie, Leon X uznał go za prawowitego dziedzica, wyniósł do godności kardynała, osadził na prestiżowym stanowisku podkanclerzego, a także przyznał mu tytuł władcy Florencji. Giulio starał się zaś wypełniać wszystkie swoje powinności tak sumiennie, jak tylko potrafił. Mając poparcie papieża, w większości przypadków zajmował się zarządzaniem, nie inicjując żadnych poważnych działań. Giulio cieszył się przy tym sporą sympatią, gdyż wydawał się człowiekiem bardzo uczciwym i nieskalanym grzechem wszechobecnego nepotyzmu. Owszem, był niezwykle dumny ze swojego rodu, lecz zlecając Niccolo Machiavellemu opracowanie pierwszej oficjalnej historii Florencji, zastrzegł sobie, by autor opisywał ród Medyceuszy wiernie, unikając popadania w służalcze pochlebstwa pod adresem swego mecenasa, tak często spotykane w ówczesnych biografiiach.

Nazwisko Medyceuszy odegrało niepoślednią rolę w chwili, gdy wraz z 35 innymi kardynałami wszedł na konklawe. Przez ostatnich 20 miesięcy, które upływały od śmierci poprzedniego Medyceusza zasiadającego na tronie piotrowym,

Rzym nie zyskał w zasadzie niczego. Wybór następcy Leona X, papieża Hadriana, okazał się całkowicie chybiony i spora część kardynałów otwarcie twierdziła, że musiał on otrzymać tę funkcję wyłącznie z łaski Ducha Świętego. Hadrian, uczciwy i prostolinijny Holender, nie był nigdy wcześniej w Rzymie i w swojej ignorancji wystosował nawet pismo, w którym prosił o przygotowanie mu należytej kwatery, w której mógłby pełnić obowiązki papieża, zaś tuż po przybyciu do Watykanu wydawał się zachowywać jak barbarzyńca przerażony pogańskimi zbytkami Wiecznego Miasta. Ponadto kiepsko znał łacinę i był święcie przekonany, że obowiązkiem papieża jest dawanie dobrego przykładu innym chrześcijanom. Kiedy zmarł w niecałe dwa lata po objęciu władzy, zwykło się mówić, że przyczyną zgonu była straszliwa zgryzota na widok zepsucia panującego wśród najwyższych kapłanów. Niezwykle uradowani śmiercią Hadriana Rzymianie zasugerowali wystawienie pomnika jego osobistemu lekarzowi, a także z zainteresowaniem przyjęli wieść, że jednym z kandydatów do papieskiego tronu jest Medyceusz, który mógł przywrócić splendor Złotego Wieku, jak potocznie nazywano pontyfikat Leona X.

Konklawe jednak przeciągało się nad wyraz długo. Oczywiście było, że na wybór papieża zawsze wpływ miała polityka wszystkich państw włoskich, lecz tym razem do gry włączyły się też ościenne mocarstwa europejskie. Ktokolwiek objąłby stanowisko papieża, musiałby jednocześnie opowiedzieć się po stronie jednej z dwóch frakcji, ścierających się na kontynencie. Na czele jednej z nich stał młody Franciszek I, król Francji, drugiej z kolei przewodził święcący triumfy Karol V, władca Hiszpanii, piastujący też urząd cesarza. W takim układzie niemożliwe było zachowanie neutralności.

Zatarg pomiędzy królem a cesarzem, który później miał się przerodzić w otwartą wojnę, podzielił również kardynałów. Za pontyfikatu Leona X, Giulio de Medici gorąco popierał Hiszpanów. Obecnie cesarz traktował go jako osobistego kandydata, frakcja hiszpańska zaś była zwarta i wewnętrznie spójna. Francuzi również wydawali się potężni, dlatego też ich przeciwnicy, nie zważając na protesty francuskich kardynałów, rozpoczęli przygotowania do konklawe, choć kilku przedstawicieli tych ostatnich wciąż nie dotarło do Rzymu. Tuż przed pierwszym zliczaniem głosów, 8 października, trzech Francuzów otwarło bramę, przedarło się przez szeregi obecnych i, wciąż w podróżnych strojach, zażądało dołączenia ich do grona obecnych.

Giulio postanowił osłabić konkurencję za pomocą prostej i typowo medycznej sztuczki opierającej się na tym, że nie wszyscy jego przeciwnicy byli jednocześnie wrogo ustosunkowani do Hiszpanów. Przykładowo, Pompeo Colonna nie przepadał za Medyceuszami i choć był zwolennikiem cesarza, to na swoich popiecznikach wymusił przyrzeczenie, że pod żadnym pozorem nie będą głosować na Giulia. Collona wystawił własnego kandydata, który miał zyskać sobie jednogłośnie poparcie Francuzów, a następnie udał się na rozmowę z bratem Leona X i zakomunikował mu, że w tym układzie stracił on wszelkie szanse

powodzenia. Giulio podpisał umowę, zgodnie z którą godził się głosować na kandydata Colonna w zamian za głosy tego ostatniego, gdyby jego pierwszy kandydat mimo wszystko nie zwyciężył, a następnie spokojnie udał się na głosowanie. Wiedział on bowiem coś, o czym Pompeo nie miał pojęcia, a mianowicie to, że Francuzi nie zamierzali popierać kandydata Colonna.

Gdy ogłoszono wyniki głosowania, Colonna musiano siłą powstrzymać od rzucenia się na Francuzów. Nieposiadający się z wściekłości kardynał miotał obelgi pod adresem swoich dawnych sprzymierzeńców, oskarżając ich o zdradę, a następnie skierował swój gniew przeciwko Medyceuszowi. Ten spokojnie odczekał, aż Pompeo dojdzie do siebie, po czym przypomniał mu, że zgodnie z podpisaną umową oczekuje wsparcia jego frakcji przy następnym głosowaniu. Wszyscy uczestnicy konklawe wiedzieli też, że sam Colonna przyrzekał nie głosować na Giulia, i zastanawiali się, którą umowę zdecyduje się złamać nieszczęsny kardynał.

Ciągłe przegrupowania pomiędzy frakcjami zaczęły przedłużać konklawe i 13 października, pod murami Watykanu zebrał się tłum Rzymian, głośno żądających obrania nowego papieża. Zirytowani kardynałowie kazali obwieścić następującą wiadomość: „Jeżeli wcześniej godziliście się na cudzoziemca na stanowisku papieża, damy wam następnego, tym razem z Anglii”. Chodziło w tym przypadku o kardynała Wolseya, który na początku konklawe uważał się praktycznie za następcę Hadriana. Rzymianie nie pozostali dłużni, odpowiadając: „Możecie wybrać i drewniany pień, byleby tylko zasiadł na papieskim tronie”¹.

Przedłużające się konklawe i związane z nim zagrożenia zawsze budziły niepokój władz miejskich. Jako że zarząd nad wyborem papieża znajdował się w rękach władz świeckich, urzędnicy, dotychczas niezajmujący się zbyt całą sprawą, postanowili zastosować specjalne środki w celu przyspieszenia rozwiązania. Ordynacja konklawe zakładała, że kardynałowie muszą być zgromadzeni w jednej sali o zamurowanych oknach i zamkniętych wejściach za wyjątkiem małych kuchennych drzwiczek, przez które możliwe będzie dostarczanie potraw. Jednak fakt wejścia trzech francuskich kardynałów na teoretycznie zamknięte konklawe świadczy o tym, że przepisów tych nie przestrzegano zbyt sumiennie. Oczywiście, przez całe sześć tygodni trwania obrad kardynałowie byli w stanie swobodnie komunikować się ze światem zewnętrznym.

Mimo to rajcy miejscy mieli w zanadru jeden, bardzo skuteczny zresztą, sposób na ociążających się z decyzją uczestników konklawe. Jeśli papież nie został wybrany w ciągu pierwszych trzech dni, posiłki dostarczane kardynałom stawały się coraz uboższe. Przepisu tego przestrzegano bardzo sumiennie i od 4 października każdy z kardynałów otrzymywał jedno danie na obiad i kolację, zaś po upływie kolejnych pięciu dni jego dietę ograniczano do chleba, wody i wina.

Odcięcie od świata i skąpe posiłki jedynie zaogniały wewnętrzne spory. Po miesiącu przebywania w zamkniętym pomieszczeniu, do którego docierało niewiele

świeżego powietrza, a jeszcze mniej światła, nawet młodszy kardynałowie zaczęli odczuwać pierwsze oznaki klaustrofobii, a pamiętać należy, że większość zgromadzonych stanowili ludzie w podeszłym wieku. Francuzi protestowali przeciwko warunkom, w jakich mieszkali, i domagali się, by każdego dnia pozwolono im wyjść do ogrodów Belwederu. Konklawę zostało na krótko zawieszono, by nadzorca mogli sprawdzić cele i uprzątnąć je z nieczystości, lecz po wznowieniu obrad wprowadzono wszystkie możliwe obostrzenia.

Dieta oparta na chlebie i wodzie skutecznie wymusiła na kardynałach decyzję, lecz równie ważnym czynnikiem była z pewnością wieść, że pomiędzy Francją a Hiszpanią znów wybuchła wojna, w której cesarz odniósł zwycięstwo. Gdy wiadomość ta dotarła do uszu Pompea Colonna, nie miał on innego wyjścia, jak zdecydować się na złamanie umowy danej swoim stronnikom. Ci szybko rozwiązyali między sobą ślubowanie co do sprzeciwu wobec elekcji Medyceusza i 17 listopada żądaną liczbę głosów otrzymał Giulio de Medici, który przyjął pontyfikalne imię Klemensa VII. Hiszpańscy ambasadorzy pospieszyli zanieść swojemu władcy radosną wieść. „Nowy papież jest całkowicie Wam oddany. Wasza potęga jest tak wielka, że nawet kamienie stają się posłuszne niczym dzieci”². Kto wie, może los Italii byłby lepszy, gdyby papież faktycznie chciał podporządkować się cesarzowi.

Pochodzący z rodu Medyceuszy papież Leon cieszył się powierzchownością bardziej właściwą raczej dla pospolitego rzeźnika. Z kolei papież Klemens, pochodzący z nieprawego łoża, stanowił wcielenie włoskiego arystokraty, odziedziczywszy po nieznannej matce doskonałą sylwetkę. Był wysoki, szczupły i pomimo dziwnego przebarwienia w lewym oku, imponował wielu swą wyniosłą urodą. Przybrani bracia różnili się też charakterami. Otwartość i wesołość Leona X kompensowały niedostatki wyglądu, ponure i podejrzliwe usposobienie Klemensa VII szybko niwelowało oddziaływanie majestatycznej postawy. Guicciardini pisał, że nowy papież „był raczej kłótlivy i pełen złości, mówiono o nim, że jest zachłanny, zdradliwy i z natury niezdolny do uprzejmości”³. Zważywszy na bardzo dobre stosunki pomiędzy Guicciardinim a Giuliem de Medici, można przyjąć, że ów niemiły opis jest jednocześnie dość trafny.

Jednak pomimo niezbyt dużej popularności Klemens VII obejmował władzę, ciesząc się sporym kredytem zaufania. Podczas krótkiego, lecz pamiętnego pontyfikatu Hadriana wszyscy artyści, których papież wypędził z Watykanu, trafiali do pałacu Medyceuszy. Tam starali się podtrzymać atmosferę Złotego Wieku, by ponownie przywrócić jej klimat w bardziej sprzyjającym czasie. Giulio starał się zaś być dobrym mecenasem, zarówno piastując urząd kardynała, jak i po obiorze na tron papieski. Fakt, że w dniu jego elekcji podjęto zawieszono przez Rafaela prace malarskie w watykańskiej Sali Konstantyna, był z pewnością zbiegiem okoliczności, lecz powszechnie traktowano go jako dobrą wróżbę.

Papież Klemens VII poszedł też w ślady swego brata, zlecając nadwornym artystom uwiecznienie go na jednym z obrazów o treści historycznej. Na obrazie

Chrzest Konstantyna występuje jako św. Sylwester, mityczny następca bizantyjskiego władcy i dziedzic Cesarstwa Zachodniego. W kontekście przyszłych wydarzeń portret ten miał wydźwięk niezwykle ironiczny. W odróżnieniu od Leona X Klemensa VII nie cechowały jednak szerokie zainteresowania. W kwestii sztuki przedkładał biżuterię nad inne wytwory rąk artystów i rzemieślników, a spośród otaczających go ludzi najbliższą związał się z pyszałkowatym, zabójczo niebezpiecznym i genialnym zarazem Benveutem Cellinim. W *Autobiografii* ten sam Cellini, który nigdy nie przegapił okazji, by zniszczyć czyjąś reputację, opisywał w samych superlatywach papieża, którego jednoznacznie potępiali nawet najbardziej obiektywni kronikarze. Papież cenił jednak sobie towarzystwo tego człowieka: obracając w palcach drogocenną spinkę i dyskutując o walorach estetycznych pięknej wazy, Klemens VII był w swoim żywiole.

Wszystkie cechy, które czyniły z Giulia de Medici doskonałego zarządcę, okazały się niezwykle kłopotliwe na nowym stanowisku. Gdy był kardynałem i wykonywał polecenia swego brata, jego umiejętności budziły podziw, lecz teraz czekało go przejęcie inicjatywy i ustalenie kursu polityki, któremu to zadaniu nie potrafił sprostać. Marco Foscarini, wenecki ambasador przy kurii, miał możliwość obserwowania Klemensa VII przez ponad cztery lata, dzięki czemu spod jego pióra wyszła chyba najpełniejsza charakterystyka tego papieża, stworzona na potrzeby władz Wenecji.

Papież ma 48 lat i jest człowiekiem rozsądnym, lecz powolnym w podejmowaniu decyzji, co tłumaczy jego liczne potknięcia. Potrafi się wysławiać, jest spostrzegawczy, lecz brak mu energii do działania. W ogóle nie panuje nad sprawami państwowymi, gdyż słucha każdego, kto ma mu coś do przekazania, a następnie działa zgodnie ze swoją wolą, puszczając poprzednie informacje mimo uszu. Mimo wszystko jest jednak sprawiedliwy i bogobojny. Jeśli podpisze petycję, nigdy jej nie odrzuca, jak zwykł czynić papież Leon. Nie wycofuje również nadań i nie sprzedaje ich. Niczego nie oddaje ani nie odstępuje, co przyniosło mu opinię skąpca. Papież Leon chętnie pozbywał się majątku, lecz Klemens stanowi jego całkowite przeciwieństwo, ku niezadowoleniu mieszkańców Rzymu. Owszem, przyznaje spore jałmużny, lecz nawet obdarowani nie darzą go sympatią. Sam żyje w warunkach skromnych i stroni od przepychu; nie słucha muzyki, nie ogląda przedstawień i występów, nie uczestniczy w polowaniach ani w innych rozrywkach. Od czasu objęcia władzy zaledwie dwa razy opuścił Rzym na dłużej, by pojechać do Magliany, bardzo rzadko też bywa w swojej winnicy oddalonej zaledwie o dwie mile od miasta. Wydaje się, że jedyną przyjemnością, jakiej się oddaje, są rozmowy o akweduktach, jakie toczy z budowniczymi⁴.

Klemensowi zdecydowanie brakowało uroku Medyceuszy, dzięki któremu Leon potrafił przekonywać wszystkich do swojego zdania, nawet gdy nie miał żadnych argumentów. Trzeźwy rozsądek i oszczędność ewoluowały u niego, zdaniem Foscariego, w stronę oziębłości i zachłanności. Papież musiał jednak

być zachłanny, ponieważ odziedziczył pusty skarbiec. Leon po prostu zaciągnąłby następną pożyczkę, gdyż zawsze znalazłby się jakiś bankier gotów uwierzyć w jego zapewnienia. Klemens miał zaś bardzo poważne kłopoty ze zdobyciem gotówki, gdyż nikt chciał udzielać mu kredytów, choć jego wiarygodność była znacznie większa niż przyrodniego brata. Foscari, wyczulony na opinie ulicy, zanotował, że oszczędności papieża „spowodowały szemranie wśród Rzymian”. Mieszkańcy miasta mieli nadzieję przywrócenia wystawnych świąt, z których zasłynęli Medyceusze, i czuli się oszukani przez nowego papieża. Nie zwrócili się jednak przeciwko Klemensowi, zadowolając się odwróceniem się od niego, więc gdy nadszedł dla papieża dzień próby, okazało się, że został sam na placu boju.

Niezdolność do wzbudzenia posłuchu była poważną wadą, lecz i tak blakła ona w porównaniu z nieumiejętnością podejmowania decyzji. Być może wynikała ona po trosze ze zbyt dużej wrażliwości i nadmiernej wyobraźni. Zaraz po znalezieniu rozwiązania papież dostrzegał problemy, które to rozwiązanie przyniesie, i popadał w niekończący się łańcuch rozważań. Wenecjanie złośliwie przezwali go „i chciałbym, i boję się”, zaś Francesco Guicciardini, który szanował go jako kardynała, zaczął otwarcie występować przeciwko niemu jako papieżowi. Latem 1525 roku, kiedy nad krajem wisiało widmo wojny z Hiszpanią, przybył on jednak do Rzymu na specjalną prośbę Klemensa VII, by wesprzeć go swoim politycznym doświadczeniem.

Guicciardini przedstawiał papieżowi aktualną sytuację w prostych, rzeczowych słowach, Klemens nie mógł więc przynajmniej narzekać, że pochlebstwa ponownie zmąciły przejrzystość informacji. Ponadto, doradca co chwila przypominał, że „złe jest podjąć złą decyzję, lecz najgorzej nie podjąć żadnej”. Papież musiał coś postanowić. Pomoc jednej stronie oznaczała obelgę pod adresem drugiej, lecz przynajmniej można było być pewnym lojalności wybranego sojusznika. Próba zadowolenia wszystkich musiała zaś zakończyć się katastrofą.

Nic nie stanowi lepszego przykładu rozterek Klemensa VII niż złożona i kłopotliwa sprawa rozwodu Henryka VIII Tudora, króla Anglii. Henryk pragnął oddalić swoją aktualną żonę Katarzynę, za podstawę przyjmując fakt, iż jej poprzednie małżeństwo z bratem króla zostało skonsumowane, a zatem technicznie rzecz ujmując, Henryk VIII popełniał kazirodztwo. Oczywiście, każdy wiedział, że król planuje powtórny ożenek, lecz Klemens VII, jak założyli Anglicy, nie mógł znaleźć żadnego przekonującego precedensu. Henryk zaś pragnął dokładnie tego, co Rodrigo Borgia umożliwił swojej córce Lukrecji.

Papież ze wszystkich sił starał się uczynić zadość pragnieniom Henryka: czy nie ten sam król odważnie, choć w prostych słowach stanął po stronie papieża podczas konfliktu z Lutrem, i czy nie on otrzymał od Leona X tytuł Obrońcy Wiary? Jednak pójście na rękę królowi Anglii oznaczało zatarg z Karolem V, potężnym kuzynem Katarzyny, która ostro sprzeciwiała się twierdzeniom,

jakoby jej pierwsze małżeństwo zostało skonsumowane. Ale kto mógł znać prawdę? Czy należało potępić Katarzynę za krzywoprzysięstwo na podstawie jednego zdania jej zmarłego męża? Niesławny Hadrian rozwiązałby ten problem szybko, lecz myślał on kategoriami prostego wiejskiego pastora, podczas gdy Klemensa VII prześladowały nieustanne wizje politycznych konsekwencji każdej decyzji. Na początku zdecydował się wysłać listy do Henryka VIII i kardynała Wolseya, ostrożnie zgadzając się z roszczeniami króla Anglii, jeśli ten będzie w stanie przedstawić wiarygodne dowody. Następnie szybko odwołał swoje poprzednie słowa, by szukać wsparcia i porady, ostatecznie tracąc poparcie sporej części angielskiej szlachty, która była zgodna co do tego, że głowa Kościoła angielskiego zasiada w Rzymie, nie w Londynie.

Wszystko to nie uszło uwagi Guicciardiniego, który przez długi czas obserwował papieża, by ostatecznie go potępić, jak zrobili to chyba wszyscy. Sporą część niepewności nurtujących głowę Kościoła przypisał zaś faktowi, iż w podczas konfliktu między Francją a Hiszpanią Klemens VII szukał wsparcia przede wszystkim u swoich dwóch ulubionych doradców: Giammatea Gibertiego i Nicholasa von Schomberga, którzy byli sympatykami odpowiednio króla francuskiego i cesarza. Guicciardini nazywał Gibertiego „sercem papieża” Giberti również pochodził z nieprawego łoża, będąc synem genueńskiego kapitana, również dorastał w domu Medyceuszy i tak samo jak Giulio, cieszył się protekcją Leona X. Klemens VII obdarzył go honorowym stanowiskiem sekretarza stanu, gdyż Giberti, podobnie zresztą jak von Schomberg, był człowiekiem honoru.

Lecz nawet w tym momencie papież padł ofiarą swoich zalet, gdyż ci dwaj honorowi, sumienni doradcy, których osobiście mianował, ciągnęli go w dwie przeciwne strony. Żadne działania Francji nie spotykały się z krytyką Gibertiego, podczas gdy zdaniem von Schomberga dobrobyt Italii oraz jego rodzinnych Niemiec leżał w rękach potężnego cesarza. Decyzje papieża odzwierciedlały zaś doskonale równowagę wpływów na jego osobę, jaką dzielili między siebie dwaj doradcy.

Nadciągająca burza

W roku 1523 dwaj mężczyźni, którzy mieli zdecydować o losie Klemensa VII, nie ukończyli jeszcze 30 lat. Cesarz Karol V liczył wówczas 23 lata, zaś król Francji, Franciszek I, o sześć lat więcej. Młodość była chyba jedyną rzeczą, która ich łączyła, lecz nawet i to było wątpliwe, gdyż Karol nie miał szans cieszyć się swoimi młodymi latami, podczas gdy Franciszek nigdy nie dorósł.

Królem Francji okazał się jednym z tych monarchów, których wstąpienie na tron oznaczało dla państwa kulturalne profity, połączone jednak z polityczną stratą.

Wysoce inteligentny, wystarczająco wykształcony, by wśród pochlebców cieszyć się opinią uczonego, był jednak zaślepiony przekonaniem, które doprowadziło francuską monarchię do krwawego upadku, a opierało się na założeniu, że król stoi ponad każdym ludzkim prawem. Jego wysokie mniemanie o sobie nieustannie podsyciała matka, Luiza Sabaudzka, której zaślepienie w stosunku do syna było równie wielkie, co wyrachowanie we wszystkich innych sprawach. To właśnie Luiza pełniła rolę regentki we Francji, gdy jej syn szukał „honoru”, uczestnicząc w sławnych, lecz całkowicie zbędnych z punktu widzenia racji stanu kampaniach wojennych. Ona była też pomysłodawczynią Pola Złotogłowi, które miało olśnić angielskiego króla, gdy Franciszek wybrał się do niego z wizytą. Ona wreszcie, postępując wbrew własnej opinii, zebrała ostatnie pieniądze, by umożliwić jej dumnemu i pysznemu synowi wzięcie udziału w swoisłym przetargu o cesarską koronę. Henryk VIII Tudor również brał w nim udział, lecz wycofał się na wieść o gigantycznych sumach, jakich elektorzy żądali w zamian za poparcie jego kandydata. Franciszek zaś, wspierany przez swoją matkę, wciąż podwyższał stawkę, nie wahając się podnosić i tak już wysokich podatków, by tylko zostać w grze.

Karol Hiszpański ostatecznie zwyciężył, przebijając ofertę pozostałych uczestników rozgrywki, gdyż miał za sobą nieprzebrane bogactwa najpotężniejszego rodu bankierskiego w Europie, którym była rodzina Fuggerów. Szybkość, z jaką Fuggerowie udzielili pożyczki, najlepiej chyba świadczy o wielkości majątku obu władców. Karol V ostatecznie zapłacił za koronę ponad 500 000 sztuk złota, zyskując sobie przy tym zażartego wroga w królu Francji. Możliwość wybuchu wojny między dwoma największymi potęgami, którą wówczas brano pod uwagę, stała się niemal pewnikiem, gdy jednym z władców okazał się pyszny młodzieniec, pewny tego, że został podstępnie pozbawiony przynależnego mu tytułu.

Cesarz Karol V od najmłodszych lat był „skazany na wielkość”, gdyż w jego żyłach płynęła krew kilku najświetniejszych królewskich rodów Europy. W roku 1506, mając zaledwie sześć lat, odziedziczył po ojcu Niderlandy; 10 lat później otrzymał po matce tron Neapolu i zjednoczonej Hiszpanii; gdy ukończył 19 lat, w udziale przypadł mu tytuł arcyksięcia Austrii, wcześniej należący do jego dziadka, cesarza Maksymiliana. Kiedy więc został koronowany na cesarza, szerokie pretensje do władzy zostały po raz pierwszy od kilku stuleci wsparte realną siłą terytorialną.

Potężne koneksje rodzinne nie stanowiły jednak jedyne źródła jego wielkości, gdyż najprawdopodobniej osiągnąłby on podobną pozycję i bez nich. Był bowiem człowiekiem, który w wieku lat 30, znajdując się u szczytu potęgi, odrzucił wszystkie zaszczyty, by resztę życia spędzić jako osoba prywatna. Ogromna odwaga i niezachwiana moralność oraz przenikliwy umysł pozwalały mu wytrwale śledzić i rozwiązywać najbardziej nawet zawikłane sprawy państwowe. Z drugiej strony, potrafił również w bezpośredniej walce postawić na szali własne życie i koronę.

W przeciwieństwie do Franciszka wojna stanowiła dla niego wyłącznie środek, nie zaś cel. Po zwycięstwie pod Pawią, gdzie pokonał wreszcie swego największego przeciwnika, postanowił zrezygnować z majestatycznego triumfu i spędził czas na modlitwach. Zwykł zresztą modlić się codziennie, przez całe życie pozostając skromnym chrześcijaninem, który zawsze dźwigał na swoich barkach brzemień władzy, nawet jeśli często bywało ono bardzo uporczywe. Potrafił być twardy i nieustępliwy w sądach, lecz jednocześnie kochał tych, którzy wiernie mu służyli. Nie był może tak ostentacyjnie wyrafinowany jak Franciszek, lecz potrafił docenić prawdziwy talent, jak w przypadku Tycjana, którego sprowadził na swój dwór, ten zaś odplacił mu się serią wspaniałych portretów, na których ironia, humor i pobłażliwość zdołały prostą, pozbawioną uroku powierzchowność władcy.

Klemens VII, którego los postawił pomiędzy tymi dwoma mężczyznami, już od pierwszych dni pontyfikatu znajdował się w sytuacji bez wyjścia. Konflikt między Franciszkiem a Karolem wydawał się nieunikniony, podobnie jak fakt, że wszystkie swoje pretensje będą rozwiązywać na polach Italii, gdyż każdy z nich był zbyt silny, by pozwolić przeciwnikowi wejść na swoje terytorium, a jednocześnie obaj wysuwali pretensje do majątnego księstwa Mediolanu. Rozsądek podpowiadał papieżowi, by związał się z cesarzem, gdyż elekcja Klemensa VII stanowiła w dużej mierze zasługę Karola, jego przybrany brat zaś nawiązał bardzo dobre stosunki z Hiszpanami, którzy wygnali Francuzów z Italii.

Wszystko jednak komplikował fakt, że Karol V w roli cesarza stawał się kimś innym niż ten sam Karol V na hiszpańskim tronie. Króla Hiszpanii można było uznać za sojusznika, lecz cesarza należało się obawiać. Karol mógł wysunąć roszczenia nie tylko do Mediolanu, lecz także do Neapolu, chwytając Państwo Kościelne w kleszcze. Klemens VII, chcąc nie chcąc, musiał rozpocząć tę samą grę, którą z takim sukcesem prowadził Leon X. Papież postanowił zatem, że wskaże Karolowi zagrożenie ze strony Franciszka, a kiedy będzie to potrzebne – przeprowadzi tę operację odwrotnie. Ciąg wypadków, będących wynikiem tej decyzji, o mały włos nie zakończył się zniszczeniem Rzymu.

We wczesnej fazie swego pontyfikatu Klemens przysięgał neutralność, lecz jeszcze podczas rozmów z cesarzem szybko podpisał sojusz z Francuzami. Kiedy Karol V dowiedział się o tym, jego dworzanie mogli zaobserwować rzecz bardzo rzadką: gniew cesarza. „Pojadę do Italii! – krzyczał. – Pojadę i zemszczę się na tych, którzy mnie zranili, a w szczególności na tym głupcu, któm jest papież. Marcin Luter nie mylił się tak bardzo, jak wcześniej myślałem”⁵.

Jesienią 1524 roku, 18 miesięcy po wyborze Klemensa VII, pod Mediolanem zebrały się dwie wielkie armie. Z północy nadszedł Franciszek, przeciągnąwszy przez Alpy ciężką artylerię, którym to manewrem zyskał sobie uznanie wielu europejskich dowódców, na co zresztą ów pyszny młodzieniec liczył, podejmując ryzykowną próbę. Od południowego zachodu nadciągnęli zaś żołnierze

cesarstwa, choć po klęsce pod Marsylią nie dopisywało im morale. Na ich czele stał konstabl Bourbon, który z powodów osobistych zdradził swego króla i przeszedł na stronę cesarza.

Franciszek spadł na Mediolan niczym jastrzęb na ptactwo, zmuszając do ucieczki cesarski garnizon i obejmując władzę w księstwie. Zachwycony Klemens VII podpisał ów fatalny sekretny układ z rosnącymi w siłę Francuzami, na mocy którego król Francji obiecywał pozostawić w spokoju Państwo Kościelne i chronić Medyceuszy we Florencji, podczas gdy Klemens VII zobowiązywał się uznać Franciszka I za władcę Neapolu i udzielić zgody na przemarsz wojsk francuskich przez swoje ziemie, by mogły one uderzyć na skupionych wokół Neapolu Hiszpanów.

Oszolomiona błyskawicznym francuskim atakiem na Lombardię, armia cesarska zatrzymała się, lecz już w lutym na powrót podjęła zaplanowane działania, zmuszając siły francuskie zajmujące pozycję pod Pawią, by przeszły do defensywy. Generałowie doradzili Franciszkowi, że najrozsądniejszym wyjściem będzie wycofanie się pod Mediolan i odczekanie, aż wojska cesarskie zostaną zdziętkowane przez głód. Pod tym planem podpisał się też Klemens VII, żałujący, że związał się z niedojrzałym młodzieńcem, który, w odróżnieniu od Karola, myślał o wojnie wyłącznie w kategoriach chwały i honoru. Bitwa, która miała nadejść, jawiła się zaś nie jako boje rozproszonych oddziałów, lecz jako walne starcie między pełnymi armiami Francji i Hiszpanii, w którym rozstrzygnąć miały się losy kampanii. Przegrany stracił wszystko. Gdyby klęska przypadła w udziale Francuzom, pociągnęliby oni papieża ze sobą. Dlatego też w Rzymie oddany Klemensowi VII Giberti wziął na stronę nuncjusza papieskiego przy Franciszku I i prosił go, by ten użył swego wpływu, aby zapobiec starciu. Niestety, król Francji nie miał zamiaru ani wywiązywać się z umów, ani też słuchać doradców. „Tak jak żaden rozsądny żeglarz nie zabezpiecza się przed sztormem, biorąc jedną tylko kotwicę, tak też papież, choć ufa w siłę króla Franciszka, nie postawi wszystkiego na jedną kartę, którą ma być bitwa pod Pawią”⁶. Ów kwiecisty wywód podsumowujący medycejską politykę gry na dwa fronty, znaczył tyle, że w razie porażki Francuzów, papież odwróci się od nich najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

Franciszek postawił jednak wszystko na jedną kartę i przegrał. W potężnym starciu pod Pawią, 25 lutego 1525 roku, wojska francuskie zostały rozbite, sam król dostał się do niewoli, cesarz zaś wykonał kolejny krok do umocnienia swej władzy nie tylko w Italii, lecz również w całej Europie. Straszliwa wieść dotarła do uszu Klemensa VII następnego wieczoru i – jak zanotowali obecni – uderzyła w papieża niby grom. Klęska Francuzów oznaczała bowiem nie tylko wzrost zagrożenia dla samego Rzymu, ale dawała też okazję do ponownego podjęcia walki przez poszczególne frakcje wewnątrz miasta. Podnieceni zwycięstwem procesarscy Colonnowie zaatakowali swych odwiecznych wrogów – Orsinich, którzy wiązali swe nadzieje z Francuzami. Ci, którzy obawiali się Karola, nie

szczędzili obelg pod adresem papieża. Nawet Alessandro Farnese, Kardynał-Spódniczka, przestał na chwilę pławić się w luksusach, by stworzyć pamflet, w którym zrzucał całą winę na Klemensa VII. „Chcący i niechcący pracowali wspólnie, by osiągnąć nieunikniony wynik. Rzym jest przerażony i obawia się upadku, który może nastąpić w każdej chwili”⁷⁷.

Rzym nie upadł jednak od razu, gdyż Karol, choć przebywał w Hiszpanii, trzymał rękę na pulsie wydarzeń w Italii. Nie pragnął upokorzonych, bezsilnych ofiar, lecz nowych sojuszników, i z tego powodu postanowił wystosować do Klemensa VII pismo, w którym zaproponował mu sojusz, sądząc, że papież nie popełni po raz drugi tego samego błędu. Klemens wyraził zgodę i 1 kwietnia 1525 roku, zaledwie trzy miesiące po zawarciu sojuszu z Franciszkiem I, podpisał kolejny dokument, w którym w zasadzie zmieniono tylko osobę króla Francji na Karola V. Cesarz chciał dla siebie tytułu księcia Mediolanu z prawem do swobodnego nim rozporządzania. W zamian oferował Państwu Kościelnemu ochronę oraz obiecał wesprzeć ród Medyceuszy w utrzymaniu dziedzicznej władzy we Florencji, za co miał otrzymać 100 000 florenów.

Cesarz założył Italii wędzidło, lecz pociągał za cugle nader delikatnie. Zadowolony z uzyskania władzy w Neapolu, przywrócił do łask ród Sforzów. Pomimo całej swej przenikliwości wydawał się w ogóle nie dopuszczać do siebie myśli, że Klemens VII mógłby z własnej woli porzucić stabilną pozycję na rzecz chaosu. Z drugiej strony papież z rzadka podejmował decyzje samodzielnie i rozsądnie. Podczas przeraźliwie długiego lata 1525 roku dowody władzy cesarskiej widoczne były dosłownie wszędzie. Klemens VII szukał różnych sposobów na ich usunięcie, lecz po bliższym rozważeniu każdy z pomysłów niósł ze sobą dodatkowe zagrożenia. Trzeźwy jak zwykle Machiavelli krótko podsumował sytuację, w której papież znajdował się od początku swojego pontyfikatu. „Kościół, dzierżący władzę świecką w Italii, nie był w stanie utrzymać rządów nad resztą kraju, lecz mimo to bał się powołać kogoś, kto byłby w stanie bronić go przed innymi możnymi, gdyż bał się, że wskutek tego straci to, co już posiada”⁷⁸. Każdy jawny ruch Klemensa VII mógł zagrażać bezpieczeństwu Państwa Kościelnego. Dlatego też w pewnej chwili papież podjął desperacką decyzję wzięcia udziału w typowym dla włoskich polityków działaniu – w spisku.

Sekretarzem Francesca Sforzy, księcia Mediolanu, który teraz rządził wyłącznie z łaski cesarza, był wówczas Girolamo Morone, inteligentny, doświadczony i całkowicie pozbawiony skrupułów polityk. Ograniczona władza Sforzy opierała się w zasadzie wyłącznie na jego zdecydowanych działaniach. Znając dobrze układ politycznych sił w Italii, Morone doszedł do wniosku, że najlepszym wyjściem w takiej sytuacji będzie wywarcie wpływu na głównodowodzącego sił cesarskich, markiza Pescarę, który, choć oddany Karolowi V, był rodowitym Włochem. Gdyby więc Pescara otrzymał propozycję dużej łapówki, w formie, dajmy na to, korony Neapolu, wówczas cesarz w jednej chwili straciłby całą

siłę militarną, jaką dysponował w Italii. Morone przedstawił swój plan papieżowi. Jako że doskonale pasował on do medycejskiej metody gry na dwa fronty, ten przyjął go bez namysłu. Jeśli Pescara połączyłby z nim swoje siły przeciwko cesarzowi, Klemens był gotów natychmiast uznać go za księcia Neapolu.

Pescara wysłuchał propozycji, po czym wyraził wstępną zgodę i poprosił o szczegółowe instrukcje. Przy okazji nie omieszkał zaś przekazać cesarzowi wszystkiego, czego dowiadywał się o planowanym przewrocie. Nawiasem mówiąc, to, jak potoczyły się sprawy, dużo mówi o umiejętności Karola V w zakresie obsadzania stanowisk wymagających samodzielnego działania. W wyznaczonym momencie Pescara uderzył. Morone, przekonany, że wszystko idzie zgodnie z planem, przybył na umówione spotkanie tylko po to, by zostać aresztowany. Cały plan spalił na panewce – i to z najgorszymi możliwymi konsekwencjami. Zamiast uzyskać wsparcie sił cesarskich, Sforza stracił łaskę Karola V i został pozbawiony władzy, zaś Mediolan i okoliczne ziemie dostały się pod trwałą okupację wojsk hiszpańskich. Wściekły papież przeklął Pescarę, nazywając go „podwójnym zdrajcą”, całkowicie zapominając o własnej chwiejnej lojalności i z lękiem oczekiwał zemsty cesarza, która jednak nie nadchodziła. Karol V zacieśnił swoją władzę, lecz Italia stanowiła tylko jeden z jego licznych problemów. Zachęcony brakiem odpowiedzi ze strony cesarza Klemens VII rozpoczął przygotowania do swojej ostatniej intrygi.

Król Franciszek zareagował na uwięzienie w sposób wielce dla siebie charakterystyczny. Jako władca Francji, przyzwyczajony był do traktowania go jako najważniejszej osoby w swoim kraju, pojmanie zaś zdegradowało go do rangi zwykłego śmiertelnika. W liście do swojej matki Franciszek napisał: „Straciłem wszystko poza honorem”, lecz należy pamiętać, że Franciszek definiował honor jako coś, co pozwala mu działać w sposób nieograniczony pragnieniami czy potrzebami innych. Po roku niewoli król otrzymał od Karola V propozycję opuszczenia więzienia w zamian za zgodę na spore ustępstwa polityczne. Cesarz nie omieszkał zauważyć, że mógłby zagarnąć całą Francję, lecz zamierzał zatrzymać wyłącznie to, co należało do niego. Oczywiście, cesarz zdawał sobie sprawę, że nie miałby najmniejszych szans utrzymania w rękach zwasalizowanej Francji, jednak ten argument podziałał na pragnącego za wszelką cenę opuścić więzienie króla, który chętnie przyjął stawiane warunki. Burgundia przeszła w ręce Karola V, Franciszek zaś musiał rzec się pretensji do wszystkich ziem w Italii. Kilka pokoleń Francuzów przelewało krew pod Genuą, Asti, Neapolem i Mediolanem, by wszystkie ich dokonania zostały przekreślone jedną decyzją władcy, który za nic miał chlubną i krwawą zarazem historię wojen włoskich. Franciszek przyrzekł dotrzymać warunków umowy, po czym został uwolniony. Gdy postawił stopę na francuskiej ziemi miał podobno krzyknąć „Znowu jestem królem!” Pozostawił co prawda swoich dwóch synów w charakterze zakładników, ale już opuszczając niewolę, wiedział, że nie dotrzyma danego cesarzowi słowa.

Kiedy Franciszek był jeszcze w drodze do domu, wysłano do niego papieskiego nuncjusza. Klemens VII chciał wiedzieć, czy król zamierza dotrzymać umowy, gdyż została ona zawarta pod przemocą, a papież bardzo chętnie zwolniłby króla z wiążących go obietnic, gdyby ten zechciał wystąpić przeciwko cesarzowi. Franciszek nie potrzebował jednak wsparcia papieża, by ponownie ruszyć w bój o władzę nad Europą. Owszem, mile lechtała go świadomość, że sam namiestnik św. Piotra rozgrzeszyłby go z krzywoprzysięstwa, lecz nie to było w tej chwili najważniejsze. Inni władcy europejscy zgodnie uważali, że Karol V popełnił niewybaczalny błąd, uwalniając króla Francji.

Niedługo później, 22 maja 1525 roku, w Cognac zawiązано wymierzone przeciwko cesarzowi przymierze, w skład którego weszły: Państwo Kościelne, Wenecja, Mediolan i Francja. Klemens VII bez zastanowienia podjął krok, który byłby wielkim wyzwaniem nawet dla niewątpliwego eksperta w kwestii wojen, jakim był Juliusz II.

„Tej wojny nie toczy my o honor, nie toczy my jej też z powodu wendety czy chęci zajęcia jednego z miast. Od wyniku tego starcia zależy, czy Italia będzie cieszyć się wolnością, czy też popadnie w wieczną zależność”⁹. W takich słowach Giberti wyrażał swą radość z wyzwania, jakie rzucono cesarzowi, i z tego, że Włochy zjednoczyły się z jego ukochaną Francją. Nie tylko zresztą on był zadowolony z takiego obrotu spraw. Guicciardini również uważał, że Italii potrzeba jest bolesna operacja, która usunie tyrańskie wpływy, choć później przyszło mu żałować tych słów. Także Machiavelli z nadzieją wyczekiwał wojny o wyzwolenie. „Na miłość boską, nie wolno przegapić tej szansy” pisał do Guicciardiniego¹⁰. Aby doprowadzić tę wizję do końca, należało pilnować chwiejnego papieża i z tego też powodu optymistycznie nastawiony Machiavelli roztaczał przed nim wizję obudzenia dawnego rzymskiego ducha oraz powołania lokalnych milicji w miejsce niepewnych najemników. Klemens z początku zapalił się do nowej idei, po czym równie szybko ją odrzucił. Wojny formalnie wciąż nie wypowiedziano, nadal istniała szansa na negocjacje, nie było więc powodu niepotrzebnie drażnić Karola V. Machiavelli wrócił więc do Florencji, by tam nadzorować rozbudowę fortyfikacji, zdziwiony niestałością i przesadną wrażliwością papieża. Nawet w tak niebezpiecznej chwili, Klemens VII myślał jednak przede wszystkim o będącej siedzibą jego rodu Florencji, więc Machiavelli błagał Guicciardiniego o to, by wywarł wpływu na papieża i powiedział mu, że „nie wie sam, o czym mówi”, zwłaszcza w kwestii powołania mieszkańców pod broń.

Jak na ironię, niezdecydowany Klemens VII świetnie znalazł się w roli przywódcy narodowego powstania. Cesarz mógł roztaczać ogólną władzę nad Italią, lecz nie był w stanie zastosować środków bezpośredniego przymusu, wojska cesarskie zaś w pełni wykorzystywały pozycję okupanta. Szczególnie w Mediolanie Hiszpanie zyskali sobie gorącą, lecz ukrytą nienawiść mieszkańców, w których domach rezydowali, traktując ich właścicieli jak niewolników. Każda miejscowość, w której przebywali okupanci, cierpiała z powodu morderstw,

gwałtów i niemalże codziennych rabunków. Przez kilkadziesiąt lat Włosi cierpieli pod jarzmem okupanta, więc powstanie zbrojne musiało wcześniej czy później wybuchnąć i tylko złośliwość losu sprawiła, że nastąpiło to za pontyfikatu Klemensa VII.

Karol V próbował porozumieć się z papieżem, lecz ten, zachęcany przez swoich nacjonalistycznie nastawionych doradców do zaostrzenia polityki, odrzucał każdą propozycję. Hiszpański ambasador opuścił Watykan 20 czerwca, nie posiadając się z wściekłości. Może przypadkiem, a może też i rozmyślnie, tuż za nim jechał jego trefniś, stojący głupie miny i wykonujący obsceniczne gesty pod adresem mijanych Włochów. Klemens wystosował zaś do cesarza list, w którym krytykował wszystkie jego działania i przedstawiał własne opinie.

List został dostarczony do Baldassara Castiglione, nuncjusza papieskiego na dworze cesarskim. Castiglione, wysublimowany, kulturalny Włoch, oczekujący podobnych manier od innych szlachetnie urodzonych, przeżył wielki szok. Od miesięcy próbował ochłodzić atmosferę w Rzymie i rozsądnie przedstawić rację cesarza. Gdyby przebywał przy papieżu, mógłby wpłynąć na niego swoją radą, lecz w odległej Hiszpanii musiał wypełniać polecenia, nawet te katastrofalne w skutkach. Castiglione załamałby się jeszcze bardziej, gdyby dowiedział się, że dwa dni po wysłaniu pierwszego listu papież przestraszył się i pchnął posłańca z pismem w bardziej wyważonym tonie. Niestety, było już za późno. Posłuszny nuncjusz przedstawił cesarzowi całą treść pierwszego listu.

Wielka wojna o wyzwolenie Italii rozpoczęła się tragicznie, tak samo przebiegała i tak samo dobiegła końca. Pierwszym i odbijającym się na całej kampanii błędem Klemensa VII stało się powierzenie funkcji głównodowodzącego księciu Urbino. Z całą pewnością postąpił tak za namową Wenecjan, ostatniej suwerennej potęgi włoskiej, od której papież był w dużej mierze uzależniony. Niestety, papież nie przykładał zbyt dużej wagi do historii własnego rodu, gdyż w przeciwnym razie wiedziałby, że to właśnie na skutek działań Medyceuszy książe Urbino stracił władzę. Dlatego też, gdy Hiszpanie brutalnie pacyfikowali powstanie w Mediolanie, książe nie podjął żadnych działań.

Choć Mediolan znajdował się daleko wraz z jego upadkiem przyszedł niespodziewany cios, który dosięgnął i upokorzył papieża osobiście. Na Rzym uderzył bowiem Colonna, w którego rodzie wciąż żywe były tradycje gibelińskie, nie zdołał zniszczyć ich nawet Bonifacy VIII. Widząc słabość papiestwa, której przyczyną był sam Klemens VII, jego przeciwnicy nie wahali się stanąć do konfrontacji.

Atakowi przewodził kardynał Pompeo Colonna, rywal Klemensa podczas konklawe i wierny poplecznik cesarza, na tyle oczywiście, na ile Colonnowie mogli być czyimikolwiek zwolennikami. Jeźdźcy zjawili się w mieście rankiem 20 września, witani przez Rzymian tak, jak gdyby nie była to wojna, lecz parada. Pięć tysięcy zbrojnych zgromadziło się pod pałacem Colonnów, by odpocząć i pokrzepić się po wyczerpującym galopie przez równiny, a następnie zaczęli

planować szturm na Watykan. Klemens VII wezwał mieszkańców do obrony, lecz ci, jak trafnie przewidział Marco Foscarelli, zostali głusi na słowa papieża, który zdecydował, że przyjmie przeciwników tak, jak Bonifacy przyjął tego samego Colonnę pod Anagni – w szatach, tiarze i na tronie. W ostatniej chwili ocenił jednak trzeźwo całą sytuację i zbiegł do twierdzy Sant'Angelo, gdzie trwożnie oczekiwał rozwoju wydarzeń. W tym czasie ludzie buntowniczego kardynała łupili kościoły, nie oszczędzając nawet Bazyliki św. Piotra. Żołnierze rabowali, co tylko się dało, a Rzymianie szybko pożałowali swej bezczynności, gdyż rozprawiwszy się z kościołami, napastnicy poczęli napadać na prywatne domy, łupiąc lub zatrzymując dla okupu ich właścicieli.

Późnym popołudniem 21 września Klemens VII podpisał porozumienie przedstawione przez hiszpańskiego ambasadora, który tym razem powrócił do swego władcy w triumfie. Papież obiecywał opuścić swoich sojuszników na cztery miesiące i rozgrzeszyć Colonnę. Ludzie kardynała niechętnie wycofali się z miasta i wszystko wskazywało na to, że sprawy zaczną się toczyć dawnym trybem. W rzeczywistości jednak bunt Colonna był zapowiedzią nadchodzącej tragedii.

Upadek Rzymu

Dnia 7 grudnia 1526 roku, w niecałe pół roku po napisaniu buńczucznej odezwy, Giberti zwierzał się nuncjuszowi papieskiemu w Anglii, że „stomimy na krawędzi przepaści. Los zesłał nam tyle upokorzeń, że nasza sytuacja nie może być już gorsza. Czuję się jak skazany na śmierć, którego jedyną przyszłość stanowi mogąca nadejść w każdej chwili egzekucja”¹¹.

Wymuszony na papieżu rozejm nie przetrwał nawet czterech miesięcy. Na powrót otoczony przez sojuszników i ponaglany protestami oraz solennymi zapewnieniami Franciszka, Klemens VII ponownie wcielił się w rolę włoskiego patrioty. Krwawe walki w Lombardii przynosiły początkowo sukcesy, lecz niedługo później sprzymierzeńcy papieża okazali się zdrajcami. Książę Ferrary przeszedł na stronę cesarza, książę Urbino kontynuował grę na dwa fronty, zaś obiecanej pomocy z Francji papież nigdy się nie doczekał. Dla Klemensa VII taki obrót spraw oznaczał bardzo poważne kłopoty. Ambasador Mediolanu pisał: „[papież] wygląda jak chory, którego lekarze pogodzili się z porażką. Z Francji nie nadchodzi żadne wieści, co wszystkich wpędza w czarną rozpacz”.

Ambasador mylił się jednak, podejrzewając Klemensa VII o chęć ucieczki z Rzymu, gdyż i tak nie miałby się on gdzie ukryć. Tymczasem Karol V odpowiedział bowiem na ów fatalny list papieża, w tonie bardzo przypominającym wybuchowy styl Klemensa. W piśmie tym cesarz oskarżył go o rozpoczęcie wojny w Italii, w wyniku której przelano wiele chrześcijańskiej krwi w obronie

ziemskich bogactw. Nad Klemensem VII ciążyło też widmo soboru, wiszące nad głowami wszystkich papieży od XV wieku, kiedy to udało się ostatecznie rozwiązać problem schizmy. Papież doskonale zdawał sobie sprawę, że gdy dojdzie do powołania rady, ta przekaże tiarę nikomu innemu, tylko zbuntowanemu kardynałowi Colonne, który bez wahania pojąłby Klemensa, gdyby ten opuścił bezpieczne mury Rzymu i twierdzy Sant' Angelo.

Sytuacja na polu bitew nie była lepsza od sytuacji w polityce. Cesarz wysłał do boju wszystkie dostępne siły i do wybrzeży Italii zbliżała się potężna hiszpańska flota wioząca kolejne oddziały zbrojnych. W większości tworzyli je Hiszpanie, niezwykle bitni, ale przynajmniej wyznający wiarę katolicką. Na północy narastało natomiast nowe niebezpieczeństwo w postaci najemnych lancknechtów, którzy zaogniali konflikty terytorialne postępującym różnicowaniem religijnym.

Luteranizm zyskał już dość dużą popularność w Niemczech, lecz wciąż nie mógł zerwać mistycznej więzi między narodem a jego przywódcą. Karol V był żarliwym katolikiem, który później zasłynął jako pogromca heretyków, lecz przecież piastował funkcję cesarza niemieckiego i arcyksięcia Austrii. Gdy do Niemiec dotarły wieści o tym, jak to cesarz został przechytrzony przez włoskiego kapłana, lancknechci gromadnie podążyli pod sztandary cesarskie, nad którymi pieczę sprawował Georg Frundsberg. Walne zwycięstwo armii cesarskiej pod Pawią było w dużej mierze zasługą tego statecznego, starszego człowieka, którego lojalności nie podkopało nawet mniej niż adekwatne wynagrodzenie, jakie odbierał za swą służbę.

Morone mógł próbować realizacji swojego planu dzięki niezdecydowaniu Pescary, lecz nikt nie myślał poważnie o przekupieniu Frundsberga, który zastawił swój rodowy majątek, by wystawić kompanię 12 000 lancknechtów powołanych w październiku 1526 roku. W oczach wielu przyjaciół Frundsberga była to jednak zbyt mała siła, by poważić się na uderzenie na Lombardię. Frundsberg zdawał sobie jednak sprawę, że zwiększyłyby to koszty, zaś lancknechci, choć wierni władcy, pozostawali najemnikami, gotowymi porzucić pole bitwy, gdyby nie dostali w porę żołdu. Odparł więc na sugestie odczekania zdaniem, które w ustach innego człowieka odebrano by jako czczą retorykę: „Wielu wrogów – wielki honor. Z bożą pomocą uda nam się ocalić cesarza i jego ludzi”.

Przeprowadzenie armii Frundsberga przez Alpy było jeszcze trudniejsze niż podobny manewr w wykonaniu Franciszka, gdyż lancknechci maszerowali w o wiele trudniejszych warunkach srogiej alpejskiej zimy. Samego dowódcę, człowieka starszego i zażywnego, często z konieczności wnoszono na co bardziej strome stoki, podczas gdy jego przybocznicy ustawiali płot z pik wzdłuż niebezpiecznych przepaści. Większość 12 000 żołnierzy stanowili ambitni młodzieńcy, ubrani podług najnowszej mody w fantazyjnie zdobione i porzcinane dwukolorowe stroje, zadufani we własną siłę i całkowicie lojalni wobec swego dowódcy. Przeprowadzenie wystawiła jednak ich odporność na najwyższą

próbę, a gdy wyczerpani i głodni zeszedli wreszcie w lombardzkie doliny, okazało się, że będą musieli stawić czoło jedynej prawdziwej armii w całej Italii – sławnej najemnej kompanii Czarnych Wstęg, dowodzonej przez Giovanniego de Medici.

Giovanni delle Bande Nere – pod tym przydomkiem ów arystokrata znany był w całych Włoszech. Należał on również do rodu Medyceuszy i choć pochodził z młodszej gałęzi rodu, papież zawsze odsuwał go na bok, zazdroszcząc mu i jednocześnie obawiając się jego rosnącej siły. Jednak w obliczu klęski Machiavelli zasugerował papieżowi, by odłożył na bok uprzedzenia i powierzył misję obrony Italii ostatniemu z prawdziwych kondotierów. W ten sposób Giovanni de Medici otrzymał zadanie zorganizowania obrony na linii Padu.

Żołnierze Czarnych Wstęg zaatakowali postępujących naprzód Niemców i najprawdopodobniej udało im się rozbić ich w pierwszym szturmie, gdyby nie szczęśliwy strzał, który położył trupem ich dowódcę. Pozbawieni kierownictwa najemnicy zostali ostatecznie rozproszeni przez lancknechtów, przed którymi droga na południe stała teraz otworem. Frundsberg poprosił o wsparcie pieniężne jednego z Bourbonów, dowodzącego podówczas hiszpańską armią, stacjonującą pod Mediolanem. Ten zastraszył mieszkańców miasta, zapowiadając powrót terroru, a następnie, zgromadziwszy złoto z nadzwyczajnego podatku wojennego, wyruszył naprzeciw Frundsbergowi. Obaj dowódcy spotkali się 7 lutego 1527 roku i połączywszy liczące razem 25 000 ludzi armie, ruszyli na Rzym.

Klemens VII nie od razu pojął zagrożenie ze strony nadchodzącego wojska, gdyż miesiąc wcześniej hiszpańska flota wylądowała między Mediolanem a Rzymem i żołnierze cesarscy przekroczyli właśnie południową granicę Państwa Kościelnego. W samej stolicy rosły naciski polityczne z obu stron, których symbolem było przybycie tego samego dnia posłów Franciszka I i Karola V. Pierwsi przynosili kolejne obietnice wsparcia, drudzy – żądania i pogroźki. Obawiający się przerwania południowego frontu włoscy sojusznicy papieża nalegali, by podjął zdecydowane działania, lecz w szeregach wroga znajdowało się niemalże tyle Włochów, co w armii papieskiej, zaś dodatkowo Franciszek I ponownie zignorował prośby Klemensa VII, wskutek czego skarbiec tego ostatniego świecił pustkami. Papież z początku chciał zgromadzić fundusze, tworząc kilka nowych stanowisk kardynalskich, ale ostatecznie zrezygnował z takiego posunięcia, nie chcąc łamać własnych zasad i, jak złośliwie wytknął mu Guicciardini, czyniąc z tego powodu więcej zamieszania niż inni papieże robili, sprzedając całe księstwa.

Po raz kolejny okazało się, że zalety Klemensa VII mogą być bardziej szkodliwe niż wady niejednego władcy. Będąc sojusznikiem Francuzów, papież obawiał się jednak cesarza, dlatego też szybkie zwycięstwa wzmacniały jego wiarę we własne siły, podczas gdy porażki skłaniały go do błyskawicznej ucieczki. Na szczęście udało mu się realistycznie ocenić zagrożenie nadciągające z północy i na dwa tygodnie przed połączeniem sił Frundsberga i Bourbona postanowił

podpisać z ambasadorem hiszpańskim kolejną umowę. Zgodził się w niej na ośmiomiesięczne zawieszenie broni, ponownie porzucając tym samym swoich sojuszników. Obiecał też rozgrzeszenie Colony, by ten wycofał swoje wojska z Neapolu, i zapłacenie 60 000 dukatów wyczerpanym lancknechtom, pod warunkiem opuszczenia przez nich terytorium Italii.

Gdyby porozumienie to podpisano kilka tygodni wcześniej, być może Rzym zostałby uratowany, lecz w tej sytuacji pękła ostatnia bariera pomiędzy miastem a najemnikami. Frundsberg zdołał przekonać żołnierzy, że ich trudy zostaną wynagrodzone dzięki łupom wyniesionym z Florencji lub wypłaconemu przez Rzym okupowi. Na wieść o tym, że papież próbował się wykpić 60 000 dukatów do podzielenia między 25 000 ludzi, żołnierze podnieśli bunt. Frundsberg bezskutecznie próbował ich powstrzymać, apelując do lojalności wobec cesarza, lecz doprowadzeni do ostateczności najemnicy nie chcieli go słuchać, a nawet posunęli się do gróźb pod adresem dowódcy, który zrezygnował z dalszych prób perswazji. Niedługo później zmarł. Jak mówili niektórzy, pękło mu serce, gdyż kochał swoich żołnierzy nade wszystko, armia zaś była dla niego całym życiem.

Bourbon objął dowodzenie, lecz jeśli rodowity Niemiec nie potrafił utrzymać w ryzach swoich podwładnych, to francuski wyrzutek nie miał na to najmniejszych szans. Hiszpański wicekról pojawił się osobiście w obozie, by dopilnować wykonania postanowień rozejmu. Nowy dowódca oświadczył, że jego ludzie zadowolą się sumą nie mniejszą niż 250 000 dukatów. Papież nie mógł zgodzić się na tak wygórowaną kwotę, najemnicy więc podjęli przerwany marsz na południe. Oryginalny plan zakładał atak na Florencję, lecz w ciągu dziesięcioleci wewnętrznych wojen jej mieszkańcy rozbudowali potężny system fortyfikacji, Rzym zaś nie był tak dobrze chroniony, polegając głównie na swojej reputacji miejsca świętego. Ponadto, w przypiływie pewności siebie, Klemens rozwiązał drogie w utrzymaniu wojska i stolica Państwa Kościelnego stała się praktycznie bezbronna w obliczu ataku ze strony hiszpańskich katolików i niemieckich luteranów.

Napastnicy wdarli się do miasta o godzinie 6.00 6 maja 1527 roku, kiedy gęsta mgła utrudniała koordynację działań nielicznych obrońców. Bourbon poległ we wczesnej fazie szturmie i nie kto inny, jak Benvenuto Cellini, nadworny złotnik oraz artylerzysta Klemensa VII, przypisał sobie zabicie jedyne go człowieka, który byłby w stanie powstrzymać największą falę grabieży. Cellini znajdował się wraz z innymi puszkarzami na murach i miał właśnie się wycofać, gdyż mgła czyniła działa bezużytecznymi, kiedy zauważył grupę ludzi, rozstawiających pod murem drabiny obłężnicze. Zwróciwszy na nich uwagę swoich towarzyszy:

(...) wycelowałem swój arkebuz w najgęstsza cizbę, mierząc w najwyższego z ludzi; mgła nie pozwoliła mi zaś zorientować się, czy był to jeździec, czy też pieszy

(...). Kiedy każdy z nas wypalił po dwa ładunki, podszedłem ostrożnie do blanków i przyglądając się stłoczonym wrogom, dostrzegłem, że jednym z tych, których dosięgły nasze strzały, był sam konstabl Bourbon¹².

Przed południem obrona uległa naporowi przeciwnika, który mógł rozpocząć pładrowanie Miasta Leonowego. Cellini, będąc mieszkańcem pałacu papieskiego, został wbrew swej woli przydzielony przez kapitana straży do obsługi dział w twierdzy Sant'Angelo. „Dotarłem do fortecy i zobaczyłem, że w tej samej chwili papież również wyszedł z zamkowych korytarzy. Początkowo odmawiał opuszczenia pałacu św. Piotra, nie wierząc, że wróg naprawdę zdecyduje się na wtargnięcie do Świętego Miasta”¹³. Kronikarz Paolo Giovio towarzyszył mu podczas ucieczki do twierdzy i sam narzucił na plecy Klemensa swój purpurowy płaszcz, by charakterystyczna biel szat nie ściągnęła na papieża ognia strzelców wyborowych.

Klemens VII, który modlił się w kaplicy, uciekł kilka minut przed wtargnięciem napastników. Nie on jeden zresztą odrzucał możliwość upadku Rzymu. Gdy kilka tygodni wcześniej próbował utworzyć milicję miejską, mieszkańcy pozostali obojętni na wezwanie, arystokraci zaś zaoferowali wysoko oprocentowane pożyczki. Poniewczasie uformowano szczupłe oddziały milicji, lecz nie miały one szans w walce z zahartowanymi w bojach żołnierzami, doprowadzonymi do furii przez głód, gniew oraz narodową i religijną propagandę. Następnego ranka, 7 maja 1527 roku, miasto zdało się na łaskę i niełaskę wrogów, którzy zapanowali w nim na pięć straszliwych miesięcy.

„Piekiło jest niczym w porównaniu z tym, co dzieje się w Rzymie”, pisał pewien Wenecjanin trzy dni później. W tym samym czasie inny prosił brata o zgromadzenie pieniędzy na okup.

Na Boga, nie opuszczaj mnie. Jestem jeńcem Hiszpanów, którzy zażądali za mnie 1000 dukatów okupu. Torturowali mnie już dwa razy, na koniec przypiekając mi stopy. Drogi bracie, nie pozwól mi tak szczeznąć. Jeśli nie zapłacę im okupu w ciągu 26 dni, przysięgli, że porąbią mnie na sztuki. Na miłość Boga Ojca i Dziewicy Maryi, pomóż mi. Wszyscy mieszkańcy Rzymu popadli w niewolę i są zabijani, jeśli nie mogą zapłacić okupu. Pomóż mi, Antonio, zaklinam cię na wszystko, co święte¹⁴.

Ci, którzy wpadli w ręce żołnierzy niemieckich, byli w niewiele lepszej sytuacji niż więźniowie Hiszpanów i Włochów, gdyż Niemcy przedkładali zabawę i pijatyki nad okrucieństwo, nie znali za to lokalnych zwyczajów i dawali się ułagodzić mniejszymi okupami. Hiszpanie i Włosi, wprawnym okiem oceniający majątki, potrafili wydusić z jeńców ostatni grosz, a jeśli tak ograbiony człowiek ponownie wpadał w ich ręce, mógł liczyć tylko na okrutną śmierć. Niemcy z kolei lubowali się w beczeszczeniu świętych miejsc. Mówiono, że Frundsberg wiózł złoty sznur, na którym planował powiesić papieża, a jego żołnierze starali się jak najpilniej wypełnić wolę zmarłego wodza. Klemens VII był bezpieczny w murach zamku Sant'Angelo, rozgrzeszywszy Celliniego na

poczet „wszystkich morderstw, których dopuści się w obronie Kościoła apostołskiego”, lecz setki księży i zakonnic padło ofiarą najeźdźców. Grupa żołnierzy przebrała osła w biskupie szaty i zmusiła księdza, by udzielił mu komunii. Kapłan, broniąc swojej godności, sam połknął hostię, po czym został zamęczony przez żołnierzy. Te spośród zgwałconych zakonnic, które szybko zabito, mogły mówić o szczęściu, gdyż pozostałe wleczono po ulicach niczym zwierzęta, odsprzedając je innym, zanim znalazły wyzwolenie w objęciach śmierci. Nie oszczędzono też najświętszych miejsc stolicy piotrowej; sprofanowano nawet grobowce dawnych papieży.

Każdy z żołnierzy stał się bogatym człowiekiem. Co sprytniejsi zapewniali mieszkańcom schronienie przed motłochem w zamian za sute wykupne. Nawet ciurom obozowym przypadły w udziale pełne czapki złota. Napastnicy paradowali w zrabowanych jedwabiach, narzuconych na cuchnące łachmany, z workami, w których pobrzękiwały cenne przedmioty zabrane z pałaców i kościołów. Rzymu nie napadnięto od XI wieku, stał się on więc swego rodzaju skarbcem, którego bogactwo zapewniłoby mu należyłą obronę, gdyby w stosownym czasie zrobiono z niego właściwy użytek. Ponad 2000 ciał rzucono do Tybru, zaś pozostałych 10 000 pospiesznie zakopano, wskutek czego niedługo później w mieście wybuchła zaraza. Złota było w bród, lecz w doszczętnie zniszczonym Rzymie nie miał kto piec chleba. Ponieważ głód i choroby dziesiątkowały bez różnicy zwycięzców i pokonanych, rozsądniejsi spośród napastników zaczęli uciekać z miasta. W połowie czerwca Rzym wydawał się wymarłym miejscem: „Żaden dzwon nie bije, żaden kościół nie otwiera swych podwoi, nikt nie odprawia mszy. Trupi odór jest nie do wytrzymania. Zwłoki zwierząt i ludzi leżą razem na kupach, a w jednym z kościołów widziałem nawet ciała rozwłócone przez psy”¹⁵. Niektórzy z żołnierzy pozostawali w mieście, by z narażeniem życia zdobyć jeszcze trochę bogactw, inni zaś wracali, gdyż sytuacja na zewnątrz zdawała się ponownie sprzyjać mieszkańcom Rzymu. Jednak niezależnie od motywacji wszyscy wędrujący po mieście przypominali sępy żerujące na trupie.

Oczekujemy, że Wasza Wysokość wyda nam dokładne polecenia co do losu Tronu Apostołskiego. Nie będę ukrywał, że niektórzy poddani Waszej Wysokości chętnie ujrzeliby urząd papieża ostatecznie i nieodwołalnie zlikwidowanym. Gdyby tak się stało, król Francji niechybnie ustanowiłby patriarchę w swoim królestwie, zaś Anglia i wiele innych państw uczyniłoby rzecz podobną, odrzucając jakiegokolwiek podporządkowanie Stolicy Apostołskiej¹⁶.

Tak więc 8 czerwca jeden z hiszpańskich urzędników mógł dyskutować o losie papieżstwa, dochodząc przy tym do wniosku, że władza duchowa powinna być zdecydowanie oddzielona od władzy świeckiej. Trzy dni wcześniej Klemens VII podpisał ostatni traktat, zdając się całkowicie na łaskę cesarza. Przez całe lato papież pozostał więźniem twierdzy Sant' Angelo, podczas gdy w Hiszpanii debatowano nad jego losem i przyszłością papieżstwa. Sam Karol V był

głęboko wstrząśnięty wydarzeniami z maja i czerwca, zaś władcy europejscy generalnie opowiadali się po stronie papieża. „Gdyby tu zawitał, z pewnością byłby czczony”, podsumował w swoim raporcie przebywający w Hiszpanii Castiglione. Nawet gdyby chciał, cesarz nie mógł przystać na propozycje sojuszników, domagających się obalenia władzy papieskiej, gdyż zniknięcie takiej siły pozostawiłoby pustkę, a nikt nie potrafił powiedzieć, kto mógłby ją wypełnić. Pod koniec października Karol V podjął decyzję, na mocy której wojska miały zostać wycofane z Rzymu, a Państwo Kościelne zwrócone Klemensowi VII pod warunkiem, że ten odeśle zakładników, wyrazi zgodę na zwołanie soboru, który zreformuje Kościół, a także zachowa polityczną neutralność.

Nikt nie musiał się obawiać, że papież zechce złamać i to postanowienie, gdyż 400 000 dukatów, którymi opłacił swą wolność, do cna wyczerpało zasoby papieskiej szkatuły. Jedną z ostatnich prac, jaką zlecił Celliniemu, było wyjęcie szlachetnych kamieni z insygniów władzy i przetopienie złota na monety, którymi zapłacić miano okup. Klemens VII nie posiadał wojska – jego dawni sojusznicy walczyli między sobą o podział papieskich ziem, rodzinna Florencja zaś zbuntowała się przeciwko bastardom z rodu Medyceuszy, którzy otrzymali od papieża władzę w mieście, jak gdyby było ono jego prywatną własnością.

Ósmego grudnia Klemens VII uciekł z Rzymu w przebraniu kupca i z pomocą zaufanych cesarskich oficerów przedostał się do Orvieto, leżącego na skalistym wzgórzu około 110 kilometrów na północ od Rzymu. Prawie natychmiast przybyli za nim wysłannicy Henryka VIII, króla Anglii, w sprawie niewygodnego małżeństwa. Papież, jak zwykle, udzielił wymijającej odpowiedzi, zaś goście zauważyli przy tym, że warunki, w jakich żył, są doprawdy żałosne.

Papież rezydował w starym pałacu biskupim, znajdującym się w zrujnowanym mieście. Idąc do jego pokojów, minęliśmy trzy inne komnaty, w których straszły nagie ściany i zapadnięte sufity. W pałacu spotkaliśmy około 30 ludzi, w większości podejrzanego konduity, którzy mieli sprawiać wrażenie ożywienia. Co się zaś tyczy papieskiej sypialni, to całe jej wyposażenie warte było co najwyżej 20 nobli¹⁷.

W czerwcu panujący w Orvieto głód zmusił papieża do opuszczenia miasta. Krajem, przez który przyszło mu podróżować, wstrząsały śmiertelne drgawki. Hiszpanie, Francuzi, Niemcy i Włosi toczyli między sobą ciągłe walki, bez skrupułów rabując to, co jeszcze pozostało mieszkańcom Włoch. Przewaga Francuzów obudziła nadzieje Klemensa VII, które ustąpiły jednak miejsca rozpaczki po śmierci francuskiego wodza. Papież musiał ostatecznie pogodzić się z faktem, że jedyną liczącą się we Włoszech siłą są wojska cesarskie.

Karol V domagał się koronacji i Klemens VII na to przystał. W grudniu 1529 roku w Bolonii, jako ostatni papież biorący udział w takiej ceremonii, włożył mu na skronie koronę. W zamian za to Karol wysłał wojska, by pomogły papieżowi w zniszczeniu sił florenckich buntowników i osadzeniu na tronie Florencji niesławnego Alessandra de Medici. Szeptano, że nowy książę jest synem papieża, który otaczał go niezwykłą miłością. Wysoka pozycja Klemensa VII

ostatecznie przysporzyła nieco chwały rodowi Medyceuszy, który, zdobywszy Florencję, wzbogacił się w ten sposób na zniszczeniu Italii.

Papież zachował pozycję, lecz wciąż wisiało nad nim widmo soboru, mającego zdecydować o reformach w Kościele. Ociągając się, wyruszył ponownie do Bolonii, gdzie niecierpliwie oczekiwał go cesarz. W drodze towarzyszył papieżowi angielski poseł, gdyż oprócz kwestii soboru, jeden z głównych tematów spotkania stanowiło rozstrzygnięcie kwestii małżeństwa Henryka VIII.

Zimowa podróż przez pogrążony w chaosie kraj okazała się nader nieprzyjemnym doświadczeniem. Angielski dyplomata opisał ją następująco:

(...) [Klemens VII] nie odważył się podróżować traktem, który nie dość, że podły, to wiedzie jeszcze w pobliżu Florencji. Z tych też powodów zdecydował się na trasę przez Perugię i ziemie kościelne. Sama wyprawa okazała się niezwykle bolesna dla papieża z powodu kiepskiej pogody oraz innych nieprzyjemnych wypadków, jakimi były utrata kilku mułów i złamanie nogi przez ulubionego tureckiego konia, a przede wszystkim konieczność rezydowania w doprawdy urągających powadze papieskiego urzędu warunkach. Zważywszy na warunki jazdy i inne niebezpieczeństwa, papież musiał czasami przebywać milę lub dwie na piechotę, a z racji braku należytego łoża na postojach zmuszony był spać na sianie.

Do Bolonii Klemens VII wjechał wieczorem 7 grudnia, „w długiej białej koszuli, na którą założył ornat, na szyi zaś mając zawieszoną sułę. O żadnych cudach w rodzaju uzdrowienia ślepego czy chromego nie dane mi było przy tej okazji słyszeć”¹⁸.

Owa złośliwa uwaga nie do końca odpowiada prawdzie, gdyż papieżowi udało się dokonać prawdziwego cudu, którym niewątpliwie było uniknięcie soboru. Posłusznie skarcił Henryka VIII za cudzołóstwo, gorąco, choć niepotrzebnie broniąc honoru ciotki cesarza. Zgodził się też na powołanie dowodzonej przez cesarza ligi przeciwko Francji. Dzięki sprytowi oraz umiejętności dyplomacji zablokował jednak próby powołania soboru, który nawet na tak późnym etapie konfliktu mógł wywołać bardzo poważny rozłam w chrześcijańskim świecie. Zakończenie schizmy leżało nie tyle w religijnym, ile przede wszystkim w politycznym interesie cesarza, gdyż luterańska rewolta bardzo poważnie uszczuplała jego siły. Sobór nie omieszkaby jednak zwrócić uwagi na moralność i strukturę istniejącego systemu, a także na karierę samego Klemensa VII, który niechybnie musiałby oddać swój urząd.

Przedstawiciele władz Wenecji byli zdziwieni, gdy spotkanie nie przyniosło odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Ambasador wenecki, przejawiając pesymizm świadczący o dużym politycznym doświadczeniu, zauważył, że nie należałoby w zasadzie oczekiwać niczego innego. „Jeśli chodzi o kwestię soboru, Wasza Dostojność może być pewny, że Klemens VII będzie unikał jej jak ognia. Owszem, obawia się go jak niczego innego i jest gotów odrzucić wszystko, łącznie z przyjaźnią cesarza, a nawet własnym życiem, by do niego nie dopuścić”¹⁹. Karol V nie miał jednak dość silnej pozycji w Italii, by ryzykować

doprowadzenie do desperacji człowieka, który wolałby przeżyć ponowne złupienie Rzymu niż pozbawienie go papieskiej tiary.

Odniosłszy to specyficzne zwycięstwo, papież zyskał również zgodę cesarza na małżeństwo Katarzyny de Medici z synem króla Francji. Sama Katarzyna, podówczas niezbyt atrakcyjna 15-letnia dziewczyna, była prawnuczką Lorenza il Magnifico i jedyną żyjącą spadkobierczynią starszej gałęzi rodu Medyceuszy. Cesarz zgodził się też na zaręczyny własnej córki z Alessandrem, przybranym bratankiem Klemensa. Oboje krewni papieża mieli wejść w związki z członkami rodzin jego nieprzejednanych wrogów, lecz kiedy stawką było dobro Medyceuszy, Klemens VII okazywał się wybornym dyplomatą.

Siedem miesięcy po spotkaniu w Bolonii papież wyruszył wraz z Katarzyną do Marsylii, gdzie wziął udział w ceremonii zaślubin swojej podopiecznej z Henrykiem Orleańskim, synem króla Franciszka I. Uroczystości weselne, bardzo skromne w formie, okazały się sporym obciążeniem dla wstrzemięźliwego człowieka o już i tak mocno nadwężonym zdrowiu. Po powrocie do Rzymu w grudniu 1533 roku papież poważnie zachorował i był przykuty do łóżka aż do jesieni następnego roku. Jednym z ostatnich oficjalnych pism, które wyszły spod jego pióra, jest pełen patosu list do Karola V, w którym powierza swego bratanka Alessandra opiece cesarza. Jak sam pisał: „Obawiam się bowiem, że pozycja, którą zawdzięcza on waszej łasce, może uciepnieć wskutek knowań wrogów zachęconych do działania tym, że jego małżeństwo z Waszą córką wciąż nie doszło do skutku”²⁰. Podobnie jak na początku kariery, tak i teraz, gdy zbliżał się jej koniec, papież troszczył się o powodzenie rodu Medyceuszy. Owszem, zawarł on w liście sugestie, które mogły nastawić cesarza mniej wrogo do jego osoby i urzędu, lecz z treści przebijała przede wszystkim troska o los rodziny po jego śmierci.

Cellini odwiedził go trzy dni przed śmiercią, przynosząc zamówione medale.

Zażądał szkieł i świecy, lecz najwyraźniej nawet za ich pomocą nie mógł docenić mojej pracy. Zbadawszy więc powierzchnię medali palcami, wydał z siebie głębokie westchnienie i kazał jednemu z pokojowców przekazać mi, że gdyby Bóg zechciał przywrócić mu zdrowie, z całą pewnością wynagrodziłby mnie należycie. W trzy dni później zmarł i tak oto nie otrzymałem za moją pracę złamanego szeląga²¹.

Klemens VII umarł 25 sierpnia 1534 roku, w wieku 56 lat. Pewien czas później Katarzyna zasiadła na francuskim tronie, lecz jego dwaj kuzyni przeżyli go zaledwie o kilka lat. Jeden z nich otruił drugiego, a sam z kolei padł ofiarą nieznanego skrytobójcy – i w ten oto sposób księżęca korona przeszła w ręce pogardzanej młodszej gałęzi rodu.

Jeśli nie brać pod uwagę jego przymiotów osobistych, Klemens VII stanowił niemalże modelowy przykład bohatera greckiej tragedii. Wyzwania, z którymi przyszło mu się zmierzyć, wynikały z działań podjętych dużo wcześniej,

a wszystkie starania, jakie czynił, by odsunąć od siebie widmo klęski, tylko ją przybliżały. Każda z prób powiększenia ziemskiej władzy papieży komplikowała i tak już zabójczo niebezpieczną grę, każde odchylenie od przyjętego modelu moralności coraz bardziej zaś odsuwało ich od świata chrześcijańskiego, z którego czerpali oni swoją siłę. Nadnaturalna scheda wzmacniała ziemską pozycję papieży – więc Dante szydził z wrogów papieża Bonifacego VIII, choć ten był jego zagorzałym wrogiem; podobnie też ofiara Cesarego Borgii prosiła o rozgrzeszenie ojca człowieka, który ją zamordował, i ani ofiara, ani zabójca, ani jego ojciec nie dostrzegali w tym gryzącej ironii.

Niestety, pozycja papieży jako władców niebieskich powoli słabła, w miarę jak wiarę chrześcijan osłabiali ci, którzy mianowali się powiernikami miecza i kluczy. Pierwsza poważna rysa pojawiła się za pontyfikatu Leona X. Jego następca, Hadrian, pragnął i prawdopodobnie umiałby naprawić szkodę. Niestety, został okrutnie wyszydzony przez tych, na których najbardziej liczył. Klemens VII z kolei znalazł się w sytuacji przerastającej jego zdolności. Oprócz zwykłych kłopotów, z jakimi zawsze borykali się papieże, musiał stawić czoło święcącemu triumfy Lutrowi. Co gorsza, za jego pontyfikatu pojawił się precedens natury religijnej, który bardzo łatwo mógł posłużyć w grze politycznej. Sytuacji nie poprawiało także to, że dwie potęgi katolickie starły się w krwawej wojnie, stawiając papieża przed koniecznością opowiedzenia się po jednej ze stron.

Człowiek o większych zdolnościach niż Klemens VII mógł odwrócić się od polityki, by skierować całą swą energię na wyeliminowanie problemów, toczących Kościół od wewnątrz, i zreformować go przed podjęciem próby odzyskania dawnego prestiżu. Niestety, Klemens okazał się tylko narzędziem sił, które od wieków dążyły wyłącznie do jednego celu, jakim było zachowanie władzy papieskiej. Zdawał sobie z tego sprawę. Po złupieniu Rzymu, gdy zgasała już łuna pożarów, gdy ostatni objuczony złotem najemnik opuścił mury miasta, a mieszkańcy próbowali dojść do siebie po straszliwym ciosie, wenecki ambasador Gaspar Contarini pocieszał papieża tymi słowami:

Wasza Świątobliwość nie może zakładać, że siła papiestwa jest oparta na Państwie Kościelnym. Wręcz przeciwnie, urząd papieża istniał na długo przed tym, jak powstało to państwo, i powodziło mu się znacznie lepiej niż teraz. Kościół stanowi wspólnotę wszystkich chrześcijan, a jego władza świecka nie jest niczym więcej, niż władzą nad jednym z wielu księstw włoskich. Wasza Świątobliwość musi więc przede wszystkim skoncentrować się na rzeczywistym bogactwie Prawdziwego Kościoła, jakim jest pokój panujący między chrześcijanami.

Klemens VII przyjął słowa Weneccjanina i odpowiedział mu: „Ponieważ mam sumienie, wiem, że powinienem postąpić tak, jak mówisz”.

Jakże jednak papież mógł odrzucić walkę o prawa do dóbr, które odziedziczył, nawet jeśli walka ta wiązała się z osłabieniem duchowej strony jego urzędu? Musiał więc postąpić wbrew sobie, jak bowiem pisał: „Zostałem ograbiony do ostatniego grosza i nie mogę odzyskać nic, co do mnie należało. Powtarzam

jeszcze raz, że widzę prawdę w twoich słowach, lecz w tym świecie ideały kłócą się z rzeczywistością i ten, kto postępuje zgodnie z podpowiedziami serca, jest zwykłym głupcem”²².

Trzy tygodnie po śmierci Klemensa VII na tronie papieskim zasiadł Alessandro Farnese, przyjmując pontyfikalne imię Paweł III. Zgodził się on na zwołanie soboru (trydenckiego), lecz ten odbył się zbyt późno i nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań, a ponadto wzmocnił inkwizycję, która wbiła klin w powiększający się rozłam między papieżem a chrześcijaństwem. Klemens VII przehandlował ostatnią szansę przywrócenia dawnego prestiżu papieża, wybierając w miarę bezpieczną egzystencję pod opieką cesarza, za co spotkała go wzdarda rodaków. Jak pisał uwielbiający go wcześniej Guicciardini: „Zmarł znienawidzony przez kurie i traktowany z podejrzliwością przez królów, zostawiając za sobą pamięć wydarzeń, które najlepiej byłoby zapomnieć”²³. Francesco Vettori, pochodzący z tego samego miasta, co Klemens i Guicciardini, ocenił papieża nieco mniej krytycznie, konstatując, że był on mimo wszystko dobrym człowiekiem, zwłaszcza w porównaniu z poprzednikami. Jak bowiem zauważył, „jeśli wziąć pod uwagę dokonania poprzednich papieży, to nie da się ukryć, że od 100 lat na tronie piotrowym nie zasiadał nikt lepszy od Klemensa VII. Niestety, jemu to przypadły w udziale kłopoty, których uniknęli inni, znacznie bardziej podli, lecz dożywający końca swoich dni w szczęściu. Jednak wszystkie ich czyny osądzi Pan w takiej chwili i w taki sposób, jakie On, a nie nikt inny, uzna za stosowne”²⁴.

Źródła

Każdy z siedmiu przedstawionych w tej książce papieży wywołał poważny kryzys w Kościele rzymskokatolickim, związany z rozdzwięciem pomiędzy osobistymi niedostatkami charakteru następcy św. Piotra a jego nieograniczoną władzą. W szerokim kontekście całej historii papieństwa nie byli oni odosobnieni w swoich poczynaniach ani nawet nie wyróżniali się z całego pocztu papieży. Każdy z nich jednak, dążąc do jak największego nagromadzenia dóbr i władzy, poważnie zmieniał zastaną strukturę, co nieuchronnie prowadziło do głębokiego kryzysu, który najpełniej objawił się w postaci reformacji oraz tragicznego dla Rzymian złupienia miasta w 1527 roku.

Kościół naucza, że duchowość człowieka nie jest z definicji skażona jego działaniem, gdyż grzeszne zachowanie wcale nie umniejsza możliwości uzyskania łaski. Ten sekret religii i wiary pozostaje poza tutejszymi rozważaniami, lecz dobrze oddaje problem, przed którym staje każdy historyk, problem sprowadzający się do kwestii właściwej oceny osobistych dążeń. Nikt nie jest w stanie ocenić motywów, którymi kierowało się siedmiu opisanych tu ludzi. Nie można już dziś z całą pewnością ustalić, czy Borgia popełniał świętokradztwo za każdym razem, gdy przyjmował komunię, czy też w tym momencie był głęboko wierzącym człowiekiem. Nie można też jednoznacznie ustalić, czy Bonifacy VIII naprawdę wierzył, że papież jest wolny od symonii, gdyż stanowi jedno z Kościołem, czy może jednak posługiwał się tym zdaniem jak sprytnym chwytem retorycznym. Żyjących kilkaset lat temu ludzi możemy dziś oceniać wyłącznie na podstawie ich działań, a raczej tego, jak były one postrzegane i opisywane przez ich współczesnych.

Oprócz możliwości napotkania nieciągłości oraz przeinaczeń, zagłębienie się w historię papieży niesie za sobą dodatkowe niebezpieczeństwo. Religijny fanatyzm zaburza obraz wyłaniający się z kronik, dzienników, opowieści oraz prywatnych listów, bez których oficjalne dokumenty są jedynie martwymi zapisami. Skrajnym przykładem tego problemu może być pochodząca z XVI wieku historia papieństwa, którą kardynał Cesare Baronius spisał, aby odeprzeć zarzuty protestantów. Nie mogąc znaleźć ciągłości w źródłach dla X wieku, Baronius uznał, iż racja leży po stronie Liutpranda

z Kremony. Liutprand, choć piastował urząd biskupa, żywił nienawiść do papieżstwa, która odbiła się w jego pismach i zafalszowała prawdę historyczną. Jako że nie mógł zignorować jego dzieł, Baronius zdecydował się polegać na jego rewelacjach i w ten sposób włączył opisy „pornokracji” do kanonu oficjalnej historii.

Wydaje się rzeczą niemożliwą, aby nawet najwięksi kronikarze zachowali w sprawie papieżstwa niewzruszoną uczciwość i obiektywność. Jedynie teksty polemiczne przetrwały zawieruchę reformacji. Łatwo zauważyć zbieżność pism siedemnastowiecznych purytan z dziełami piętnastowiecznych antypapistów, podczas gdy apologie papieżstwa osiągały w tym czasie swoją szczytową formę. Historycy dość powszechnie brali jednak udział w starciach ideologicznych i fałszowanie rzeczywistości oraz samooszukiwanie poważnie nadwerężyły rzetelność zapisów, na których musiał polegać każdy późniejszy historyk, starający się opisać dzieje papieżstwa. Z tego też powodu Francesco Guicciardini w XVI wieku wiernie spisał wiele antypapieskich historii, opartych na tak słabej podstawie, że on sam nie śmiałyby ich użyć, gdyby miał inną możliwość. Dziewiętnastowieczna francuska edycja dzieł protestanckiego historyka von Rankego została tak mocno zmieniona, że ich autor zapewne nie chciałby podpisać ich swoim nazwiskiem.

U schyłku XIX wieku fala zniekształceń poczęła opadać, Leon XIII zdecydował się udostępnić watykańskie archiwa wybitnemu katolickiemu historykowi, Ludwигowi Pastorowi. Papież postawił podobno tylko jeden warunek: aby historyk mówił prawdę. Oczywiście, wciąż istniały pewne ograniczenia i Pastor wielokrotnie narzekał, że nie udostępniono mu niektórych dokumentów, lecz od chwili otwarcia archiwów historia papieżstwa stała się znacznie bardziej wiarygodna niż w poprzednich stuleciach.

Podczas pisania tej książki za ramy obiektywności przyjąłem kilka historii spisanych po obu stronach barykady. Z jednej strony opierałem się na dziele protestanckiego historyka Gregoroviusa, którego historia średniowiecznego Rzymu stanowi kontynuację dzieł Gibbona, z drugiej zaś – na dziełach dwóch historyków katolickich: Horacego K. Manna i Ludwiga Pastora, odpowiednio dla wcześniejszego i późniejszego okresu, który obejmuje moja książka. Bibliografia wymienia wszystkie wykorzystane przeze mnie źródła, dzieła historyków zarówno ówczesnych, jak i późniejszych, prezentujących przy tym całe spektrum stronnictwa. Dzięki ich lekturze mogłem zagłębić się w temat, nie opuszczając wszak przyjętych uprzednio, a przedstawionych powyżej ram.

Bibliografia

- Alberi E. *Documenti sull' assedio di Firenze 1529–1530*, Florencja 1840.
- Alberi E. *Le relazioni degli Ambasciatori Veneti al Senato durante il secolo decimosesto*, Florencja 1839–1855.
- Alfieri Vittorio *Del Principe e delle Lettere*, Mediolan 1919.
- Alvisi E. *Cesare Borgia, duca di Romagna: Notizie e documenti*, Imola 1878.
- Analecta Bollandiana*, t. IX, s. 147–200: *Vita et miracula Santi Petri Caelestini Auctore coaevo*, Bruksela 1890.
- Antonelli G. *Lucrezia Borgia in Ferrara*, Ferrara 1897.
- Atti e memorie delle RR deputazione di storia patria per le provincie Modenensis e Parmensis*, Modena 1863–1876.
- Bale John *The Pageant of the Popes [...] Englished with sundry additions by I.S.*, Londyn 1574.
- Baluze S. *Miscellanea*, t. IV, Paryż 1761.
- Baluze S. *Vitae Paparum Avenonensium*, Paryż 1693.
- Balzani Ugo *Le cronache italiane nel Medio Evo*, Mediolan 1900.
- Baronius Caesar *Annales ecclesiastici*, kontynuowane przez Raynaldusa Lucca, 1738–1756.
- Benedykt z Soracte (Benedictus, S. Andreae Monachus) *Chronicon*, w: *Migne Patrologia Latina*, t. 139.
- Bergenroth G.A. *Calendar of Letters, Despatches and State Papers Relating to the Negotiations Between England and Spain*, t. I i II, Londyn 1862–1866.
- Bisticci Vespasiano da *Lives of Illustrious Men of the 15th Century*, tłum. William George, Emily Waters, Londyn 1926.
- Boase T.S.R. *Boniface VIII*, Londyn 1933.
- Bouquet Martin *Recueil des historiens des Gaules*, Paryż 1738.
- Breisach Ernst *Caterina Sforza: a Renaissance Virago*, Chicago–Londyn, 1967.
- Brown Rawdon *Calendar of State Papers*, t. I, Londyn 1864.
- Bryce James *The Holy Roman Empire*, Londyn 1887.
- Burchard John *Diarium, 1483–1506*, t. I–III, red. L. Thuasne, Paryż 1883–1885.
- Burchard John *The Diary of John Burchard*, t. I, 1483–1492, tłum. z red. L. Thuasne: A.H. Matthew, Londyn 1910.
- Burchard John *At the Court of the Borgia: Being an Account of the Reign of Alexander VI Written by His Master of Ceremonies*, red. i tłum. Geoffrey Parker, Londyn 1963.

- Burckhardt Jacob *Kultura Odrodzenia we Włoszech*, tłum. Maria Kreczkowska, Warszawa 1961.
- Capecelatro Alfonso *Storia di S. Caterina da Siena e dal Papato del suo tempo*, Siena 1878.
- Cappelli Antonio *Lettere di Lorenzo de' Medici, dette il Magnifico, conservate nell' Archivio Palatino di Modena*, Modena 1863.
- Capuana Raimundo S. *Catharinae Senensis Vita (Acta Sanctorum Aprilis, t. III)*, Wenecja 1738.
- Cellini Benvenuto *Benvenuta Celliniego żywot własny spisany przez niego samego*, tłum. Leopold Staff, wyd. 6 powojenne, Warszawa 1994.
- Cipolla C. *Le signorie dal 1300 al 1500*, Mediolan 1881.
- Compagni Dino *La cronica delle cose occorrenti ne' tempi suoi*, red. Isidoro del Lungo, Città di Castello 1913-1916.
- Creighton M. *A History of the Papacy During the Period of the Reformation*, t. I-II, Londyn 1882.
- Dante Alighieri *Boska Komedia*, tłum. Edward Porębowicz, Warszawa 1975.
- Dell' Arco Mario *Pasquino e le Pasquinate*, Mediolan 1957.
- Diethmar von Merseburg (Thietmar z Merseburga) *Kronika*, tłum. wstęp i przypisy Marian Zygmunt Jedlicki, Kraków 2002.
- Dietrich von Niem *Die Scismate*, red. G. Erler, Lipsk 1890.
- Döllinger J.J. *Beiträge zur Politischen, Kirchlichen und Kultur-Geschichte der Sechs Letzten Jahrhundert*, t. III, Wiedeń 1882.
- Döllinger J.J. *Fables Respecting the Popes in the Middle Ages*, tłum. Alfred Pummer, Londyn 1871.
- Dupuy P. (red.) *Histoire du Differend d'entre le Pape Boniface VIII et Philippe le Bel*, Paryż 1655.
- Eugenius Vulgarius *Invectiva in Romam*, w: Minge, t. 129.
- Fabronius A. *Laurentii Medicei Magnifici vita*, Piza 1784.
- Finke Heinrich *Acta Aragoniensa. Quellen zur deutschen italienischen, französischen, spanischen zur Kirchen und Kulturgeschichte aus der diplomatischen korrespondence Jaymes II (1291-1327)*, t. I-III, Berlin-Lipsk 1908.
- Finke Heinrich *Aus den Tagen Bonifaz VIII*, Berlin 1902.
- Flodoard *Histoire de l'eglise de Rheims: Chronique sacrée*, w: Guizot, Paryż 1824.
- Florence of Worcester *Chronicle*, tłum. Joseph Stevenson, Londyn 1853.
- Froissart Jean *Chronicles*, tłum. Thomas Johnes, Londyn 1849.
- Gardner Edmund *St. Catherine of Siena*, Londyn 1907.
- Garinci G.B. *Documenti scelti del archivio dei Gaetani*, Rzym 1846.
- Gayet Louis *Le Grand Schisme d'Occident d'après le documents contemporains*, Florencja 1889.
- Gibbon Edward *Upadek Cesarstwa Rzymskiego na Zachodzie*, tłum. Irena Szymańska, Warszawa 2000.
- Giovio Paolo *La vita di dicenove huomini illustri*, tłum. L. Domenichi, Wenecja 1561.
- Giustinian A. *Dispacci, 1502-1505*, red. Pasquale Villari, Florencja 1876.
- Glaber Raul *Chronique*, patrz: Guizot, Paryż 1824.
- Glasfurd Alec *The Antipope Peter de Luna 1342-1425*, Londyn 1965.
- Graphia aureae urbis Romae*, w: Ozanam, Paryż 1850.
- Grassis Paris de *Diarium*, w: Döllinger *Beiträge*, Wiedeń 1882.
- Gregorovius Ferdinand *History of the City of Rome in the Middle Ages*, tłum. z 4. wyd. niem. Annie Hamilton, Londyn 1894-1902.

Gregorovius Ferdinand *Lucretia Borgia: According to Original Documents and Correspondence of Her Day*, tłum. John Leslie Garnet, Londyn 1905.

Grottanelli F. *Leggenda minore do S. Caterina da Siena e lettere dei suoi discepoli*, Bologna 1868.

Guicciardini Francesco *Counsels and Reflections*, tłum. N.H. Thomson, Londyn 1890.

Guicciardini Francesco *Storia d'Italia*, red. Constantino Panigada, Bari 1929.

Guicciardini Luigi *Il sacco di Roma*, Kolonia 1758.

Guizot M. *Collection des memoires relatifs a l'histoire de France*, t. VI, Paryż 1824.

Hodgkin Thomas *Italy and Her Invaders*. t. VII, Londyn 1899.

Infessura Stefano *Diario della Città di Roma*, red. Oreste Tommasini, w: *R.I.S.*, III, 2, 1890.

Jacopo da Volterra *Diario Romano 1479–1484*, red. E. Carusi, w: *R.I.S.*, N.S. XXIII, Pt. III.

Jacopone da Todi *Le Satire*, red. B. Brugnoli, Florencja 1914.

Kervyn de Lettenhove *Etudes sur l'histoire du XIII^e siecle (De controversia Bonifac.)*, w: Migne, t. 185.

Köhler Walther *Dokumente zum Abblasstreit von 1517*, Tybinga 1934.

Labbe P. *Sacrosancta Concillia*, t. VI, Wenecja 1728–1733.

Landucci L. *Diario Fiorentino*, red. I. Del Badia, Florencja 1883.

Leva G. de *Storia documentata di Carlo V in correlazione all' Italia*, Wenecja 1863.

Liber Pontificalis, tekst, wstęp i kometarz: L. Duchesne, Paryż 1884.

Liudprand of Cremona (Liutprand z Kremony), *Works (Antapodosis; Liber de Rebus Gestis Ottonis; Relatio de Legationes Constantinopolitana)*, tłum: F.A. Wright, Londyn 1930.

Luther Martin (Luter Marcin) *Tischreden*, t. I–VI, Weimar 1912–1921.

Luzio Alessandro *Isabella d'Este ne' primordi del Papato di Leone X*, Mediolan 1907.

Niccolo Machiavelli *Książę. Rozważania nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Liwiusza*, tłum. Wincenty Rzymowski, Krzysztof Zaboklicki, Warszawa 1997.

Niccolo Machiavelli *The History of Florence and the Affairs of Italy; The Prince; Jerome Savonarola; Murder of Vitellozzo*, Londyn, Biblioteka Bońska 1847.

Niccolo Machiavelli *Le lettere familiari*, red. E. Alvisi, Florencja 1883.

Magnan J.B. *Histoire d'Urbain V*, Paryż 1862.

Malmesbury, patrz: William of Malmesbury.

Mann Horace K. *The Lives of the Popes in the Early Middle Ages*, Londyn 1902–1932.

Marullus M.T. *Hymni et epigrammata*, Florencja 1497.

Migne J.P. *Patrologia Latina*, t. 139, 145, 185, Paryż 1853–1855.

Mollat G. *The Popes at Avignon*, Edynburg 1963.

Muratori Ludovico *Annali d'Italia dal principio dell' era volgare sino al 1750*, Rzym 1752–1754.

Muratori Ludovico *Rerum Italicarum Scriptores*, Mediolan 1723-1751; *New Series*, Città di Castello 1900–1913.

Okey T. *Avignon*, Londyn 1926.

Ozanam A.F. *Documents inédits pour servir à l'histoire littéraire de l'Italie depuis le VII^e siecle jusque'au XIII^e*, Paryż 1850.

Pastor Ludwig *The History of the Popes from the Close of the Middle Ages*, red. F.I. Antrobus, t. I–VI, Londyn 1891–1898.

Penni Gian-Giacomo *Chronica delle magnifiche et honorate pompe fatte in Roma per la creatione er incoronatione di Papa Leone X*, Rzym 1513.

Pertz G.H. *Monumenta germaniae historica*, Hanower 1873.

Petrarka Francesco *Lettres sans Titre*, tłum. V. Delevay, Paryż 1885.

Petrarka Francesco *Lettere delle cose familiari*, tłum. G. Fracasetti, Florencja 1892.

Platina B. *The Lives of the Popes*, tłum. W. Benham, Londyn bd.

Ptolemeusz z Lukki *Historia ecclesiastica*, w: *R.I.S.*, XI, 1727.

Pulver Geoffrey *Machiavelli: The Man, His Work and His Times*, Londyn 1937.

Ranke Leopold von *The Ecclesiastical and Political History of Popes During the 16th and 17th Centuries*, tłum. Sarah Austin, Londyn 1866.

Raynaldus patrz: Baronius.

Richer *Histoire*, tłum. A.M. Pionsignon, Paryż 1855.

Ridolfi Roberto *The Life of Francesco Guicciardini*, tłum. Cecil Grayson, Londyn 1967 *R.I.S. (Rerum Italicarum Scriptores)*, patrz: Muratori.

Roscoe William *The Life and Pontificate of Leon the Tenth*, red. Thomas Roscoe, Londyn 1864.

Roscoe William *Illustrations, Historical and Critical, of the Life of Lorenzo de' Medici...*, with an Appendix of Original and Other Documents, Londyn 1822.

Ruscelli G. *Lettere di Principi*, Wenecja 1562–1581.

Salembier L. *The Great Schizm of the West*, Londyn 1907.

Sanuto Marino *La spedizione di Carlo VIII in Italia*, red. R. Fulin, Wenecja 1873–1882.

Sanuto Marino *I Diarii*, t. I-LVIII, Wenecja 1879–1902.

Schertlin Sebastian *Lebensbeschreibung...*, red. C.S. von Holzschuber, Norymberga 1777.

Sigismondo de' Conti *Le storie de suoi tempi dal 1475 al 1510*, Rzym 1883.

Sismondi J.C.L. *Histoire des Républiques Italiennes du Moyen Age*, Paryż 1809–1818.

Spiapasto Guidotto *Cronica*, w: *Archivio Veneto*, XVII, 1887.

Stefaneschi Jacopo *Vita Coelestini V*, w: *R.I.S.*, N.S. III, 1900.

Symonds John Addington *Renaissance in Italy: Age of the Despots*, Londyn 1897.

Tangmar *Vita Bernwardi*, w: Migne, t. 140.

Tommaseo Niccolò *Le lettere di S. Caterina da Siena*, t. I-IV, Florencja 1860.

Tyler R. *The Emperor Charles V*, Londyn 1956.

Ullmann Walter *The Growth of Papal Government in the Middle Ages*, Londyn 1955.

Valla Lorenzo *Treatise on the Donation of Constantine*, tłum. C.B. Coleman, New Haven 1922.

Valois Noel *La France et le Grant Schisme d'Occident*, t. I-IV, Paryż 1896–1902.

Vasari Giorgio *Żywoty najświetniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów*, wybór, tłum. wstęp i objaśnienia Karol Estreicher, Warszawa 1989.

Vaughan Herbert M. *The Medici Popes*, Londyn 1908.

Ventura G. *Chronica Astensis*, w: *R.I.S.*, XI.

Vettori Francesco *Sommario della storia d'Italia dal 1511 al 1527*, w: *Archivio storico Italiano*, App. VI, 1848.

Villani Giovanni i Matteo *Cronica*, Florencja 1825.

Villari Pasquale *La storia di Girolamo Savonarola e dei suoi tempi*, Mediolan 1895.

Villari Pasquale *Medieval Italy from Charlemagne to Henry VII*, tłum. Constanza Hul-ton, Londyn 1910.

Villari Pasquale *The Two First Centuries of Florentine History*, tłum. Linda Villari, Londyn 1905.

Visconti P.E. (red.) *Lettera sulle antichità di Roma scritta da Raffaello d'Urbino a P Leone X*, Rzym 1834.

William of Malmesbury (William z Malmesbury) *The History of the Kings of England*, tłum. John Sharpe, Londyn 1854.

Przypisy

I. Złote miasto

- ¹ *Graphia*, rozdz. I.
- ² Malmesbury, rozdz. 5.
- ³ List 52, w: Gregorovius *Roma*, rozdz. I s. 188.
- ⁴ Liutprand *Antapodosis*, rozdz. XLV.
- ⁵ Za: Labbe, rozdz. VII, s. 7.
- ⁶ Za: Hodgkin, rozdz. VII, s. 133–137.
- ⁷ Eugenius, s. 828.

II. Ród Teofilakta

- ¹ Gibbon, rozdz. XLIX.
- ² Liutprand *Antapodosis*, rozdz. XLVIII.
- ³ *Ibidem*.
- ⁴ Benedict, rozdz. 5.
- ⁵ Liutprand, *op. cit.*, rozdz. IV, XLV.
- ⁶ Liutprand *Historia Ottonis*, rozdz. X.
- ⁷ Thietmar, rozdz. IV, s. 22.
- ⁸ W: Pertz, rozdz. IV, s. 29.
- ⁹ Liutprand, *op. cit.*, rozdz. X.
- ¹⁰ *Ibidem*, rozdz. V.
- ¹¹ *Ibidem*, rozdz. X.
- ¹² Za: *ibid.*, rozdz. XIII.
- ¹³ Za: Gregorovius *Roma*, rozdz. III, s. 405.
- ¹⁴ Tangmar, rozdz. 25.
- ¹⁵ *Liber Pontificalis*, rozdz. II, s. 269.
- ¹⁶ Glaber, rozdz. XLVI.
- ¹⁷ *Ibidem*.
- ¹⁸ Florence of Worcester, An. 1031.
- ¹⁹ List 1, w: Migne, s. 145.
- ²⁰ Malmesbury, rozdz. 13.

III. Pan Europy

- ¹ Stefaneschi, cz. II, rozdz. I.
- ² *Analecta*.
- ³ Dupuy, s. 259.
- ⁴ Jacopone, s. 25.
- ⁵ Spiapasto, s. 428.
- ⁶ Dante *Piekło*, pieśń III. *Boska komedia*
- ⁷ Finke *Tagen*, rozdz. III.
- ⁸ Za: Gregorovius *Roma*, rozdz. V, s. 9
- ⁹ *Analecta*.
- ¹⁰ *Ibidem*.
- ¹¹ Dupuy, s. 46.
- ¹² *Ibidem*, s. 80.
- ¹³ G. Villani, VIII, rozdz. 64.
- ¹⁴ Dante, *op. cit.*, pieśń XXVIII.
- ¹⁵ G. Villani, X, rozdz. 50.
- ¹⁶ *Ibidem*, VIII, rozdz. 64.
- ¹⁷ Compagni, I, rozdz. 21.
- ¹⁸ Za: Villari *Florentine History*, s. 505.
- ¹⁹ Dante *Raj*, pieśń XXVIII.
- ²⁰ Finke, *Acta*, I, s. 104.
- ²¹ *Ibidem*, s. 100–106.
- ²² Ventura, rozdz. 26.
- ²³ G. Villani, IX, rozdz. 65.
- ²⁴ Geoffroi de Paris, cyt za: Bouquet.
- ²⁵ Dupuy, s. 44.
- ¹ *Ibidem*, s. 65.
- ² *Ibidem*, s. 70.
- ³ *Ibidem*, s. 54.
- ⁴ Ptolemeusz, XXIV, rozdz. 36.
- ⁵ Dante *Czyścić*, pieśń XX.
- ⁶ Za: Gregorovius *Roma*, V, s. 591.

IV. Wędrowny papierz

- ¹ Baluze *Vitae I*, s. 481.
- ² *De planctu ecclesiae*, w: Pastor, I, s. 72.
- ³ Petrarka *Letteres sans Titre*, XIX.
- ⁴ Baluze, I, s. 241.
- ⁵ *Ibidem*, s. 239.
- ⁶ M. Villani, III, rozdz. 43.
- ⁷ Petrarka, XVI.
- ⁸ Capuana, s. 152.
- ⁹ Froissart, II, rozdz. 12.
- ¹⁰ Valois, I, s. 52.
- ¹¹ Dietrich, s. 122–123.
- ¹² Petrarka *Lettere familiari*, rozdz. XIV.
- ¹³ Raynaldus, An. 1379, s. 16.
- ¹⁴ Grottanelli, list 3.
- ¹⁵ BM Harleian 3480, s. 312, za: Gardner, s. 282.

V. Hiszpański byk

- ¹ Raynaldus, An 1400, s. 31.
- ² Sigismondo, I, s. 49.
- ³ Dante *Piekło*, pieśń XIX.
- ⁴ Valla, s. 28.
- ⁵ Jacopo, s. 130.
- ⁶ Infessura, rozdz. 14.
- ⁷ Za: Pastor, V, s. 237.
- ⁸ Marullus, s. 16.
- ⁹ Volterran *Innocent VIII*.
- ¹⁰ Burchard *Diarium*, An. 1484.
- ¹¹ Infessura, rozdz. 10.
- ¹² Sigismondo, II, s. 53.
- ¹³ Guicciardini *Storia*, I, s. 20.
- ¹⁴ *Carte Stroziane*, za: Gregorovius *Lucretia*, s. 65.
- ¹⁵ *Ibidem*, s. 69.
- ¹⁶ Antonelli, s. 34.
- ¹⁷ Burchard, *op. cit.*, An. 1487.
- ¹⁸ *Ibidem*, An. 1493.
- ¹⁹ Za: Gregorovius, *op. cit.*, s. 59.
- ²⁰ Guicciardini, *op. cit.*, s. III.
- ²¹ Za: Gregorovius, *op. cit.*, s. 89.
- ²² Burchard, *op. cit.*, An. 1497.
- ²³ *Ibidem*.
- ²⁴ Brown, I, s. 74.
- ²⁵ *Atti... Modenensis*, I, s. 433.
- ²⁶ Za: Gregorovius, s. 57.
- ²⁷ Machiavelli *Książę*, rozdz. VII.
- ²⁸ Sanuto *Diarii*, III, s. 500.

²⁹ Baluze *Miscellana*.

- ³⁰ Za: Gregorovius *Roma*, VII, s. 486.
- ³¹ Sanuto, *op. cit.*, III, s. 625.
- ³² Machiavelli, *op. cit.*, rozdz. VII, s. 428.
- ³³ Giustinian, I, s. 64.
- ³⁴ Sigismondo, II, s. 67.
- ³⁵ Sanuto, *op. cit.*, V, 74.
- ³⁶ Guicciardini, *op. cit.*, rozdz. 27.

VI. Złoty wiek

- ¹ Alberi *Documenti*, kaz. III, III, s. 53.
- ² *Ricordi*, w: Roscoe *Lorenzo*, zał. III.
- ³ Alberi *Relazioni*, s. 52.
- ⁴ Burchard *Diarium*, An. 1489.
- ⁵ Fabronius, II, s. 308–312.
- ⁶ Penni, s. 231.
- ⁷ Giovio, *Leo X*, IV.
- ⁸ W: Grolis, *Le caccie di Leone X*.
- ⁹ Grassis, An. 1515.
- ¹⁰ Satyra IV.
- ¹¹ Bale *Pageant of the Popes*.
- ¹² Vettori, s. 322.
- ¹³ Visconti, s. 14.
- ¹⁴ *Ibidem*, s. 20.
- ¹⁵ Alberi *Documenti*, kaz. II, III, s. 290.
- ¹⁶ Bergenroth, II, s. 240.
- ¹⁷ W: Roscoe *The life* – II, s. 72.
- ¹⁸ *Ibidem*, s. 73.
- ¹⁹ Köhler, s. 128.
- ²⁰ Myconius *Historia reformationis*.
- ²¹ W: Roscoe, *op. cit.*, II, s. 95.
- ²² *Ibidem*, s. 104.
- ²³ Guicciardini *Counsels*, n. I, s. 123.
- ²⁴ Luter, II, 1612.
- ²⁵ *Ibidem*, III, 3478.
- ²⁶ *The Scholemaster*.
- ²⁷ Guicciardini, *op. cit.*, n. I, s. 125.
- ²⁸ *Luzio*, s. 45.
- ²⁹ *On Liberty*, w: Roscoe, *op. cit.*, II, s. 213.

VII. Ostatnie dni Italii

- ¹ *State Papers*, Henryk VIII, VI, n. 4.
- ² Bergenroth, II, n. 610.
- ³ Guicciardini *Storia*, XX, s. 417.
- ⁴ Alberi *Relazioni*, s. 126.
- ⁵ Leva, II, s. 233.
- ⁶ Ruscelli, II, s. 67.

- ⁷ *Ibidem*, I, s. 155.
- ⁸ Machiavelli *Discorsi*, I, rozdz. 12.
- ⁹ Ruscelli, I, 160.
- ¹⁰ Machiavelli *Le lettere familiari*.
- ¹¹ Ruscelli, II, s. 20.
- ¹² Cellini, s. 66.
- ¹³ *Ibidem*, s. 67.
- ¹⁴ Sanuto *Diarii*, XLV, s. 237.
- ¹⁵ Za: Pastor, IX, 427.
- ¹⁶ Za: Gregorovius *Roma*, VIII, s. 621.
- ¹⁷ *State Papers, Henry VIII*, VII, s. 63.
- ¹⁸ *Ibidem*, s. 394.
- ¹⁹ Alberi *Documenti*, kaz. II, V, s. 3.
- ²⁰ W: Raynaldus, An. 1534, n. 67.
- ²¹ Cellini, s.141.
- ²² Leva, s. 658.
- ²³ Guicciardini, *op. cit.*, XX, s. 417.
- ²⁴ Vettori, s. 381.

Indeks

- A**
Abruzzy 69
Adalbert Wojciech 47–48, 50–54
Akwizgran 23, 44
Albert Brandenburski 190
Aleksander VI, papież (1492–1505) 129,
143, 150–151, 153–162, 164, 170,
175, 177–178, 181–182, 210,
patrz również: Borgia Rodrigo
Alfons, król Neapolu 146
Alighieri Dante 91–92, 134
Amalfi 122
Anagni 100, 108, 110–112, 125, 221
Andegaweni 73, 120, 122, 146
Anglia 98, 118, 219
Ansfried 46
Antypapież 24, 127–128
Arabowie 15, 33, 44, 47–48, 68, 127
Aretino Pietro 177
Ariosto Lodovico 177–178
Arnold z Brescii 191
Arnold z Villanova 94
Ascham Roger 194
Asti 211
Augsburg 44–45
Aurelian, cesarz 12–13, 15
Awentyn 32, 57–58
- B**
Baglioni, książę Perugii 145
Bajezyd, sułtan 137, 147
Barbiano Alberico de 119, 125
Bari, arcybiskup 106
Baronius, kardynał 25, 31, 225–226
Battistina 144
Bazylika św. Piotra 13–16, 19, 40, 42, 46,
51, 59, 61, 76, 84, 91, 97, 115, 136,
172, 180, 190–191, 193, 215
Beaufort Pierre Roger de 109
Bembo Pietro 177–178
Benedykt IX, papież (1032–1048) 27, 58,
61, 102, patrz również: Teofilakt
Benedykt XII, papież (1304–1332) 108
Benedykt XIII, papież (1394–1423) 128
Benedyktyni 72
Benincasa Katarzyna 105, 110
Berengar 43, 45–50, 53–54
Bisceglie, książę 154, 159–161
Boccaccio Giovanni 120, 194
Bologna 21, 220–222
Bolsena 175
Bonifacy VII, papież (974–985) 128
Bonifacy VIII, papież (1294–1303) 65,
74, 79, 89–90, 213, 225, patrz
również: Gaetani Benedetto
Borgia Cesare 132, 141, 144, 149–151,
153–164, 167, 183, 188, 223, 225
Borgia Goffredo 141, 144, 146, 152
Borgia Lukrecja 141–144, 152–155,
158–159, 161, 164, 205
Borgia Rodrigo 128–129, 131–132, 136–
139, 141–146, 158, 170–171, 178,
192, 205, patrz również: Aleksander
VI, papież (1492–1503)

Boska komedia 89
Bourbon, konstabl 209, 216–218
Bramante 179
Brygida Szwedzka 191
Burchard Jan, papieski mistrz ceremonii
136–139, 143, 148–149, 151, 158–
161, 163, 169, 178, 184
Butillo, patrz również: Prignano
Francesco 122–124

C
Cambio Arnolfo di 90
Camerino Campani Dino 32, 161
Campo di Fiore 135
Castiglione Baldassare 213, 220
Catanei Vannoza de 141, 151
Celestyn V, papież (1294) 71–74
Cellini Benvenuto 204, 217–218, 220,
222
Chigi Agostino 172, 176
Chinon Christophorous, urzędnik
papieski 156
Cibo, kardynał 136, 195, patrz również:
Innocenty VIII, papież (1179–1180)
Civitavecchia 132, 175
Contarini Gaspar 223
Cornaro, kardynał 195
Corneto Adriano de, kardynał 162, 186–
187
Cossa Baldassare 128
Cyceron 56, 133, 177
Cystersi 82, 97

D
d'Albret Charlotte 156
Dania 176
d'Este Alfonso, kardynał 161, 195
Dialogus de voluptate (O rozkoszy) 134,
patrz: Valla Lorenzo
Donacja Konstantyna 19–22, 29, 134–
135, 178
Durazzo 120
Dżem 147–149

E
Easton Adam 123, 126
Edward, król Anglii 74, 80, 109

Erazm z Rotterdamu 177, 192, 193

F
Farnese Alessandro 142, 175, 184, 210,
224, patrz również:
Paweł III, papież (1534–1549)
Ferdynand Kastylijski 145
Filip Piękny 80, 85, 97–100, 102
Flandria 80
Florencja 88–92, 94, 110, 113–116, 133,
138, 142, 145, 147, 164, 168–170,
172, 182–183, 186–188, 192, 196,
199–200, 209–210, 212, 217, 220–
221
Flores Bartolomeo 153
Fornuovo 149
Foscari Marco 204–205, 214
Fournier Jacques 109
Franceschetto, syn papieża
Innocentego VIII 136–137, 141, 169
Franciszek I, król Francji 192, 201, 206,
216
Franciszek z Asyżu, święty 73
Franciszkanie 83, 87
Francja 23, 57, 68, 73, 75, 80, 85, 88–89,
96–99, 102, 110, 113–114, 116, 118,
120–121, 144, 146, 149, 156, 161,
169, 181, 189, 203, 206–207, 209,
211–212, 214, 221
Froissart Jean 113–114
Frundsberg Georg 215–218

G
Genua 125–127, 136, 138, 211
Gibbon Edward 30–31, 226
Giberti Giammatteo 206, 209, 212, 214
Giotto 90
Giovio Paolo 174, 177, 218
Giustiniani Antonio 162
Glaber Raoul 59
Grassis Paris de, mistrz ceremonii 171,
175, 184, 186
Gratiano Giovanni 61–63
Grecja 79
Grzegorz II, papież (715–731) 18–19
Grzegorz VI, papież (1045–1046) 62
Grzegorz z Tuskulum 56–58

Gubbio 21
Guglielmina 82
Guicciardini Francesco 140, 164, 177, 193–
194, 203, 205–206, 212, 216, 224, 226
Gwardia Szwajcarska 173

H

Hadrian VI, papież (1522–1523) 201–
202, 204, 206, 224
Hadriana mauzoleum 15, patrz również:
Sant'Angelo
Henryk III, cesarz niemiecki 64
Henryk Orleański 222
Henryk VIII, król Anglii 205, 207
Hildebrand, kapelan 62–64
Hiszpania 45, 68, 89, 128, 135, 144–145,
149, 152, 158, 164, 203, 205–206,
207, 209–210, 213, 219–220
Hugon z Prowansji 36–39, 42, 43, 50
Hus Jan 191

I

Imperiola Piotr 51
Innocenty VIII, papież (1179–1180) 136–
139, 141, 143–144, 147, 169
Irlandia 89
Izabela Aragońska 145

J

Jacopone da Todi 72–73, 83–84, 87
Jan X, papież (914–928) 32
Jan XII, papież (955–964) 27, 41, 45–46,
59, 61
Jan XXII, papież (1316–1334) 108
Jan XXIII, papież (1958–1963) 128
Jerozolima 34, 95, 146
Joanna, królowa Neapolu 107, 117, 119
Joanna, „papiezyca” 29–30, 34, 78, 120–
123
Juliusz Cezar 88
Juliusz II, papież (1503–1513) 164, 167,
172–175, 178, 180–182, 188–189,
196, 199, 212

K

Kalikst III, papież (1455–1458) 131–132,
139

Kanut II, król 60–61
Karol V, cesarz 201, 206–208, 211–215,
219–220, 222
Karol VIII, król Francji 146, 155
Karol Walezy 146
Karol Wielki, cesarz 22–23
Karol z Durazzo 121
Karol, król Neapolu 67, 70
Katarzyna ze Sieny 108, 128, 191
Klemens V, papież (1305–1314) 108
Klemens VI, papież (1342–1352) 109–
110
Klemens VII, papież (1523–1534) 118,
128, 197, 203–206, 208–214, 216,
218–224, patrz również: Medici
Giulio de
Koloseum 72
Konrad 60–61
Konstantyn, cesarz 13, 16, 19–20, 21, 77,
178
Konstantynopol 16–17, 22, 40, 49–50,
145
Królestwo Obojga Sycylii 120
Księga Papieży 31

L

Lancknechci 215–217
Landulf, kardynał 93
Leon III, papież (795–816) 17–18, 22, 43
Leon IV, papież (847–855) 15
Leon VIII, papież (963–965) 54
Leon X, papież (1513–1521) 165, 170–
171, 174–179, 181–186, 188–192,
194–196, 200, 208, patrz również:
Medici Giovanni de
Limoges, kardynał 114, 118
Liutprand, biskup Kremony 31–32, 35–
36, 43–44, 49–53, 55, 59, 225–226
Lombardia 23, 43, 60, 180, 182, 209,
214–215
Londyn 194, 206
Longobardowie 21–22, 31, 33
Lotaryngia 23
Ludwik XII, król Francji 155
Luiza Sabaudzka 207
Lukullus 56
Luna Pedro de, kardynał 113, 115

Luter Marcin 153, 188, 191–193, 195–196, 208, 215
Lyon 101

M

Machiavelli Niccolo 157–158, 160, 162, 164, 177, 188, 200, 210, 212, 216
Madziarowie 20, 44, 48–49
Maifreda 82
Maksymilian, cesarz Austrii 192, 196, 207
Malabranca Latino 68–69, 73
Malliana 175
Marcin V, papież (1417–1431) 128
Marozja, senatorka rzymska (926–932) 25, 27, 30–38, 42–43, 49, 55–56
Marsylia 222
Medici Alessandro de 220
Medici Giuliano de, brat Lorenza il Magnifico 172, 181–182, 184, 199–200
Medici Giulio de 128, 172, 181, 197, 199–203, 206, patrz również: Klemens VII, papież (1523–1534)
Medici Lorenzo il Magnifico de 137, 168–170, 183, 188, 195, 222
Mediolan 82, 138, 145, 153, 157, 180, 194, 208, 209–214, 216
Miasto Leonowe 15, 51, 134, 178, 218
Michał Anioł 134, 167, 178
Mikołaj V, papież (1447–1455) 134–135
Miltitz Karl von 192
Modena 181
Monte Cassino 72, 169
Monte Morone 69, 76
Montefeltro, książę Guido 87
Montfort Simon de 74–75
Morone Girolamo 210–211, 215

N

Neapol 67, 71, 74–77, 119, 120–123, 125–127, 144, 146, 149, 160–161, 180, 194, 208, 210–211, 217
Neron, cesarz 12–13, 109, 176
Niderlandy 207
Niem Dietrich von 115, 124, 127
Niemcy 44, 46, 60, 89, 96, 190, 192–193, 215

Nocera 123, 125
Nogaret Guillaume 99–101
Nuovo Castello 71–72

O

Opisanie Złotego Miasta 12
Orvieto 220
Otton I (Otton Wielki) 192
Otton II 55
Otton III 55

P

Pad 19, 216
Palestrina 82, 86–88, 100
Paryż 75, 101
Paweł III, papież (1534–1549) 142, 152, 224, patrz również: Farnese Alessandro
Państwo Kościelne 21, 41, 42, 46, 50, 62, 91–92, 110, 120, 147, 149–150, 157, 167, 182–183, 188, 208–210, 212, 216–217, 220, 223
Parma 181, 196
Penni Gian-Giacomo 171, 173
Pepin Mały, król Franków 21–22
Perugia 67, 70–71, 126, 145, 149, 221
Perugino 199
Petrarka 105, 107–108, 110, 116, 120, 191
Petrucci Alfonso, kardynał 173, 185–187, 191, 195
Piccolomini Aeneas 131–132
Piotr Apostoł, święty 13–14, 16, 18–19, 21–24, 42, 46, 49, 60–61, 92
Piotr z Morone 69–71, 76
Pius II, papież (1458–1464) 131–132, 139, 152
Porcari Stefano 135
Prelayo Alvaro 108
Prignano Bartolomeo 103, 106–108, 110–112, 114–115, 119, patrz również: Urban VI, papież (1378–1389)
Prignano Francesco 121–122
Prowansja 23, 39

R

Rafael 178–180, 203
 Rawenna 16, 19, 36
 Riario, kardynał 184–187
 Rieti 87
 Rimini 145, 157
 Roger Hugon, kardynał 109, 116
 Romania 157, 161, 183
 Roncalli Angelo 128, patrz również: Jan XXIII, papież (1958–1963)
 Rovere Francesco Maria della 182–184, 188
 Rovere Giuliano della 136, 138, 146, 164
 Rycerze Rodyjscy 172
 Ryszard II, król Anglii 11–16, 18–25, 29, 30–34, 36–43, 45, 47–52, 126

S

Saksonia 50
 Salerno 122
 San Marco Antonio de 172
 Sancia 144
 Sangro, kardynał 123–125
 Sant' Angelo, twierdza Santa Croce 15, 36–38, 95, 113–114, 119, 135, 148, 158, 167, 185–186, 188, 214, 215, 218–219
 Saulis Genoese de 186–187
 Savelli 173
 Savonarola Girolamo 147, 149, 192
 Schomberg Nicholas von 206
 Sforza Ascanio, kardynał 138, 143, 148, 151
 Sforza Francesco 220
 Sforza Giovanni 143, 153–154, 160
 Sforza Ludovico 145–146, 148, 153–154, 157
 Siena 105, 108, 110, 117, 123, 131, 173, 185
 Soderini Francesco 186–187
 Soracte 25, 34
 Sorrento 122
 Stefan VII, papież (896) 23, 25
 Stefaneschi Jacopo 70–71, 78
 Stolica Apostolska 81, 97, 108, 110, 116, 172–173, 175, 185, 192, 219
 Strozzi Lorenzo 176

Swetoniusz 193
 Sycylia 15, 88, 120
 Sykstus IV, papież (1471–1484) 139, 144
 Sykstyńska Kaplica 167
 Sylwester II, papież (999–1003) 56
 Sylwester III, papież (1045) 63
Synod horrenda 23
 Szkocja 118

Ś

Śródziemne Morze 145
 Święta Włócznia 137

T

Tarent 120
 Tatarzy 95
 Templariusze 86
 Teodora 30–33, 35, 40, 55
 Teofilakt 27, 29–33, 40, 58, 64, patrz również: Benedykt IX, papież (1032–1048)
 Tetzl Johann 190–192
 Tivoli 51–53
 Toskania 36, 91, 101, 108, 149, 161, 175
 Troja 11
 Trydencki Sobór 224
 Tuskulum 30, 40, 55–57, 61, 63–64, 77, 81, 100
 Tyberiusz, cesarz 193
 Tybr 11, 13, 15–16, 24, 33, 56–57, 150, 159, 176, 219

U

Umbria 127, 161
Unam Sanctam 99
 Urban V, papież (1362–1370) 110
 Urban VI, papież (1378–1389) 103, 115, 117–127, 133, 179, patrz również: Prignano Bartolomeo
 Urbino 161, 182–184, 187–189, 213–214

V

Valla Lorenzo 134–135, 178
 Vasari 90
 Villani Giovanni 87–91, 93, 95, 97, 110
 Villeneuve 116
 Viterbo 148, 175

W

Walencja 135, 139, 161

Wenecja 108, 139, 145, 147, 194, 212

Wergiliusz 11–12

Węgry 120

Wittemberski Uniwersytet 191

Włochy 46, 50, 58, 63, 79, 89, 91, 101,
105, 110, 112–113, 117, 119, 122–

123, 143–146, 149, 155–156, 167,

180–181, 196, 212

Wolsey, kardynał 202, 206

Z

Złota Bazylika 16